



Joyce Carroll Oates

CZY ZAWSZE BĘDZIESZ
MNIĘ KOCHAĆ?

I INNE OPOWIADANIA



James Carol Oates

**CZY ZAWSZE BĘDZIESZ MNIE KOCHAĆ?
I INNE OPOWIADANIA**

Przełożyła Agnieszka Pokojka



Tytuł oryginału: *Will You Always Love Me? and Other Stories*

Copyright © 2013 by the Ontario Review, Inc.

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Pokojaska, MMXIV

Wydanie I

Warszawa, MMXIV

Spis treści

Dedykacja

I

Uczynek z samotności

Pogłaskaliście mnie, to za wami poszedłem

Dobrze wiedzieć

Zemsta stopy, rok 1970

Dyplomacja

Nieobecność

Czy zawsze będziesz mnie kochać?

II

Życie po liceum

Gęsiareczka

Amerykanka za granicą

Tor wyścigowy

Mocny uścisk

Dziewczyna, która miała umrzeć

Maleństwo

III

Gorszy stolik

Czy śmiech jest zaraźliwy?

Bracia

Zaginione dziecko

Noc Bożego Narodzenia 1962 roku

Pasja Rydcie Mather

[Widzenie](#)

[Znak szatana](#)

[Przypisy](#)

-->

Gregowi Johnsonowi

Uczynek z samotności

To był wypadek, był o tym przekonany.

Gdyby tylko nie prowadził sam. Gdyby pojechał samochodem służbowym.

Gdyby wybrał inną trasę przez miasto, ominął ten kawałek Decatur Avenue. Gdyby wyjechał z domu na przedmieściu Willow Lake pięć minut wcześniej czy później – nic by się nie stało.

Albo jeśli założyć, że coś się *musiało* stać, stałoby się co innego. Byłaby to inna historia.

Inne zakończenie, inne konsekwencje.

A jego najprawdziwsze ja pozostałoby niezmienione. Niezbrukane.

Gdyby miał jakiegoś świadka, kogoś przy sobie.

Pasażera na siedzeniu obok. Dwoje oczu, głos. Który powiedziałyby: „Nie!” albo „Co ty robisz?!”, albo „Będziesz musiał się zatrzymać – zatrzymaj się, proszę”.

Gdyby było z nim jedno z dzieci, na przykład Katie, krzyknęłyby: „Tato, hamuj!”.

Gdyby była z nim jego żona, Diane... ale czy umiałyby wymyślić prawdopodobną historię, w której Diane mogłaby towarzyszyć mu podczas godzinnej jazdy po mieście, w drodze na rutynowe spotkanie w interesach w Hyatt Regency po drugiej stronie rzeki? Przecież tylko kochankowie, wciąż siebie ciekawi, ogarnięci gorączką pożądania i zaborczości, pojechaliby w takich okolicznościach razem, tylko po to, żeby być ze sobą. A on i Diane nie byli kochankami ani nie byli już siebie ciekawi.

Ale gdyby był przy nim któryś z kolegów z pracy, któryś z młodych, którzy go podziwiali.

Ojciec, matka...

Jakiś świadek, wszystko jedno kto, ktoś, kto go znał – nic by się nie stało.

A już na pewno nie to, co – o czym był przekonany – było zwykłym wypadkiem, uczucie paniki, naciśnięcie pedału gazu; nie stałoby się ani to, ani to, co nastąpiło potem, pełna winy reakcja, ucieczka z miejsca wypadku – to, co wydawało mu się właściwym przestępstwem, nigdy by się nie wydarzyło.

Na parkingu hotelu Hyatt Regency powoli obszedł i obejrzał samochód z zewnątrz. Lewa strona przedniego zderzaka, drzwi od strony kierowcy – owszem, był jakiś ślad czy ślady... wgniecenie w zielonej karoserii o meta-

licznym połysku... tak niewielkie, że trzeba by wiedzieć, czego się szuka, aby je w ogóle dostrzec. Z całą pewnością trzeba by wiedzieć, czego się szuka, aby je odnaleźć.

Najbardziej zagadkowa kwestia, o którą Diane natychmiast by zapytała: dlaczego pojechał na spotkanie prywatnym samochodem?

Zwykle na podobne spotkania jeździł służbową limuzyną z szoferem. Jego firma dysponowała sześcioma limuzynami, w tym dwiema dłuższymi niż standardowe, z zaciemnianymi tylnymi szybami, przez które z zewnątrz nic nie widać. Był człowiekiem zajęтым, bardzo zajęтым, dlatego więc miałby prowadzić sam, denerwować się w korkach na I-75, a potem na trasie numer 16 przez środek miasta, dlaczego miałby tracić godzinę ze swojego cennego czasu, *dlatego?*

Przypomniał sobie, że kiedy dzieci były bardzo małe, postanowił, że codziennie po pracy poświęci dwadzieścia minut wyłącznie im i poczyta im na dobranoc. Gdy urodził się Rick, był taki młody, że nawet sobie wydawał się chłopcem, komicznie nieprzystosowanym do tak dużej odpowiedzialności i niegotowym na taki przywilej, gdy przysiadł na łóżku dziecka, któremu prawie zamykały się oczy, i przewracał grube, pięknie ilustrowane strony nowego wydania *Babci Gąski*, usiłując nie pokazać po sobie zniecierpliwienia... bo choć kochał swoje pociechy, Ricka i Katie, był bardzo zajęтым młodym pracownikiem w branży, która słynęła z konkurencyjności, jednym z sześćdziesięciu nowo zatrudnionych ludzi (był rok 1967, więc wszyscy byli mężczyznami rasy białej), a tylko trzem czy czterem z nich uda się utrzymać w firmie i awansować, a Chester Jensen obiecał sobie, że za wszelką cenę będzie jednym z nich... Starął się więc nie traktować tych przyjemnych dwudziestu minut spędzanych z własnymi dziećmi jako straty cennego czasu. Jak mawiała jego matka, czas, kiedy dzieci są naprawdę *dziećmi*, mija bardzo szybko.

Zazwyczaj na tego rodzaju trasie, wieziony przez szofera jednym ze służbowych samochodów na rutynowe spotkanie, zapominał o otaczającym go świecie, chroniony przed wszelkimi hałasami z ulicy, przed niebezpieczeństwem. Siedziałby wygodnie na miękkim tylnym siedzeniu limuzyny, dzięki zaciemnianym szybom osłonięty przed ostrym słońcem dnia i rzucanymi co pewien czas wrogimi spojrzeniami obcych ludzi, przeglądałby „Wall Street Journal”, zawsze dostępny w służbowych autach, a potem skupiłby się na pracy, niemal zapominając o ruchu ulicznym, uprzedzając go grzecznym szoferze, nawet o luksusowym pojeździe, który go wiózł.

Dlaczego chciał prowadzić sam? Po prostu miał na to ochotę, nie było żadnego szczególnego powodu. Może by móc pobyć samemu ze sobą. Czyżby to było to – rzadka okazja do spędzenia godziny w samotności? Nie było żadnego szczególnego powodu.

Gdyby Diane dopytywała, zdenerwowana, co byłoby nieuniknione, gdyby jej powiedział, co się stało, uciałby: Proszę, zrozum: nie lubię przesłuchań.

Przecież wiesz.

Był słoneczny dzień. Początek kwietnia. Niebo było intensywnie błękitne, a chodniki lśniły jak wypolerowane.

Wyjechał z domu w Willow Lake o ósmej, a że spotkanie miało się zacząć o dziewiątej trzydzieści, miał dużo czasu i nie musiał się spieszyć, z przyjemnością koncentrował się na jeździe, cieszył się, że samochód (niedawno zakupiona acura) trzyma się drogi, że jest posłuszny i zwrotny niczym mały jacht na spokojnych wodach, i bawiła go myśl, że czerpie przyjemność z prowadzenia samochodu, po prostu z prowadzenia samochodu, bez żadnego celu, jak wyrośnięty chłopiec, ale dlaczego nie: za kierownicą zaczyna istnieć trudne do zdefiniowania, lecz wyraźne *ja*, które nie istnieje nigdzie indziej.

W każdym razie gdy kierowca jest sam. Gdy nie rozprasza go rozmowa, obecność innych ludzi.

Jechał Decatur Avenue, w którą przechodziła w mieście trasa numer 16, przez okolice zapuszczonych magazynów koło mostu Stevenson Memorial, gdzie jego ojciec i stryj posiadali kiedyś nieruchomości, wynajmowane firmom przewozowym, magazynom, inroligatorni Cziffra & Sons. (Tutaj, na rogu Decatur Avenue i Seventh Street, stoi – obecnie pusty – stary budynek z czerwonej cegły, gdzie mieściła się siedziba firmy Cziffra. Nazwisko Cziffra fascynowało go, kiedy był mały). Na widok zapuszczenia okolicy ogarnął go dość melancholijny nastrój; ulice były dziurawe, chodniki i rynsztoki zawałone śmieciami, w tym także tłuczonym szkłem; sklepy były polikwidowane, budynki mieszkalne zniszczone przez pożary, opuszczone; włóczędzy i pijacy snuli się po ulicy nawet o tak wczesnej porze, żałosne ludzkie postaci kulily się w bramach lub leżały wyciągnięte (spały? były pogrążone w letargu? martwe?) na brudnych, mokrych chodnikach. Pięć mil dalej w stronę centrum Decatur Avenue przeradzała się w szacowną ulicę drogich sklepów; jeszcze dalej, za granicami miasta, w Elm Ridge, już pod inną nazwą, w atrakcyjną ulicę willową wysadzaną drzewami.

Pan Jensen, ojciec Chestera, oraz jego świętej pamięci stryj szybko sprzeda-

li miejskie nieruchomości, gdy pod koniec lat sześćdziesiątych nastąpił gwałtowny spadek cen. Wprawdzie sporo stracili, ale nie aż tyle – jak twierdzili – ile mogliby stracić, gdyby nie zdecydowali się na sprzedaż.

Pan Jensen był wciąż, jak lubił mawiać, „czynnym” człowiekiem interesu. I choć artretyzm poważnie ograniczył jego sprawność, wciąż mieszkał w dużym domu rodzinnym, w dzielnicy zwanej Woodside Park.

Trzy przecznice za mostem uwagę Chestera przyciągnęła grupka ludzi, włóczęgów, pijaków, bezdomnych – jakiego określenia wypada tu użyć? – którzy stali na rogu ulicy i się kłócili. Jeden popchnął drugiego, ten zatoczył się do tyłu i wpadł na trzeciego. Byli wśród nich biali i czarni, ale niezbyt różnili się od siebie, wszyscy w łachmanach i bez nakryć głowy, choć padał deszcz. Chester musiał nagle zahamować, bo przez Decatur Avenue, pchając przed sobą sklepowy wózek, przechodziła przysadzista ruda kobieta z żylakami na łydkach, pogrążona w łagodnym ośpieniu, nieświadoma jadących samochodów. Następnie jego uwagę przykuła kolejka okutanych w łachmany postaci, która wydała mu się zagadkowa, dopóki się nie zorientował, że ci ludzie stoją przed drzwiami, nad którymi wisi szyld „MISJA IM. ŚW. ANTONIEGO”, jadłodajni przy Third Street.

„Życie niewarte życia”.

Ta fraza najpierw przeszła mu przez myśl, potem wypowiedział ją na głos: „Życie niewarte życia”. Jakby wśliznęła się w jego umysł: skąd, nie miał pojęcia.

Podobnie dryfują w naszych głowach fragmenty piosenek, oderwane słowa, urywki dawnych rozmów, wspomnienia, sny.

Gdy zbliżał się do następnej przecznicy, światła zmieniły się z zielonych na żółte; zauważył, że samochody na obu sąsiednich pasach przyspieszyły, by zdążyć przejechać przez skrzyżowanie, ale on nie chciał się spieszyć, jechał dalej z tą samą prędkością, mimo iż dostrzegł kątem oka, lecz nie całkiem uświadomił sobie, co to może znaczyć, że na skrzyżowaniu stoi kilku obdarzonych mężczyzn.

Owszem, mógł przyspieszyć i przejechać przez skrzyżowanie, niewinny, bo światło jeszcze nie zmieniło się na czerwone.

Owszem, tak właśnie dochodzi do wypadków: to się nazywa „zrządzenie losu”.

Lub gdyby użyć innego języka, „przeznaczenie”.

Nie, nie wiem dlaczego, nie ma żadnego *dłaczego*.

Zatrzymał się na czerwonym świetle, jako pierwszy na skrajnym prawym pasie. Na skrzyżowaniu Decatur Avenue z Second Street.

Natychmiast podszedł do jego auta jeden z obdartych mężczyzn, o dość jasnej jak na Murzyna karnacji, o twarzy, która wyglądała jak ugotowana, z opuchniętymi oczami, włosami rozczochranymi i sztywnymi jak szczotka ryżowa i ustami jak świeża szrama, przypominającymi rozszarpane mięso. Sądząc z wyglądu, pijak. Tak, i do tego żebrak – agresywny żebrak. Oparł się o maskę samochodu Chestera Jensena i zanim Chester mógł go odpędzić, już wykonywał koliste ruchy brudną szmatą, markując mycie szyby.

Chester popukał w szybę od środka, potrząsnął głową i zaprotestował: „Nie – nie”, a kiedy czarny nie zwrócił na to uwagi, krzyknął: „Ej, ty! Zostaw to auto, do cholery!”.

Zdumiony i bezbronny siedział za kierownicą swojej nowo zakupionej osobowej acury w kolorze zielony metalik, uziemiony przez czerwone światło, a agresywny żebrak zaświnał mu przednią szybę pod pozorem, że ją czyści.

Chester opuścił szybę, wychylił się i powiedział głośno – bez groźby w głosie, ale stanowczo: „Powiedziałem dość! Ej! Głuchy jesteś? Zostaw to auto!”.

Czarny nadal udawał, że nie słyszy. Na twarzy miał wyraz pogardliwej dumy, a w ruchach zawziętość wskazującą na determinację; niewątpliwą agresję.

Życie niewarte życia.

Nieludzkie stworzenie w ludzkiej postaci. Odrażające!

Chester, wściekły, nacisnął klakson; jeszcze raz popukał w szybę i krzyknął do czarnego, żeby dał spokój. Ale ten, niewzruszony, dalej złośliwie wykonywał koliste ruchy szmatą, zostawiając na szybie tłuste smugi. Chester wychylił się przez okno i krzyknął: „Niech cię cholera! Wezwę policję! Nie dam ci ani centa!”.

W tym momencie czarny przerwał. Opuchniętymi oczami spojrzał na Chestera. Nie był stary, nie starszy od niego, we włosach miał siwe pasma, jedno ucho spuchnięte i niekształtne. Wykrzywił twarz w grymasie, czy może krzywym uśmiechem, i gardłowym głosem rzucił niewyraźnie jakąś szyderczą odpowiedź, jakiejś: „Eeeszcie, frajerze”, po czym nachylił się i splunął na szybę.

Później Chester wspominał, że tym momencie do reszty stracił panowanie nad sobą.

I na chwilę go zaślepiło.

Przycisnął pedał gazu, mocno, nie zważając, czy droga jest wolna, i samochód wyrwał do przodu, słychać było stłumiony krzyk i głuchy stuk odbicia się ciała czarnego od zderzaka, a potem od drzwi, opony pośliznęły się na mokrej jezdni i rozległ się ich pisk, ale samochód nie stracił przyczepności;

Chester ocknął się, kiedy przejechał spory kawałek, spojrzął w tylne lusterko, niewyraźnie zobaczył ciało czarnego mężczyzny leżące nieruchomo na ulicy.
Jechał dalej, nie patrząc już w tył.

Sprovokował mnie, straciłem panowanie nad sobą.

Urągał mi. Jakby okładał mnie tą brudną szmatą po twarzy.

Policja nie chroni obywateli, zrzekła się wszelkiej odpowiedzialności.

Nie zdawałem sobie sprawy, że stoi tak blisko.

Nie zdawałem sobie sprawy, że go potrącę.

Nie zdawałem sobie sprawy, że... naprawdę nacisnąłem pedał gazu.

Ostrzegłem go, wyraziłem się jasno i dobitnie.

Nie pozwolę sobie, żeby wymuszano ode mnie pieniądze w biały dzień, kiedy siedzę we własnym samochodzie.

Nie jestem tchórzem, by pozwolić, żeby ktoś wymuszał ode mnie pieniądze w biały dzień, kiedy siedzę we własnym samochodzie.

Nie jestem rasistą. Nie zwróciłem uwagi na kolor jego skóry.

Nie chciałem wyrządzić mu krzywdy, jeśli faktycznie wyrządziłem mu krzywdę.

To była moja szyba. Mój samochód.

Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nic podobnego.

Nigdy nie spowodowałem wypadku samochodowego, rzadko dostawałem mandat za przekroczenie prędkości czy nieprawidłowe parkowanie... w sumie chyba nie więcej niż cztery czy pięć razy w życiu.

Jestem porządnym obywatelem. Wiem, że to brzmi... jak brzmi. Ale tak się składa, że to prawda.

Oczywiście, że było mi go żal, tak, mogłem mu dać garść drobnych, może i dolara, tak, dlaczego by nie, gdybym miał cofnąć czas, to owszem, może tak właśnie bym postąpił, rzuciłbym pieniądze na chodnik, on by się po nie schylił i zapomniałby o mojej szybie, i byłoby po problemie, tak, teraz bym tak zrobił, ale jest za późno.

Jestem pewien, że go nie zabiłem, samochód nie uderzył go przodem, zresztą dopiero ruszał, miał prędkość początkową zero. Jestem pewien.

Nigdy w życiu nie podniosłem na nikogo ręki.

Przyrzekam, to nie była kwestia koloru skóry. Nawet nie widziałem, jakiego koloru ma skórę.

Znaczy, zwróciłem uwagę na co innego: na jego twarz, oczy.

Oskarżycielskie, szydercze. Jak śmierć.

Dla ich własnego dobra. Izolować w instytucjach – domach opieki, szpita-

lach psychiatrycznych, więzieniach, bo ja wiem gdzie.

Pieniądze podatników. Płacimy tak wysokie podatki.

Człowiek cywilizowany musi umieć się bronić.

Oczywiście, potrzebują naszej pomocy.

Oczywiście, to nie jest ich wina.

Ale gdybyśmy tak wszyscy się stoczyli. Alkohol, narkotyki...

Nie zdawałem sobie sprawy, że go potrączę.

Nie zdawałem sobie sprawy, że stoi tak blisko.

To nie był wypadek, typowy wypadek samochodowy, to znaczy nie potrąciłem pieszego, jadąc samochodem, stałem na światłach.

To był wypadek, mój pech, mój przewrotny pech. Przestrzegałem ograniczenia prędkości, postępowałem zgodnie z przepisami. Zatrzymałem się na światłach.

Nie było policji. Nikt mnie nie ścigał.

Nie było świadków.

A może byli?

Gdy przejeżdżał przez most Stevenson Memorial, serce biło mu tak mocno, że myślał, że umrze. Ale zachował pełną kontrolę nad samochodem, trzymał się swojego pasa, powtarzał sobie: nic mi nie będzie, nic mi nie jest.

Włączył spryskiwacz i wycieraczki. Żeby zmyć ślinę zmieszaną z flegmą i tłuste smugi, i szyderstwo.

Dużo, dużo później, choć w rzeczywistości jeszcze tego samego wieczoru, Diane zapytała, jak się udało spotkanie, a on odpowiedział, że dokładnie tak, jak planował. To znaczy bardzo dobrze.

Uprzejmie zapytał Diane, jak jej minął dzień, a ona opowiedziała, co robiła.

Jedli kolację na sąsiadującej z kuchnią werandzie w kolorach bieli ostryg i bladej żółci, z zasłonami w kwiatowe wzory Laury Ashley, pajęczastymi roślinami pnącymi. Kiedy byli tylko we dwoje, rzadko korzystali z jadalni. Dom był nieprzytulny, zbyt przestronny, odkąd dzieci wyjechały.

Chester często odchyłał głowę i nasłuchiwał. Spodziewał się usłyszeć kroki na górze. Trzask zamykanych drzwi. Stłumiony śmiech. Echa.

Tak jak powiedziała jego matka, wiele lat temu, refleksyjna, melancholijna. Po tym jak Chester i jego starszy brat Herman wyjechali i państwo Jensenowie zostali sami w przestronnym domu w stylu Tudorów w Woodside Park. Do tej eleganckiej starej dzielnicy przylegały teraz z dwóch stron pod kątem

prostym, czystym jak nacięcie dokonane przez chirurga, osiedla „przejściowe”.

Diane uśmiechała się cierpliwie. Uśmiechem, który zdradzał niecierpliwość.

– Ches, słyszałeś, co mówiłam? Znów dzwonił. Dzisiaj przed południem.

Chester skinął głową na znak, że słyszał.

– Znowu?

– Dlatego myślę, że nie możemy odpuścić kolejnej niedzielnej wizyty. Przygotuję pieczeń.

– Chyba to mieliśmy w planach?

– Tak?

Diane patrzyła na niego z konsternacją.

Jego żona od dwudziestu siedmiu lat. Najlepsza przyjaciółka, siostra rywalka, bliźniaczka. Byli sobie tak bliscy, że obserwowanie siebie nawzajem wydawało się bezcelowe, a cóż dopiero osądzanie. Każde kłamstwo, które jej mówił, w trakcie opowiadania, w miarę jak go słuchała, stawało się prawdą.

– Mieliśmy jakieś plany?

Diane poszła do kuchni po sałatę i stamtąd zawołała, jakby głośno myślała, jakby była sama w domu. Słyszał, jak otwiera i zaraz zamyka lodówkę.

Upił łyk czerwonego wina.

– Diane. Chyba zabiłem dziś człowieka.

Słyszał, że robi coś przy zlewie. Odkręciła i zakręciła kran.

Z radia stojącego na parapecie, nastawionego na lokalną rozgłośnię akademicką, płynęła muzyka klasyczna, nieprzerywana reklamami. Utwór na klawesyn o zapierającej dech klarowności, niemal bolesnej, tnącej jak odłamki szkła – Chester słuchał uważnie i chciał, by muzyka go poruszyła, *wzruszyła*. Niespodziewane przebłyski piękna sprawiały czasami, że w oczach stawały mu łzy.

Gdy Diane wróciła i postawiła na stole piękną drewnianą misę z sałatą, Chester uśmiechnął się i zapytał:

– Jak sądzisz, Bach?

Utwór dobiegł końca. Głos prezentera poinformował, że był to utwór Scarlattiego.

Po powrocie do domu Chester wziął prysznic, ogolił się po raz drugi tego dnia, dał radę zjeść większość przygotowanego przez Diane posiłku i ocenił, że nic mu nie jest.

Czuł tylko lekki ucisk w klatce piersiowej, to wszystko. I płytko oddychał. Tak jakby we własnym domu, w tym gustownie urządzonej pomieszczeniu

jadalnym, czegoś się obawiał i wyczekiwał.

Głośnego stukania do drzwi, dzwonek telefonu.

Ale odkąd Katie wyjechała do Waszyngtonu, telefon rzadko dzwonił późnym wieczorem i nie zadzwonił, odkąd zasiedli do kolacji.

Diane miała do opowiedzenia własną historię, swoje „wydarzenia dnia”, i opowiedziała ją tonem kobiecego zatroskania. Jej szare oczy, stale wilgotne, patrzyły otwarcie prosto w jego oczy, jakby wyzywały, żeby wytrzymał ich spojrzenie.

Była atrakcyjną czterdziestoparolatką, której nietypowa, ascetyczna uroda dawno przekwitła. Jej inteligentna twarz była wąska i kanciasta: jak niegdyś żartował, to twarz unitki. Wargi miała tak cienkie, że wyglądały, jakby zagryzała je w zamyśleniu.

Była dobrą kobietą, ale dobroć to nie wszystko.

Tak, i trochę się jej bał, trafności jej spostrzeżeń, odkąd ich pożycie seksualne, nawet na początku niezbyt wybujałe, zupełnie ustało; można by powiedzieć: stało się czyste. Trafności jej spostrzeżeń, *wnikliwości* jej osądu moralnego.

– ...niemal zaraz po twoim wyjściu do pracy. Najpierw prawie go nie słyszałam, nabrał ostatnio zwyczaju opuszczania słuchawki, kiedy mówi do telefonu, może trzymanie ręki w górze go męczy? Musiałam więc zapytać: „Proszę? Słucham? Nie słyszę taty”, a on, ponieważ słabo słyszy, mówił: „Proszę? Słucham? Nie słyszę cię”. – Diane przerwała na chwilę, żeby Chester mógł się skrzywić i zaśmiać. – Naturalnie, czuje się samotny i boi się siedzieć sam w domu, i do tego jeszcze coś, chyba gniew, żal, nie wiem o co, twój brat mimo wszystkich sukcesów jest dokładnie taki sam, cóż, pewnie tęskni za waszą matką, wini ją, że go zostawiła samego... ale nic, po kilku minutach rozmowy, jak już wypytał, co u ciebie, u Ricka i u Katie, i powiedziałam mu mniej więcej to samo co ostatnio we wtorek, chyba dotarło do niego, że niedawno dzwonił... ale musiał pokryć to blefem, wiesz, jaki on jest.

Chester roześmiał się, wstając od stołu. Usłyszał, że do krawężnika cicho podjechał samochód. Nie wjechał na podjazd, tylko stanął przy krawężniku.

Zegar kuchenny wskazywał dziewiątą czterdzieści. Zerknął na zegarek, żeby sprawdzić, czy godzina się zgadza.

Zaskoczył Diane tym, że tak nagle wstał od stołu, kiedy nie skończyli jeszcze posiłku. Uśmiechnął się niewyraźnie, odwrócił głowę od okna i powiedział:

– O, tak. *Wiem.*

Ale na zewnątrz nikogo nie było, nikogo nie widział.

Przed ich domem rozpościerał się duży trawnik, lekko spadzisty, strategicznie ogrodzony drzewami i krzewami, które osłaniały dom od strony ulicy. Paliła się jedna latarnia, rzucając przytłumione światło charakterystyczne dla przedmieść i wsi. Czyżby się przesłyszał, że podjechał samochód? Czyżby nikogo tam nie było?

Stał tak, dopóki Diane nie podeszła i nie zaprowadziła go z powrotem do stołu. Ucisk w jego piersi nasilał się z nieuchronnością tykania zegara.

Pogłaskaliście mnie, to za wami poszedłem

To, co się im przydarzyło, ten mały psiak, który się do nich przyplątał, nie było podobne do niczego, co przeżyli dotychczas.

Byli u znajomych, pili. Przyszli o dziewiątej, a wyszli około wpół do drugiej. Dość wcześnie jak na Vica, szczególnie jak na weekendowy wieczór, ale odkąd się pobrali, inaczej układali sobie czas, a poza tym Dawn jeszcze nie doszła do siebie po czterodniowym pobycie w szpitalu.

Mieli pecha, że spadł pierwszy w tym roku śnieg, i to już w październiku. A Dawn była lekko ubrana. I nie mieli samochodu. A mieszkali za daleko, żeby wrócić pieszo. Vic wyszedł na ulicę, wypatrując taksówki, wyprostowany, sztywno trzymający głowę, z gniewem w oczach. Przechodzili okres „między samochodami”, odkąd zepsuł się pięcioletni mercury, ten zaszary trup, jak mówił o nim Vic, nieprzyzwyczajony do tego, że nie ma własnego samochodu, więc może Dawn nie powinna pytać, dotykając jego ramienia – w jedyny sposób, w jaki czasem można było z Vikiem porozmawiać, najpierw go dotykając:

– Kochanie, może wrócimy na górę, może ktoś nas odwiezie? Może Frank?

Ale Vic ją zignorował. Domyśliła się, że nie powiedział znajomym o mercury; powie im dopiero wtedy, kiedy będzie się z tego śmiał jak z dobrego żartu, ale ten czas jeszcze nie nadszedł. Igrając z ogniem, Dawn zapytała:

– Wystarczy ci na taksówkę? To znaczy też na napiwek? Nie wzięłam ze sobą portmonetki.

Vic odwrócił się i lekko popchnął ją w kierunku krawężnika – nie mocno, ale tak, żeby poczuła, że ją pchnął.

– Czekał tu – warknął. – Te twoje buty!

Dawn miała na nogach szpilki z cienkimi paseczkami z miękkiej czarnej skóry, między którymi, niczym jej własna skóra, przeświecały przezroczyste czarne pończochy w drobne wzory. Były to niepraktyczne buty, nie można by w nich przejść nawet kilkuset metrów, a co dopiero mil, ale przecież Vicowi się podobały? Podobały mu się seksowne buty i ciuszki Dawn?

No pewnie, że tak.

Na niezbyt pewnych nogach Dawn poszła schronić się w kamiennej, wykończonej łukiem bramie budynku, z którego przed chwilą wyszli. Trzęsła się od przenikliwie wilgotnego wiatru, który pachniał rzeką i miał metaliczno-zgniły posmak. Ktoś owionięty takim zapachem przypomina sobie wszystkie inne okazje – zima, wichura, śnieg wirujący jak pijany, oczy tak załzawio-

ne, że na pół ślepe – kiedy przeżył coś podobnego, a z wiekiem bynajmniej nie znosi tego łatwiej. Dawn miała nadzieję, że nikt ze znajomych nie wyjdzie z imprezy akurat teraz i ich nie zobaczy. Wówczas na pewno zostaliby odwiezieni do domu, ale Vicowi by się to nie podobało, a ona musiałaby potem znosić jego zły humor. Dawn nie, ale Vic bardzo przeżywał brak własnego samochodu, choćby tylko tymczasowy. (Ich mercury był takim gruchotem, że Vicowi nie udało się go zamienić na w miarę porządną samochód. Musiałby więc pożyczyć pieniądze – od kogo? Może od brata. Od ojca. Dawn nie wypytywała, a Vic nie mówił). I nie tylko brak samochodu, ale też możliwość, że ludzie się dowiedzą. Było to upokarzające. Dla niego, nie dla niej. Choć jeśli dla niego, to i dla niej też. Bo jeśli dla mężczyzny, to i dla kobiety. Przecież byli teraz małżeństwem.

Matka Dawn wypowiedziała kiedyś takie słowa: *Jeśli dla mężczyzny, to i dla kobiety*. Co to miało znaczyć, dlaczego to powiedziała i kiedy – Dawn nie wiedziała.

Wtem zobaczyła, jak stoi, jakby na nich czekał: mały bezpański psiak.

Zjawił się na chodniku, jakby znikąd. Dygotał z zimna, lękliwie popatrywał na Dawn. Dyszał, a przy wydechu tworzyła się para. Jego brązowa sierść była kędzierzawa, pozlepiana, mokra. Dawn widziała, jak szybko mruga, jak płatki śniegu topnieją mu koło oczu.

– Jejku, jaki jestem śliczny! Śliczna maleńka psinka – zagruchała Dawn. To był jej głos na wyjścia, przeznaczony dla cudzych uszu. Flirtujący. Nigdy nie wiedziała, że jest podchmielona, dopóki, tak jak teraz, nie zachwyciła się na głos czymś małym, głupim czy sentymentalnym. – Zgubiłem się, tak?

Dawn pomyślała, że pies wygląda na kundla – mały, chudy, wystające, widoczne przez sierść zębra. Miał długie, wiszące uszy cocker-spaniela, kikutowaty ogon i smutne ślepia, którymi patrzył prosto w jej oczy. Dawn mruzczała czule i pochyliła się, żeby biedaka pogłaskać, a on entuzjastycznie rzucił się lizać jej dłonie w rękawiczkach, jego niedożywione ciało drżało z podniecenia.

– Ach! Przestań! Zobacz, cała będę ośliniona.

Napominała go ze śmiechem, nie krzyczała, ale lekko się skulił, po czym dalej lizał jej ręce. Nadszedł Vic i też pogłaskał psa, ale mniej delikatnie, podrapał go za uszami, jakby znali się od zawsze, a psiak skowyczał i wił się z rozkoszy niemal zbyt intensywnej, prawie seksualnej, pomyślała Dawn i roześmiała się. Lizał gołe dłonie Vica pośpiesznie, łapczywie, kościsty tyłek chodził mu na boki. Vic się roześmiał, lubił psy, miał psy jako dziecko i dorastający chłopak. Mówił do niego rubasznym tonem i szybko, jakby strzelał

z karabinu:

– Co, stary, no co? Zgubiłeś się, draniu? Nie masz obroży? Widać ktoś go porzucił – zde gustowany zwrócił się do Dawn. – Patrz, na szyi ma przetartą sierść, od obroży. Zdjęli mu obrożę, sukinsyny.

– Zabierzmy go do domu! – zaproponowała niepewnie Dawn.

– Jasne, tego tylko nam trzeba – prychnął Vic.

Drapał psa mocno za uszami, a ten prawie tańczył na tylnych łapach, jakby chciał na Vica skoczyć i jednocześnie się powstrzymywał; jakby częste kopniaki w przeszłości sprawiły, że zmańdrzał.

Nadjeżdżała taksówka i Vic wybiegł na ulicę, by ją zatrzymać. Wsiedli do niej, a pies szedł za nimi do krawężnika. Kiedy ruszali, Dawn zobaczyła jego smutne, pytające oczy. Psie, ale mańdre.

Do ich mieszkania na zachodnim brzegu rzeki było dziesięć minut jazdy. Młody latynoski kierowca wciąż stawał na czerwonych światłach, hamując na mokrej jezdni, gdy zapalało się żółte; nie można było powiedzieć, że robi to specjalnie, ale Vic z irytacją patrzył na licznik, czego Dawn starała się nie widzieć.

Nagle zaskoczył ją, biorąc ją za rękę. Tak jak przed ślubem, kiedy łączące ich uczucia szybko się zmieniały i były nieprzewidywalne jak zachmurzone niebo w wietrzny dzień, często ją zaskakiwał, trochę straszyl, draźnił. Z takim mężczyzną jak Vic nigdy nic nie wiadomo. Już przygotowała się na to, że ją zrani, zbije z tropu, a on się uśmiechał, oczy miał sugestywnie półprzyknięte, tak jak teraz. Jakby wiedział o niej coś, czego ona sama nie wiedziała.

– Dobrze się dzisiaj bawiłaś, co? – zagadnął. – Dawno cię takiej nie widziałem.

Dawn poczuła szybkie ukłucie w dole brzucha. Błyskawiczny, ostry ból podniecenia. Nie wiedziała, czy mówił serio, czy chciał ją wypróbować, sprawdzić, czy się na niego gniewa. Powiedziała:

– Wciąż nie mam wrażenia, że oni mnie *lubią*, ci twoi znajomi, tylko że jakby wciąż mnie oceniają, wiesz?

– E, wydaje ci się – odparł Vic. – Uważają, że jesteś super.

Przytulając się do niego, całując go w policzek wilgotny od śniegu, oznajmiła:

– Nie obchodzi mnie, co oni myślą, tylko co ty myślisz. – Przeszła jej przez głowę myśl, prędko i ulotna jak cień. – Ten biedny psiak... powinniśmy go zabrać ze sobą do domu.

Vic zaśmiał się ironicznie.

– Jasne.

Mieszkali w ciasnym mieszkaniu na parterze rdzawego budynku przy Water Street. Była to okolica dość starych kamienic i sklepów z częściami zamiennymi oraz, zaledwie o przecznice dalej, hurtowni aut dostawczych. Dwie przecznice dalej płynęła niewidoczna z ich okien szeroka rzeka koloru – najczęściej – stalowych opiłków. To mieszkanie było *tylko tymczasowe* i umeblowane sprzętami, których Dawn tak naprawdę nie wybrała, w większości podarowanymi przez krewnych.

Gdy taksówka zatrzymała się przed budynkiem, Dawn wysiadła i ostrożnie, chwiejąc się na szpilkach, poszła w stronę drzwi. Nieraz już zdarzało jej się słyszeć, jak Vic rozmawia z taksówkarzami, do jej uszu dolatywały słowa, których wolałaby nie słyszeć. Ona nigdy nie patrzyła na licznik.

Czasem Vic dawał kierowcy napiwek, a czasem nie. Kiedy pracował, to harował ciężko jak cholera; miał robotę w fachu kontrolowanym przez związki zawodowe i niełatwo mu było ją zdobyć. Wyznawał zasadę, że nie każdy, nie każdy, kto po prostu wykonuje swoje zasrane obowiązki, zasługuje na napiwek.

Dawn, która od siedemnastego roku życia dorywczo dorabiała jako kelnerka, nie zgadzała się z tą filozofią, ale nie chciała się kłócić.

Jak sprawa napiwku skończyła się dzisiaj, nie wiedziała. Kiedy Vic do niej dołączył, rysy miał ściągnięte, ale wyraz twarzy neutralny. Schował portfel do kieszeni jakby nigdy nic.

– Jejku, Vic! Popatrz! – krzyknęła Dawn z niedowierzaniem.

Wskazywała na małego beżowego psiaka, biegnącego ulicą z wywieszonym językiem. Taki kawał drogi, co najmniej dwie mile – czy to możliwe?

Vic gwizdnął przez zęby.

– Jezu.

– To ten sam pies, prawda? – zapytała niepewnie Dawn.

Mały skundlony spaniel z poszarpanymi uszami, zdyszany po wysiłku. Kikut ogona merdał niepewnie. Te oczy. Przyglądali mu się ze zdumieniem, a pies pomału, bokiem zbliżał się do nich, przygotowany na to, że dostanie kopniaka. Wyraźnie oszczędzał lewą tylną łapę.

– Biedactwo! Jesteś cały zmoknięty i przemarznięty – wymamrotała Dawn tonem winowajcy. – A jak zamarznie ci sierść?

Kołysząc się na swoich nedorzecznych butach, pochyliła się, by pogłaskać psa, choć wiedziała, że pewnie robi błąd. Zwierzak rozpaczliwie rzucił się jej do nóg i omal jej nie przewrócił.

– Nie rób tak, nie wolno! Przestań! – Dawn śmiała się, wzruszona. Kiedy za dużo sobie wypija, zdarzały jej się napady śmiechu, który czasem brzmiał jak łkanie. – Vic, może damy mu coś do jedzenia? Nie możemy go tak zostawić, jest zagłodzony.

– Za cholerę – prędko odpowiedział Vic.

– Jest taki chudy, biedactwo, pewnie jest strasznie głodny. Popatrz na te oczy!

– Powiedziałem nie.

– Proszę!

– Wiesz, co będzie, jak dasz mu żreć.

– Ale on jest zagłodzony.

Zniecierpliwiony Vic odwrócił się i odszedł, sięgnął do kieszeni po klucze. Dawn nie mogła oderwać oczu od psiaka, który zimnym, wilgotnym nosem trącał jej kolana. Ciało, żywe ciało dotykające drugiego ciała. I te oczy. Czuła, jak płatki śniegu topnieją na jej ciepłej skórze, na lśniących czarnych włosach, niemal tak zdrowych i mocnych jak przed kilkoma miesiącami, układających się wachlarzem na ramionach jak młodej dziewczynie. Wyrwał jej się z ust nieartykułowany dźwięk – szloch, jęk protestu.

Vic stał na górze schodów z kluczami w dłoniach.

– Ale zostać u nas nie może – powiedział niechętnie. – Daj mu żreć i na tym koniec, rozumiesz?

– Oczywiście – odpowiedziała Dawn, przygryzając wargę.

Zatem o wpół do drugiej w nocy, w szpilkach i z początkami bólu głowy, Dawn karmiła na chodniku małego bezpańskiego psiaka. Chciała wpuścić go przynajmniej na klatkę schodową, ale Vic zdecydowanie powiedział nie. Dała mu więc jeść przy zadaszonych schodach do budynku, położyła na gazecie tłuste kawałki mięsa z zupy, trochę czerstwego chleba i postawiła miskę wody. Boże, jak ten biedak to zmiatał! Aż z głębi gardła dobywało się warczenie; kikutowaty ogon przestał merdać. Było w tym psie coś absurdalnego, ale też przejmująco smutnego. Oczy Dawn wezbrały łzami. Ciekawe, ile ma lat, pomyślała. Nie miał posiwiąłego pyska, czyli nie był stary, ale nie wyglądał też na szczeniaka. I czy to pies, czy suczka?

W ciągu minuty jedzenie, które przyniosła, zniknęło. Pies zeżarł nawet kawałek gazety. Teraz patrzył prosząco na Dawn i skomlał. Vica oczywiście nie było w pobliżu. Wszedł do domu, nie interesowały go jej kaprysy.

Chcesz to zrobić, to proszę bardzo. Tylko potem nie przychodź się żalić.

Nie pamiętała, które z nich to powiedziało ani kiedy. Może całe lata temu,

kiedy dopiero poznała Vica i szalała na jego punkcie.

Pies prosił o jeszcze, a Dawn nie wiedziała, co zrobić. Poczowała ucisk w skroniach, jakby coś ścisnęło ją wewnątrz czaszki. Czuła, że oczy i skórę ma przesuszane aż do bólu. Chciała wyjść z imprezy przed północą, ale Vic nie reagował na jej aluzje, zbyt dobrze się bawił ze znajomymi, a ona nie chciała naciskać. Dała się więc namówić na to, żeby przeholować z piciem, powinna już wiedzieć, że tak się nie robi, w końcu nie ma siedemnastu lat, tylko trzydzieści jeden, ale wypijała piwo po czerwonym winie, tym szczypiącym w usta czerwonym winie, które lubili koledzy Vica, a potem jeszcze dwie „galaretki” – nie znała tego drinka, wódki z dodatkiem galaretki winogronowej. Mówili, że to babski drink, i rzeczywiście, Boże drogi, był słodki i zabójczy. Jej własny mąż powinien ją ostrzec, ale tego nie zrobił.

Piesek dotykał nosem jej kolan, łaskotał ją. Boże, te oczy!

– No dobrze, mały. Dostaniesz jeszcze troszkę, ale to już naprawdę będzie koniec.

Wchodząc do mieszkania, Dawn słyszała, że Vic napuszcza wody do wanny; dobrze, nie natknie się na niego, nie będzie musiała się tłumaczyć. Znalazła w lodówce jeszcze trochę resztek, tłuste smażone ziemniaki z kawałkami bekonu i kilka plasterków sera, w miarę świeżych, nie powinna ich dawać psu, ale poza tym nic się już nie nadawało, chyba że otworzyłaby na przykład puszkę ulubionej zupy Vica, ogonowej Campbella, ale lepiej nie. Kiedy wyszła na korytarz, czekała ją niespodzianka – psu udało się jakoś dostać do środka, choć mogłaby przysiąc, że starannie zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

– Co ty tu robisz, mały? Niedobry pies.

Musiała wyprowadzić go z powrotem na zewnątrz, z powrotem na zimno, na przekłety wiatr, kusząc go jedzeniem, popychając delikatnie stopą. Psiak żałośnie skamlał.

– Nie wolno, malutki! Cicho! Bo zbudzisz cały dom.

Sąsiedzi z góry nie lubili Vica i jej. Byli to starsi ludzie, on był emerytowanym nauczycielem. Skarżyli się właścicielowi budynku na „hałasy i krzyki”, kiedy Vica trochę ponosiło i czasami podnosił głos. Dawn starała się ich unikać w miarę możliwości.

Ciężko jej było wywabić psa z korytarza, tak rozpaczliwie nie chciał wyjść. *Zna różnicę między byciem w środku a byciem na zewnątrz*, pomyślała. *Różnicę między życiem a – tym drugim*. Zdjęła rękawiczki i od dotyku psiego języka, dziwnie chłodnego, miękkiego jak ircha, przeszedł ją dreszcz.

– No, już dość. Dość! – krzyknęła.

Wreszcie udało jej się zwrócić jego uwagę na ziemniaki i plasterki sera,

które zrzuciła na to, co zostało z płachty gazety. Pies znów z zapamiętaniem rzucił się na jedzenie, jego ciało przechodziły dreszcze, jakby drażnił go prąd. Był taki wygłodniały! Taki – pierwotny! – jakby nie miał mózgu. Człowiekowi się wydaje, że sam by nie mógł być taki, nie mógłby być po prostu ciałem, samą fizycznością, samym zwierzęcem, odczłowieczonym apetytem, ale to się czasami zdarza.

Dawn patrzyła na psa i czuła żal, potworny, ostateczny i nieodwracalny żal, którego przyczyny wołała nie nazywać.

Boże. Jaskrawy, pulsujący ból w głowie.

Lekkim tonem, jakby psiak należał do stworzeń, przed którymi nie powinna ujawniać, co naprawdę myśli, powiedziała:

– Więcej nie dostaniesz. *Naprawdę*. Teraz będziesz musiał sobie pójść.

Szybko weszła po schodach, mając nadzieję, że pies za nią nie pójdzie. Przerwał na chwilę jedzenie i popatrzył na nią zdumionym, nierozumiejącym niczego wzrokiem. Pysk miał zaśliniony i brudny od tłuszczu. Dawn wzdrygnęła się, zabroniła sobie się rozklejać i weszła do budynku.

Tym razem starannie zatrzęsnęła i zamknęła na zamek obie pary drzwi.

Dawn miała nadzieję, że Vic będzie w sypialni albo nawet w łóżku, ale zastała go w kuchni, gdzie pił coorsa z puszki. Nie była to najlepsza pora na picie, ale Dawn nie zamierzała tego skomentować ani nawet miną dać po sobie poznać, co o tym sądzi. Vic zapytał ją o psa, zirytowany, że tak się przejęła tym cholernym kundlem, to typowe dla niej zagranie, typowo babskie zagranie, i na dodatek w środku nocy. Umieśniony tors Vica pokrywały szorstkie ciemne włoski, które przebijały się przez podkoszulkę z cienkiej bawełny, gęste pod pachami i na rękach. Kiedy zostali kochankami, przez pierwszych kilka miesięcy Dawn zasychało w ustach na sam widok ramion Vica.

– Boże, jak dobrze być w domu – powiedziała.

Ale zasygnalizowała też, że coś zostało niedopowiedziane.

Vic wzruszył ramionami. Dał znak, że usłyszał, ale że to, co powiedziała, czy to, co chciała powiedzieć, nie wymaga odpowiedzi.

Dawn była w bojowym nastroju. Policzki miała zarumienione od zimna. Kopniakiem zrzuciła z nóg te przekłete szpilki, bolały ją od nich kostki, i boso stanęła na zimnym linoleum. Vic przyglądał się jej nieruchomo – miał taki wyraz twarzy jak zwykle podczas kłótni i podniecało go to, że tak intensywnie się w siebie wpatrują; jego spojrzenie niesłychanie na nią działało. Kiedy zaczęli ze sobą chodzić, gdy Dawn widziała, że on tak na nią patrzy, przy-mrużonymi oczyma, głęboko w podbrzuszu czuła szok, że jest przy niej i jej

pragnie, i robiła się cała jak z waty. W takiej chwili nie potrafiłaby nawet powiedzieć, jak się nazywa, kim jest. Teraz, po ciąży, to znaczy poronieniu, Vic rzadziej tak na nią patrzył, i tylko wtedy, kiedy był pijany. I kiedy ona była pijana. A głębiej rozgniewana i zagubiona.

– Napijesz się przed snem? – zapytał Vic, a Dawn podziękowała, lecz kiedy z uśmiechem podał jej coorsa, nie potrafiła się oprzeć.

Ujęła jego dłoń i przechyliła puszkę do ust. Łyk zimnego, gorzkiego piwa; cienka strużka pociekła jej po brodzie. Widziała, że Vic jej się przygląda. Wyciągniętą ku niej ręką muskał jej sutek.

Bez butów Dawn czuła się bezbronna. I cięższa: jej dzersejowa sukienka ciasno opinała się na biodrach. W ciągu ostatnich kilku miesięcy przybrała koło siedmiu kilogramów, gdy jadała sama, o najdziwniejszych porach dnia, rękami trzęsącymi się z głodu. Czasami z kolei, siedząc przy stole z Vikiem, wcale nie miała apetytu.

Kiedy poroniła, była w szóstym miesiącu ciąży, gruba i ciężka. Wszystkie kobiety w naszej rodzinie tyją w ciąży, powiedziała jej matka. Ale potem Dawn poroniła i odtąd przez wiele tygodni stopniowo traciła na wadze. Nie chciała wiedzieć, co dokładnie jej było, a nikt nie zamierzał jej o tym mówić, a już na pewno nie Vic. Nie myśl o przeszłości, pouczała sama siebie, nie rozpamiętuj tego, co było i już nie wróci. Jest tylko *tu i teraz*. Prawda? Nie ma sensu wpędzać się w straszny stan, płakać i rozpaczać, kiedy twoja prawdziwa osobowość wcale taka nie jest – to osobowość *pogodna*. Ogólnie rzecz biorąc. W końcu nawet matka straciła do niej cierpliwość. Kiedy Dawn wydzwaniała do niej po dwa, trzy razy dziennie i płakała. Nie wolno ci tracić panowania nad sobą, mówiła. Jak się zacznie, to potem nie można przestać. Więc przestań natychmiast. Matka rozmawiała z nią tak, jakby się jej bała, odkładała słuchawkę, kiedy Dawn zaczynała wyć. Odkładać słuchawkę! Kiedy dzwoni rodzona córka! Chwała Bogu, że Vic o tym nie wiedział. Nie wiedział i nigdy się nie dowie.

Teraz znów przybrała na wadze, ale tym razem to był po prostu *tluszcz*, nic w niej nie rosło, nie rozpychało brzucha od wewnątrz. To było tylko – jej ciało. Miękkie wałeczki w talii, które nieświadomie ugniatała w palcach jak ciasto, jakby chciała je oderwać i wyrzucić. A przedtem jej brzuch był napęczniały od środka, skóra na nim niewiarygodnie napięta i świetlista: teraz Vic złapał fałdę jej brzucha i uszczypnął dla żartu, ale trochę za mocno. Twierdził, że podoba mu się taka, z odrobiną ciała więcej niż wtedy, kiedy się poznali; podoba mu się, że może ją złapać za tyłek; ale kiedy się kochali, nigdy takich rzeczy nie mówił, w ogóle dużo nie mówił. A mógłby powiedzieć,

że jest cudowna. Piękna. *Och, skarbie, jaka jesteś piękna.*

Wszystko, co działo się między nimi, nie wiadomo ile razy, ile razy tak intensywnie, że nie zapisywało się w pamięci – obywało się bez słów; odpowiednie słowa nie istniały.

Dawn rozeźmiała się i odsunęła rękę Vica. Nieświadomie przygniatał ją swoim ciężarem do stołu, a to *bolało*, cholera.

Gdy szli do sypialni, Vic obejmował Dawn ramieniem i ciężko się na niej opierał, nagle usłyszeli gdzieś w pobliżu drapanie. Psie pazury o drzwi mieszkania? Pełen bólu psi skowyt? Vic obrócił się, bez śladu uśmiechu. Jak to możliwe, że pies dostał się do budynku?

Zaklął, podszedł do drzwi i otworzył je – w progu stał bezpański psiak, czekał prosząco i skakał na nogi Vica. W półmroku jego sierść wyglądała na zmierzwioną i brudną, brunatną jak ochronna sierść jeleni zimą. Pies usiłował wcisnąć się do mieszkania, ale Vic stopą blokował mu przejście. Wściekły, zapytał Dawn:

- Jak on tu wlaźł, do diabła? Zostawiłaś otwarte drzwi.
- Zamknęłam drzwi – zaprotestowała Dawn słabo.
- Widać nie zamknęłaś. Bo jak tu wlaźł?
- Vic, *zamknęłam* na pewno.
- Kurwa, mówiłem ci, że nie karmi się bezpańskich psów.
- On nie jest bezpański, tylko się zgubił.

Vic wypchnął psa stopą na korytarz. Drzwi wejściowe na klatkę schodową były otwarte na oścież i na korytarzu było przenikliwie zimno: widocznie ktoś dopiero co wszedł i zapomniał je zamknąć za sobą.

– To nie ja – powiedziała Dawn. Czuła pod powiekami piekące łzy, kiedy pociągnęła Vica za rękę i zapytała: – Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Czy ten pies jest w środku, czy nie?

- Jesteś pijana. Idź do łóżka – odpowiedział.
- Przecież mógłby nawet u nas spać, prawda? W kuchni, gdzie jest ciepło?

Dlaczego by nie?

- Zwariowałaś?
- Jest mróz.
- Jezu, Dawn. Idź do łóżka. Ja się zajmę tym kundlem.

Popchnął Dawn, nie bardzo mocno, ale tak, że uderzyła głową we framugę drzwi i poczuła, jak ból eksploduje, odwróciła się i choć plątały jej się nogi, pobiegła do ciemnej sypialni, zatykając uszy rękami. Słyszała przekleństwa Vica i skowyt psa. Odgłosy szamotaniny. Głośny trzask zamykanych drzwi.

Było jej słabo i niedobrze. *On wie, jacy jesteśmy*, pomyślała.

Ta dziwna, szalona myśl pojawiła się nie wiadomo skąd. Oczywiście, że była pijana, jak powiedział Vic, nie panowała nad sobą, ale mimo to, kuląc się teraz jak staruszka i trzymając za brzuch, który nagle ją rozboleł, nie mogła tej myśli od siebie odegnąć.

To dlatego, że on wie, jacy jesteśmy.

Dawn rozebrała się zdrętwiałymi rękami, włożyła nylonową koszulę nocną, stanęła przy oknie w sypialni i wyjrzała na zewnątrz, choć na początku nie wiedziała, czego wygląda – widać było kawałek Water Street, przede wszystkim podwórze, kosze na śmieci, sąsiedni budynek z czerwonobrazową fasadą. Nawet w świetle dnia ich sypialnia tonęła w półmroku, jakby znajdowała się pod wodą.

Śnieg padał teraz mocniej i nie topniał na chodniku.

– Jak mogłeś! Jak mogłeś wyrzucić tego biednego psiaka na to zimno – powiedziała Dawn, nie z oskarżeniem, tylko ze zdumieniem w głosie.

Jęk sprężyn materaca zabrzmiał jak szyderczy śmiech, gdy Vic kładł się do łóżka. Nie patrzyła na niego, lecz wiedziała, że leży na plecach z rękami pod głową i przygląda się jej zmrużonymi oczyma. Widziała, jak Vic patrzy tak na innych mężczyzn, obmyślając, jak dać im popalić. Jeżeli to mu się opłacało. Ale nie zamierzała się do niego odwrócić.

– Chodź do łóżka, skarbie – powiedział Vic. – Daj sobie spokój z tym kundlem.

Dawn przycisnęła czoło do szyby. Zastanawiała się, czy ma temperaturę, jej skóra była taka sucha i rozpalona. Bolały ją oczy.

– Hej – powiedział Vic. – Kocham cię.

– A ja ciebie nie kocham – odparła Dawn, nie odwracając się.

– Tak?

– Bo jesteś okrutny.

– Tak mówisz?

– Okrutny i samolubny. Wszystko masz gdzieś.

– Skarbie, mówiłem, żebyś nie dawała mu żreć. Co sobie myślałaś, że zje, co mu dasz, i sobie pójdzie?

– A co miałam zrobić, pozwolić mu zdechnąć z głodu?

– A co on cię obchodzi? W tym mieście jest milion bezpańskich kundli.

– On nie jest bezpański, tylko się zgubił.

Dawn przyłożyła teraz chłodne dłonie do czoła i policzków. Boże, ale była rozpalona. Była gorącą kobietą, szczególnie po paru drinkach, i ludzie zwracali na nią uwagę, mężczyźni zwracali na nią uwagę; pierwszy raz, kiedy

miała może dwanaście lat. Wtedy upajała się tym, że tak na nią patrzą, ale też bała się tego. Bo tego nie można wyłączyć, kiedy się chce. Bo tego nie można kontrolować.

Myślała teraz o psiaku „on”. Ale dlaczego?

Równie dobrze mogła to być „ona”.

Dawn nie widziała nikogo na ulicy, tylko zamazane światła samochodów. Odeszła od okna, żeby pójść do łazienki, a Vic chwycił ją za biodra i pociągnął na łóżko. Może chciał się tylko pobawić, podrażnić, ale Dawn krzyknęła i zaczęła go bić, łokciami, kolanami, paznokciami, a Vic kłął, przycisnął ją swoim ciężarem, przycisnął do trzeszczącego łóżka, założył ręce do góry i mocno zacisnął palce na jej nadgarstkach. Szarpali się, zdyszani. Dawn usiłowała odepchnąć go kolanem, ale nie pozwolił jej na to, uśmiechając się do niej nieprzyjemnie, zaczerwieniony. Przeklinał ją, a ona jego.

– Do diabła z tobą! – szlochała. – Niech cię piekło pochłonie! Ty...

Vic zadarł jej nocną koszulę powyżej talii. Odślonił jej piersi. Twarz nabiegła mu krwią, skóra płonęła. Szczęki miał mocno zaciśnięte. Był mężczyzną, którego nie znała, nie kochała, którego nigdy wcześniej nie widziała, z żyłami pulsującymi na czole i szyi. Chciał zadać jej ból, wiedział, jak zadać jej ból. Siłą rozwarł jej kolana, pchnął ją dalej od krawędzi skrzypiącego łóżka i unieruchomił jej biodra, a Dawn powiedziała:

– Ty...! Kiedy nie wiesz, co robić, to pieprzysz, tylko to umiesz, pieprzyć, pieprzyć i tylko pieprzyć, jakbyś w ogóle nie miał – mózgu! Rzygać mi się chce.

Vic zamarł w pół ruchu, choć był w niej, po prostu zamarł: jakby dostał obuchem w głowę. Popatrzył na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

Zszedł z niej, zszedł z łóżka. Wyszedł z sypialni, trzaskając drzwiami. Dawn słyszała, jak hałasuje w kuchni. Bała się, co może tam zrobić – coś połamać, pobić naczynia, stłuc szybę? Rzucić krzesłem o ścianę? Był pełen takiej furii, że nikomu nie byłoby do śmiechu, gdyby zobaczył, jak miota się nagi po kuchni o drugiej w nocy. Ale usłyszała tylko otwieranie i głośnie zatrzaśnięcie drzwi lodówki. Metaliczny dźwięk otwierania kolejnej puszki coorsa.

Rzygać mi się chce. Nienawidzę cię. Dawn leżała w skotłowanej pościeli i płakała. Tuliła w dłoniach bolące piersi. Nie miała mleka, nie miała ani kropli mleka, ale piersi ją bolały. Sąsiedzi na górze nie spali, nasłuchiwali. Boże. Taki wstyd.

Dawn nie chciała wiedzieć, o której Vic wrócił do łóżka, prawdopodobnie po trzeciej. Nie chciała nawet dać po sobie poznać, że nie śpi, chociaż było

widać, że strzepnęła kołdrę, naciągnęła na nowo prześcieradło, ułożyła równo poduszki. A potem położyła się sztywno i czekała na niego, i jednocześnie nie czekała.

Wśliznął się pod kołdrę i położył obok niej. Bez słowa. Po kłótni potrafili tak leżeć godzinami. Teraz byli już trzeźwi, oboje; leżeli każde na swojej połowie łóżka, Vic, spocony, na plecach. Nie wiedziała, ile wypił piw, i nie obchodziło jej to. Biło od niego wilgotne ciepło. Oddychał chrapliwie, nieregularnie, jakby coś tkwiło mu w krtani. Przed świtem może zacznie chrapać, z początku lekko, potem głośniej. Dawn może go wówczas szturchnie, ale nadal nie odezwą się do siebie ani słowem. Ona może w końcu też zaśnie. Powoli. Płytkim snem, takim jak w szpitalu, jakby ktoś usiadł jej na piersiach, żeby nie mogła oddychać.

Po jakimś czasie Vic jej dotknie – ostrożnie, pomału. Bez słowa. Ostatnim razem, kilka tygodni wcześniej, kiedy leżeli tak sztywno obok siebie, kipiąc wściekłością i żalem, splótł palce z jej palcami tak powoli, jak nastolatek splata palce z palcami dziewczyny – nieśmiało, ale stanowczo, doskonale wiedząc, czego chce. Wreszcie chwycił Dawn za rękę tak mocno, że prawie ją zabolowało, ale wciąż nie odezwał się ani słowem, ona też nie, dlaczego miałyby się odzywać, skoro on nie raczył? Do diabła z nim!

No i tak. Leżeli w łóżku, rozbudzeni, świadomi swojej bliskości, lecz ignorując się wzajemnie, gdy nagle usłyszeli drapanie, tak głośne, jakby rozległo się tuż obok, w tym samym pokoju. Vic momentalnie poderwał się i zawołał: „Kto tam?”. Dawn też wstała i z bijącym mocno sercem usiłowała dojrzeć coś w oknie mimo ciemności.

To był on: nie w pokoju razem z nimi, ale za oknem, na zewnątrz, zawzięcie drapał pazurami o szybę. Poszczekiwał, niezbyt głośno, ale często, omal nie robiąc przerw na oddech, jakby coś go bardzo bolało. Dawn znała ten dźwięk, ten straszny dźwięk, który przeszywa człowieka aż do szpiku kości. Jakimś cudem pies wskoczył na zewnętrzny parapet, na wysokość co najmniej pięciu stóp nad ziemią; przelazł przez wygięte żelazne pręty sięgające do połowy okna, wcisnął się między nie a okno i przepchał się w dół, głową naprzód, i teraz usiłował przekreślić głowę i stanąć na tylnych łapach, mokrym pyskiem ocierał się o szybę, rozpaczliwie drapał pazurami, zaglądał do środka.

Dobrze wiedzieć

Żadne z nich później nie mogło sobie przypomnieć, jak rozmowa zesłała na ten temat.

Siedzieli w chińskiej restauracji, którą często odwiedzali w piątkowe wieczory. Dwie pary, żadna niezwiązana węzłem małżeńskim. Obie kobiety były niegdyś mężatkami, a jeden z mężczyzn był żonaty, ale ich związki przeszły do historii, zatarły się nawet wspomnienia rozwodów. Z perspektywy osoby trzydziestokilkuletniej, która żyła w miarę szybko, wiele dotychczasowych wydarzeń to historia.

Tematem było rodzenie. Kiedy trwały jeszcze te małżeństwa, które przeszły potem do historii, obie kobiety urodziły dzieci, a starszy z mężczyzn został ojcem. Mówiły tylko kobiety, roześmiane i ożywione jak młode dziewczyny, siedząc naprzeciwko siebie przy stoliku z lepkim plastikowym blatem.

– Kiedy rodziłam pierwsze dziecko – powiedziała Constance – panowała moda na porody naturalne. Moja matka była przerażona, ale się nie wtrącała. Powiedziałam jej, że należy do starszego, nieoświeconego pokolenia. Przygotowałam się na poród, który jednak nie był mi pisany. Nagle zaczęłam mieć skurcze regularnie co cztery minuty, nie co dwadzieścia, a potem jeszcze częściej. Byłam śmiertelnie przerażona, mąż ledwie dowiózł mnie do szpitala, coś mu się stało z oczami, wszystko widział jak przez mgłę. Poród trwał trzydzieści sześć godzin, nie dostałam znieczulenia, pod koniec byłam wycieńczona, serce biło mi nierówno, nie miałam siły porządnie przeć, wyłam jak zwierzę, mój mąż dwa razy zemdlał i w końcu zrobili mi cesarkę – dokładnie to, czego chciałam uniknąć. Jezu, co za jatka!

– Fakt, ale jak jest już po wszystkim, masz dziecko – odparła Maryanne.

Jak jest już po wszystkim, masz dziecko. Racja!

– Mój pierwszy poród też był dość ciężki – mówiła dalej Maryanne. – Nie trwał co prawda tyle co twój, ale dużo chorowałam, szczególnie w pierwszych miesiącach, byłam tak przygnębiona i wystraszona, że chciałam rodzić naturalnie, ale nie było to wskazane. No i musiałam zrezygnować. Miałam poród kleszczowy – wiesz, jak to wygląda. Ohyda! Kiedy wreszcie doszłam do siebie, ale jeszcze byłam zamoczona, ktoś podał mi dziecko, a ja pomyślałam, że ono to *ja* – umysł miałam w rozsypce, straciłam poczucie czasu i pomyślałam, że to *ja*.

– Doskonale cię rozumiem – powiedziała Constance. – Ze mną było tak samo, kiedy rodziłam córkę. Ale nie na serio, tylko tak sobie wyobrażałam.

Te fantazje są naprawdę *dziwne*.

Ale przechodzą. Tyle jest do zrobienia!

Trzeba nauczyć się opiekować niemowlęciem. To dopiero jazda.

Śmiały się jak młode dziewczyny. Mężczyźni przysłuchiwali się z szacunkiem, choć nieco sztywno. Pierwszy odezwał się Murphy, dwukrotnie żonaty i dwukrotnie rozwiedziony, ojciec kilkorga dzieci, z których najstarsze miało osiemnaście lat.

– No dobrze, ale czy zrobiłybyście to jeszcze raz? Wiedząc, że to tak boli?

Popatrzyły na niego szklistym wzrokiem. Constance, jego kochanka, zapytała:

– Że to *boli*? Murphy, a kto mówi o *bólu*?

Maryanne, która przyjęła rolę tej rozsądniejszej, powiedziała:

– Boli, zgoda. Ale ból nie ma tu nic do rzeczy.

– Czyli zrobiłabyś to jeszcze raz?

– Pytasz serio? Oczywiście, że zrobiłabym to jeszcze raz. Kocham swoje dzieci. A ty nie?

Murphy zwrócił się do Constance:

– Ty też zrobiłabyś to jeszcze raz?

– Zaczynam się czuć urażona – odparła, zirytowana. – Oczywiście, że tak.

– Nie ma co się obrażać, po prostu pytam. W sensie abstrakcyjnym.

– A gdzie tu abstrakcja, przepraszam? Mówimy o konkretnych osobach, o mojej córce i moim synu. Których znasz i których, jak mi się wydawało, lubisz. Którzy istnieją.

– Wiem, że istnieją – powiedział Murphy. – To wspaniałe dzieci. Ale...

– Ale musiałaś tyle przecierpieć, żeby je urodzić – wtrącił drugi z mężczyzn, Ted. – O to mu chodzi.

Kobiety zaczęły mówić naraz. Przy głosie została Constance.

– To jasne, że boli, jakby całe ciało miało się rozerwać na pół. Oczywiście, że to przerażające, zresztą za każdym razem jest inaczej, więc tak naprawdę nie można się przygotować, ale potem ma się *dziecko*. Rozumiecie?

– *Dziecko*. Nie kamień w nerkach – uzupełniła Maryanne.

Kilka miesięcy wcześniej Murphy miał problemy z kamieniem w nerkach. Karetka zabrała go z pracy do kliniki uniwersyteckiej. Leżąc na noszach, związał się z bólu i poszarzał na twarzy; miał tak zniekształcone rysy, że nie poznali go koledzy, z którymi widywał się codziennie przez wiele lat. Drwina w tej sytuacji była więc okrucieństwem, ale obie kobiety się zaśmiały, dołączył do nich Ted, a po chwili także sam Murphy.

Śmiech kobiet był lekki i radosny jak kaskady iskier. Kelner przyniósł już

rachunek, talerz plastrów pomarańczy i ciasteczek z wróżbą, restauracja opustoszała. Migający neon U WONGA nad wejściem dawno wyłączono na noc.

Mogli zamknąć temat i zająć się otwieraniem ciasteczek, lecz Murphy, który lubił drać wszystko do końca, zwrócił się do Teda:

– Jak te kobiety to robią, to dla mnie zagadka. Szczerze mówiąc, ja bym nie miał odwagi.

– *Ja* na sto procent nie miałbym odwagi – odparł Ted, wzruszając ramionami. Był najmłodszy z całej czwórki, o kilka lat młodszy od Maryanne. – Brrr! Ciarki mnie przechodzą od samego słuchania o tym – dodał, uśmiechając się szeroko.

– Gdy byłem jeszcze w liceum – zaczął Murphy – nauczycielka angielskiego poroniła praktycznie na oczach naszej klasy. Wszyscy sobie później z tego żartowali, znaczy kumple – takie nerwowe, głupawe żarciki – ale ja o mało co nie zemdlałem. Wtedy wyrobiłem sobie zdanie na ten temat. Wtedy, w wieku szesnastu lat, zrozumiałem, że *ja* bym nigdy nie przeszedł tego, co przeszła moja matka, żeby mnie wydać na świat.

Kobiety popatrzyły na swoich towarzyszy uważnym, pełnym zaskoczenia wzrokiem. Jadły plastry pomarańczy, wysysały miąższ i sok ciekł im po policzkach.

Mężczyźni wyjęli portfele i konferowali nad rachunkiem. Ted, kręcąc głową, wyznał:

– Gdyby to zależało ode mnie – gdybym ja miał urodzić dziecko, a wcześniej nosić je we własnym ciele – to przyszłość rasy ludzkiej stanęłaby pod znakiem zapytania.

Murphy puścił oko do kobiet i powiedział:

– Obawiam się, że gdyby to zależało ode mnie, to gatunek *homo sapiens* by wyginął. Nawet kamień nerkowy to jak na mnie o wiele za dużo.

Ted wyjmował banknoty z portfela i rzucał na stół jak karty do gry.

– To chyba okropne wyznanie, co? – zapytał. – Przecież kocham życie. Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że świat jest piękny.

Murphy dodał tonem usprawiedliwienia:

– A ja kocham swoje dzieci. I w ogóle – dużo dzieci.

W tym momencie obaj wybuchnęli śmiechem. Coś w tonie Murphy'ego czy w jego doborze słów rozśmieszyło Teda, a śmiech Teda rozśmieszył Murphy'ego i po chwili obydwaj zaśmiewali się do rozpuku jak dzieci. Śmiali się i śmiali. Kelner podszedł cicho, by zabrać należność, i odszedł niezauważony. Kobiety siedziały sztywno wyprostowane; nie patrzyły na mężczyzn ani na siebie nawzajem, twarze miały ściągnięte i nieruchome jak maski.

Zemsta stopy, rok 1970

– Czy stopa ma płeć? – pytali. Któryś z nich przeschmugłował ludzką stopę z prosektorium akademii medycznej i teraz przerzucali się nią w kuchni, przy rykach męskiego śmiechu i pełnych niedowierzania piskach dziewcząt.

– Orientuj się, Yank! Orientuj się, dupku!

Prewitt z North Bay, rudzielec o wyrazie twarzy przypominającym wołu, rzucił stopę – zamazany kształt błyszczący od pokrywającego go szronu, przedmiot, którego nie dało się zobaczyć wyraźnie – do Wingate’a czy Wheelhella, czy jak tam było dekującemu się przed wojskiem chłopakowi z Minneapolis, który jej nie złapał; zaklął tylko i podniósł stopę z krytej linoleum podłogi, gdzie upadła z głośnym stukiem, jakby odlano ją z betonu – była zmrożona, trzymali ją w zamrażarce małej, kłocowatej lodówki Pullmana stojącej w rogu pokoju – i rzucił do następnego współlokatora, i tak zaczął się spontaniczny mecz futbolowy. Potężni, muskularni chłopcy gonili dziko po pokojach, popychając się nawzajem, a Elinor, która nie знаła żadnego z pięciu czy sześciu studentów medycyny mieszkających w tym chlewie na czwartym piętrze budynku przy Halifax Street, patrzyła szeroko otwartymi ze zdumienia oczami i może nawet się śmiała. Stopa? Ludzka stopa? Nie spodziewała się takiej rozrywki w ten pełen rozpaczny sobotni wieczór. W rękę trzymała butelkę ciepłego molsena, choć nie pamiętała, by ktoś jej ją podawał, nie pamiętała też zresztą, by wiedziała, dokąd chcieli ją zaprowadzić znajomi z Arts College, w istocie zupełnie obcy jej ludzie, zgarnęli ją po prostu jak rzucającą się, chętną rybę w sieć. Imprezy odbywały się tu w każdy weekend, często także w środku tygodnia – oblewanie jakiegoś sukcesu, czyjegoś wyjazdu, przyjazdu, urodzin czy straty tak dotkliwej, że niemożliwej do zniesienia bez piwa, puszczonego na ful rocka i bliskości zgrzanych, spoconych ciał. To były czasy, kiedy wieczór zaczynało się w znanym otoczeniu, a później przemieszczało się zygzakiem, pieszo czy w samochodach prowadzonych przez nieznanomych w zupełnie nieznaną okolice; w miejsca tak nieprawdopodobnie szalone, że później, po latach, wciąż się je pamiętało z niebywałą wyrazistością, jak gdyby się przyśniły na jawie; tak jakby wciąż istniały, niezmiennie, w odróżnieniu od przebywających w nich niegdyś ludzi, w tym także ciebie.

Dziewczyny zbladły jak śmierć na widok latającej po pokojach stopy, a Elinor patrzyła zafascynowana, jak krzepcy, zaczerwienieni od wypitego piwa chłopcy (bo byli to chłopcy, mimo postury dorosłych nie sposób było o nich

myśleć jak o mężczyznach) przewracają się, zderzają ze sobą i biegają, przewracając się stopą i wrzeszcząc: „Ty debilu!” i „O, psiakrew!”. Lampa stojąca się przewróciła, puste butelki po piwie walały się na dywanie, tak brudnym, że na pierwszy rzut oka wyglądał jak klepisko, i zderzały z brzękiem, kiedy ktoś je kopnął. W powietrzu unosiła się chmura papierosowego dymu i ostry zapach rozlanego piwa, zatłoczonych odpływów, jedzenia (brzegów ciasta od pizzy, resztek chińskich dań na wynos, kości i chrząstek z Kentucky Fried Chicken) i uryny. Tak jakby fetując koniec sesji, studenci postanowili zdemolować swoje mieszkanie. Tryskali zdrowiem i radością stadnego życia, nie tylko Prewitt, ale też inni. Byli silni i jurni jak młode byczki, nosili niewymyślne nazwiska jak Nailles, Steadman, McMaster, Schnorr, Wingate (czy Wheelhell). „Podaj!” – wrzeszczeli jeden do drugiego. „Gooooo!”. W locie stopa zdawała się tak mała, jakby nic nie znaczyła, i miała nietypowy, nieforemny kształt.

Elinor stała w drzwiach i mrugała, usiłując dojrzeć coś mimo chmury dymu z papierosów i szalonych, wirujących świateł; i myślała, że gdyby była zakochana w którymś z tych okazowych egzemplarzy męskiego rodu, byłaby pełna werwy i nadziei i łatwo byłoby ją zranić, miałaby obsesję na punkcie swojego wyglądu, uśmiechałaby się, uśmiechała bez przerwy, tak strasznie by się *starala*, Boże. Ile to kosztuje wysiłku, by ktoś pokochał cię choć w przybliżeniu tak, jak ty kochasz jego.

Tak, to było piekło. O ile w tych świeckich czasach można sobie wyobrazić, jak właściwie wygląda piekło.

Jednak Elinor nie była zakochana w żadnym z chłopców, którzy dokazywali w tym chlewie. Jeśli panowała tu atmosfera pijanego szczęścia, szalonych zwierzęcych fluidów i seksualnych podtekstów, ona, jako osoba zupełnie obca, nie miała o tym pojęcia i nie chciała mieć, dlatego w końcu zgodziła się przyjść. Elinor była zakochana w kimś innym.

Dochodziła do siebie po zakochaniu w kimś innym. Chyba?

Inne obecne na imprezie dziewczyny, z których kilka na pewno kochało się w Prewittcie, Naillesie, Steadmanie, McMasterze, Schnorrze i Wingacie czy Wheelhellu, otrząsnęły się z pierwszego szoku wywołanego widokiem stopy i wołały z zalotnym wyrzutem: „Jak wy tak możecie!” i „Jesteście okropni!”, i „Jacy z was będą lekarze?”, i „A gdyby to była stopa kogoś, kogo kochaliście?” – to ostatnie wykrzyczane pytanie rozśmieszyło chłopców tak, że aż łzy popłynęły im po zarumienionych policzkach, a Prewitt o twarzy zdegenerowanego cherubina podjął temat i żalobnym falsetem zawołał: „Och! A jeśli ta stopa to wasza ukochana, stare byki?”. Wywijał stopą nad głową,

jakby chciał ją rzucić niczym bumerang. Wywołał tym salwy śmiechu. „A jeśli ta chrzaniona stopa *to wasza ukochana?*”.

Wkrótce chłopcy znudzili się tą dość męczącą fizycznie zabawą i rozmrażająca się stopa wylądowała w zlewie. Wydawało się, że wszyscy o niej zapomnieli, z wyjątkiem Elinor, która wymknęła się do kuchni, żeby ją dokładnie obejrzeć, gdy w pokoju z głośników Mick Jagger zawodził uwodziecielsko *time is on my side*. Perkusja Stonesów była tak głośna, tak rytmiczna, że Elinor zupełnie przestała ją słyszeć. Była na tyle pijana, że wydało jej się prawdopodobne, że skoro otacza ją ogłuszający hałas, to jest również niewidzialna. Drżącym palcem wskazującym nieśmiało dotknęła stopy – oczywiście była lodowato zimna.

Była wiosna 1970 roku, Amerykanie wciąż walczyli w krwawej wojnie w Wietnamie. Czyżby to miało jakiś związek?

Czy stopa należała do mężczyzny, czy do kobiety? Elinor czuła, że koniecznie musi się tego dowiedzieć, ale na podstawie oględzin nie umiała jednoznacznie ocenić. Prawdopodobnie do kobiety, bo była średniej długości, smukła i jakby upokorzona tym, że wrzucono ją do brudnego zlewu między kapsle i styropianowe opakowania po jedzeniu na wynos. W każdym razie była to stopa dorosłego człowieka. Długa, wąska, koścista i woskowobiała. W miejscu, gdzie została sprawnie odpilowana od reszty nogi, widać było białą kość i chrząstkę, i coś mieniącego się pod warstwą szronu jak mika. Choć była dłuższa od jej stopy (Elinor nosiła rozmiar siedem) o całe dwa cale, nie sprawiała wrażenia dużo szerszej. Paluch był dziwnie zakrzywiony do dołu i nieproporcjonalnie duży w porównaniu z pozostałymi palcami; paznokcie na nim pożółkły i zrogowaciały, a pozostałe małe, cienkie, przezroczystosine. Tam, gdzie biegły żyły i tętnice, widniały spłaszczone, podobne do dżdżownic prążki w kolorze sińców, bo oczywiście krew już dawno nie krążyła.

Czyja to była stopa, kiedy zmarła jej właścicielka i gdzie, i z jakiej przyczyny, i dlaczego jej stopa, która mogła trafić właściwie wszędzie, znalazła się akurat tutaj. I dlaczego, co to znaczy, jaki zbieg okoliczności, jaki zamysł sprawił, że w ten wietrzny wiosenny wieczór, przenikliwie chłodny, jak zimą, Elinor również znalazła się tutaj.

Kilka dni później Elinor miała się dowiedzieć, że impreza trwała do rana i ściągało na nią coraz więcej i więcej gości, proszonych i nieproszonych, wchodzących z hałasem po schodach, liczących na dobrą zabawę. Niektórzy przynieśli sześciopaki piwa, inni trawkę i na przemian pili, palili i zasypiali, a w niedzielę koło południa wstali i dalej się bawili z nowo przybyłymi

gośćmi, z których jeden przytaszczył skrzynkę wina z rodzinnej winnicy w Ontario, ale wtedy Elinor już od dawna z nimi nie było, wymknęła się niepostrzeżenie zaraz po północy.

Schodziła po niedoświetlonych schodach i serce biło jej szybciej niż zwykle, czuła się jak ryzykantka, ale była przekonana, że robi dobrze. Ukradła stopę ze zlewu, owinęła podwójną warstwą folii aluminiowej, jeszcze ciepłej i przesiąkniętej zapachem kurczaka z Kentucky Fried Chicken, potem z obsesyjną starannością zawinęła pakunek w kilka stron „Globe and Mail”, włożyła do torby i wyszła, nie żegnając się nawet z brodatym kolegą z seminarium ze staroangielskiego, z którym przyszła.

Na pustej ulicy uderzył ją w twarz podmuch lodowatego wiatru i mżawki, lecz powiedziała sobie stanowczo, że pogoda to tylko stan ducha.

Powiedziała sobie: „Teraz jestem odporna na wszystko. Ta stopa to mój talizman”.

Momentalnie wytrzeźwiała – to był pierwszy dobry skutek wyjścia. Pijackie zawroty głowy zostawiła za sobą w mieszkaniu medyków, wraz z zapachami, z dymem papierosowym, wraz z *chłopcami*.

Na Halifax Street bez wahania skierowała się na wschód. Nie wiedziała, że pójdzie do niego, ale gdy już obrała kierunek i zaczęła iść, nie mogła zawrócić. Do mieszkania, które wynajmowała z dwiema koleżankami, szło się w przeciwnym kierunku, ale nie myślała o tym w tej chwili. Nieważne, ile mil dzieliło ją od domu kochanka przy Sullivan Street, zamierzała pokonać je pieszo, nie wzięłyby taksówki, nawet gdyby było ją na to stać – Elinor została wychowana na wsi, w poszanowaniu pieniądza, nie kupowała nawet biletu na autobus, jeśli od celu dzieliła ją rozsądna odległość, a dla ludzi jej pokroju wszystkie odległości w mieście są rozsądne. Szła uważnie i czujnie o tej późnej, niebezpiecznej porze, w tej brudnej „mieszanej” okolicy położonej na południe od szpitala miejskiego, a dyscyplina marszu rozjaśniła jej umysł. Jestem odporna, kto mi może coś zrobić? Szła szybko, nie zbliżając się do krawężników i bram, jak płochliwe dzikie zwierzę przemknęła przez rzęsście oświetlone, ruchliwe skrzyżowanie Dominion i Simcoe; oczywiście, że była bezpieczna. W jej torbie spoczywała stopa owinięta w folię aluminiową i gazetę, stopa powierzona jej, a nie nikomu innemu na świecie. Bo nikogo innego nie było.

Gdyby jej rodzice wiedzieli, gdzie Elinor wypuściła się samotnie o tej porze w mieście, o którym mieli niepoehlebne zdanie, drżeliby ze strachu o nią – tak, ale nie wiedzieli i nawet się nie domyślali, bo Elinor S., podobnie jak

wszystkie dziewczęta z jej pokolenia, które poznała w college'u i na uczelni, postanowiła chronić rodzinę przed bolesną wiedzą o jej życiu prywatnym. Taki córczyni obowiązek. Wprawdzie powodowało to wyrzuty sumienia, ale dawało również poczucie odegrania się, wysokiej własnej wartości. Elinor pochodziła z wioski leżącej na zachód od Simcoe w prowincji Ontario. Miała dwadzieścia dwa lata, kończyła pierwszy rok studiów magisterskich na Uniwersytecie w Toronto, które miały ją przygotować do zawodu nauczycielki literatury angielskiej, a jej życie nagle się zawaliło, jak wiekowy kamienny mur podczas trzęsienia ziemi. Niemniej – i to było najważniejsze – niesiona w torbie stopa, rytmicznie obijająca się jej o nogę, gdy tak szła w kierunku Sullivan Street 71, była dowodem na to, że jeśli Elinor weźmie się w garść, to może mur się nie zawali. Na swoje szczęście nie była w ciąży.

Myślała: teraz już jestem odporna na wszystko.

Skąd to wiem? Wiem i już.

Gdy skręciła w Sullivan Street, było czterdzieści osiem minut po północy. Do tej pory Elinor była niewidzialna, ale zbliżając się do celu, do skromnie odremontowanego domu z fasadą z czerwonobrazowego kamienia, stojącego w rzędzie częściowo zniszczonych, częściowo odremontowanych identycznych domów z lat dwudziestych, czuła, że z każdym krokiem staje się bardziej widzialna, jak polaroidowe zdjęcie. Drobną, szczupłą, o tłustej oliwkowej cerze, w okrągłych okularach w drucianych oprawkach i z buntowniczym spojrzeniem uczennicy, z prostymi, lśniącymi, jasnymi włosami, rozpuszczonymi i opadającymi na ramiona kurtki w kolorze khaki. Uważała, że jest tak nieciekawa, że za piękną mogą ją uznać tylko ekscentryczni mężczyźni skłonni do perwersji, tacy jak jej kochanek. Patrzyła na siebie wyłącznie oczyma innych, a w szczególności krytycznym wzrokiem kochanka, bo jakież inny wizerunek Elinor S. miał znaczenie? Żaden, prawdę mówiąc. Elinor S. uważała, że dobrze zna siebie, i była dumna ze swojej inteligencji, ze swojej bystrości i ze swoich osiągnięć, choć do tej pory były to tylko osiągnięcia naukowe, była skrycie próżna; a jednak tak naprawdę nie liczyła się dla niej żadna opinia poza opinią jej kochanka. Gdyby przestał ją kochać, umarłaby, gdyż – po prostu – nie chciałoby jej się dłużej żyć.

Dlatego właśnie, gdy dochodziła do domu numer 71 przy Sullivan Street i zobaczyła światło w sypialni na piętrze – i tylko tam, zaczęła się bać. Mówił, że jego żona ma wyjechać na weekend – przez kilka ostatnich miesięcy często „wyjeżdżała” – ale Elinor nie rozmawiała z nim od półtora dnia i może nie wiedziała, że żona niespodziewanie wróciła. Może on ją poprosił, żeby wróciła wcześniej?

Tego nigdy nie wiadomo. Trochę można się domyślać, zgadywać, ale tak do końca nie wiadomo. Zresztą lepiej jest nie wiedzieć.

Elinor nie mogła jednak odwrócić się i odejść. Ściskając w rękę pasek torby, z poważnym wyrazem bladej twarzy, ośmieliła się zadzwonić do drzwi, *jakby miała do tego prawo*. Była zdyszana, jakby przebiegła całą odległość z Halifax Street, i próbowała zmusić malujące się na jej twarzy przerażenie, żeby zmieniło się w uśmiech, bo zawsze trzeba się uśmiechać, trzeba się *starać*. Nie myślała: po co tu przyszedłam, co ja robię sobie i temu człowiekowi? A jednak nie mogła odejść, tego jednego była pewna.

Usłyszała kroki na schodach. Znała te schody, nieraz wchodziła po nich na górę. Zapaliło się światło, oświetlając od wewnątrz roletę frontowego okna, i jeszcze jedno światło nad drzwiami. Mężczyzna, który był jej kochankiem, ostrożnie przekręcił zamek, odsunął zasuwę i wreszcie otworzył drzwi. Widząc ją, przez chwilę był zaskoczony, ale oczywiście uśmiechnął się i chwycił ją za ramiona, namiętny, jeszcze na pół zagniewany.

– Elinor, dzięki Bogu! Gdzieś ty się podziewała, dzwoniłem do ciebie i dzwoniłem.

Wciągnął ją do środka, stanowczym ruchem zamknął drzwi i zasunął zasuwę. Tulili się i całowali, głodni siebie i ślepi jak zawsze w takich chwilach, i Elinor czuła, jak jej wrogość do tego mężczyzny topnieje i znika, jakby nigdy nie istniała, jeśli faktycznie była to wrogość, a nie lęk i niepewność, i zawrót głowy, bo *przecież rzeczywiście ją kocha, czy trzeba dalszych dowodów?* Takie to było proste.

Żona zatem faktycznie wyjechała. On już powoli kładł się spać, oglądał na górze telewizję, popijał czerwone wino. Tak, i tęsknił za Elinor, i był trochę urażony i rozgniewany jej zachowaniem.

Tak, ale nic nie mogę na to poradzić, jestem zakochany, nie, nie obwiniaj mnie, jestem niewinny, spójrz mi w oczy. Jak ja patrzę w twoje.

Żony nie było, a Elinor nie chciała o niej myśleć, zabroniła sobie o niej myśleć.

Nawet zapytać ostrożnie, czy żyją w separacji – gdyż jeśli wierzyć zawołanym wypowiedziom jej kochanka i strzępkom plotek, które doszły jej uszu, nie było to szczęśliwe małżeństwo.

Elinor znała mężczyznę, który był jej kochankiem – a wcześniej, w pierwszym semestrze, wykładowcą językoznawstwa – od września zeszłego roku; blisko byli ze sobą przez cały ten czas z wyjątkiem pierwszych pięciu tygodni; Elinor uważała jednocześnie, że poznała go na wylot i że wcale go nie zna.

Oczywiście, że go nie znała ani nie mogła mu ufać. On jej również. Niemniej kiedy byli ze sobą sam na sam, trzymali się w objęciach i całowali – było to tak naturalne, tak jednoznaczne jak słońce świecące na niebie bez jednej chmurki.

Skąd to wiem? Wiem, i już.

Podniszczoną torbę na książki, którą zawsze nosiła ze sobą – na którą kochanek jak zwykle nie zwrócił uwagi – powoli postawiła na podłodze, prawie szlochając w jego ramionach.

Będą się kochali, to oczywiste. Nie gniewał się na nią, że przez ostatnie kilka dni psuła mu nerwy, uparcie odmawiając spotkania, a ona nie gniewała się na niego za to, za co się gniewała, choć nie umiała sobie przypomnieć, co to było, wiedziała tylko, że się gniewała i że bardzo chciała umrzeć. Ale nie teraz. Oboje drżeli z pragnienia bliskości. Chcieli tulić się do siebie nago, w sypialni na piętrze, w łóżku, które on dzieli z inną kobietą, tak jak dzieli z nią całe lata wspólnego życia, ale o tym się nie myśli, zabrania się sobie myśleć. Bo po cóż w innym razie Elinor S. przychodziłaby do domu przy Sullivan Street 71 w niedzielę w nocy, jaki mogła mieć inny cel?

Jego żona wyjechała, jak mówił – to było jasne.

W tamtych czasach żony były wrogiem. Młoda dziewczyna była drapieżnikiem polującym na miłość, ale również ofiarą. Urządzała pościg za mężczyzną, a potem czekała.

Elinor miała skorzystać z łazienki na dole, jak często robiła wcześniej, a jej kochanek szybko poszedł na górę. (Po co? Żeby iść do drugiej łazienki? Prędko ogarnąć sypialnię? Za pierwszym razem, kiedy przyprowadził Elinor do domu i obojgu aż kręciło się w głowie z podniecenia, wstrzymywali oddech i przygryzali wargi, jakby chodzili po zawieszonyj wysoko linie, przez uchylone drzwi sypialni Elinor zauważyła łóżko ze skotłowaną pościelą i rozrzucone ubrania, w tym leżącą na komodzie kobiecą bluzkę, ale gdy wróciła kilka minut później, w pokoju panował porządek. Po nieobecnej żonie nie było ani śladu). W łazience na dole Elinor zauważyła, że krew odpłynęła jej z twarzy, a oczy błyszczą triumfująco. Ręce, jej śmiechu warte ręce, mocno się trzęsły. Miała trudność z oddaniem moczu, a zanim z powrotem włożyła majtki, odważyła się zerknąć, jak wyglądają w kroku. A ta część kobiecej garderoby może zdradzić bardzo wiele.

W zeszłym miesiącu Elinor przez jedenaście dni zadręczała się niewyobrażalną myślą *czy jestem w ciąży*, ale okazało się, że strach był nieuzasadniony. To znaczy strach był rzeczywisty, ale nieuzasadniony był jego powód. Bo wreszcie, z opóźnieniem, z bólem, zaczęła krwawić. Za bardzo się wsty-

działa, żeby przyznać się mężczyźnie, który ją – który jej *nie* zapłodnił, do głębokiej, wyrażonej płaczem ulgi i ściskania w żołądku: *Czy to jest szczęście? Czy jestem uratowana?* Bo cóż właściwie mogła powiedzieć, co dla męskiego ucha nie zabrzmiałoby wulgarnie, żałośnie, żenująco, śmiesznie?

To było najgorsze, zrozumiała nagle Elinor: stopa, którą studenci rzucali jak piłką, stopa, rozmrażające się mięso, była śmieszna.

Po wyjściu z łazienki Elinor wśliznęła się do ciemnej kuchni. Była tu wcześniej tylko raz czy dwa razy, zrobić kawę i poszukać czegoś do jedzenia, kiedy po kilku godzinach spędzonych w łóżku oboje skręcało z głodu. Cichutko otworzyła zamrażarkę i ku swojemu zadowoleniu zobaczyła, że było dość wolnego miejsca: żona jej kochanka była skrzętną gospodynią, niezależnie od tego, jak była nieszczęśliwa, neurotyczna czy pod innymi względami niezadowolająca jako żona – nie dopuściła, by w zamrażarce zgromadził się lód, i nic nie było poukładane przypadkowo. Na górnej półce leżały kostki lodu w niebieskich plastikowych pojemnikach, dwie trzecie bochenka chleba ze sklepu ze zdrową żywnością, gdzie Elinor też robiła zakupy, ćwierćlitrowy kubek lodów czekoladowych, opakowanie mrożonego halibuta firmy Bird's Eye i opakowanie piersi z kurczaka. Elinor wyjęła stopę z torby, spokojnie zdjęła warstwy gazet i wyrzuciła do kosza pod zlewem, a zawiniętą w folię aluminiową stopę wepchnęła między chleb a halibuta. W matowo połyskującej folii była nie większa od chleba i nie rzucała się w oczy wśród innych produktów w zamrażarce, gdzie żona kochanka odkryje ją w ciągu najbliższych kilku dni.

Pobiegła do niego, a on już czekał na nią na schodach. Zdjął koszulę i widziała, jak na jego torsie, muskularnym pod gęstwiną siwiejących, kręconych brązowych włosków, błyszczą kropelki potu. Wyciągnęła do niego ramiona. Oczy błyszczały mu łapczywą miłością do niej albo czymś, co Elinor w tamtych latach uważała za miłość. Przyłgnęła do niego, mocno, aż zabrakło jej tchu, policzki miała mokre od łez, a on szybko zaprowadził ją na górę, do sypialni, którą, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, dobrze zapamiętała jako jedno z tych miejsc, surowych, jasno oświetlonych pomieszczeń, które żyją dłużej niż zamieszkujący je ludzie.

– Czemu tak drżysz, Elinor? – zapytał szeptem. – Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził, kochanie. Wiesz, że cię kocham, prawda?

Elinor wtuliła się w niego, jego ciało było ciepłe, obiecywało schronienie i bezpieczeństwo. Obejmowała go mocno, jakby to była kwestia życia i śmierci.

– Tak, wiem – szepnęła. W załzawionych oczach nocna lampka wydawała

się topnieć, zamazywać i pełgać jak płomień. – Wiem.

Dyplomacja

Była miłą, wesołą z natury dziewczyną, nie kwękała i nie narzekała; wszyscy ją za to lubili. Do fioletowej pikowanej kurtki miała przypięty żółty znaczek z rysunkiem uśmiechniętej buzi i napisem „Hej!”.

Została ostatnio sprzedawczynią w GAP-ie w galerii handlowej Sky Hills. Ubierała się wyłącznie w firmowe rzeczy, z wyjątkiem tych długich tunik, bo ładnie wyglądały w nich tylko naprawdę chude dziewczyny.

Zjechała z autostrady i spojrzała w kieszonkowe lusterko, w którym odbijała się niewyraźnie jej twarz, jak coś drażniąco niekonkretnego we śnie. Puder zbił się w grudki, więc świeciła się i była zniekształcona. Skóra wokół oczu wyglądała jak obity owoc, lewa powieka była spuchnięta jak po użądleniu osy i czerwona jak od łez. Ale ona nie płakała. Tego ranka nie płakała ani razu.

Nie poszła tego dnia do pracy, podjechała rano pod Sky Hills i przez jakiś czas siedziała w samochodzie. Potem wróciła do domu, zadzwoniła do GAP-a i powiedziała, że jest chora. Może jej uwierzyli, może nie.

Od siedzenia w mieszkaniu i czekania na dzwonek telefonu można było dostać szału, o wiele lepiej było znów wyjść, wsiąść w samochód i pojechać przed siebie, wtedy po powrocie okaże się, czy na automatycznej sekretarce są nagrane jakieś wiadomości i ile. Zeszłej wiosny wyjechała na weekend z okazji Memorial Day i po powrocie odkryła, że było do niej siedem telefonów. *Siedem.*

Tym razem do niego nie zadzwoni. Tym razem *nie.*

Ostrzegał ją, żeby pod żadnym pozorem nie dzwoniła do niego do pracy, jednak raz jej się zdarzyło, głupio zrobiła, ale była wtedy zdesperowana. Gdyby zadzwoniła na numer domowy, odezwałaby się automatyczna sekretarka, jego nagrany na taśmę głos odezwałby się jak głos obcego człowieka, a tego by nie zniosła.

Czasami, kiedy u niego była, dzwonił telefon, włączała się sekretarka i ten, kto dzwonił – raz była to dziewczyna, jego była dziewczyna – musiał się nagrać, a oni leżeli przytuleni i się śmiali. Tego by nie zniosła.

Była zodiakalnym Strzelcem. Z pisma „Self” wycięła swój horoskop na lipec. *Masz szczytne ideały i romantyczne serce, więc łatwo cię zranić. Nie lekceważ dobrych rad w pracy. Nie bądź zanedo zaborcza! Zadaj sobie pytanie: czy robię dla siebie wszystko, na co mnie stać? Spodziewaj się WZLOTÓW i UPADKÓW z mężczyzną, z którym jesteś. Nie kontroluj go, choćby cię kusilo.*

Przed tobą ekscytujący okres!

Przybliżyła lusterko do twarzy. To przecież jej twarz – tak czy nie? Czuła, że ma zeszywniały kark. Ramiona i plecy pulsowały bólem. Zażyła aspirynę, popiła czarną kawą. Miała dwadzieścia osiem lat i to ją przerażało, ale wyglądała na pięć, sześć lat mniej, naprawdę. Nawet w takich chwilach jak ta.

Czy w jej twarzy jest coś, co wysyła sygnał, że można ją krzywdzić? Oczy brązowe i ciepłe. Usta, które śmiały się niemal bez jej wiedzy. Wyraz współczucia, chęci wysłuchania, może należałoby to określić jako wrażliwość, tak, to było to słowo. Kiedyś pewien starszy od niej mężczyzna, którego poznała we Friday's, powiedział jej, że ma twarz jak kwiat, i poczuła, że właśnie ze względu na twarz wybrał ją spośród innych. Ale nie pamiętała, jak się nazywał, zresztą prawdopodobnie i tak nie podał swojego prawdziwego nazwiska.

Mężczyznę, z którym była teraz, kochała tak, że mało jej serce nie pękło. Tego rodzaju wyznania go żenowały. Nie był też zbyt skłonny do żartów. Skoro miał się z nią ożenić i mieć dzieci, ich związek musiał być poważny, wręcz podniosły.

Kiedy coś ją bolało, wracała myślą do odrzucenia w finale konkursu na cheerleaderki w drugiej klasie liceum. Takich rzeczy się nie zapomina.

Dziewczęta z drużyny naprawdę ją lubiły, ich kapitan na sto procent, i Marcy Myers, trenerka dziewcząt; początkowo dodawały jej otuchy, ale potem straciły cierpliwość, była prawie najlepsza, ale nerwowa, przerażona, roztrzęsiona, a to ludziom działa na nerwy, spróbowała więc sprowokować wymioty przed pokazem, ale się nie udało i wszystko spieprzyła, długie godziny ćwiczeń w piwnicy okazały się na nic, tak jak i nadzieja, i modlitwy, nie dopuścili jej do finału, wybrali cztery dziewczyny z dwunastu, a jej nazwisko nie padło; wybiegła wtedy z sali na oślep, zamknęła się w toalecie i płakała, i płakała, i po jakimś czasie w końcu zwymiotowała.

Takich rzeczy się nie zapomina.

Mężczyźni trzeba pozwolić odreagować – dorastając, często słyszała te słowa.

Na początku był miły, nazywał ją swoją laleczką. Gdy leżeli na jego rozkładanym łóżku, obejmował ją. Cienki, nierówny materac pachniał potem i wodą po goleniu. *Kocham moją laleczkę, moją słodką laleczkę. Jesteś jedyna.* I mówił to szczerze.

Kiedy wpadał w zły nastrój, to nigdy z jej winy i na początku w takich razach kochał się z nią delikatniej niż zwykle. Nie wiedziała, kiedy i dlaczego

to się zmieniło. Inni faceci w jej życiu też byli tacy, od szkoły średniej, ale wolała nie myśleć, że to się układa w jakiś wzór czy coś. To już byłoby nazbyt przygnębiające.

Niedawno stracił panowanie nad sobą, ścisnął jej piersi tak mocno, że aż się rozpląkała, wbijał palce głęboko w nią, a ona gryzła poduszkę, żeby nie krzyknąć, i myślała: *Mężczyźni trzeba pozwolić odreagować*. I chyba zadziało, przynajmniej wtedy.

Przez cały maj ani razu nie zdarzyło się, żeby coś dobrze zrobiła czy powiedziała; stwierdził nawet, że jest żalosna. Ale, Boże, jak ona mu działała na nerwy tym swoim płaczem i przeprosinami, i potrzebą, żeby w kółko jej powtarzał, że ją kocha, no jasne, że kocha, ale – Boże drogi. I więcej nie dzwonił do mnie do pracy. Nawet żonaci faceci, którzy mają dzieci, nie cierpią telefonów do pracy.

Tym razem ją uderzył, aż krew poszła jej z nosa. Jaką miał minę, kiedy zobaczył krew! Ból prawie był tego wart.

Jezu, co ja zrobiłem, nie chciałem, skarbie, wiesz przecież, że za nic w świecie bym cię nie skrzywdził, i oboje płakali, mówiąc sobie: jak się pobierzemy i zamieszkamy razem, to będzie inaczej.

Tak. O tak.

Oczekuj WZLOTÓW i UPADKÓW z mężczyzną, z którym jesteś.

I: Nie bądź zanedo zaborcza.

Wczoraj wieczorem, kiedy to się zdarzyło, tak szybko, że nie mogła sobie przypomnieć, co się tak naprawdę stało, wyczuła szóstym zmysłem, co było powodem. Po pracy poszedł do rodziców i coś tam musiało się zdarzyć albo zostać powiedziane, ale on oczywiście nie powiedział co, może zresztą nawet sam nie wiedział, i dlatego prawie się nie odzywał, a ona powinna była bardziej uważać i starać się go rozchmurzyć. W pracy dziewczyny lubiły, jak się wygłupiała, ale to było co innego, z koleżankami zawsze jest inaczej. Wiedziała o tym.

Tak jak wiedziała, że musi szanować jego prawo do prywatności i za często do niego nie dzwonić. I że nie wolno jej się zapomnieć, zachowywać się wobec niego zbyt poufale, jak jego szwagierka wobec jego brata, brzydził się tym.

Dobrze się złożyło, że niedawno kupiła sobie nowe okulary przeciwsłoneczne. Eleganckie, białe plastikowe oprawki i szkła takie ciemne jak w goglach, prawie czarne. Facet na stacji benzynowej gapił się na nią, ale nie widział podbitych oczu.

Kreślił się koło niej, kiedy tankowała. Pytał o jej zdanie na temat tej marki

samochoodu, czy kupiła nowy, czy używany, gdzie mieszka, i powiedział, że trochę ją pamięta, kończył Central College, a ona Valley, on grał w uczelnianej drużynie koszykówki, czy ona nie była może cheerleaderką?

Może tak, a może nie. Tak mu odpowiedziała.

Później, parkując na parkingu Sky Hills, myślała: to niesamowite, jak faceci do ciebie lgną, nawet jak nie widać, że masz podbite oczy.

Otworzyła puderniczkę, przetrzała lusterko kciukiem i spojrzała sobie w oczy z czułością i przebaczeniem: „Hej!”.

Nieobecność

Miał na imię Robert i nie należał do tych, do których można by swobodnie zwracać się Bob, a tym bardziej Bobbie czy Rob. Był wysoki, nie grubokości-
sty, lecz krzepko, solidnie zbudowany, w czasach szkolnych uprawiał sport, było to wiele lat temu, ale została mu po tym wyraźna świadomość fizycznej odrębności od otoczenia; był człowiekiem, który podając komuś rękę, patrzy mu w oczy, jakby już był jego przyjacielem lub miał nadzieję nim zostać. We własnym odczuciu poruszał się w świecie – czasem z łatwością, czasem w duchu walki – jakby wcale nie miał imienia ani niczego, co by go określało.

Zakochał się w tej kobiecie, zanim się dowiedział, jak się nazywa, ale nawet kiedy już znał jej nazwisko i zostali kochankami, nie mógł się łudzić, że naprawdę ją zna. I czasami budziło to w nim wielką złość, a czasami nie.

Miał trzydzieści sześć lat, czyli nie tak mało. Ożenił się, został ojcem i wziął rozwód, zanim skończył dwadzieścia dziewięć.

Mówił sobie: mogę poczekać.

Pewnego kwietniowego wieczoru, po prawie dwóch tygodniach nieobecności Ursuli, która nie powiedziała Robertowi, dokąd wyjeżdża ani że w ogóle dokądś się wybiera, kiedy jeździł po mieście bez celu, znalazł się na jej ulicy i mijając wynajmowany przez nią nieduży drewniany dom, zobaczył, że wróciła: światło paliło się na parterze i na piętrze, na podjeździe stał jej samochód. Prawie przez cały dzień padał deszcz i powietrze miało teraz zwiewną, senną fakturę. Robert powiedział sobie: Nic się nie stało, oczywiście, że nic się nie stało, odnoś się do niej jak przyjaciel, w końcu jesteś jej przyjacielem, a nie wrogiem. Dygotał lekko, ale nie był zdenerwowany; uważał też, że nie czuje gniewu. Ta faza jego życia – zaborczość wobec kobiety, wtrącanie się tam, gdzie pomimo całej swojej męskiej atrakcyjności nie zawsze był mile widziany – była na zawsze zamknięta.

Ursula zatem była teraz w domu, a nawet nie powiedziała mu, że wyjeżdża, ale jest w niej zakochany, więc uznaje, że wszystko jest w porządku; ponieważ ją kocha, to uważa, że wszystko, co ona robi, musi być w porządku – czy to nie logiczne? A jeśli nie logiczne, to po prostu zdroworozsądkowe?

Ważne, że wróciła; że jest w domu. I, o ile potrafił ocenić – przez niestaranie zasunięte rolety w oknach od frontu patrzył, jak chodzi po domu – jest sama.

Zaparkował więc samochód, pewnym krokiem podszedł do drzwi, nacisnął dzwonek i uśmiechnął się, na pozór swobodnie, ćwicząc w myślach kilka pierwszych słów, które złagodzą niezręczność wizyty w tych okolicznościach (przejeżdżałem przypadkiem, zauważyłem światło w oknach), a gdy Ursula otworzyła drzwi, z charakterystyczną zamaszystością, jaka towarzyszyła większości jej gestów – a poza nią pewne wrażenie otwartości, ciekawości, zaangażowania, niefrasobliwości, ale też rezygnacji – i ujrzał jej twarz, jej oczy, to, czym zabłyśły, zaskoczonym i niekłamanym, pomyślał: tak, to jest ta jedyna.

Niedługo potem, w sypialni na piętrze, w łóżku, Ursula rzuciła oskarżycielsko, choć żartobliwym tonem:

– Ech ty. Przejrzałam cię.

– Tak?

– Chcesz, żebym cię kochała. Tak, żebyś ty nie musiał kochać mnie.

Robert zaśmiał się, nieco skrępowany.

– To znaczy...? Czy to jakaś szarada?

Po raz pierwszy padło między nimi to słowo, słowo *kochać*.

Ursula też się zaśmiała.

– To znaczy dokładnie to, co powiedziałam, kochanie.

Objęła go i wtuliła rozgrzaną twarz w jego szyję, jakby w zapomnienie czy nicość. Robert nie mógł się nadziwić, z jak niezmierną łatwością ta kobieta potrafi mu umykać, nawet teraz, kiedy leży tuż obok, naga, i przywiera do niego całym swoim ślicznym nagim ciałem.

Zwrócił uwagę na Ursulę co najmniej dwa razy, zanim oficjalnie się poznali – pierwszy raz na wieczorze muzyki jazzowej o bardzo słabej frekwencji w sali hotelu Hyatt Regency, drugi na tłumnym przyjęciu koktajlowym w siedzibie firmy Squibb, gdzie olśniewająca, idealnie opanowana, towarzyszyła jednemu z dyrektorów, którego Robert trochę znał i nie lubił. To jest ta jedyna, pomyślał wtedy, na poły poważnie, ponieważ choć jego wygląd kazał się domyślać czegoś przeciwnego, miał romantyczne serce, skore do porywów; żywił przekonanie, że ironia, która weszła mu w nawyk, i okazjonalny sarkazm nie wyrażają jego prawdziwego ja – spodziewał się, że kobiety będą to wyczuwały i kiedy nie wyczuwały, był urażony, rozczarowany i poirytowany.

Wreszcie formalnie się poznali. Spodobało mu się jej imię, Ursula – niezwykłe, nie tyle egzotyczne, ile szorstko melodyjne, nawet nieco męskie. Pasowało do niej, jego zdaniem – do jej dużych zielonych oczu o migdałowym

wykroju, do popielatoblond włosów niczym zasłony okalających drobną, owalną twarz. Było widać, że ma wyrazistą osobowość i styl; nie była wysoka, lecz wyglądała na wysoką dzięki temu, że poruszała się z rytmiczną precyzją tancerki. Zwyczaj patrzenia otwarcie i krytycznie nie był u niej gestem wyzywającym, nie miał też być nieuprzejmy, lecz jak ostatecznie wydedukował Robert, wynikał z ciekawości innych ludzi; z nadziei dowiedzenia się od nich czegoś ciekawego. Była dziennikarką specjalizującą się w tematyce medycznej i współpracowała, chyba na zasadzie wolnego strzelca, z tak znanymi w okolicy firmami jak Squibb, Bell Labs czy Johnson & Johnson. O swojej pracy-na-zamówienie mówiła, że jest „bezosobowa – neutralna – to po prostu coś, czym się zajmuję, a skoro już się tym zajmuję, to zwykle robię to dobrze”.

Robert zrozumiał więc – i wzruszyła go ta myśl – że tak jak i on czy jak on tuż po trzydziestce, Ursula była gotowa na to, by zaczęło się jej prawdziwsze życie.

A jakie miałyby być to prawdziwsze życie, w jakiej pracy mogłaby idealnie wykorzystać swoją oczywistą inteligencję, wyobraźnię, energię, dowcip – tego Robert nie wiedział, a na to, by pytać, był zbyt taktowny. Ursula była o kilka lat od niego młodsza: może nadrobi stracony czas.

* * *

W wynajmowanym przez Ursulę domu najlepiej znał nie sypialnię na piętrze, rzadko widywaną w świetle dnia, ani nawet nie oszczędnie umeblowany salon z regałami wypchanymi książkami, ale kuchnię. Ursula lubiła gotować, a podczas gotowania lubiła mieć towarzystwo; kilka razy zjedli posiłek właśnie w kuchni, przy jadalnianym stole z mahoniem, dziwnie niepasującym do tego pomieszczenia, wstawionym do prostokątnej wnęki, która niegdyś była werandą, a teraz została zabudowana, zostało tylko duże okno wykuszowe. W dzień roztaczał się stąd widok na splecione gąszcz zieleni, jakby optycznie skrócony przez stromiznę terenu – na zaniedbane podwórko przechodzące w nasyp toru kolejowego; wśród zwykleszych drzew rosły wysokie, elegancko wychudzone topole; widać było resztki śladów uprawy ziemi i krytą papą szopę, mocno przegniłą, która wiele lat temu służyła za kurnik. Okolica była niemal wiejska, lecz domy, parterowe i piętrowe bungalowy, wynajmowali tutaj ludzie z klasy robotniczej; Ursula bardzo lubiła sąsiadów, lecz nie wiedziała nawet za bardzo, jak się nazywają. Jak mówiła, wynajęła ten dom ze względu na rozsądną cenę. I dlatego, że nie zamierzała długo w nim mieszkać

– tylko tyle, żeby złapać oddech, zobaczyć, co życie przyniesie.

Było to pięć lat temu. Ursula nie zebrała się, żeby kupić zasłony, nie zakleiła też nazwiska poprzedniego lokatora na skrzynce pocztowej. Co roku wiosną myślała o tym, żeby wynająć kogoś do zaorania ziemi na tyłach domu i założyć ogródek warzywny, ale pory roku śmigały jedna za drugą, a ogródek nie powstawał. Jak Ursula nie miała konkretnego powodu, by wprowadzić się do tego domu, tak nie miała powodu, żeby się z niego wyprowadzić.

Robert, który od kilku lat mieszkał na tak zwanym osiedlu domków jednorodzinnych przy wielopasmowej autostradzie New Jersey, za dom uważał to wynajmowane lokum, mimo panującej w nim atmosfery tymczasowości. Podobło mu się i jak mówił Ursuli, dobrze się w nim czuł, choć równocześnie nie wyobrażał sobie, że ona mogłaby tam zostać na zawsze.

Ursula zatrzepotała powiekami, bardzo delikatnie, jakby wyrażając niesmak, i powiedziała:

– Zawsze to kawał czasu.

Robert roześmiał się i odparł nieoczekiwanie:

– Zgoda, ale czy nie wydaje ci się czasem, że już żyjemy od zawsze? Ale żyjąc, zapominamy o tym prawie natychmiast?

Ursula patrzyła na niego nieruchomo oczami przypominającymi przejrzyste kulki, w których błyskały płowe światełka, drażniąco pięknymi, jak w chwili największej intymności. Wprawdzie nie odpowiedziała, ale Robert wyczuł zdziwienie; przyznanie mu racji; ale równocześnie, w tym samym momencie, protest.

Tak jakby, niespodziewanie, musiała go ocenić od nowa.

Trzymając w ręku puszkę zimnego piwa, Robert rozglądał się po kuchni, jakby ciekaw, czy podczas jego nieobecności coś się zmieniło. Końcówki liści wiszących w oknie wykuszowym roślin były podwinięte i zbrązowiały; ziemia, gdy dotknął jej czubkami palców, była sucha. Na blacie, przyniesione z samochodu i rzucone niedbale, leżały numery „The New England Journal of Medicine” i „Scientific American” oraz kilka dużych kartek z bloku technicznego z prymitywnymi, choć starannymi dziecięcymi rysunkami kredką. Robert zerknął na dwa, trzy rysunki na samej górze, po czym szybko się od nich odwrócił.

Ursula stała przy zlewie, tyłem do niego.

– Może zaproszę cię gdzieś na kolację, Ursulo? – zaproponował. – Dawno nigdzie nie byliśmy.

– Boże, Robert, za żadne skarby nie wsiądę już dziś do samochodu. Spędziłam za kierownicą dziewięć godzin.

– Dziewięć godzin! Skąd jechałaś w takim razie?

– Z północy stanu Nowy Jork – odpowiedziała niekonkretnie Ursula.

– Tak, ale ty lubisz być sama, prawda? – powiedział Robert z uśmiechem, zwracając się do jej pleców. – Lubisz jeździć samochodem, prawda? Sama?

Słyszając napięcie w jego głosie, Ursula nie odpowiedziała.

Robert czuł się dobrze, tak, nawet bardzo dobrze, mężczyzna zwykle dobrze się czuje po tym, jak się kochał z kobietą, brzemień fizycznego istnienia chwilowo staje się lżejsze; nie stanowi problemu ani dla niego samego, ani dla innych.

Czuł się dobrze, czuł się szczęśliwy, jak – musiał to przyznać – nie czuł się już od dłuższego czasu.

A taki był bliski tego, by odjechać sprzed domu Ursuli – widząc światła w oknach, samochód na podjeździe, widząc, że owszem, wróciła, była w domu, ale teraz to ona powinna do niego zadzwonić, zważywszy na to, ile razy on dzwonił podczas jej nieobecności.

Jeszcze kilka lat temu by odjechał. Teraz sprytnie uzbierał w sobie całe pokłady cierpliwości.

Myślał: Mogę poczekać.

Z miłości, z zemsty? – z miłości, pewnie. Pewnie z miłości.

W każdym razie, narażając się na śmieszność, żwawo podszedł do drzwi i zadzwonił, a Ursula otworzyła drzwi na oścież, była w tym geście jakaś nieostrożność, która później, gdy wróci do tego myślą, będzie go dręczyć, i ucieszyła się na jego widok, autentycznie się ucieszyła, wykrzyknęła: „Boże, Robert, ty”. I przytuliła się do niego, i mocno go uścisnęła. Zupełnie jakby przybył na jej zaproszenie. Jakby nie zniknęła na dwa tygodnie, nie mówiąc mu, dokąd się wybiera ani po co. Jakby ten uścisk i uczucie, z jakim się całowali, oznaczały koniec pewnej historii, której aż do tej chwili Robert właściwie nie był świadom.

Ursula rozbijała jajka na omlet; jej puszka piwa stała na wąskim blacie koło kuchenki. Robert podszedł bliżej, objął ją od tyłu, pod pierściami, ścisnął lekko i zapytał:

– Nie trzeba ci w czymś pomóc?

Ursula roześmiała się i odparła:

– Moja mama zawsze mówiła, kiedy byłam mała i wchodziłam do kuchni, i pytałam: „Mam ci w czymś pomóc?”, że gdybym pytała szczerze i naprawdę chciała pomóc, to nie mówiłabym „w czymś”, tylko konkretnie w czym.

Umilkła, metodycznie rozbijała jajka i czubkiem palca wskazującego wydobylała ze skorupki płynne, spermopodobne białko. Robert nie wiedział, jak

zinterpretować jej słowa.

Ściskając odrobinę mocniej, czując szybkie bicie jej serca, powiedział:

– Ale ja pytałem szczerze.

– Och, wiem.

– Nie jestem facetem, który bawi się w gierki.

– Och, to wiem doskonale – odparła Ursula ze śmiechem.

Zapomniał już, jak jej śmiech czasami działa mu na nerwy, zgrzyta jak piasek w zębach.

W rzeczywistości nie było dla niego wiele do roboty: nakrył do stołu, położył przy talerzach papierowe serwetki w kwiatowy wzór; otworzył butelkę czerwonego wina, którą przyniósł przy innej okazji, wiele miesięcy wcześniej; włączył radio, znalazł stację nadającą jazz, tradycyjny mainstreamowy jazz, muzykę, jakiej starał się słuchać po skończeniu trzydziestu lat, dla odreagowania popularnego rocka, na którym się wychował, jak całe jego pokolenie zresztą... tego ciężkiego, hipnotyzującego, ogłupiającego rytmu, narkotyzującego jak środki odurzające w krwiobiegu. Gdy Ursula przygotowywała omlet, Robert wyjął z lodówki masło, chleb, kilka kawałków sera, ogórki konserwowe. Przypomniawszy sobie, nie bez przyjemności, kumplowskie posiłki z byle czego, jakie klecili z byłą żoną, w te wieczory, kiedy wracali wykończeni po pracy.

Robert uważał, że w takich wymagających współpracy domowych czynnościach, zresztą w działaniu w ogóle, jest najbardziej sobą. Gdy odpoczywał, pograżał się w myślach i zamykał w samotności, wychodziło na jaw jego drugie, mniej przyjazne ja.

Zanim usiedli do stołu, Ursula wymieniła papierowe serwetki na lniane, które dostała od matki.

– Niekonieczny zbytek, ale miły – skomentował Robert.

– Zbytek na tym polega, że nie jest konieczny – odparła Ursula z uśmiechem.

Zabrali się do jedzenia, oboje bardzo głodni i wdzięczni, jak się nagle wydawało, za czynność jedzenia; jak kochanie się, była tak bardzo fizyczna i równie niezbędna; jej siła ich niosła, posuwali się naprzód bez żadnego wysiłku ze swojej strony. Ale Robert zadał pytanie:

– Gdzie dokładnie mieszka twoja matka?

Ursula zawahała się chwilę, wzrok skierowała jakby do wewnątrz, a on poczuł ukłucie znajomej irytacji, że znów, kiedy czują się ze sobą tak swobodnie, ta swoboda okazuje się jedynie fasadą, czymś powierzchownym.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz – dodał tonem zupełnie nieironicz-

nym.

– Nie mam z matką kontaktu – odpowiedziała Ursula powoli. – To znaczy nie miałam. Przez większość swojego życia.

– To smutne – rzucił Robert.

– Tak, to smutne. To było smutne – poprawiła się po chwili.

– Czyli ostatnio jest lepiej?

– Ostatnio – zawahała się, zmarszczyła brwi – jest lepiej, tak.

Robert nakrył dłonią rękę Ursuli; po to, by dodać jej otuchy i uspokoić nerwową manieryzm – skubała na małe kawałeczki kromkę chleba. Jej ręka natchmiast zamarła.

– Chociaż czy rzeczywiście było to smutne? – ciągnęła tonem swoistego flirtu. – Co to znaczy, że coś jest smutne? Jesteśmy takimi, nie innymi ludźmi, ponieważ tak się ułożyło nasze życie; gdyby potoczyło się inaczej, bylibyśmy inni. Jak więc mam odebrać ocenę mojej osoby wynikającą ze stwierdzenia „to smutne”?

Robert odpowiedział niby żartem, ale dość mocno ściskając jej dłoń:

– Ponieważ jesteś doskonała, Ursulo, najwyraźniej jest to ocena ignoranta.

Roześmiała się, zabrała rękę i rozlała do kieliszków resztę wina. Miała szkliste spojrzenie, które Robert kojarzył z bliskością, z chwilami intensywnej bliskości fizycznej.

– Ty też jesteś doskonała. Zresztą dobrze o tym wiesz.

Gdy patrzy się z góry, z samolotu, krajobraz pustyni to suchy, wymarły, lecz niezwykle piękny teren, z którego wąskie ścieżki prowadzą niepewnie do wielkich połaci chaszczy, gdzie ciągną się przez kilka mil, po czym gwałtownie się urywają. Kto podąża taką ścieżką, dociera do miejsca, w którym ścieżka się kończy i trzeba zawrócić... Jeśli zdecyduje się iść dalej, wkroczy na terytorium, dla którego nie ma map.

Ich związek jest takim właśnie krajobrazem widzianym z lotu ptaka, pomyślał Robert cierpko. Wino uderzyło mu do głowy, czuł się tak, jakby miał lada chwila zrozumieć coś niebywale ważnego. W takim terenie przez pewien czas podąża się ścieżką, po czym ona się kończy, trzeba zawrócić i spróbować jeszcze raz, inną ścieżką.

Może tak zejść wiele lat.

No tak. Ale cóż. Byli dziećmi swoich czasów, tak właśnie żyli jako dorośli, należało zatem przyjąć, że właśnie tak chcieli żyć. Prawda?

Było już po północy, Robert domyślał się, że powinien iść do domu, a może

Ursula oczekiwała, że zostanie na noc, kwestia wydawała się nierozstrzygnięta. Ursula, milcząca i błędząca gdzieś myślami, piła więcej niż zwykle; na twarz wyszedł jej rumieniec od ciepła i od wina, rysy złagodniały. Zanim zeszli na dół, włożyła na siebie pierwszy lepszy stary bawełniany sweter z dużym dekoltem, poluzowanym od wielokrotnego rozciągania, i Robert widział teraz jej piersi, woskowobiałe, stożkowate, o ciemnych sutkach, i czuł jej senno-perfumowy zapach, i myślał, że chyba wolałby zostać, kocha ją i nie chce jej opuszczać, to nieważne, że poza tym jest na nią zły; że chciałby (była to prawda, na którą pozwolili mu wino i późna pora) choć jeden jedyny raz zobaczyć, jak ona płacze.

– Co miałaś na myśli – zapytał – kiedy powiedziałaś, że chcę, żebyś ty mnie kochała, bo wtedy ja nie będę musiał kochać ciebie?

Ursula uśmiechnęła się, zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tych słów.

– Czy to ma być zagadka?

– Nie wiem. Chyba ty powinnaś wiedzieć?

– Nie pamiętam, żebym mówiła coś takiego. Może ci się wydawało.

– Powiedziałaś to na górze. Niedługo po tym, jak przyszedłem... wiesz.

Ursula nadal kręciła głową. Wyglądało na to, że szczerze, niewinnie. Oczy same jej się zamykały, ledwo utrzymywała rozwarte powieki.

Otworzyli drugą butelkę wina, dobrego, ciężkiego, ciemnego francuskiego wina, które Robert znalazł w głębi barku. Nie zapytał, czy ono również było prezentem.

Ursula potarła oczy i usprawiedliwiła się, nieśmiało ścisząc głos:

– Jestem pijana, jak mam pamiętać, co mówiłam. – Zachichotała. – Albo czego nie mówiłam.

– Chcesz, żebym pojechał do siebie? Czy żebym został?

Zapadła cisza. Ursula nadal tarła oczy, chowała się przed nim w ten sposób, jak dziecko. Robert pozwolił, by pytanie zostało bez odpowiedzi.

– Opowiesz mi o swojej matce? I o sobie? – zapytał cicho.

– Nie mogę – powiedziała szybko Ursula.

– Nie możesz? Dlaczego?

– *Nie mogę.*

Drżała. Budziła w Robertcie równocześnie współczucie i zniecierpliwienie. Zastanawiał się, dlaczego mu nie ufa. Dlaczego, mimo że siedzi tak blisko, nawet na niego nie spojrzy.

Jego była żona, którą przez wiele lat bardzo kochał, otwierała się przed nim zbyt często i zbyt bez troski. Niczym morskie stworzenie, którego ciasnej,

szczelnie zamkniętej skorupy, gdy raz zostanie otwarta, nie można zamknąć z powrotem.

– No trudno. Nieważne.

– Gdybym myślała, że to ważne, że ma znaczenie... dla nas – mówiła Ursula, starannie dobierając słowa – tobym powiedziała.

– Chyba pojedę do siebie. Tak?

– Pewnie jej nawet nie poznasz.

– Pewnie nie.

– Mój ojciec nie żyje.

– Przykro mi to słyszeć.

– Więc jego na pewno nie poznasz.

Ursula zaśmiała się i ukryła twarz w dłoniach. Szkarłatny rumieniec, jak po uderzeniu, oblał jej szyję i twarz.

Robert głaskał jej rękę od wewnątrz, delikatne niebieskawe linie żył. Ursula miała rozpaloną skórę, wyczuwał jej puls, czuł się podniecony, podekscytowany. Ale też nieco urażony.

– No nic. Już późno – powiedział nieco głośniejszym głosem, niż zamierzał. – Pojedę do siebie. Zadzwoń jutro.

– Dobrze – odparła Ursula, po czym, bez najmniejszej przerwy: – Ale moment.

– Tak?

– Nie powiedziałam „kochać”. Jestem pewna, że nie użyłam tego słowa. Widocznie źle zrozumiałaś.

– Widocznie tak.

– Byłam wykończona długą drogą. Nie spodziewałam się ciebie.

– Widziałem.

– Nie musisz jutro dzwonić, jeśli nie chcesz.

Gdy Robert zeszywniał na te słowa i nie odpowiedział, dodała:

– Chyba że chcesz.

Robert wstał, dopijając resztę wina. Czuł, że twarz ma jak pomidor, skórę rozgrzaną tak, jakby zaraz miała pęknąć. Roześmiał się.

– A jak odróżnię jedno od drugiego?

Miał obecnie dobrą pracę, w której dużo się działo, co nie zostawiało mu czasu na zastanawianie się nad sobą i na to, co uważał za „negatywne” myśli; pracę tego rodzaju, która wprawia człowieka w ruch i utrzymuje go w tym ruchu od poniedziałku rana do piątku po południu, jak kolejka górską. Lubił w niej nawet nazwę swojego stanowiska: specjalista, wydział katastrof kom-

puterowych, AT&T – jej sznyt, klasę, prestiż. Kiedy wyjaśniał, na czym polega to zajęcie – jego klientami były przeważnie lokalne banki, które w razie szwankowania komputerów podłączały się do sprzętu awaryjnego AT&T, by jak najefektywniej kontynuować pracę – widział, że ludzi to interesuje i słuchają uważnie. Większość osób, które poznawał w tej fazie swojego życia, związana była z firmami wykorzystującymi komputery w szerokim zakresie bądź sama używała komputerów, temat katastrof komputerowych przykuwał więc ich uwagę.

Katastrofa komputerowa to coś, przed czym odczuwa się lęk, a czego jednocześnie się pragnie. W samym wyobrażeniu o niej jest coś bardzo zadowalającego.

Jak powiedziała Robertowi Ursula, w medycynie technologia osiągnęła taki stopień rozwoju, że istnieją połączone ze sobą elektronicznie całe niemające o sobie nawzajem pojęcia społeczności mężczyzn, kobiet i dzieci, których życie zależy od działania systemów tak, jak zostały zaprogramowane, bez najmniejszych usterek; pewnego dnia może zostanie w ten sposób połączona cała ziemską populacją. Niemniej ludzie z uporem wyobrażają sobie, że są niezależni i autonomiczni; przechwalają się unikaniem komputerów, gardzą technologią.

– Jakby to była jakaś cnota – podsumowała.

– Cóż – odparł Robert z namysłem. – Chyba są nam potrzebne te opowieści o nas samych. Przekonanie o tym, że wiele lat temu, kiedy wszystko było inaczej, byliśmy inni. Życie było inne.

– Miało bardziej ludzki sens – powiedziała ze śmiechem Ursula.

– Miało *sens*.

– Nie to co dziś.

– Boże drogi, no pewnie, że nie to co dziś.

I roześmiali się, jakby deklarując w ten sposób, że oni dwoje są inni.

Ostatni utwór przed końcem audycji jazzowej, przed pożegnaniem się radiostacji ze słuchaczami i umilknięciem na noc: Art Tatum, Lionel Hampton, Buddy Rich, *Love for Sale*, nagranie z roku 1955.

Robert słuchał nabożnie. Trzymał chłodną dłoń Ursuli, palce zaciskały się na palcach. Słuchając takiej muzyki, ma się poczucie, że zaraz przeżyje się coś niespodziewanego; ujrzy się wszystko z absolutną klarownością; jeden drżący krok, a odmieni się całe życie.

Ale, rzecz jasna, w rzeczywistości jest tak, że utwór się kończy i następują po nim inne dźwięki.

– Widziałam, że patrzyłeś na te rysunki – odezwała się nagle Ursula. Początkowo nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Jakie rysunki?

– Te. Obejrzyj sobie. – Ursula przyniosła do stołu proste dziecięce rysunki. Ręce jej drżały, w głosie brzmiało coś w rodzaju obojętnego strachu.

– Są bardzo... ciekawe – powiedział Robert, mając się na baczności.

Ursula zaśmiała się z zażenowaniem.

– A skąd, są tylko tym, co widać. „Dziełem” małego dziecka.

Kartki bloku technicznego, rozmiaru mniej więcej dwanaście cali na dziesięć, były przykurzone, ponaddzierane i miały pozaginane rogi. Przyłgnęły do nich kawałki pajęczyn. Robert uśmiechał się ze skrepowaniem, wiedział, że powinien zapytać, czyje dziecko to narysowało; kim jest ono dla Ursuli; rozmowa zejdzie niewątpliwie na temat ojca dziecka. Ale nie mógł zmusić się do tego, by ją zagaić.

Oczywiście te narysowane czerwoną kredką pokraccze figurki, te drzewa niemożliwie muskające niebo skojarzyły mu się z jego synem Barrym, który miał teraz dziesięć lat i bardzo się od ojca oddalił; było to skojarzenie bardzo bolesne; zresztą jak mogłoby być inaczej. Od kilku godzin pił wino, ale to go przecież nie znieczuliło. Minęło ładnych parę lat, odkąd Barry rysował takie rzeczy, klęcząc na podłodze w salonie i pochylając się nisko nad kartką, i ładnych parę lat, odkąd Robert myślał ostatnio o jego rysunkach. (Czy miał kilka gdzieś odłożonych, bezpiecznie schowanych? Na pamiątkę wczesnego dzieciństwa syna? Raczej nie, miał teraz bardzo ograniczoną przestrzeń do przechowywania). Barry mieszkał w Berkeley z byłą żoną Roberta, która ponownie wyszła za mąż, bardzo szczęśliwie, jak twierdziła; tak się złożyło, że jej mąż jest specjalistą od komputerów w firmie IBM. Ostatnio Robert widział syna w Boże Narodzenie, pięć miesięcy temu; przedtem widzieli się w kwietniu. Nie rozmawiali też często przez telefon – a w miarę upływu czasu, w miarę jak Robert coraz mniej uczestniczył w życiu chłopca, rozmowy stały się coraz bardziej wysilone.

Robert spojrział na pierwszy z leżących na stole rysunków. Na czymś, co miało chyba przedstawiać trawnik, w otoczeniu drzew cienkich jak ołówki, na tle domu przyozdobionego wieżą widniały dwie patykowate postaci: patykowaty mężczyzna, na co wskazywało to, iż miał na sobie spodnie, i patykowata kobieta, o sterczących na wszystkie strony włosach wijących się jak węże, w spódnicy. W prawym dolnym rogu, jakby miało zjechać z kartki, przedstawione było chyba niemowlę, w czymś prostokątnym, co było zapewne wózkiem czy kołyską, lecz zostało narysowane tak nieudolnie, że równie

dobrze mogłoby być pudełkiem po butach, skrzynką na kwiaty lub małą trumienką. Postaci dorosłych miały okrągłe, puste twarze z neutralną kreską w miejsce ust i oczyma w postaci dwóch O; niemowlę w ogóle nie miało twarzy.

– To moje rysunki – wyjaśniła po chwili Ursula, z tym swoim lekko chropawym, zawstydzonym śmiechem. – Znaczy, ja je narysowałam. Kiedy miałam dwa, trzy lata. Tak twierdzi moja matka.

Robert podniósł na nią wzrok, autentycznie zaskoczony. Spodziewał się usłyszeć, że to rysunki jej dziecka, o którego istnieniu dotychczas nie słyszał.

– *Twoje...?*

– Mama tak twierdzi. Ja nie pamiętam.

Teraz widział, rzecz jasna, że rysunki były bardzo stare; czas odbarwił sztywną tekturę.

Ursula zaczęła tłumaczyć, mówiąc szybko, lekko speszoną, lecz stanowczym tonem, jakim opowiadała skomplikowane anegdoty, które z jakiegoś powodu trzeba było opowiedzieć, niezależnie od tego, jak były nieprzyjemne czy nudne:

– Mama wreszcie sprzedała dom, przenosi się do domu emeryta, byłam u niej, żeby w tym pomóc, zadzwoniła do mnie, poprosiła... to się właściwie nie zdarza, żeby mnie o cokolwiek prosiła, a ja, dorastając, byłam chyba osobą, którą trudno poprosić o przysługę. Przez wiele lat istniał między nami pewien dystans. I nieporozumienia. Nie będę wdawała się w szczegóły – zastrzegła szybko, jakby przewidując brak zainteresowania ze strony Roberta (który w rzeczywistości uważnie jej słuchał) – zresztą możesz sobie wyobrazić. Ale Mama się postarzała i ma kłopoty ze zdrowiem, i boi się tego, co będzie... dlatego pojechałam do Schuylersville, chociaż przysięgłam sobie, po ostatniej wizycie kilka lat temu, że więcej tam nie pojedę, i pomogłam jej się pakować i wysprzątać dom... na strychu było pełno skrzyń i pudeł, głównie ze starymi ubraniami, nagromadzonymi przez dziesiątki lat, a przeglądając ich zawartość, trafiłam na te rysunki i na swoje stare świadectwa szkolne, stare zeszyty, i miałam wszystko wyrzucić bez przeglądania, ale Mama, zdenerwowana, krzyknęła: „Nie! Zaczekaj!”. Weszła ze mną na ten strych, nie odstępowała mnie ani na krok przez prawie cały ten czas, kiedy tam byłam... kobieta, z którą od ponad piętnastu lat właściwie nie miałam kontaktu. Zapytałam, po co trzymała takie głupstwa, a ona spojrzała na mnie tak, jakbym uderzyła ją w twarz, i powiedziała: „Ależ, Ursulo, jesteś moją jedyną córką!”. Kobieta, która, jeśli chcesz wiedzieć, nie pojawiła się na moim rozdaniu dyplomów, mimo że ja na nią tak czekałam, a potem twierdziła, że jej nie

zaprosiłam; kobieta, która wszystkim, którzy gotowi byli słuchać, żaliła się gorzko, jak to ja ją zaniedbuję, że nie przyjeżdżam, nie dzwonię, to było, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat i mieszkałam w Nowym Jorku, ale raz, kiedy pojechałam ją odwiedzić, miałyśmy ustalony dokładny termin wizyty, kiedy dotarłam na miejsce, nie było jej w domu; nie było jej, wyobraź sobie. Nie zostawiła też żadnej wiadomości.

Ursula zaczęła się śmiać, bardziej chrapliwie niż wcześniej. Robert dosłyszał w jej śmiechu ton hysterii.

– Więc oglądałyśmy te rysunki, ten na wierzchu najpierw, Mama powiedziała mi, kiedy mniej więcej go narysowałam, na co odpowiedziałam: „Boże, aż tak dawno? Oczywiście, że tego nie pamiętam, w ogóle nie pamiętam, żebym w dzieciństwie rysowała, zresztą byłam w tym kiepska, zgodzisz się”, Mama zaprotestowała: „Nie, jak na takie małe dziecko byłaś zdolna, widać, że miałaś zdolności”, ja się roześmiałam, „Mamo, przecież widzę, że nie miałam zdolności, tu jest naoczny dowód, o co tu się kłócić, Boże drogi”. Potem zapytałam ją, co to jest to w rogu – Ursula wskazała na niemowlę w skrzynce – a Mama: „To pewnie twoja młodsza siostra Alice, która zmarła”, a ja wybałuszyłam na nią oczy, nie docierało do mnie to, co usłyszałam. „Młodsza siostra? Alice? O czym ty mówisz?”, a Mama odpowiedziała drżącym głosem: „Miałaś młodszą siostrę, umarła, jak miała osiem miesięcy, miała wadę serca”, a ja gapiłam się na nią. „Jaką młodszą siostrę? Ja miałam młodszą siostrę? Co ty opowiadasz?”, a ona: „Nie pamiętasz? Musisz pamiętać, miałaś dwa lata, nie rozmawialiśmy o tym zbyt często, kiedy dorastałaś, ale na pewno pamiętasz”, i rozplakała się, więc musiałam ją przytulić, jest krucha i o wiele niższa niż kiedyś, czułam się tak, jakby mnie ktoś kopnął w głowę, myślałam: czy to możliwe? Jak to możliwe? Czyżby pomieszało jej się w głowie? A może kłamie? Ale czy kłamałaby w takiej kwestii? Było to kompletnie nierealne, ale nie tak, jak nierealne są sny, w każdym razie moje sny, coś takiego by mi się nigdy nie przyśniło, przysięgam. – Ursula urwała, przetarła oczy wierzchem dłoni. – Wiesz co, kochanie, chyba muszę się napić czegoś dobrego i mocnego, dołączysz do mnie? Na jednego drinka?

Wyjęła butelkę drogiej szkockiej z tyłu barku i naląła dwa drinki, bez wody, bez lodu, bez ceremonii, do szklanek na sok; i podjęła opowieść, ciągnąc ją tym samym speszonym, ironicznym tonem.

– No więc oglądałyśmy z Mamą te rysunki i powiedziałam, że jeśli to ma być moja młodsza siostra Alice, w tej skrzynce czy co to tam jest, na co Mama powiedziała, że chyba tak, „A tutaj ty, Mamo, to wiadomo, a tutaj tata, to gdzie jestem ja?”, bo na wszystkich rysunkach jest tylko niemowlę, nie ma

drugiego dziecka. A Mama odpowiedziała jęklonie, defensywnie, jakby myślała, że ją obwiniam: „Nie wiem, Ursulo, nie wiem, gdzie ty jesteś”, a ja się roześmiałam, Bóg jeden wie, dlaczego się roześmiałam, i rzuciłam: „Ja też nie wiem, gdzie jestem, i nic z tego wszystkiego nie pamiętam”. Potem, tuż przed moim wyjazdem, Mama pokazała mi akt urodzenia tego zmarłego dziecka, znalazła go w sejfie, ale aktu zgonu nie mogła znaleźć, a ja powiedziałam: „Dziękuję, Mamo, to nie jest konieczne”. – Ursula śmiała się, kiwając się na krześle. Szklanekę z whisky trzymała przy ustach. – Powiedziałam: „Dziękuję, Mamo, to nie jest konieczne”. – Po czym gwałtownie odstawiła szklanekę i wyszła z kuchni.

Robert poszedł za nią do salonu, gdzie świeciła się jedna jedyna lampa. Ursula śmiała się cicho, przyciskając pięści do oczu, półodwrócona od niego, a może płakała? Podeszedł do niej szybko, objął ją i przytulił, i choć początkowo go odepchnęła, nieświadomie, jakby w odruchu z dzieciństwa, zamknął ją w mocnym uścisku; byle nie dopuścić do tego, by zawładnęła nią histeria; znał objawy hysterii; był ekspertem.

Stali tak przez chwilę, Ursula płakała i próbowała coś mówić, potem Robert zaprowadził ją do sofy, usiedli i siedzieli tak przez dłuższy czas, w ciemnym pokoju o niestarannie zasuniętych roletach. Robert był silnie wzruszony, lecz panował nad sobą. Głaszcząc Ursulę po włosach, czując na twarzy jej ciepły, rozpaczliwy oddech, mówił:

– Ursulo, kochanie, już nie płacz, wszystko dobrze, wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie, prawda? Jestem przy tobie, prawda? Kochanie?

I przytulili się mocno, żeby to się ziściło.

Czy zawsze będziesz mnie kochać?

– Dlaczego lubię grać? Bo na scenie czuję się bezpieczna.

Ta nieznajoma młoda kobieta mówiła z dziwnym, beztroskim niezaangażowaniem, jakby nie opowiadała o sobie, lecz o kimś innym. Gdy na niego patrzyła, jej głęboko osadzone oczy o ciemnych źrenicach okolonych orzechowymi tęczęwkami, których spojrzenie zbijało go z tropu swoją intensywnością, stawały się świetliste. Była drobna i niewysoka nawet w modnych butach na obcasie, a Harry Steinhart był wysoki; żeby patrzeć mu w oczy, musiała więc zadzierać głowę – co mu się podobało. Zaledwie parę minut po tym, jak się poznali, uścisnęli sobie dłonie i wymienili nazwiska, zaczęła mówić, w odpowiedzi na jego pytanie, jakby spontanicznie mu się zwierzała. Za przeszklonymi ścianami budynku szybko zapadał zmrok.

– Kilka lat temu grałam Irinę w *Trzech siostrach* Czechowa. Irina jest najmłodsza z nich trzech, najbardziej naiwna i ufna. Teraz jestem już za stara na Irinę – chciałabym zagrać Maszę. Scena daje mi ogromne poczucie bezpieczeństwa. Oczywiście, gram tylko amatorsko, więc nie muszę się denerwować, jak wypadam. Ale na scenie poruszam się swobodnie, z wdziękiem i precyzją, jak nigdzie poza nią. Na przykład tutaj – gestem ogarnęła tłoczne przyjęcie w atrium na parterze Mercury House – nie wiem tak naprawdę, kim powinnam się czuć ani w ogóle po co tu się znalazłam. Jestem „pracownikiem”, „redaktorem”, dostaję za to nawet przyzwoite wynagrodzenie, ale zamiast tej pracy równie dobrze mogłabym mieć tysiąc innych, nie czuję się z nią jakoś szczególnie związana, a firma nie czuje się szczególnie związana ze mną. Za to kiedy gram, istnieję w umysłach innych ludzi, nie w swoim. Wraz z innymi wykonuję to, co każe tekst. Nigdy nie jesteśmy sami. Uczestniczymy we wspólnej przygodzie, tak jakbyśmy płynęli z wyprawą do źródeł Amazonki. Na scenie moje uczucia nie są głupie ani wybujałe, ani niestosowne – są uzasadnione. Są konieczne. Jako aktorka nie mogę skulić się ze wstydu czy odwrócić tyłem do widowni, bo się wstydzę; nie mogę powiedzieć – w tym momencie nagle zaczęła grać, udając przesadną kokieterię, by wywołać uśmiech na twarzy słuchacza – „Proszę państwa, nie jestem na tyle ważna, by zwracali państwo na mnie uwagę! To śmieszne!”. Jestem integralną częścią przedstawienia. Stanowimy rodzinę, której jestem członkiem. Beze mnie rodzina nie istnieje. Teatr może pełnić wiele różnych funkcji, ale na pewno pełni funkcję rodziny.

Mówiła tak przekonująco, patrzyła na niego tak intensywnie, że Harry

prędko we wszystkim przyznał jej rację. Mimo że stosunkowo słabo znał się na teatrze, czy to amatorskim, czy profesjonalnym.

Ogromnie go wzruszyła ta jej żywa reakcja, którą instynktownie wywołał podstępem, dzięki typowo męskiej bezpośredniości: zaprogramowanego w nim rytuału uwodzenia, który zawsze wydawał mu się pozbawiony premedytacji, a tym samym niewinny. I za każdym razem przeżywał to jakby pierwszy raz.

Ożenił się, rozwiódł, a wszystko to – poczucie krzywdy, dezorientacji, gniew – było już za nim, zamknęło się w latach osiemdziesiątych, jak gdyby należało do doświadczenia innego człowieka. Gdy oglądał swoją twarz w lustrze, z wdzięcznością zauważał, jak niewiele śladów nosiła tego, co przeżył przez trzydzieści sześć lat. *Czas jest wobec mnie w porządku. Jakby zostawił mnie w spokoju!* Jego nowi znajomi i koledzy z pracy nie mieli pojęcia o jego przeszłości.

Bawiła go, a może tak naprawdę brzydziła miłość w tradycyjnym, sentymentalnym jej rozumieniu: przysięga wierności, złączenie własnej duszy z duszą drugiej osoby. Jakie się z tego rodziły przywiązania, jakie problemy. On uważał, że oprócz niewątpliwie silnego pociągu seksualnego, jaki mężczyzna odczuwa w stosunku do kobiety, o pociągu do drugiej osoby stanowi tajemnica. Człowiek zakochuje się w tym, co w niej *nieznane*. I właśnie to, co *nieznane*, staje się jej tożsamością. Akt miłosny to próba spełnienia pragnienia, by zamienić *nieznane* w znane. Jest to najsilniejsze pragnienie występujące u gatunku ludzkiego – a czasami najbardziej nietrwałe.

* * *

Gdy tamtego wieczoru Harry Steinhart przedstawiał się Andrei McClure, pozwolił jej sądzić, że spotykają się po raz pierwszy. Faktycznie jednak zwrócił na nią uwagę już kilka miesięcy wcześniej, kiedy podjęła pracę w firmie inwestycyjnej, gdzie on był specjalistą od analizy rynku. Nie była klasycznie piękna; miała niespotykaną urodę – asymetryczną twarz, wystające kości policzkowe, duże ciemne oczy o żywym spojrzeniu, któremu jednak umykało wiele szczegółów otoczenia. Włosy miała ciemnobrązowe, tu i ówdzie posiwiałe, wiecznie ściągnięte brwi i intrygujący lekki uśmiech; liczyła sobie trzydzieści kilka lat i wyglądała na swój wiek. Harry nie umiałby powiedzieć, dlaczego się nią zainteresował. Kiedyś jechali windą tylko we dwoje dwadzieścia dwa piętra w górę, a ona była pochłonięta papierami, których naręcze trzy-

mała w ramionach, i chyba autentycznie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Innym razem Harry zobaczył ją przypadkiem w parku, jak biegła po ścieżce. Podążył za nią w dyskretnej odległości, a potem wspiał się na skałę, wokół której ścieżka zakręcała, miał więc pewność, że kobieta znów przebiegnie obok niego, i rzeczywiście tak się stało. Podniecało go przyglądanie się jej. Przyglądanie się jej, kiedy sam nie był widziany. Przez tę drobną kobietę o przedwcześnie siwiejących włosach, o szczupłych, muskularnych nogach w luźnych białych szortach, o zaciśniętych pięściach. Jogging nie był jej żywiołem, łokcie trzymała sztywno przy sobie, nie poruszała rękami w rytm biegu. Miała ściągnięte brwi i poruszała ustami, jakby bezgłośnie się z kimś kłóciła. Co za intrygująca kobieta, pomyślał Harry o Andrei, której nazwiska jeszcze wtedy nie znał. Taka *tajemnicza*.

W naturze Harry'ego Steinharta nie leżało śledzenie z ukrycia samotnych kobiet. Bynajmniej. Nie chcąc zostać źle zrozumianym, stanął w doskonale widocznym miejscu, na granitowej skale, w blasku grzejącego miło słońca – prezentując spodenki khaki i olśniewająco białą koszulkę, opalone, lekko owłosione nogi i ręce, ujmujący uśmiech. To znaczy gotów był się uśmiechnąć. Ale ona nawet nie spojrzała w jego stronę; przebiegając obok niego, odwróciła wzrok. Jakby w ogóle go nie zauważyła, jakby w ogóle nikogo nie widziała.

Patrzył za nią, zdumiony. Nie dlatego, że został odprawiony z kwitkiem – nawet nie został dostrzeżony. On, *mężczyzna*, nie został doceniony; mało tego, nie został nawet dostrzeżony. O dziwo, rozbawiło go to. Nie poirytowało, nie uraziło, ale właśnie rozbawiło. I rozczuliło.

Umyślnie unikał później tego parku, by nie narażać się na pokusę szukania jej, przyglądania się jej – znowu.

A potem oficjalnie się poznali i zaczęli spotykać się wieczorami i w weekendy. Przez całą wiosnę i pierwsze tygodnie lata *tajemniczość* Andrei w oczach Harry'ego jeszcze się pogłębiała; odczuwał ją dokuczliwie, czasami niemal jak fizyczne drażnienie *nieznanego*: tego, co seksualnie pobudzające. Początkowo Harry był pewien, że szybko zostanie jej kochankiem, lecz ku jego zdziwieniu okazało się, że nie miał racji; był z tego powodu urażony, zdumiony, nieco rozżalony – choć nie na Andreę, tak naprawdę. Bo ona wydawała mu się tak dziwnie wszystkiego nieświadoma, niewinna. Nawet wtedy, gdy mówiła do niego z pozorną bezpośredniością i bez zahamowań, jakby obnażała przed nim duszę.

W jego ramionach często sztywniała, jakby słyszała jakiś hałas w sąsiednim

pokoju. Całowała go i zaraz odsuwała się od niego, obserwując go uważnie. Obracała to w żart:

– Powinieneś znaleźć sobie kogoś normalnego, Harry!

Prowokowała go tym, by odpowiadał z uśmiechem:

– Daj spokój, Andy, szaleję za tobą.

Tego wieczoru, kiedy się poznali, powiedziała: „Nazywam się Andrea McC-
lure i nikt nie mówi na mnie Andy”, co Harry odczytał jako prośbę, nie ostrzeżenie.

Kiedy u schyłku lata zostali wreszcie kochankami, odbyło się to w ciszy, w półmroku sypialni Andrei, do której pewnego wieczoru impulsywnie zaprowadziła Harry'ego za rękę, jakby oznajmiała: „Teraz! Teraz albo nigdy!”. Jej sypialnia znajdowała się na ósmym piętrze budynku z białej cegły, którego okna wychodziły na wąski skrawek zieleni i gdy były uchylone, do środka dochodził dziwny wibrujący odgłos samochodów pędzących po oddalonej o milę autostradzie międzystanowej. Przez całą noc (Harry został do rana) przez tło tego dźwięku przedzierało się odległe wycie syren, tajemnicze krzyki, zawodzenia.

– Jesteś taka piękna! Kocham cię! – szepnął Harry.

Te słowa wyrwały mu się z piersi, jak zawsze po raz pierwszy.

Później stało się to ich zwyczajem, że kochali się w całkowitej ciszy, w nocy, a nie w dzień. W dzień zbyt jasno widziało się i rozumiało drugą osobę; w świetle dnia Harry czuł się zbyt dobrze widzialny, a w uprawianiu miłości, w odróżnieniu od uprawiania seksu, lepiej być niewidzialnym. Tak uważał.

* * *

Byli kochankami, ale sporadycznie. Nie byli parą.

O ile Harry wiedział, Andrea nie spotykała się z innymi mężczyznami; chyba nie miała też przyjaciółek. Spośród wszystkich kobiet, z którymi był blisko, łącznie z tą, która przez sześć lat była jego żoną, Andrea jako jedyna nigdy nie zapytała go o poprzednie związki – czy była tak taktowna, czy tak obojętna? *Nie chce, żebyś ją zapytał o to samo*, pomyślał Harry.

Powiedział, że był żonaty, jego była mieszka teraz w Londynie i że rozstali się „w przyjaźni”, choć obecnie rzadko się kontaktują. Jakby wręczając jej prezent, prezent z samego siebie, dodał:

– Pod względem uczuciowym to już zamknięta sprawa, dla jednej i drugiej

strony. Na szczęście nie mieliśmy dzieci.

– Szkoda – odparła Andrea, marszcząc brwi.

Nieznane w niej. To, do czego nie można było dotrzeć, nawet w chwilach zbliżenia.

Kiedyś spojrzała na niego tymi swoimi głęboko osadzonymi oczami, z wyrazem zaskoczenia, jakby zadał jej trudne pytanie, i powiedziała:

– Będę musiała ci zaufać.

Nie było to stwierdzenie, lecz pytanie.

– Oczywiście, kochanie – odparł szybko Harry. – Zaufać w jakim sensie?

Andrea spojrzała na niego uważnie, nagle zmarszczyła gładkie czoło i zaczęła poruszać wargami. *W tym, jak porusza wargami w pełnej udręczenia ciszy, jest coś odpychającego*, pomyślał Harry.

– Zaufać, w jakim sensie zaufać? – powtórzył. – Co się stało?

Wstała i wyszła z pokoju. (Tego wieczoru byli w mieszkaniu Harry’ego. Przygotował wyszukaną włoską kolację, specjalnie dobrał do niej włoskie wina – przygotowywanie posiłków dla kobiet od dawna stanowiło istotną część jego rytuału uwodzenia, którą z czasem chyba polubił dla niej samej). Poszedł za nią z obawy, żeby nie wyszła, bo nie znał takiego wyrazu jej twarzy, ściągniętego, rozgoryczonego, jakby była dziewczynką przygryzającą wargi, żeby powstrzymać płacz. Stała w korytarzu, dotykała czołem framugi. Powieki miała mocno zaciśnięte, a jej szczupłe ramiona drżały.

– Andy, co się stało?

Harry wziął ją w ramiona. Poczuł ostre, czyste szczęście, jakby brał w ramiona *nieznane* – jakie to się okazało proste, ostatecznie.

Ochronię cię: zaufaj mi!

Później, gdy doszła do siebie, uspokojona, rozluźniona i senna po kilku kieliszkach wina, Andrea wyznała Harry’emu, że myślała, że o coś ją zapytał. Wiedziała, że nie zapytał, ale wydawało jej się, że słyszała słowa. Kiedy Harry zapytał, jakie to były słowa, Andrea odparła, że nie wie. Na jej czole, które nie było już zmarszczone ze zmartwienia, pozostały ślady cienkich poziomych linii.

Harry pomyślał: pociąga nas tajemnica sekretów drugiego człowieka, a nie same sekrety. Czy aby na pewno chcę *wiedzieć*?

Faktem jest, że Andrea prawdopodobnie nigdy by mu nie powiedziała. Bo jaka okazja mogła ją ku temu skłonić? Nie umiał sobie wyobrazić.

Lecz pewnego dnia w marcu zadzwonił u Andrei telefon, który odebrała w sypialni. Harry usłyszał, jak mówi coś podniesionym głosem i nagle wybuchą płaczem – Andrea, która nigdy wcześniej przy nim nie płakała. Nie wiedział, co robić – czy iść ją pocieszać, czy lepiej nie pokazywać jej się na oczy. Jej płacz rozdzierał mu serce. Czuł, że nie może tego znieść. Pomyślał również: *Teraz się dowiem! Teraz tajemnica wyjdzie na jaw!* Jednak szanował jej prywatność. Prawdę mówiąc, trochę się Andrei bał. (Już praktycznie mieszkali razem, choć nie tak jak większość par. Bez atmosfery zabawy w małżeństwo, w domowe ognisko, jaka zwykle panuje w tego rodzaju związkach. Większość rzeczy Harry’ego została w jego mieszkaniu, oddalonym o kilka mil, a on często tam bywał; czasami, jeśli musiał wcześniej stawić się w pracy, miał rano samolot bądź Andrea nie miała czasu, spędzał noc w swoim mieszkaniu, we własnym łóżku).

Harry wszedł do sypialni Andrei, lecz widząc wyraz jej twarzy, zamarł: nie był to żal, lecz furia, widoczna w zmrużonych oczach i zaciśniętych szczękach, furia, jakiej jeszcze nigdy nie widział na twarzy kobiety. I słowa do słuchawki, zduszone, pełne niedowierzania:

– Co to ma znaczyć? Co pan mówi? Kim pan w ogóle jest? To nie do wiary! Ma wyjść za dobre sprawowanie? Przecież dostał dożywocie! Dożywocie! Ten parszywy *morderca został skazany na dożywocie!*

Harry z czasem zobaczył, jak zmarła siostra Andrei odgrywała rolę niewidzialnej „tej trzeciej” w ich związku. Przypominał sobie rzucane przez Andreę z dziwnym naciskiem uwagi o tym, jaka była samotna, wychowując się jako jedynaczka; jej pełen dystansu stosunek do matki, choć dzwoniła do niej regularnie co niedziela wieczorem. Unikała artykułów o zbrodniach i prosiła Harry’ego, żeby zawsze ją przed nimi ostrzegał, tak by się na nie przypadkowo nie natknęła. Unikała również telewizji, z wyjątkiem programów kulturalnych. Niewiele było też filmów, które godziła się obejrzeć z Harrym w kinie, bo „miała mnóstwo podejrzeń co do szczegółów, jakie może wychwycić kamera”.

W jakimś sensie Harry odczuł ulgę, że *nieznane* w życiu Andrei nie miało nic wspólnego z poprzednim kochankiem, nieszczęśliwym małżeństwem, śmiercią dziecka czy, co było najbardziej prawdopodobne, z aborcją. Więc jednak nie miał rywala!

A oto, czego się dowiedział: wczesnym wieczorem 13 kwietnia 1973 roku dziewiętnastoletnia siostra Andrei, Frannie, w odwiedzinach u owdowiałej babci w Wakulla Beach na Florydzie, została napadnięta podczas spaceru na

pustej plaży, pobita, zgwałcona i uduszona własnymi szortami. Jej ciało zostało zaciągnięte do przepustu, gdzie pewne małżeństwo na spacerze z psem odkryło je po niecałej godzinie od morderstwa, zanim babcia zdążyła się zaniepokoić i zgłosić zaginięcie wnuczki na policję. Frannie McClure była naga od pasa w dół, twarz miała tak zmasakrowaną kamieniem, że lewe oko wypłynęło z oczodołu, nos był zmiążdżony, a zęby wybite – ledwie dało się ją rozpoznać. Później miało się też okazać, że jej pochwa i odbyt zostały brutalnie pokaleczone, a spora część owłosienia łonowego wyrwana. Niewykluczone, że gwałt nastąpił po śmierci dziewczyny.

Ofiara zmarła około dwudziestej. Przed godziną dwudziestą trzecią policja z Wakulla Beach zatrzymała motocyklistę włóczęgę, Alberta Jeffersona Rooke'a, dwudziestosiedmioletniego mężczyznę rasy białej, uprzednio notowanego i aresztowanego za posiadanie narkotyków, drobne kradzieże i naruszanie porządku publicznego w Tallahassee, w Tampie oraz w rodzinnym Carbondale w stanie Illinois, gdzie przez jakiś czas odbywał karę w zakładzie poprawczym dla młodych mężczyzn. Raport z aresztowania Rooke'a stwierdzał, że był on pijany oraz pozostawał pod wpływem amfetaminy; wyglądał niechlujnie, długie włosy miał pozlepiane w strąki, ubranie brudne i stawiał gwałtowny opór aresztującym go funkcjonariuszom. Kilkoro świadków zeznało, że widziało podobnego do niego z wyglądu mężczyznę w pobliżu miejsca, gdzie odnaleziono ciało zamordowanej, a młoda narkomanka towarzysząca Rooke'owi we włóczędze złożyła pogrążające go zeznanie o jego przechwałkach, że „zrobił coś potwornego”. Na posterunku policji w Wakulla Beach, bez obecności adwokata, Rooke przyznał się do popełnienia przestępstwa, jego zeznanie zostało zarejestrowane na taśmie magnetofonowej i o godzinie drugiej w nocy 14 kwietnia 1973 roku policja miała już winnego. Rooke zrzekł się przysługującego mu prawa do obrońcy. Został oskarżony między innymi o morderstwo z premedytacją i zatrzymany w areszcie. Przydzielono mu strażnika, by nie próbował sobie czegoś zrobić.

Wiele miesięcy później Rooke wycofał zeznanie, twierdząc, że zostało na nim wymuszone. Mówił, że policjanci go bili i grozili, że go zabiją. Był naćpany, ledwie trzymał się na nogach, nie wiedział, co mówi. Na pewno jednak nie przyznał się do winy dobrowolnie. Nie miał pojęcia o gwałcie i morderstwie Frannie McClure – w życiu nawet nie widział Frannie McClure. Jego adwokat, obrońca z urzędu, twierdził, że jego klient jest niewinny, lecz podczas rozprawy Rooke wywarł tak niekorzystne wrażenie, że adwokat poprosił o przerwę na krótką naradę i przekonał Rooke'a, iż powinien przyznać się do stawianych mu zarzutów, by o werdykcie nie decydowała ława przysięgłych,

która na pewno orzekłaby winę i skazała go na krzesło elektryczne. W razie przyznania się do winy Rooke mógł odwoływać się później do stanowego sądu apelacyjnego, argumentując, że zmuszono go do przyznania się do zabójstwa, którego w rzeczywistości nie popełnił.

Rooke zrzekł się zatem prawa do poddania się wyrokowi przysięgłych, przyznał się do zarzucanych mu czynów i został skazany na dożywotnie więzienie. Obmyślona przez adwokata strategia nie zdała egzaminu, gdyż sąd apelacyjny odrzucił jego podanie, w którym wycofywał przyznanie się do winy i twierdził, że jego zeznanie nie było ważne. Miało to miejsce w roku 1975. Teraz, wiosną 1993 roku, Rooke miał zostać zwolniony warunkowo za dobre sprawowanie. Według relacji prokuratora, który skontaktował się z matką Andrei z ramienia Programu Ochrony Ofiar i Świadków Zbrodni w Stanie Floryda i od niej dostał numer telefonu do córki, przez ostatnie dwanaście lat Rooke był „wzorowym więźniem”. Zgromadził pękata teczkę listów pochwalnych od strażników więziennych, terapeutów, psychologów, wolontariuszy prowadzących kampanię przeciwko analfabetyzmowi oraz katolickiego kapelana więziennego. Program Ochrony Ofiar i Świadków Zbrodni dopuszczał, by przed komisją do spraw zwolnień warunkowych zeznawały ofiary i członkowie ich rodzin, dlatego zaproponowano Andrei McClure możliwość zabrania głosu podczas przesłuchania w sprawie Rooke’a, wyznaczonego na kwiecień. Jeżeli chciałyby się w to zaangażować, jeżeli ma coś do powiedzenia.

Jej matka była zbyt przygnębiona, by podjąć jakieś działania. Przybiła ją już rozmowa telefoniczna z Andreą na ten temat.

Z wyjątkiem przedstawiciela Prokuratury Rejonowej w Wakulla Beach wszyscy składający zeznania podczas przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego Alberta Jeffersona Rooke’a – gdyby nie stawiała się Andrea – mieli wypowiedzieć się na korzyść więźnia.

Ocierając oczy, Andrea powiedziała:

– Jeśli ten człowiek wyjdzie na wolność, to przysięgam, że sama go zabiję.

– Kiedy Frannie umarła, miałam czternaście lat – powiedziała. – Miałśmy razem spędzić Wielkanoc u babci na Florydzie, ale nie chciało mi się jechać i Frannie poleciała sama. Gdybym z nią poleciała, żyłaby dzisiaj, prawda? Po prostu stwierdzam fakt. To tylko proste stwierdzenie faktu.

– Tak, ale... – zaczął Harry z wahaniem w głosie, zastanawiając się, co powiedzieć, skoro był pewien, że Andrea wyrzuca to sobie bez przerwy od dwudziestu lat – same fakty bywają mylące. Nie można interpretować faktu bez

kontekstu.

Andrea uśmiechnęła się niecierpliwie. Nie patrzyła na Harry'ego, lecz nad jego ramieniem.

– Albo człowiek żyje, albo nie żyje. To jedyny kontekst.

O ile wcześniej Andrea zachowywała tajemnicę o zamordowanej siostrze dla siebie, o tyle teraz urywanym, nerwowym głosem nagle zaczęła otwarcie mówić o tym, co się stało. Opowiadała o Frannie, o tym, jak jej śmierć wpłynęła na rodzinę i jak po rozprawie wydawało im się, że sprawa nareszcie odeszła w przeszłość.

– Przecież został skazany na dożywotnie więzienie. Zamiast na krzesło elektryczne. Czy to nic nie znaczy?

– Zawsze istnieje możliwość zwolnienia warunkowego, chyba że sędzia zdecyduje inaczej przy wydawaniu wyroku – odparł Harry. – Musieliście o tym wiedzieć.

Andrea sprawiała wrażenie, że nie słyszy. A nawet jeśli słyszała – że to do niej nie dociera.

Wyjęła z szafki album z fotografiami. Pokazywała Harry'emu zdjęcia zmarłej siostry – była ładna, miała szczupłą twarz i duże, wyraziste oczy, podobnie jak Andrea. Przerzucając strony z rodzinnymi zdjęciami, Andrea nie zatrzymywała się przy tych, na których widniała ona sama, i wydawała się zdziwiona, że Harry chce je obejrzeć. Miała też listy i widokówki od Frannie, i wycinki z gazety z Roanoke – Frances McClure otrzymała stypendium do Middlebury, Frances McClure wzięła udział w sześciotygodniowym wyjeździe studentów do Peru. (Nie było wycinków dotyczących zbrodni – ani jednego). Andrea odpowiadała na pytania Harry'ego wyczerpująco, ciepło i z ożywieniem; czasami w środku rozmowy na zupełnie inny temat lub przerywając ciszę, nagle zaczynała mówić o Frannie, jakby cały czas rozmawiali właśnie o niej.

Harry pomyślał: to musi być jak sen. Jak podziemny strumień. Bez ustanku.

– Najpierw całymi latami nie myślałam o Frannie – wyznała Andrea. – Po rozprawie byliśmy wykończeni i unikaliśmy rozmów o jej śmierci. Szczerze mówiąc, nie wierzę, że to było to, co psychiatra nazywa „zaprzeczaniem rzeczywistości” – po prostu powiedzieliśmy już wszystko, co było do powiedzenia. Umarli się nie zmieniają, prawda? Ani nie stają się bardziej dojrzały, ani mniej umarli. Śmieszne, Frannie wydawała mi się taka dorosła, a teraz patrzę na jej zdjęcia i widzę, jaka była młodziutka, miała tylko dziewiętnaście lat, ja

mam teraz trzydzieści cztery i jej wydawałabym się stara. Chciałabym móc powiedzieć, że się nie dogadywałyśmy, ale to nieprawda – kochałam ją, bardzo ją kochałam. Była ode mnie starsza, ale nie za dużo – w sam raz, o pięć lat, więc o nic nie rywalizowałyśmy, to ona zawsze była na pierwszym miejscu, wszyscy za nią przepadali, ty też byś za nią przepadał, tak łatwo i zaraźliwie się śmiała, była tak *pełna życia*. Jej współlokatorka z Middlebury mówiła, że nie może uwierzyć, że Frannie nie żyje, bo nie знаła osoby, która byłaby bardziej pełna życia, a taka cecha nie ulega zmianie. Ale przestaliśmy o tym rozmawiać, bo to było zbyt okropne. Tęskniłam za nią, ale przestałam o niej myśleć. Poszłam do innej szkoły, rodzice przeprowadzili się do innej dzielnicy Roanoke, ułożyliśmy sobie życie tak, żeby móc o niej nie myśleć. Teraz, po dwudziestu latach, Frannie często mi się śni – ale wtedy chyba mi się nie śniła. Myślałam o niej tylko czasami, kiedy byłam sama, szczególnie podczas zakupów – zresztą zostało mi to do dzisiaj, bo Frannie zabierała mnie ze sobą na zakupy, kiedy byłam mała. Teraz czasem wydaje mi się, że ktoś przy mnie jest, że do kogoś mówię i kogoś słucham – ale nie naprawdę, to znaczy to nie naprawdę Frannie. Czasem ogarnia mnie lęk, bo wydaje mi się, że zapomniałam, jak ona wyglądała – że jej pamięć blaknie. Ale nigdy nie zapomnę. Ona nie ma nikogo oprócz mnie. Pamięć o niej to wyłącznie moja odpowiedzialność. Miała chłopaka, ale on dawno zniknął z mojego życia – ożenił się, ma dzieci. Odszedł. Gdyby zaczepił mnie któregoś dnia na ulicy, gdyby zjawił się u mnie w pracy, gdyby zjawił się jako mój przełożony – nie poznałabym go. Patrzyłabym na niego jak na powietrze. Czasami na matkę patrzę jak na powietrze i widzę, że ona też na mnie tak patrzy. Bo myślimy o Frannie, ale się do tego nie przyznajemy, bo nie umiemy o tym mówić. A jeśli ona w danej chwili myśli o Frannie, a ja nie, wtedy *naprawdę* patrzy na mnie jak na powietrze. Mój ojciec zmarł na raka wątroby – to był skutek tego, co nam zrobił morderca Frannie. Nigdy nie wypowiedaliśmy jego nazwiska, ani na głos, ani nawet w myślach. Byliśmy na rozprawie, widzieliśmy go i pamiętam, jak mi ulżyło – nie wiem jak mamie i ojcu, ale mi na pewno – kiedy zobaczyłam, że to człowiek doszczętnie zdeprawowany. Twarz miał całą w krostach. Oczy nabiegłe krwią. Udawał, że chce popełnić samobójstwo, żeby zyskać współczucie albo sprawić wrażenie wariata, więc ciągle szpikowali go jakimiś prochami, a to źle wpływało na jego koordynację ruchową. W ogóle dużo udawał. Grał. Ale jego gierki na nic się zdały – dostał dożywocie. Nie mogę uwierzyć, że jakaś komisja może na poważnie rozpatrywać jego sprawę. Czuję, że to rutyna. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że to sprawa czysto rutynowa. Nie pozwolą mu

wyjsć na wolność. Będę jednak musiała tego dopilnować, bo jeśli nie dopilnuję, a oni go wypuszczą, to będzie moja wina. Będę to miała na sumieniu. Mówiłam ci już o tym, prawda? Miałam lecieć do babci razem z Frannie, ale nie poleciałam. Miałam czternaście lat, swoje grono przyjaciół, nie miałam ochoty lecieć wtedy do Wakulla Beach. Gdybym z nią była, żyłaby dzisiaj. To prosty, neutralny fakt. Nie oskarżenie, tylko zwyczajny fakt. Rodzice nigdy mnie nie obwiniali, w ogóle nie poruszali tego tematu. To dobrzy ludzie, można chyba powiedzieć – dobrzy chrześcijanie. Na pewno żalowali, że nie ja odeszłam, tylko Frannie, ale nie mogę powiedzieć, żebym miała im to za złe.

Harry nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Twoi rodzice na pewno żalowali – czego? Że nie umarłaś zamiast siostry? Mówisz poważnie?

Podczas opowieści Andrea z rzadka robiła przerwy na oddech. Teraz patrzyła na Harry'ego, ściągając brwi.

– Nie powiedziałaś tego. Widocznie źle zrozumiałeś.

– Widocznie źle... Skoro tak twierdzisz.

– Pewnie się przesłyszałaś. Co takiego powiedziałaś?

W takich sytuacjach Andrea robiła się nerwowa, przeczesała palcami włosy, tak że sterczały w śmiesznych kępkach; wargi jej drżały.

– Nic się nie stało, Andy – mówił wtedy Harry. – No już. Już dobrze. – Chwytał ją za nadgarstki i czasami całował wilgotne dłonie. Albo zamykał ją w uścisku, swawolnym i mężowskim. Jaka ta Andrea była drobna, jak drobna może być dorosła kobieta; kości, które można by połamać, gdyby się przytuliło za mocno, więc lepiej uważać. Harry'ego aż serce bolało ze współczucia. – Już o tym dzisiaj nie myśl, Andy. Dobrze? Kocham cię.

Andrea odpowiadała wtedy zdziwionym tonem, jakby dzieliła się tym spostrzeżeniem po raz pierwszy, choć w istocie było inaczej:

– Poza tobą tylko Frannie mówiła do mnie Andy. Wiedziałaś o tym?

Był z wykształcenia prawnikiem. Specjalistą od prawa gospodarczego, nie karnego. Mimo to zastanawiał się czasem, czy to możliwe, że tego wieczoru, kiedy się poznali, Andrea zwróciła na niego uwagę, ponieważ miał dyplom z prawa. Gdy wspomniał, że ukończył prawo w Yale, zaczęła okazywać większe zainteresowanie.

A może tylko mu się zdawało? Wiadomo, że na ludzkiej pamięci nie można polegać. Jest jak klisza, którą pokrywają plamy amnezji.

Pamięć: Frannie McClure istnieje dziś jedynie w pamięci.

To jest najstraszniejsze w śmierci, pomyślał Harry rzeczowo. Moje istnienie jako faktu historycznego zależy od pamięci innych ludzi. Którzy są pełni wad, ułomni i też śmiertelni.

Choć nigdy nie rozmawiali o tym na tak abstrakcyjnej płaszczyźnie, gdyż Andrea unikała mówienia o siostrze inaczej niż w konkretach, Harry rozumiał, że jej obawy nie wypływają tylko z tego, że Albert Jefferson Rooke może zostać zwolniony warunkowo po odsiedzeniu zaledwie dwudziestu lat z dożywotniego wyroku; chodzi o to, że gdyby wyszedł na wolność, zakwestionowane zostałyby prawo Frannie McClure do wiecznego, tragicznego znaczenia.

Poza tym: aby Frannie McClure mogła nadal istnieć jako fakt historyczny, muszą zachować się wspomnienia o niej jako osobie, a nie jako nic niemówiącym nazwisku, liczbie w statystykach dotyczących gwałtów, aktach z rozprawy sądowej. Mimo upływu dwudziestu lat tych wspomnień wciąż było sporo, bo jako młoda Amerykanka, która chodziła do dużej szkoły publicznej i prawie ukończyła dwa lata college'u, Frannie znała setki ludzi; lecz naturalnie liczba ta malała z roku na rok. Ludzi, którzy pamiętali jej siostrę, Andrea mogła teraz wymienić na palcach jednej ręki – byli to krewni, sąsiedzi, którzy znali ją od urodzenia. Babcia, która mieszkała w pięknym domu tuż przy plaży z widokiem na Zatokę Meksykańską, nie żyła od roku 1979. Nigdy nie otrząsnęła się z szoku i żałoby po śmierci wnuczki. Jeszcze ojciec Andrei, który zmarł w roku 1981. I matka, której Harry dotąd nie poznał, z umyślną nieścisłością określana przez Andree jako „trudna”. Mieszkała w domu spokojnej starości w Roanoke i nigdy z nikim nie rozmawiała o swojej zamordowanej córce. Dlatego nie sposób było zmierzyć, jak bardzo zmarła istnieje w pamięci matki.

Czasami, gdy Andrei nie było, Harry wyciągał zdjęcia Frannie McClure i długo je oglądał. Jedno opatrzone było datą 25 grudnia 1969 roku, Frannie miała wówczas piętnaście lat, przytulała swoją dziesięcioletnią siostrę i stroiła miny do aparatu. Była piękną dziewczyną w dżinsach i zbyt obszernym swetrze. Flesz aparatu nadał jej brązowym oczom dziwny kasztanowoczerwony połysk. Siostry stały na tle wysokiej na siedem stóp choinki, stojonej w zbędne świecełka.

Harry zauważył: kochali się z Andree prawie zawsze w całkowitej ciszy, przerywanej tylko mamrotanymi przez nią, oderwanymi słowami, cichymi jękami, tłumionym szlochem. Można było te dźwięki przypisać miłości, namiętności. Lecz przeważnie panowała cisza, cisza jakościowo zupełnie inna

od tej, jaką Harry pamiętał z ich pierwszych wspólnie spędzonych nocy. Rozumiał, że Andrea myśli o szamoczącym się ciele Frannie, kiedy w nie również wchodził męski członek; Harry'ego ogromnie to podniecało, ale też uczulało, że musi być delikatny, uważać, żeby za mocno nie przygniatać Andrei swoim ciężarem. Jako kochanek mierzył się też z wyzwaniem, by wydobyc Andreę z transu i zmusić do skoncentrowania się na nim. Gdyby wciągnął ją w cielesną rozkosz, w prawdziwą namiętność, toby się udało. Równocześnie musiał się pilnować, by koncentrować się na Andrei, wyłącznie na Andrei, i nie dopuścić do tego, by jego myśli zeszyły na tajemniczą, tragiczną dziewczynę z fotografii.

Rozmowa telefoniczna Andrei z adwokatem z Programu Ochrony Ofiar i Świadców Zbrodni odbyła się pod koniec marca. To dało jej tylko dwadzieścia sześć dni na to, żeby się przygotować – pod względem emocjonalnym i każdym innym – do przesłuchania, wyznaczonego na 20 kwietnia w Tallahassee. Andrea jakby mimochodem zwróciła uwagę Harry'ego na zbieg okoliczności – bo oczywiście nie było to niczym więcej – pierwsze posiedzenie komisji do spraw zwolnień warunkowych ma odbyć się we wtorek, tydzień i dwa dni po Niedzieli Wielkanocnej; a dokładnie o godzinie dwunastej dziesiąt we wtorek po Niedzieli Wielkanocnej w 1973 roku państwo McClure odebrali telefon z Wakulla Beach i dowiedzieli się, że Frannie nie żyje.

Ocierając oczy, Andrea mówiła dalej:

– Z tego pierwszego telefonu nie wynikało, jak Frannie umarła. Co ten typ jej zrobił. Nie żyła, taki był fakt. Powiedzieli, że była to „napaść” i że aresztowali sprawcę, ale przez telefon nie chcieli wdawać się w szczegóły, rzecz jasna. Nie w szczegóły tego rodzaju. Podejrzewam, że takie mają przepisy. Na pewno są jakieś przepisy dotyczące sposobu zawiadamiania rodziny zamordowanego. Kiedy zadzwonili do babci, żeby jeszcze tego samego wieczoru zgłosiła się na identyfikację zwłok – to dopiero musiała być trudna rozmowa. Babcia zemdląła i potem niewiele umiała sobie przypomnieć. Moi rodzice też musieli dokonać identyfikacji. Chyba pokazali im tylko twarz Frannie – ale jej twarz była tak potwornie zmasakrowana. Ja jej nie widziałam, a wieko trumny było zamknięte, więc tak naprawdę nie wiem. Nie powinnam mówić o czymś, czego nie wiem, prawda? Nie powinnam ciebie w to włączać, prawda? Więc nie będę.

– Ależ, kochanie, to jasne, że chcę być w to włączony – powiedział Harry. – Pojadę z tobą. Pomogę ci, na ile będę potrafił.

- Nie musisz, naprawdę. Nie miej poczucia, że to twój obowiązek.
- Oczywiście, że pojedę z tobą na to cholerne przesłuchanie – uciął Harry.
- Nie pozwoliłbym, żebyś sama przechodziła przez taki koszmar.
- Ale poradziłabym sobie sama – powiedziała Andrea. – Nie wierzysz? Nie mam już czternastu lat. Jestem zupełnie dorosła.

Tyle że: Harry słyszał płacz Andrei, budząc się w nocy, i stwierdzał, że nie ma jej w łóżku; przez kilka nocy z rzędu słyszał, że siedzi w łazience, z włączonym wentylatorem, żeby zagłuszyć płacz. A może mówiła do siebie szybko, przyciszonym głosem. Może Andrea uczyła się na pamięć zeznania, jakie złoży przed komisją. Ktoś jej powiedział, że lepiej nie czytać zeznania z kartki ani nie sprawiać wrażenia, że powtarza się wyuczony wcześniej tekst. Zamykała się więc w nocy w łazience, włączała wentylator, by zagłuszał jej słowa, przerywane, niczym naturalnymi znakami przestankowymi, płaczem czy przekleństwami, i uczyła się swojej roli, a Harry, nie mogąc zasnąć, myślał: *Czy mam na to dosyć siły? Czego wymaga to ode mnie?*

Oto, co zrobił, nie mówiąc nic Andrei: kilka dni przed planowanym lotem do Tallahassee pojechał do biblioteki Wydziału Prawa w Georgetown i przeczytał stenogram apelacji z grudnia 1975 roku od wyroku skazującego w sprawie z roku 1973 *Obywatele stanu Floryda vs. Albert Jefferson Rooke*. Ledwie zaczął czytać zeznanie Rooke'a, zdał sobie sprawę, że coś w nim nie gra.

(...) tego wieczoru poczułem, że chcę to zrobić... chcę komuś zrobić coś złego... wyszedłem i rozglądałem się za jakąś dziewczyną albo kobietą... nienawidzę ich... nienawidzę ich jak diabli... lubię zadawać ludziom ból... i dawać glinom coś do roboty... zobaczyłem tą dziewczynę na plaży... nigdy wcześniej nie widziałem jej na oczy... podszedłem, a ona zaczęła się drzeć... to mnie wkurzyło i się wściekłem... i tak dalej, dwadzieścia trzy strony nieskładnego monologu. Harry miał wrażenie, że gdzieś już to czytał, a przynajmniej coś bardzo podobnego; szczegóły oraz miejsce zbrodni, Wakulla Beach na Florydzie, były nowe, ale ogólna wymowa i ton były mu skądś znane.

Czym było „zeznanie” Alberta Jeffersona Rooke'a, jeśli nie standardową śpiewką, jaką policja wkładała (a może w niektórych częściach kraju wciąż wkłada?) w usta zatrzymanego, człowieka podejrzanego wyglądającego i całkowicie bezbronno? W przypadkach szczególnie odrażających zbrodni? Jeśli był to zamiejscowy, a na dodatek tak pijany, zaćpany lub odrażający, że świadkom wystarczyło na niego raz spojrzeć, by stwierdzić: *to ten!*, policjantom też wystarczyło raz spojrzeć, by stwierdzić: *to ten!*, a jeśli ów pechowiec

nie popełnił akurat tej konkretnej zbrodni, to i tak można założyć, że popełnił wiele innych, na których nie został przyłapany, więc pomóżmy mu przypomnieć sobie czyny, których nie popełnił. Harry bez trudu to sobie wyobraził: przyprowadzili na posterunek skutego kajdankami obdartego hipisa z włosami pozlepianymi w strąki, który bredził bez ładu i składu i nie wiedział, gdzie się znajduje, rzekł się prawa do obrońcy, może nawet nie wyrecytowali przysługujących mu praw, zgodził się pójść glinom na rękę i zrobić, o cokolwiek poproszą, byle tylko przestali walić jego głową o ścianę i dusić go, kiedy „stawia opór”, gdy tymczasem dla nich, profesjonalistów, jest oczywiste, tak jak okaże się oczywiste i dla ławy przysięgłych, że mają przed sobą chorego zbrojnego, który gwałci, torturuje, morduje. Przecież wiemy, że „Albert Jefferson Rooke” jest winny.

Harry długo siedział w bibliotece, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Było mu niedobrze. Czy to możliwe? Czy to *naprawdę* możliwe?

– Proszę cię, nie myśl, że musisz się tym przejmować, tą moją obsesją – powiedziała Andrea. – Masz swoją pracę i swoje życie. Przecież – urwała i zaczęła bezgłośnie poruszać wargami – nie jesteśmy małżeństwem.

– A co ma z tym wspólnego małżeństwo? – zapytał Harry. Zauważył, że kiedy podszedł bliżej, zniknął błysk w jej oczach; chciała utrzymać dystans. Wrócił z biblioteki, powiedział Andrei tylko tyle, że czytał o sprawie Rooke’a, i zapytał, czy chciałaby porozmawiać o tym, jak to wygląda w świetle prawa. Ona zwróciła ku niemu woskowo bladą twarz i zaczerwienionymi oczami popatrzyła tak, jakby się przyznał, że ją zdradza. – Nie o tym rozmawiamy.

– W ogóle nie powinnam ci mówić o Frannie. Byłam samolubna. Jesteś jedyną w moim życiu osobą, która wie, ale źle zrobiłam, że ci powiedziałam, żałuję i *przepraszam*.

Wyszła z pokoju. Harry wiedział, że tego rodzaju przeprosiny maskują gorzkie pretensje: znał ten ton, już kiedyś przez to przechodził.

Jednak poszedł za Andream do drugiego pokoju, do okna, przy którym stała. Dygotała i nie chciała na niego patrzeć, cicho, jakby mówiła do siebie, powtarzała, że nie powinna go w to wszystko mieszać, że nie znał jej siostry, że to dla niego zbyt wielkie obciążenie, przecież nie należy do rodziny, jaka była krótkowzroczna, powinna była kazać mu iść do domu tamtego wieczoru, kiedy zadzwonił telefon, to była jej prywatna sprawa – a Harry słuchał, nie mógł się zmusić, żeby jej przerwać, przecież kochał tę kobietę, a w każdym razie nie mógł jej zranić, nie w tym momencie.

– Nie jestem mściwa – mówiła Andrea – chcę tylko sprawiedliwości dla

Frannie. Odpowiadam za to, żeby o niej pamiętano. Ona nie ma teraz nikogo oprócz mnie.

– Andy, nie ma sprawy – powiedział ostrożnie Harry. – Możemy o tym pomówić kiedy indziej.

Może podczas lotu do Tallahassee? Mieli lecieć nazajutrz rano.

– Wcale nie musimy o tym mówić – ucięła Andrea. – Nie jestem mściwa.

– Nikt nie mówi, że jesteś mściwa. Kto tak powiedział?

– Nie znałeś Frannie i może mnie też tak naprawdę nie znasz. Sama nie zawsze wiem, kim jestem. Ale wiem, co muszę *zrobić*.

– I to jest najważniejsze. To jest – szukał najodpowiedniejszego, najwłaściwszego w tej sytuacji słowa, które nie chciało mu się nasunąć, chyba że było to słowo – etyczne. Na pewno.

To jest etyczne. Na pewno. Podczas lotu do Tallahassee powie jej, co odkrył.

Ale Andrea źle spała w nocy. Nad ranem Harry chyba słyszał, jak wymiotowała w łazience. W drodze na lotnisko i podczas lotu miała nienaturalnie błyszczące oczy i rozszerzone źrenice i to milczała, to nerwowo wyrzucała z siebie potoki słów, i przez większość czasu ścisnęła go za rękę, jak więc mógł jej w takich okolicznościach powiedzieć, co miał do powiedzenia, a zresztą co on tak naprawdę *wiedział*, nic nie wiedział, tylko się domyślał, zresztą poruszenie takiej kwestii leżało w gestii adwokata Rooke'a, jak niby on miał się wtrącić, nie wyobrażał sobie tego.

Czoło Andrei było poprzecinane drobnymi zmarszczkami jak zmięta ircha, gdy mówiła:

– Dziwne: wciąż mam przed oczami jego twarz, *on* jest moim audytorium. Wchodzę do niedoświetlonej sali, gdzie zebrała się komisja. *On* też tam jest. Nie zmienił się przez te dwadzieścia lat. Poznaje mnie natychmiast. Oczywiście, tak naprawdę nie widzi mnie, tylko Frannie. Widzi Frannie. Czytałam te dokumenty, które mi przysłali, i wiesz, co mnie najbardziej oburza, co uważam za szczyt wszystkiego? Rooke twierdzi, że nie pamięta nawet jej imienia! Uporczywie twierdzi, że nigdy jej nie widział na oczy, nie zgwałcił jej, nie torturował jej i nie udusił, w ogóle jej nie znał, a teraz, po dwudziestu latach, mówi, że nawet by nie pamiętał, jak miała na imię, gdyby mu tego ciągle nie powtarzano! – Andrea spojrzała na Harry'ego, by sprawdzić, czy podziela jej oburzenie. – Ale kiedy mnie zobaczy, to zobaczy Frannie i wszystko mu się przypomni. I dotrze do niego, że wróci do więzienia i spędzi tam resztę życia. Bo Frannie nie chciałaby się mścić, nie była mściwa,

ale na pewno chciałyby sprawiedliwości.

Harry myślał: czy prawda jest tego warta? – zakładając, że prawdę da się poznać.

* * *

W końcu nie było wiadomo, czy Albert Jefferson Rooke przebywał na terenie budynku Stanowego Departamentu Sprawiedliwości w Tallahassee, gdy Andrea zeznawała przed komisją do spraw zwolnień warunkowych; a Andrea nie dociekała. Do sali, w której miało odbyć się przesłuchanie, prowadzona przez młodą prawniczkę z Programu Ochrony Ofiar i Świadców Zbrodni, szła jak ogłuszona i oślepiąca. Harry'emu Steinhartowi pozwolono jej towarzyszyć w charakterze przyjaciela rodziny McClure, nie świadka. *Nareszcie, pomyślał Harry. Będzie po wszystkim, coś zostanie postanowione.*

Rozmowa trwała godzinę i czterdzieści minut; przez cały ten czas Andrea skupiała wyłącznie na sobie uwagę siedmiu białych mężczyzn w średnim wieku, którzy stanowili skład komisji. Pokazywała zdjęcia zamordowanej siostry, czytała fragmenty listów Frannie oraz listów jej nauczycieli, przyjaciół i znajomych, którzy tak mocno przeżywali śmierć Frannie, że wszyscy obecni zrozumieli (nawet Harry, który słuchał tego jakby po raz pierwszy, miał łzy w oczach), że Frances McClure naprawdę żyła i że jej strata jest dla świata tragedią. Sala, w której odbywało się posiedzenie, była pozbawiona okien, znajdowała się na dziesiątym piętrze eleganckiego, nowoczesnego budynku i w niczym nie przypominała pomieszczenia, które Andrea sobie wyobraziła – była jasna od światła jarzeńówek. Nie było żadnych cieni. Krzesło, na którym siedziała Andrea, stało pod kątem w stosunku do stołu prezydialnego, za którym siedziało siedmiu mężczyzn, co budziło skojarzenie z minimalistyczną scenografią. Andrea wystąpiła w granatowym kostiumie z lnu i kremowej jedwabnej bluzce; modnie skrojona długa, szeroka spódnica niemal całkowicie skrywała jej szczupłe nogi. Była blada, czoło miała pomarszczone, jakby na dowód przeżytych cierpień, głos łamał jej się od czasu do czasu, ale ogólnie była opanowana, mówiła spokojnym tonem, patrząc członkom komisji w oczy, każdemu po kolei; na ich taktownie sformułowane pytania odpowiadała bez wahania i z uczuciem, jakby wszyscy byli towarzyszami zjednoczonymi w walce o słuszną etycznie sprawę. *Ludzie tacy jak my przeciwko takim jak on.* Pod koniec Andrei zaczęły puszczać nerwy, jej głos nie był już tak opanowany, z oczu płynęły łzy, ale mimo to udało jej się mówić spokojnie, starannie wymawiać każde słowo.

– Nikt nie może odwrócić tego, co Albert Jefferson Rooke zrobił mojej siostrze. Nawet jeśli spędzi on w więzieniu resztę życia, zgodnie z pierwotnym wyrokiem. Uniknął krzesła elektrycznego, ponieważ przyznał się do winy, potem z kolei twierdził, że jest niewinny: widać więc, jak ceni sobie prawdę. Nigdy nie wyraził choćby śladowej skruchy za popełnioną zbrodnię, widzimy więc, że jest dokładnie takim samym człowiekiem jak wtedy, kiedy zabił moją siostrę. Nie zmienił się przez te dwadzieścia lat. Nie chce się przyznać ani do zbrodni, ani do swojej choroby. Jak wiemy, osoby, które popełniają poważne przestępstwa na tle seksualnym, rzadko się zmieniają, nawet jeśli zostaną poddane odpowiedniej terapii, a ten człowiek nie przeszedł żadnej terapii, ponieważ zawsze wypierał się swojej choroby. Więc znów będzie gwałcił, znów będzie zabijał. Kiedy nadarzy się okazja, odegra się na pierwszej lepszej dziewczynie, tak jak na mojej siostrze. Potem przecież zawsze może udawać, że nic nie pamięta. Teraz twierdzi, że nie pamięta nawet imienia mojej siostry, ale ona nazywała się Frances McClure i inni pamiętają. Twierdzi, że chce zostać zwolniony warunkowo, żeby „zacząć od nowa”. Co taki człowiek jak on może „zacząć od nowa”? Widzę, że zgromadził całą teczkę listów od tolerancyjnych ludzi, pełnych dobrych chęci, których oszukał tak, jak ma nadzieję oszukać i was, panowie. Wiedzą panowie, jak więźniowie nazywają tę taktykę. To wulgarne wyrażenie, które aż wstyd mi powtórzyć: „robić gówno z mózgu”. Uczą się „robić gówno z mózgu” strażnikom więziennym i terapeutom, pracownikom socjalnym i kapelanom, a nawet, tak, proszę panów, komisji do spraw zwolnień warunkowych. Czasami mówią, że żałują popełnionych czynów i że nigdy więcej nie zrobią czegoś podobnego; dręczą ich „wyrzuty sumienia”. Ten morderca jednak nie odczuwa nawet takich „wyrzutów sumienia”. Chce po prostu wyjść z więzienia, żeby „zacząć od nowa”. Wydaje mi się, że wiem, w jaki sposób z panami rozmawiał, jak usiłował panów przekonać, że to, co zrobił dwadzieścia lat temu, się nie liczy, bo *teraz* jest inny, *teraz* nie będzie brał narkotyków i popełniał przestępstw. Znajdzie pracę, bardzo chce pracować. Wydaje mi się, że wiem, jak bardzo chcieliby panowie mu wierzyć, bo zawsze chcemy wierzyć ludziom, którzy tak mówią. To chrześcijański odruch. Ludzki odruch. Sprawia, że czujemy się dobrzy – umiemy się zdobyć na „miłosierdzie”. Ale więźniowie określają tę strategię „robieniem gówna z mózgu” i musimy o tym pamiętać. Ten morderca zwrócił się do panów z prośbą o warunkowe zwolnienie za dobre sprawowanie – kłamstwem i manipulacją wymusił na panach wiarę w swoje słowa. A ja przybyłam tutaj, aby powiedzieć prawdę. Występuję w imieniu mojej siostry. Ona powiedziałaaby – prosiłaby was, pa-

nowie, byście nie wypuszczali na wolność tego okrutnego, chorego, zdolnego do morderstwa człowieka, tak by popełniał kolejne zbrodnie! Nie dopuście do tego, by płynące z dobrych intencji „miłosierdzie” doprowadziło do brutalnego zgwałcenia i zamordowania kolejnej niewinnej dziewczyny. Dla mnie jest już za późno, powiedziałyby Frannie, mogą panowie jednak ocalić życie kolejnym potencjalnym ofiarom.

Już pół godziny później Andrea została powiadomiona, że członkowie komisji jednomyślnie zagłosowali przeciwko zwolnieniu Alberta Jeffersona Rooke’a. Zapytała, czy może podziękować komisji, i wpuszczono ją z powrotem do sali. Harry zaczekał, aż Andrea, na której twarzy malował się uśmiech ulgi, każdemu członkowi komisji z osobna podziękuje i uściśnie dłoń. Teraz nie powstrzymała już płaczu, ale nie miało to znaczenia. Gdy już znaleźli się w pokoju hotelowym, powiedziała Harry’emu:

– Każdy z nich podziękował *mnie*. Oni dziękowali *mnie*. Jeden powiedział: „Gdyby nie pani, może popełnilibyśmy poważny błąd”.

Neutralnym głosem Harry odpowiedział:

– Czyli odniosłaś prawdziwy triumf. Udało ci się narzucić im swoją wolę.

Andrea popatrzyła na niego zdziwiona. Zdjęła lniany zakiet i wieszła go starannie na różowym jedwabnym wieszaku. Miała łagodniejsze rysy twarzy, lekko zwilgotniałe oczy, rozchylone usta – swój najbardziej intymny wygląd, znany Harry’emu z chwil następujących po tym, kiedy się kochali. Jej głos jednak brzmiał dźwięcznie, niemal ostro.

– O nie, to nie była moja wola, tylko wola Frannie. Mówiłam w jej imieniu i powiedziałam prawdę, i tyle. A teraz jest już po wszystkim.

Wieczorem Andrea nie ma siły nigdzie wychodzić, zamawiają więc kolację do pokoju; ledwie zaczynają jeść, okazuje się, że nie ma też siły dokończyć kolacji, a później nie ma siły rozebrać się, wykąpać i położyć w wielkim łóżu z baldachimem bez pomocy Harry’ego. On też jest wykończony. I sporo pije. Tego popołudnia ze spokojnym, bezosobowym przerażeniem zdał sobie sprawę, jak będzie wyglądała przyszłość: co kilka lat, regularnie jak w zegarku, Albert Jefferson Rooke będzie zwracał się do komisji do spraw zwolnień warunkowych, a Andrea będzie stawiała się w Tallahassee i zeznawała przeciwko człowiekowi, którego uważa za mordercę swojej siostry; i tak to się będzie ciągnęło latami, dopóki Rooke nie umrze w więzieniu, co dla obojga będzie wyzwoleniem, albo dopóki nie zostanie w końcu przedterminowo zwolniony – ale o tym Harry nie chce myśleć. Nie w tej chwili.

Leżeli w łóżu na zabawnym podwyższeniu, przy zgaszonym świetle; słychać było jakiś trudny do zdefiniowania szmer – szum klimatyzacji lub cierpliwą poalkoholową perorę w sąsiednim pokoju; ciało Andrei było ciepłe, jak rozpalone gorączką, usta głodne jego ust, szczupłe ręce obejmowały go za szyję. Naiwnym, dziecinnym tonem, jakiego Harry nigdy przedtem u niej nie słyszał, tak jakby ze wszystkich tonów jej głosu ten był jedynie prawdziwy, pyta:

– Harry, kochasz mnie? Zawsze będziesz mnie kochał?

A on całuje jej usta, całuje jej piersi i zaciskając w pięści dłonie, którymi zebrał jej koszulę nocną, odpowiada szeptem:

– Tak.

Życie po liceum

– Sunny? Suuun-ny?

Nocą ostatniego dnia marca 1959 roku, ubrany w przybrudzony kożuch, w niezawiazanych butach i z gołą głową mimo padającego śniegu, Zachary Graff, lat osiemnaście, wzrost 185 centymetrów, waga 98 kilogramów, IQ 160, stał pod oknem znajdującej się na piętrze sypialni Sunny Burhman i wołał ją cicho, natarczywie, jakby zależało od tego całe jego dalsze życie. Była prawie północ, Sunny od pół godziny leżała w łóżku. Zbudziła się z płytkiego snu, słysząc swoje imię, które tajemniczo wyłaniało się z nocnej ciszy, chrapliwie, monotonicznie, jak fala bijąca o brzeg.

– *Suuun-ny?*

Nie rozmawiała z Zacharym Graffem od zeszłego tygodnia, kiedy to powiedziała mu, cicho i ze łzami w oczach, że go nie kocha; że nie może przyjąć jego pierścionka zaręczynowego ani tym bardziej wyjść za niego za męża. Po raz pierwszy podczas trzymiesięcznych starań o jej względy Zachary odważył się przyjść pod jej dom; wcześniej nie bywał tam ani za dnia, ani nocą. Sunny mówiła później, że wtedy po raz pierwszy zwrócił się do niej w taki sposób.

– To znaczy jak? – zapytano.

– Tak... emocjonalnie – odpowiedziała po krótkim wahaniu Sunny. – Tak, że się wystraszyłam.

– I kazałaś mu odejść.

Owszem. Kazała mu odejść.

* * *

W liceum w South Lebanon sporo mówiło się o tym, jak na wiosnę w ostatniej klasie Zachary, który, o ile pamiętano, nigdy wcześniej nawet nie umówił się z żadną dziewczyną, a tym bardziej nie zabiegał o jakąś tak otwarcie i z takim niezgrabnym oddaniem, zakochał się w Sunny Burhman.

Akurat w Sunny Burhman.

Dziwne było też to, że Zachary zwrócił uwagę na Sunny dopiero wtedy, chociaż od zawsze chodzili do tej samej klasy, od 1947 roku, kiedy podjęli naukę w szkołach publicznych w South Lebanon w stanie Nowy Jork.

Zachary, syn Homera Graffa, najlepszego lekarza w miasteczku, w dziewiątej klasie wyrobił sobie styl odnoszenia się do dziewcząt – mówił mało, był ironicznie uprzejmy. Traktował je zawsze uprzedzająco grzecznie, lecz za-

wsze chłodno, z dystansem, oficjalnie. Wydawało się, że jest odporny na huśtawki młodzieńczych emocji, kiedy chodził szkolnym korytarzem, niezgrabny w ruchach, lecz pełen determinacji, jak grizzly na tylnych łapach, rzadko patrząc na boki – jego oczy krótkowidza za szklami w grubych czarnych oprawkach z plastiku były utkwione w horyzont. Koledzy nie tyle nie lubili syna doktora Graffa, ile bali się go i dlatego nie darzyli sympatią.

Gdyby Zachary nadal osiągał celujące wyniki w nauce i celująco pozdawał egzaminy końcowe, a nic nie wskazywało na to, by mogło stać się inaczej, ukończyłby szkołę jako najlepszy absolwent rocznika '59. Barbara („Sunny”) Burhman, która miała później zabłysnąć na uniwersytecie Cornell, na osiemdziesięciu dwóch absolwentów była dziewiąta.

Nic nie zapowiadało tego, że Zachary zainteresuje się Sunny. W styczniu, tuż po feriach świątecznych, nagle zaczął pojawiać się w jej pobliżu po kilka razy dziennie, górując nad innymi wzrostem, błyskając szklami okularów. Jego poza ironizującego dżentelmena znikła bez śladu – był nieśmiały, jęśliwy, a mimo to pewnie, wręcz śmiało wyczekiwał dogodnej chwili (gdyż Sunny zawsze przebywała w otoczeniu kolegów i koleżanek), by przepchać się do niej i zawołać: „Cześć, Sunny!”. Pozdrowienie to, treściowo bynajmniej niewyszukane, w ustach Zachary’ego brzmiało jak fraza mozolnie przetłumaczona z łaciny.

Sunny, nazywana tak ze względu na swój promienny, oślepiający jak słońce uśmiech, dzięki któremu przeciętnej urody piegowata dziewczynka z zadartym nosem przekształciła się w prawdziwą piękność, może była z początku tym zaskoczona, lecz nie dawała tego po sobie poznać i odpowiadała: „Cześć, Zachary!”.

W tamtych latach korytarze liceum w South Lebanon przypominały strzelnice, gdzie codziennie setki razy ze wszystkich stron padały słowa „cześć”, „hej”, „co słyhać”, wypowiedane przez złote dziewczęta, dziewczęta mające powodzenie, pewne siebie, ładne, przewodniczące przeróżnych klubów, królowe balów, cheerleaderki takie jak Sunny Burhman i jej koleżanki – taka była wtedy moda.

Większość uczniów w South Lebanon była praktykującymi chrześcijanami – luteranami, prezbiterianami, metodystami.

Jak Sunny Burhman, która była, czy też wówczas, kiedy wydarzyła się ta historia, wydawała się zbyt dobra, zbyt idealna.

To znaczy: autentycznie *dobra*.

Dlatego, choć Sunny zastanawiała się, co strzeliło do głowy Zachary’emu Graffowi, że zaczął się koło niej kręcić, dlaczego co rusz się na niego natyka,

dłaczego widzi po raz enty w tygodniu, była zbyt dobra, by pokazać po sobie zniecierpliwienie czy irytację; zbyt dobra, by jak radziły jej koleżanki, kazać mu się odczepić.

Jeszcze do niej wydzwaniał. Biedny Zachary. Jąkał się do słuchawki, głos miał przyciszony, jakby się bał, że ktoś podsłuchuje:

– Dzień dobry pani, zastałem Sunny? Czy mógłbym ją prosić do telefonu?

Matka Sunny, która znała oczywiście doktora Graffa i jego żonę, ponieważ w South Lebanon, o populacji 3800 mieszkańców, wszyscy się znali lub przynajmniej wszystko o sobie wiedzieli, znali historie rodzinne i fakty z życia, o których dzieci nie miały pojęcia, wahała się chwilę i odpowiadała:

– Zaraz ją poproszę, ale mam nadzieję, że nie będziecie długo rozmawiali. Sunny musi odrobić lekcje.

Lub przepraszała stanowczym tonem:

– Niestety, nie ma jej w domu. Czy mam coś przekazać?

– N-nie, dziękuję – wyduszał z siebie Zachary i prędko odkładał słuchawkę.

Sunny stała obok matki, przygryzała paznokieć kciuka, krzywiła się, jakby się miała zaraz rozplakać, i mówiła:

– Czuję się *okropnie*, mamuś. Po prostu *okropnie*.

Pani Burhman odpowiadała energicznie:

– Skarbie, nie masz czasu, żeby rozmawiać z każdym.

Zachary jednak nie dawał za wygraną i w miarę upływu czasu zaczęto widywać Sunny zatopioną w rozmowie z nim – siadywali we dwójkę w kącie stołówki albo wychodzili razem po spotkaniu Klubu Debat, którego Zachary był przewodniczącym, a Sunny członkiem. Oboje należeli do licealnego zespołu muzycznego, kolegium redakcyjnego kroniki ich rocznika oraz „South Lebanon Torch” (magazynu literackiego). Oboje należeli też do National Honor Society i Quill & Scroll Society. Choć Zachary Graff przez swoją wyniosłość i zniecierpliwienie okazywane rówieśnikom miał zapisać się w ich pamięci jako osobnik nietowarzyski, wręcz „outsider”, z umieszczonego pod jego zdjęciem na szkolnym tableau wykazu zajęć pozalekcyjnych wynikało, że miał – lub znajdował – czas na to, co uważał za ważne.

Unikał jednak sportów. Przynajmniej takich, jakie uprawia się w liceum.

„Sportem, w którym się wyspecjalizuję – powiedział kiedyś w rozmowie Sunny, nieświadom pompatyczności swojego tonu – będzie golf”. Odkąd skończył dwanaście lat, ojciec udzielał mu nieformalnych lekcji.

– Nie mam talentu do golfa i dogłębnie mnie on nudzi, ale będzie to sport, w którym się wyspecjalizuję.

I poprawił swoje grube czarne okulary, jak to czynił nieskończenie wiele

razy dziennie, jakby istniało ryzyko, że zsuną mu się z nosa.

Zachary Graff był tak postawny, że niewielu rówieśników powiedziałyby o nim, że jest nieatrakcyjny czy, tym bardziej, nieciekawym lub brzydki. Jego głowa wydawała się nieproporcjonalnie duża nawet w stosunku do potężnego ciała; oczy miał głęboko osadzone, z wyrazem czujności i tajemnicy, cerę tłustą, pokrytą plackami trądziku jak mapa topograficzna. Jego duże zęby błyskały srebrnymi plombami, a oddech – co dziwne jak na syna lekarza – był nieświeży, zatęchły – ale Sunny Burhman nigdy się tym spostrzeżeniem z nikim nie podzieliła.

Koleżanki wypytywały ją, odrobinę zazdrośnie i z wyrzutem:

– O czym wy tyle rozmawiacie? Ty i *on*?

Sunny odpowiadała, pilnując się, by nie zdradzić nieznacznym uniesieniem brwi czy wzniesieniem oczu, że i jej ta sytuacja wydaje się dość dziwna:

– O różnych rzeczach. Głównie to *on* mówi. Jest strasznie inteligentny. Jest – urwała, zmarszczyła lekko brwi, jej śliczne brązowe oczy na moment przesłoniły się mgłą – naprawdę strasznie inteligentny.

Zachary mówił najpierw, w ten swój żarliwy sposób człowieka opętanego obsesją, o rzeczach ogólnych: o sensie życia, przyszłości Ziemi, o tym, czy do zaspokojenia ludzkiego głodu ekspresji bardziej nadaje się sztuka, czy nauka. Śmiejąc się nerwowo, przyglądając się Sunny nieśmiało-odważnym wzrokiem, mówił: „Myślę, że sam fakt zadawania niektórych pytań stanowi dowód nadziei na to, że można uzyskać na nie odpowiedź”.

Szybko zrozumiał, że jeśli wyrazi wątpliwość na przykład w to, „czy Bóg istnieje”, Sunny Burhman wysłucha go z powagą i będzie z nim rozmawiać, jakby była pielęgniarką przetaczającą krew choremu, któremu grozi śmierć z wykrwawienia. Nie była fanatyczką religijną, ale była wzorową chrześcijanką. Burhmanowie należeli do Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego w South Lebanon; Sunny była przewodniczącą grupy młodzieżowej i poza tym, że spełniała inne dobre uczynki, w sobotnie popołudnia pracowała jako wolontariuszka w YWCA. Nie miała cienia wątpliwości, że Jezus Chrystus, to znaczy Jego duch, mieszka w jej sercu i że mówiąc prawdę o tym, w co wierzy, może nawracać niewierzących.

Wkrótce jednak, w niedalekiej przyszłości, miała zrewidować swoje poglądy i zakwestionować wiarę, w której została wychowana; czego nie zrobiła przez siedemnaście i pół roku życia. Była dziewicą i dziewicze były wszystkie lub prawie wszystkie jej myśli.

Czasami nawet koledzy i koleżanki Sunny podśmiewali się z niej za jej plecami – ale nigdy się z niej nie wyśmiewali, bo Sunny nie była osobą, z której

można by się wyśmiewać.

Pewnego razu, gdy Sunny Burhman, towarzyszący jej chłopak i jeszcze jedna para wyszli na szkolny parking po balu i patrzyli w nocne niebo, Sunny powiedziała drżącym głosem: „To jest taki ogrom, że byłby przerażający, prawda? Gdyby nie Jezus, dzięki któremu czujemy się bezpiecznie”.

Innym razem, kiedy popularny w szkole Chuck Crueller, rozgrywający w szkolnej drużynie futbolowej, doznał kontuzji podczas meczu i karetka zabrała go prosto na stół operacyjny, Sunny, hamując parzące łyzy, zmobilizowała pozostałe cheerleaderki: „Możemy zrobić coś dla Chucka – możemy się pomodlić”. I tak osiem dziewcząt w krótkich fioletowych spódniczkach i wykrochmalonych białych bluzkach chwyciło się mocno za ręce i z płaczem, bliskie hysterii, modliło się, modliło i modliło – nie wychodząc z szatni przez kilka godzin. Sunny prowadziła modlitwę i Chuck Crueller wrócił do zdrowia.

Dlatego z Sunny Burhman nikt się nie wyśmiewał – byłoby to jakoś nie na miejscu.

Jak napisał o niej kolega z klasy, Tobias Shanks, redaktor literacki kroniki liceum w South Lebanon: „«Sunny» Burhman! Wcielenie amerykańskich cnót; niemal zbyt dobra i idealna, a jednak PRAWDZIWA!”.

Jeśli w pochwałach Tobiasa Shanksa pobrzmiewał ton z lekka prześmiewczy, aluzja, że taka dobroć jest przewidywalna, powierzchowna i pozbawiona prawdziwej wartości, te kilka linijek druku, podpis pod oszałamiająco pięknym zdjęciem Sunny, nie pozwalało się tego domyślić.

Co zadziwiające, mimo pozorowanego sceptycyzmu i demonstrowanej wyższości Zachary Graff też był chrześcijaninem. Został ochrzczony w obrządku luterańskim i ani razu nie opuścił niedzielnej wizyty wraz z rodzicami w Pierwszym Kościele Luterańskim. Zachary Graff z pochmurną miną już choćby samą posturą wyróżniał się w oczach pastora spośród rzeszy niewzruszonych, somnambulicznych wiernych.

Kiedy potem wspomniano wyjątkowego syna doktora Graffa, mówiono po cichu, że był może zanadto poważny.

Zanim Zachary zakochał się w Sunny Burhman i ją uczynił powiernicą swoich wątpliwości w kwestii religii, często rozmawiał o nich z Tobiasem Shanksem, który był jego przyjacielem – można by powiedzieć, jedynym przyjacielem – od siódmej klasy. (Ale od tej siódmej klasy przyjaźnili się z przerwami, gdyż obaj byli ponadprzeciętnie inteligentni, niecierpliwi i skłonni do sarkazmu, więc działali sobie nawzajem na nerwy). Raz Zachary zwierzył się Tobiasowi, że codziennie rano się modli – co dzień, bez wyjątku, tuż po przebudzeniu zwleka się z łóżka, klęka, kryje twarz w dłoniach i się modli. Za swoją

grzeszną duszę, swoje grzeszne myśli, czyny, pragnienia. Ćwiczy swoją duszę tak, jak matka nauczyła go czesać sztywne, przetłuszczające się włosy stałym grzebieniem o cienkich zębach, przynajmniej raz dziennie.

Tobias Shanks, który już w wieku lat czternastu określił się jako agnostyk, roześmiał się i zapytał:

– No dobrze, ale o co właściwie się modlisz?

Zachary zastanowił się chwilę, po czym odpowiedział, nie ironicznie, lecz najzupełniej poważnie:

– Żeby dotrzeć do końca dnia. Chyba jak każdy?

Tobias nigdy nikomu nie powiedział o tej melancholijnej odpowiedzi.

Rodzice namawiali Zachary'ego na studia w Muhlenberg College, uczelni związanej z kościołem; Zachary miał nadzieję, że będzie się uczył gdzie indziej. Kiedyś pokornie zapytał Sunny Burhman:

– Sunny, skoro ty się wybierasz na Cornell, to – może ja też?

Po chwili wahania Sunny się uśmiechnęła.

– Byłoby miło.

– Nie miałybyś nic przeciwko, Sunny?

– Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko, Zachary?

Roześmiała się, by ukryć zniecierpliwienie. Szli w kierunku samochodu Zachary'ego, który stał na górze za budynkiem YMCA/YWCA. Było wietrzne sobotnie popołudnie na początku marca. Wychodząc z YWCA, Sunny zobaczyła, że na chodniku naprzeciwko stoi Zachary Graff, z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, lecz czujnym spojrzeniem. Stoi, jakby znalazł się tam przypadkiem.

Przejście obok niego tak, żeby jej nie zauważył, było niemożliwe – musiała pozwolić mu odwieźć się do domu. Mimo iż zaczynała odczuwać panikę, jak liżące ją w brzuchu języki ognia, na myśl o tym, że w przyszłości Zachary stale będzie gdzieś w pobliżu.

„Powiedz głupkowi, żeby się od ciebie odczepił” – radziły jej koleżanki. Nawet te najlepiej wychowane nie miały współczucia dla Zachary'ego Graffa.

Do szóstej klasy Sunny była po prostu przeciętnie ładną, niezbyt ciekawą Barbarą Burhman. Aż pewnego dnia jedna z nauczycielek zwróciła się do klasy, w przypływie natchnienia, które potrafi zmienić bieg życia:

– Wiecie co, moi drodzy, od dziś nazywajmy Barbarę „Sunny”, bo kiedy się uśmiecha, jest jak słońeczko.

Odtąd dla całego South Lebanon stała się „Sunny” Burhman. Nieciekawa Barbara odeszła w zapomnienie, jak się wydawało – na zawsze.

Dlatego Sunny nie mogła powiedzieć Zachary'emu, żeby się odczepił. W jej

słowniku po prostu nie było takich słów.

Zachary był właścicielem śliwkowego plymoutha z 1956 roku, którego inni chłopcy mu zazdrościli – ich zdaniem to było cholernie nie w porządku, żeby akurat Zachary miał własny samochód, skoro nie miał go prawie żaden z nich, prawdziwych miłośników aut.

Zachary nie zdawał sobie sprawy z ich zazdrości, podobnie jak w pewnym sensie nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie ma szczęście. Prowadził ten swój samochód jak dorosły, z charakterystyczną dla wieku średniego ostrożnością i troską. Prowadził, jakby był własnym szoferem. Odwożąc Sunny do domu, bez przerwy mówił. Opowiadał o college'u, o „powinnościach” religijnych, o oczekiwaniach, jakie mają wobec niego rodzice; o studiach medycznych; o przyszłości, o życiu – „po wyrwaniu się z South Lebanon”.

Jeszcze raz zapytał, tym swoim chrapliwym, irytująco pokornym głosem, czy Sunny nie miałyby nic przeciwko temu, żeby on też poszedł na uniwersytet Cornell. Sunny odpowiedziała, starając się, żeby wypadło to rozsądnie i nic ponadto:

– Zachary, to wolny świat.

– O, nieprawda, Sunny. Nie dla wszystkich – odpowiedział.

Sunny za wszelką cenę chciała uniknąć rozwijania tej enigmatycznej myśli.

Hamując ostrożnie przed domem Burhmanów, Zachary powiedział z niemal chłopięcym entuzjazmem:

– To co – Cornell? Jesienią? Oboje pójdziemy na Cornell?

Sunny wysiadła szybko, żeby Zachary nie zdążył zaciągnąć hamulca ręcznego, wysiąść i ceremonialnie otworzyć jej drzwi. Wesoło, beztrąsko, z ogromną ulgą, że uwalnia się od jego towarzystwa, zawołała, odwracając głowę:

– Czemu nie?

Połączyła ich zapewne skrywana próżność Sunny.

Kilkakrotnie Zachary wyznał jej poważnym tonem:

– Sunny, kiedy jestem przy tobie, potrafię wierzyć.

Mówi o wierze w Boga, myślała Sunny. W Jezusa. W życie pozagrobowe.

Kiedy następnym razem Zachary'emu udało się wmanewrować Sunny do samochodu pod pretekstem odwiezienia jej do domu, podarował zaskoczony dziewczynie pierścionek zaręczynowy.

Kupił go u Sterna, w jedynym porządnym sklepie jubilerskim w South Lebanon, za pieniądze wypłacone po kryjomu z rachunku oszczędnościowego;

rachunku, na który przez ponad dziesięć lat sumiennie, z poświęceniem odkładał drobne sumy. Był to jego „fundusz studencki” – był, ponieważ z oszczędzonych trzech tysięcy dwustu czterdziestu pięciu dolarów zostało tylko tysiąc dziewięćdziesiąt. Jak się zdziwią i zdenerwują rodzice, kiedy się o tym dowiedzą – o tym Zachary wolał nie myśleć.

Jego rodzice nie wiedzieli o Sunny Burhman. Częsta nieobecność syna w domu nie była niczym nadzwyczajnym – zawsze dużo czasu spędzał w bibliotece publicznej, gdzie jego ulubioną lekturą były słowniki i encyklopedie. Zaczynał na przykład od tomu pierwszego encyklopedii i wytrwale przedierał się przez kolejne, jak pasący się na łące koń, rzadko podnosząc wzrok, niezainteresowany otoczeniem.

– Proszę bardzo. Przyjmiesz go?

Sunny z niedowierzaniem wpatrywała się w pierścionek z brylantem, który Zachary podał jej nie w swoich wielkich, niezgrabnych paluchach z brudnymi paznokciami, lecz w wyściełanym pluszem puzderku, jakby dzięki temu miał wyglądać bardziej pociągająco, bardziej jak prezent. Pierścionek był z dwudziestoczterokaratowego złota, a brylant nieduży, lecz kształtny, mieniący się zimnym blaskiem. Był to piękny pierścionek, Sunny jednak nie widziała jego urody.

– Och, Zachary – szepnęła. – *Nie*. To chyba nieporozumienie.

Zachary widocznie spodziewał się takiej reakcji, bo szybko powiedział:

– Może chociaż go przymierz... Zobacz, czy dobry rozmiar...

Sunny pokręciła głową. Nie mogła spełnić jego prośby.

– Zgodzili się go zwięzić, jeśli okaże się za duży – powiedział Zachary. – Obiecali.

– Zachary, nie – powtórzyła łagodnie Sunny. – Przykro mi. – Łzy napłynęły jej do oczu i przelały się na policzki.

Zachary mówił z przejęciem, aż w kącikach ust zebrały mu się bąbelki śliny:

– Wiem, że mnie nie kochasz, Sunny, przynajmniej na razie, ale... mogłabyś nosić ten pierścionek, prawda? Tak po prostu go nosić? – Wciąż trzymał puzderko w wyciągniętej ręce, która wyraźnie drżała. – Chociaż na prawej ręce, jeśli nie chcesz na lewej... Proszę.

– Nie, Zachary. To niemożliwe.

– Po prostu jako – prezent... Sunny...

Siedzieli w śliwkowym plymoucie zaparkowanym w miejscu żenująco publicznym, przy Upchurch Avenue, trzy przecznice od domu Sunny. Była szesnasta dwadzieścia pięć, 26 marca, czwartek. Zachary został po lekcjach, żeby

odwieźć Sunny do domu po próbie chóru. Sunny przypominała sobie później niewyraźnie, jakby to wspomnienie było zamglone łzami, że jak zwykle głównie Zachary mówił. Nie kłócił się z nią, właściwie też nie prosił, tylko niemal oficjalnie przekonywał, jakby wytaczał podstawowe argumenty, na których opiera się strategia debaty: jeżeli Sunny go nie kocha, on może kochać za dwoje; a jeśli Sunny nie chce być „oficjalnie” zaręczona, przecież mimo to może nosić pierścionek od niego, prawda?

„To by dla niego ogromnie dużo znaczyło” – powiedział.

„To kwestia życia i śmierci” – dodał.

Sunny zamknęła wieczko pudierka i delikatnie je odepchnęła. Płakała, a jej ostrzyżone na pazia włosy były w nieładzie.

– Zachary, tak bardzo mi przykro. Przepraszam, ale *nie mogę*.

Sunny uklękła przy łóżku, ukryła twarz w dłoniach, modliła się.

Proszę, spraw, żeby Zachary nie był we mnie zakochany. Proszę, pomóż mi nie być okrutną. Boże, zmiłuj się nad nami obojgiem.

Panie Boże, spraw, żeby zrozumiał, że mnie nie kocha – że nawet nie wie, jaka naprawdę jestem.

Dni mijały, a Zachary nie dzwonił. Może nie było go w szkole, ale Sunny jakby tego nie zauważała.

Sunny Burhman i Zachary Graff mieli dwie wspólne lekcje, angielski i fizykę, lecz życie szkolne Sunny było tak wypełnione ludźmi i zajęciami, pęd naprzód tak ją hipnotyzował, jakby była przywiązana do dziobu łodzi szybko prującej fale, że jakby tego nie zauważała.

Sunny nie była osobą tajemniczą. Nie była skryta. A jednak, mimo iż przez całe życie zwierzała się matce ze wszystkiego, nie opowiedziała jej o rozpaczliwych oświadczeniach Zachary’ego; może tak jej pochlebili, że nie uznała ich za rozpaczliwe. Tłumaczyła sobie, że gdyby powiedziała o tym któremuś z rodziców, natychmiast zadzwoniliby do rodziców Zachary’ego. Nie mogę zdradzić jego zaufania, myślała.

Nie powiedziała też swoim najbliższym przyjaciółkom ani chłopcu, z którym się wtedy najczęściej spotykała, wiedząc, że opowieść ta wyda się im komiczna, że ona i jej słuchacze będą się pokładali ze śmiechu, i to również byłoby zdradą wobec Zachary’ego.

Któregoś dnia zauważyła, że dziwnie przygląda jej się Tobias Shanks, chłopak, który z daleka wyglądał na dwunastolatka. Sunny wiedziała, że Tobias jest, czy też był, najbliższym przyjacielem Zachary’ego Graffa; zastanawiała się, czy Zachary mu się zwierzył; jednak nie próbowała zagaić rozmo-

wy. Wyczuła, że Tobias jej nie lubi.

Nie, nikomu nie powiedziała o Zacharym i pierścionku zaręczynowym. Ze wszystkich możliwych grzechów, myślała, na pewno najgorsza jest zdrada.

– Sunny? Suuun-ny?

Nie wiedziała, że śpi, lecz przyciszony, natarczywy, chrapliwy głos Zachary’ego przeniknął do jej świadomości jak głos ze snu – nie słyszany, lecz wyczuwany innym zmysłem.

Szybko wstała z łóżka. Przykucnęła przy oknie, nie zapalając światła. Spojrzała w dół i ku swojemu przerażeniu zobaczyła Zachary’ego, który stał przy żywopłocie z zadartą głową, twarzą okrągłą jak księżyc i jak księżyc częściowo ukrytą w cieniu.

Sypał lekki, wilgotny śnieg; podobne do kwiatów płatki padały na szerokie ramiona chłopca, na jego rozczochrane włosy. Kiedy ją zauważył, zaczął wymachiwać rękami, jak domagające się czegoś dziecko.

– Zachary. O Boże.

Pośpiesznie, trzęsącymi się rękami włożyła gruby wełniany sweter na flanelową koszulę nocną, wskoczyła w kapcie i zbiegła na dół. Światła w całym domu były już pogaszone; Burhmanowie mieli zwyczaj wcześniej chodzić spać. Sunny martwiła się tylko o to, jak odprawić Zachary’ego po cichu, tak by rodzice się nie dowiedzieli, że u niej był. Mimo zdenerwowania nie myślała o tym, w jakie kłopoty może wpaść przez Zachary’ego – myślała o kłopotach, których on sam może sobie przysporzyć.

Lecz gdy tylko zobaczyła go z bliska, zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Stał przed nią Zachary Graff – a jednak nie on.

Powiedział, że musi z nią porozmawiać, teraz, zaraz. Dodał, że zaparkował niedaleko.

Wyciągnął dłoń, jakby chciał wziąć Sunny za rękę, ale ona się odsunęła. Stał blisko, wyższy o ponad głowę, z ust unosiła mu się para. Sunny nie widziała jego oczu.

Powiedziała, że nie może z nim iść, że musi wracać do domu, natychmiast, zanim obudzą się jej rodzice.

On uparł się, że nie odejdzie bez niej, że muszą porozmawiać. W jego głosie brzmiała nuta pierwotnego błagania i siła perswazji, jakiej Sunny nigdy wcześniej nie słyszała i która ją przerażała.

„Nie” – powiedziała. „Tak” – powiedział on.

Znów sięgnął po jej rękę i tym razem złapał ją za nadgarstek. Miał silny uścisk.

– Mówiłem ci – mogę kochać za nas oboje!

Sunny zapatrzyła się w niego, oniemiała na chwilę, sparaliżowana; nie widziała oczu Zachary'ego, tylko jego szkła, które w półmroku wydawały się całkiem czarne. Duże płatki śniegu powoli padały na ziemię, było bezwietrznie. Sunny widziała twarz Zachary'ego, bladą i napiętą jak mięso, i słyszała jego głos, który był głosem zupełnie obcego człowieka, poczuła też, jak szarpnął ją za rękę tak mocno, że omal jej nie zwicznął.

– Nie! Nie! – krzyknęła. – Idź sobie!

Czar prysł. Chłopak patrzył na nią przez chwilę pustym wzrokiem, po czym uwolnił jej rękę, odwrócił się i puścił biegiem.

Między chwilą, gdy Sunny otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz, a ucieczką Zachary'ego minęły może dwie czy trzy minuty. Później jednak Sunny wspominała to spotkanie, jakby trwało bardzo długo, jak scena w długim, powtarzającym się koszmarze.

Wtedy po raz ostatni Sunny Burhman widziała Zachary'ego Graffa żywego.

Następnego ranka całe South Lebanon mówiło o śmierci syna doktora Graffa, Zachary'ego – popełnił samobójstwo, siedząc w samochodzie w garażu na tyłach niezamieszkanego domu przy Upchurch Avenue, z włączonym silnikiem, dopóki nie skończyła się benzyna. Zdiagnozowano śmierć wskutek zatrucia tlenkiem węgla, czas zgonu określono w przybliżeniu na godzinę czwartą trzydzieści 1 kwietnia 1959 roku.

Czy data wybrana była nieprzypadkowo? Zachary zostawił krótki list, napisany dużymi drukowanymi literami, od wewnątrz przyklejony taśmą do przedniej szyby samochodu:

Prima aprilis 1959

Do wszystkich (nie-)zainteresowanych

Ja, Zachary Graff, zdrow na ciele i umyśle, niniejszym oświadczam, że odebrałem sobie życie z własnej nieprzymuszonej woli. Oświadczam, że nikt poza mną nie jest winny, jako że nikt nic nie wiedział o śmierci wyżej wymienionego ani o jego życiu.

(podpisano)

Zachary A. Graff

Policjanci wezwani na miejsce wydarzenia o godzinie siódmej czterdzieści

pięć napisali w raporcie, że znaleźli Zachary'ego nieżywego na tylnym siedzeniu samochodu, rozebranego do bielizny; jego kożuch, co wydało im się dziwne, wisiał na kierownicy, a wewnątrz samochodu – znów rzecz dziwna jak na chłopca znanego z zamiłowania do porządku – zaśmiecone było różnymi przedmiotami; znalazła się tam Biblia, kilka szkolnych podręczników, kartonowe pudełko po pizzy i kilka niedojedzonych kawałków ciasta z brzegów, parę pustych puszek po pepsi, pusta torebka po drażetkach m&m's, para nowych tenisówek (rozmiar jedenaście) bez sznurowadeł, długi na dziesięć stóp sznur do suszenia bielizny (w schowku) oraz pierścionek z brylantem od Sterna w wyłożonym pluszem puzderku (w kieszeni kożucha).

Sunny Burhman dowiedziała się o samobójstwie Zachary'ego jeszcze przed wyjściem do szkoły – zadzwoniła do niej koleżanka. Nie zważając na to, że słuchają jej zdumieni rodzice, Sunny wybuchnęła płaczem.

– O Boże! To moja wina.

Tak brzmiała też powszechna opinia panująca w South Lebanon po dochodzeniu policyjnym i najróżniejszych domysłach – może nie dokładnie tak, że to wina Sunny Burhman, bo nie należy dziewczyny obwiniać, ale to fakt, biedny Zachary Graff, syn lekarza, zabił się przez nią: gdyż odrzuciła jego pierścionek zaręczynowy, odrzuciła jego miłość.

Były to jej ostatnie dni jako „Sunny” Burhman.

Po śmierci Zachary'ego przez cały tydzień nie chodziła do szkoły, a kiedy wreszcie do niej wróciła – wyraźnie bledsza, bardziej przygaszona, pod każdym względem mniej promienna – nie rozmawiała o tragedii nawet z najbliższymi przyjaciółkami; nikt też nie poruszał przy niej tego tematu. Wycofała swoją kandydaturę z konkursu o tytuł królowej balu maturalnego, zrezygnowała z udziału w przedstawieniu przygotowywanym przez najstarsze klasy, przestała chodzić na próby chóru, nie brała udziału w dorocznym stanowym konkursie debat, w którym w ubiegłych latach wykazał się Zachary Graff. Po lekcjach szła prosto do domu, a w weekendy rzadko spotykała się z rówieśnikami. Czy w ten sposób przeżywała żałobę? Czy po prostu było jej wstyd? Niczym nosicielka śmiertelnego wirusa Sunny wiedziała, co myślą o niej koledzy z klasy i nauczyciele: oto dziewczyna, z miłości do której chłopak odebrał sobie życie, oto mimowolna sprawczyni czyjejś śmierci.

Rodzina oczywiście powtarzała, że to nie jej wina; że Zachary Graff był psychicznie nie zrównoważony.

Nawet państwo Graffowie jej nie winili – tak przynajmniej utrzymywali.

Sunny odpowiadała: „Ale to i tak moja wina, że on nie żyje”.

Prezbiteriański duchowny, który służył Sunny radą i modlił się z nią, zapewniał, że Jezus na pewno to rozumie i że na pewno nie ma w jej duszy grzechu: to nie jej wina, że Zachary Graff był psychicznie niezrównoważony. Sunny odpowiadała, nie z uporem, lecz trzeźwo, smutno, jakby wygłaszała oczywistą prawdę: „Ale to i tak moja wina, że on nie żyje”.

Latem jej starsza siostra Helen, pełna jak najlepszych chęci, zapytała zniecierpliwiona:

– Sunny, kiedy wreszcie znowu będziesz sobą?

Sunny odwróciła się z nietypową dla siebie gwałtownością i odparła:

– Nie nazywaj mnie więcej tym kretyńskim imieniem! Nie chcę go już!

Jesienią zapisała się na uniwersytet Cornell jako „Barbara Burhman”.

Pozostała „Barbarą Burhman” przez resztę życia.

Barbara Burhman była świetną studentką, poświęcała się niemal wyłącznie nauce; ukończyła studia doktoranckie, amerykańistykę, na Harvardzie; wykładała na kilku prestiżowych uczelniach; szybko pięła się po szczeblach akademickiej kariery, aż wreszcie objęła dobrze płatną i liczącą się politycznie posadę w ośrodku badawczym na Manhattanie. Była autorką licznych książek i artykułów, mężatką i matką trojga dzieci; jeździła z odczytami po całych Stanach, często udzielała wywiadów popularnym magazynom, firmowała swoim nazwiskiem różne szczytne cele. Nie myślała o sobie, że jest niezwykła – w świecie, w którym się teraz obracała, pełno było podobnie aktywnych, energicznych, zajętych karierą ludzi; tylko czasami z lekką nostalgią wspominała swoją dawną, utraconą osobowość, słodką „Sunny” Burhman z South Lebanon w stanie Nowy Jork.

Nie została w końcu królową balu maturalnego. Nie pozostała nawet chrześcijanką.

Dostrzegała ironię losu w tym, że odrzucając beztrąsko swoje życie, Zachary Graff podarował jej, Barbarze Burhman, życie, które teraz prowadzi.

Z czasem ból stał się mniej dokuczliwy. Może nawet minął. Po dwudziestu, dwudziestu pięciu, a teraz trzydziestu jeden latach trudno było Barbarze, znanej w dorosłym życiu jako wcielenie zdrowego rozsądku, odczuwać więź z nastolatką, którą kiedyś była, czy z klaustrofobicznym światkiem liceum późnych lat pięćdziesiątych. Ani razu nie pojechała na zjazd absolwentów szkoły. Jeśli myślała o Zacharym Graffie – o którym, nawiasem mówiąc, nigdy nie powiedziała mężowi, a byli małżeństwem od dwudziestu ośmiu lat – to z żalem, z jakim zwykle myślimy o dawnych znajomych, z którymi straci-

liśmy kontakt. Los sprawił, że Zachary Graff, najzdolniejszy uczeń z rocznika kończącego liceum w South Lebanon w 1959 roku, na zawsze pozostanie uczniem uwięzionym w czasie, kiedy miał osiemnaście lat.

Jeszcze tylko jedna osoba z ich rocznika osiągnęła to, co można określić reputacją na skalę kraju – Tobias Shanks, znany obecnie jako T.R. Shanks, dramaturg i reżyser teatru eksperymentalnego; Barbara Burhman z zainteresowaniem śledziła karierę Tobiasa. Wysłała mu telegram z gratulacjami z okazji jego najnowszej sztuki, która została obsypana nagrodami, jako że traktowała o zmieniającym się stosunku społeczeństwa do gejów w latach osiemdziesiątych. Zimą 1990 roku, gdy Tobias zaczął wykładać dramaturgię w Bard College niedaleko Hazelton-on-Hudson, gdzie mieszkała Barbara, zaczęli się widywać na gruncie towarzyskim. Z początku byli wobec siebie dziwnie onieśmieleni, trzymali się na dystans, jak gdyby nawet w tym neutralnym otoczeniu mocno wpływały na nich ich dawne ja z South Lebanon. Jedną z najpopularniejszych dziewcząt w szkole, outsider. Doskonale normalna, wyzywająco „inny”. Pierwszego wieczoru Tobias wyciągnął do Barbary rękę, uśmiechnął się lekko i zapytał:

– Sunny, prawda?

Barbara Burhman zaśmiała się nerwowo, mając nadzieję, że nikt tego nie dosłyszał.

– Nie, właściwie to nie. Barbara.

Patrzyli na siebie lekko oszołomieni. Jedno z nich widziało drobnokościstego, lecz solidnie zbudowanego mężczyznę w średnim wieku, który wyglądał na młodszego, niż wynikało z metryki, o miłej twarzy, lecz z ironicznymi, podpuchniętymi oczami, przeredzonymi siwymi włosami i z krótką siwą bródką; drugie zobaczyło młodo wyglądającą kobietę w średnim wieku, atrakcyjną, nadzwyczaj zadbaną, z włosami nieokreślonego koloru i niemal niewidocznymi białymi zmarszczkami w kącikach oczu. Zobaczyli w sobie swoje dawne ja – nie postarzałe, to znaczy nie wyłącznie postarzałe, lecz zmienione, tak jak geny jednego pokolenia zostają zmienione w następnym.

Tobias patrzył na Barbarę przez dłuższą chwilę, jakby nie mógł dobyć z siebie głosu. Wreszcie odezwał się:

– Muszę ci coś opowiedzieć, Barbaro. Kiedy możemy się spotkać?

Tobias Shanks wyciągnął dłoń nad stołem, wręczył Barbarze Burhman wielokrotnie złożony list i przyglądał się, jak go otwiera; jak w miarę czytania na jej twarzy maluje się wyraz coraz większego zdumienia.

– *On* to napisał? Zachary? Do ciebie?

– Tak.

– A ty...? Czy...

Tobias pokręcił głową.

Minę miał neutralną, ale do oczu nagle napłynęły mu łzy.

– Byliśmy przyjaciółmi, i to bardzo bliskimi, przez kilka lat. Przez większość czasu ani jeden, ani drugi nie miał innych kolegów. Dzieci w tym wieku nawiązują czasami takie przyjaźnie, w pewnych zamkniętych środowiskach; dzieci, które nie są, jak to się mówi, „normalne” czy „takie jak wszystkie”. Dużo rozmawialiśmy o religii: Zachary bał się piekła. Obaj lubiliśmy science fiction. Obaj mieliśmy bardzo surowych rodziców. Teraz myślę, że w pewnych okresach Zachary mi się podobał – na pewno podobali mi się inni chłopcy – ale oczywiście nigdy nie dałem tego po sobie poznać; nie miałbym odwagi. W tamtych czasach prawie nikt nie miał odwagi. – Zaśmiał się i lekko się wzdrygnął. Otarł oczy dłonią. – Nie mogłem kochać Zachary’ego Graffa tak, jak on twierdził, że kocha mnie, bo... nie mogłem. Ale mogłem mu powiedzieć, że nie jest chory, nienormalny, „zбочony”, jak określa siebie w tym liście.

Urwał. Przez długą, bolesną chwilę Barbara myślała, że nie powie nic więcej. Jednak ciągnął dalej, z tym samym pozbawionym wesołości śmiechem i drzeniem:

– Mogłem sprawić, żeby nie był taki samotny. Ale tego nie zrobiłem. Zawiodłem go. Zawiodłem swojego jedyne przyjaciela.

Barbara wyjęła z torebki chusteczkę i osuszyła oczy.

Czuła się tak, jakby ktoś zadał jej cios na tyle silny, że nie umiała ocenić, jaką wyrządził jej krzywdę, czy w ogóle wyrządził jej krzywdę.

– Czyli „Sunny” nigdy dla niego nie istniała, była iluzją – stwierdziła.

– Nie wiem – odparł Tobias z namysłem. – Chyba tak. Można było odnieść wrażenie – przynajmniej ja tak to wtedy widziałem – że sobie ciebie wybrał, zdecydował się na ciebie.

– Jako symbol.

– Nie tylko jako symbol. Wszyscy cię uwielbialiśmy, wszyscy się trochę w tobie podkochiwaliśmy. – Tobias roześmiał się, zażenowany. – Nawet ja.

– Szkoda, że wtedy mi tego wszystkiego nie powiedziałaś. Po tym... jak to się stało.

– Stchórzyłem. Bałem się, że wszyscy się dowiedzą, kim jestem, i może też tego, że coś sobie zrobię, tak jak on. Samobójstwo jest dla nastolatków niezwykle pociągające. – Tobias przerwał i dotknął dłoni Barbary. Miał zimne palce. – Nie jestem z siebie zadowolony, Barbaro, i starałem się rozliczyć

z tego w tym, co piszę, ale... taki wtedy byłem. – Znow nastąpiła pauza. Tobias mocniej ścisnął jej dłoń. – Jest jeszcze coś – dodał. – Tamtej nocy, po tym, jak był u ciebie, Zachary przyszedł do mnie.

– Do ciebie?

– Owszem.

– I...?

– I ja też nie chciałem z nim pójść. Byłem wściekły, że przyszedł i naraził mnie na ryzyko, że moi rodzice nas nakryją. Chyba dostałem lekkiej hysterii. A on uciekł.

– Uciekł.

– Potem, kiedy było już po wszystkim, nie mogłem się zmusić do powiedzenia tego, co wiedziałem. Nie mam pojęcia, dlaczego zachowałem ten list: wyrzuciłem wszystkie inne, zdecydowanie mniej kompromitujące. Chyba rozumowałem tak, że o mnie nikt nie wie, a wszyscy wiedzą o tobie. O „Sunny” Burhman.

Zamówili jeszcze po jednym drinku – zapomnieli, gdzie są – rozmawiali.

Mniej więcej godzinę później Barbara Burhman nachyliła się nad stołem, jak na zebraniu czy konferencji, i z czysto intelektualną ciekawością zapytała:

– A jak myślisz, do czego był Zachary’emu potrzebny ten sznur do bielizny?

Gęsiareczka

Bardzo chciała, a jednocześnie bała się dowiedzieć, dlaczego unika jej syn, który dopiero co przyjechał do domu po czterech miesiącach nieobecności. Wtem nagle wyrósł przed nią, gdy schodziła po schodach – wysoki, długokościsty, z wyrazem nieszczęścia w głęboko osadzonych oczach, i powiedział:

– Strasznie się czegoś wstydę.

Było to typowe dla Barry'ego, najmłodszego dziecka Lydii, dwudziestolatka, który obcym mógł wydawać się starszy, niż był, a w domu zachowywał się jak o wiele młodszy: mimo iż odpowiadał matce monosylabami, nerwowo wzruszając ramionami, niczym dzikie stworzenie z jakiegoś niewytłumaczonego powodu uwięzione w ubraniu, w tym domu, zamieszkiwanym teraz już tylko przez dość atrakcyjną, świadomie pogodną czterdziestosześcioletnią matkę rozwódkę, zwracał się do niej tak, jakby rozmowa toczyła się między nimi bez ustanku; jakby te szorstkie, z trudem wyjąkane, nieoczekiwane słowa stanowiły odpowiedź na jakieś jej pytanie. I sprowokowały kolejne, które Lydia natychmiast zadała, z ciepłem w głosie, dotykając ręki syna:

– Co się stało, Barry?

Stał o stopień niżej od niej, lecz mimo to byli niemal równi wzrostem. Był spięty, spocony (choć wcześniej rano Lydia słyszała, jak bierze długi prysznic), bił od niego zapach lęku i podniecenia, ten lekko słonawy zapach, który przywiódł jej na myśl nostalgiczne wspomnienia lat szkolnych, kiedy Barry uprawiał sport. Gdy tylko Lydia zadała pytanie, naturalnie wycofał się na pozycję obronną.

– Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć, mamo. To znaczy – potrząsnął głową i odwrócił się – nie wiem, czy tak od razu.

Lydia starała się nie zdenerwować, nie łamać sobie głowy nad tym, o co też może chodzić temu inteligentnemu, dobrze wychowanemu i w każdym calu doskonałemu chłopcu, gdy mówi, że jest mu wstyd. Zeszła za Barrym na dół. Wydawało jej się, że idzie do kuchni, lecz skierował się do garażu, a Lydia usiłowała nie dopuścić do siebie napawających ją lękiem myśli – czy wyrzucili go z Amherst? Czy semestr letni tak naprawdę się jeszcze nie skończył, a Barry wrócił do domu przed czasem, wygnany, zhańbiony? Przekonywała się, że to nie może być prawda, przecież znała na pamięć najważniejsze daty akademickiego kalendarza syna.

– Barry, synku, zaczekaj! – zawołała.

Ale on oczywiście nie miał zamiaru czekać, tak jak nie czeka podpalacz,

który właśnie przytknął zapalną do materiału łatwopalnego; nawet nie ogląda się za siebie, żeby sprawdzić, jak postępuje spowodowane przez niego zniszczenie. Barry otworzył drzwi do garażu i wyprowadził na majowe słońce swoją yamahe, a Lydia, jak zawsze troskliwa, nawet w zmartwieniu, podniosła z betonowej podłogi przybrudzony czarny kask i poszła za synem.

– Barry, proszę cię – odezwała się spokojnie. – Nie możesz teraz uciec. Zdenierwowałeś mnie tym, co powiedziałeś.

– Wiem, mam, przepraszam – bąknął Barry. – Później ci powiem, o co chodzi, teraz nie mogę. Naprawdę nie mogę.

– To ma związek ze szkołą?

– Nie.

– A z Chris?

Chris była koleżanką Barry’ego od czasów licealnych; uczyła się teraz w Middlebury. Właściwie była jedną z jego koleżanek. Nic o niej ostatnio nie mówił, ale od swojego byłego męża, z którym często rozmawiała przez telefon, Lydia słyszała, że wciąż się spotykają.

Prędko, ze zniecierpliwieniem, odwrócony tyłem Barry odpowiedział:

– Nie, nie chodzi o Chris.

– A może...

– Powiem ci, mam, tylko później. Przecież powiedziałem. – Wylał yamahe z przyklejonych fragmentów pajęczyn, chromowane części wypolerował szmatką, którą zwilżył śliną. – Nie męcz już, dobrze?

W rodzinie krążyła na pół anegdotyczna historyjka o antypatii Lydii do tego motoru, w którym widziała ona, swoim zdaniem zupełnie zasadnie, potencjalne narzędzie śmierci lub kalectwa syna; znane było również fanatyczne przywiązanie Barry’ego do tej maszyny: żeby ją sobie kupić, podejmował różnego rodzaju ciężkie prace, między innymi odgarniał śnieg podczas wyjątkowo silnych opadów, kiedy stanowe służby drogowe potrzebowały posiłków. Lydia ze swoim zacięciem antropologiczno-socjologicznym widziała w tym błyszczącym czarnym pojeździe o mocno wygiętej kierownicy i siedzeniu z wysokim oparciem, wyposażonym w silnik, który wydaje ogłuszający huk, znak odrzucenia przez Barry’ego wrodzonej introwersji i rozsądku, demonstrację męskości w sposób iście amerykański, czyli na pokaz. Jej były mąż, Sam, odnoszący się do losu dzieci z flegmatycznym spokojem, co czasami doprowadzało Lydię do szewskiej pasji, a czasami budziło szczerą zazdrość, wruszył tylko ramionami i powiedział: „To tańsze niż samochód”.

Barry wsiadł na motor i włączył zapłon. Po kilku nieudanych próbach silnik zaskoczył, demonicznym wyciem ogłaszając, że działa i nie może się do-

czekać, kiedy wyrwie naprzód. Lydia podała Barry'emu kask, gdyż inaczej mógłby o nim zapomnieć. Postać kobieca ze średniowiecznego arrasu, wręczająca przyłbicę rycerzowi, który dosiadł rumaka. Przyłbicę do zakrycia młodzieńczej twarzy, teraz zażenowanej i chmurnej.

Zapytała, dokąd jedzie, a on wymienił imiona, które słyszała z jego ust od czasów gimnazjum. Zapytała, kiedy zamierza wrócić, na co on, zapinając kask pod brodą i opuszczając na oczy daszek z przydymionego plastiku, odpowiedział:

– Nie wiem, jakoś na obiad.

I ruszył, robiąc mnóstwo hałasu. Wyglądając na tym swoim motorze jak wyprostowany owad, z pochyłego asfaltowego podjazdu przed domem wyjechał na Somers Brook Road i po kilku sekundach znikł z pola widzenia. Lydia patrzyła za nim, osłaniając oczy przed palącym słońcem, czując się jeszcze drobniejsza niż zwykle, jakby skarłała; czuła się też trochę głupio, jak kobieta porzucona. Z wyjątkiem smrodu spalin i lekkiego falowania powietrza nie było dowodu na to, że Barry jeszcze przed chwilą tam był.

Była dziewiąta trzydzieści pięć rano. Nie zjadł nawet śniadania. Lydia, która zamierzała poświęcić ten dzień Barry'emu i ze względu na to przełożyła różne spotkania, wprowadziła zmiany w zwykłym rozkładzie zajęć, zrozumiała, że czeka ją długi dzień.

Spośród trojga dzieci Lydii i Sama Manningów Barry najmocniej przeżywał długą separację i szybki rozwód rodziców – oni uważali, że podchodzi do tego z niemal romantyczną powagą. Czyżby sądził, że namiętność, której owocem był *on*, jest czymś tak wyjątkowym, że nie może po prostu się wypalić?

Tydzień wcześniej, rozmawiając z Samem przez telefon, Lydia zapytała:

– Czy Barry z tobą rozmawia? Zwierza ci się?

Przygotowała się na najgorsze – na odpowiedź, która mogłaby obudzić w niej dawną brzydką zazdrość, ale Sam zaśmiał się swoim donośnym śmiechem i powiedział:

– Chyba żartujesz. On mnie szczerze nienawidzi.

Nie było to prawdą, bo Sama nikt nie nienawidził, a już na pewno nie jego najmłodsze i najwrażliwsze dziecko.

Lydia wyrzucała sobie, że ostatnio zaniedbała Barry'ego. Wróciła do pracy, miała grono znajomych, dni mijały szybko i niepostrzeżenie – inaczej niż za czasów małżeńskich. Łatwo więc pogodziła się z tym, że Barry, wciągnięty w wir życia studenckiego, zaniedbuje ją – zaledwie kilka późnowieczornych

telefonów, w chwilach ukradzionych kończącym się dniami, pocztówki zamiast listów, brak czasu, brak czasu. Kiedyś, siedząc przy stole z matką, bratem i siostrą, było to chyba Boże Narodzenie, kiedy Barry był w pierwszej klasie liceum, surowo potępił swojego kolegę, obecnie studenta Berkeley, który wysłał do niego i innych kopie napisanego na komputerze listu, bo nie chciało mu się pisać do każdego osobno, przez co w oczach Barry'ego list stracił całą wartość. Josh, jego starszy o trzy lata brat, a zatem – tak się utarło – mentor, rzucił:

– Niby masz rację, ale kopia listu „do wszystkich” jest lepsza niż nic, jeśli chce się komuś okazać pamięć, prawda?

– Nieprawda! Wcale nie – Barry zaprzeczył wtedy żarliwie, rozdymając nozdrza.

Przez orli profil wyglądał groźnie. Chciał zostać „naukowcem piszącym o ochronie środowiska” albo prawnikiem, w każdym razie zajmować się czymś związanym z ochroną środowiska, ale pociągała go też literatura klasyczna, miał w szkole charyzmatycznego nauczyciela greki, dzięki któremu Homer, grecka liryka i tragedia żyli w jego umyśle. Jak wielu ludzi nieśmiałych, potrafił mówić długo i z zaangażowaniem, jakby słowa spiętrzały się w jego wnętrzu, tworząc przyjemnie silne ciśnienie. Ale Lydia, słuchając go, odnosiła czasami wrażenie, że zupełnie nie zna swojego syna. Słowa, które wypowiadał, jakoś nie pasowały jej do tych słów, które wyobrażała sobie spiętrzone w jego wnętrzu; podobnie jak całkowicie zdumiała ją, jego rodzoną matkę, ten zakup yamały i towarzyszące mu gorączkowe podniecenie – aż miała ochotę zaprotestować: przecież inni chłopcy robią takie rzeczy, ale nie ty.

Najczęstszym układem w rodzinie jest układ zdobywający–zdobywany. Ktoś zawsze zabiega o względy drugiego, a drugi z kolei – o trzeciego; są też osoby, które – choć wydaje się to niepojęte – wolą, tak, zdecydowanie wolą być same.

Przez długi czas Lydia uważała, że zabiega o swoje dzieci, które – mimo iż kochały ją i przyzwocić się do niej odnosiły – nie szukały bliskości. Był też krótki okres, kiedy wydawało jej się, że zabiega o swojego męża – gadatliwego, towarzyskiego, niedźwiedziowatego Sama, który zatapiając coraz głębiej wrak ich małżeństwa, miał oczywiście jak najlepsze chęci – wiecznie miał jak najlepsze chęci. Później stopniowo zrozumiała: nie, nieprawda, wcale taka nie jestem, jestem tą osobą, którą byłam od zawsze, od początku, nie potrzebuję innych, by wiedzieć, kim jestem, w gruncie rzeczy inni tylko zmuszają mnie, bym była kimś, kim nie jestem. Uzbrojona w tę wiedzę Lydia zasko-

czyła Sama – zawsze taka układna, taka wyrozumiała. Gdy kiedyś zapytał, czy mógłby do niej wrócić, zacząć jeszcze raz, bo kocha ją oczywiście i ona kocha jego, Lydia roześmiała się i chwyciła go za ramiona, jak trener oznajmiający swoją decyzję ogłuszonemu nią drugorzędnemu zawodnikowi: „Nie, Sam. Nic z tego. *Nie*, i koniec”.

Sam mieszkał teraz z przyjaciółką w Dobbs Ferry, pół godziny jazdy samochodem od ich dawnego wspólnego domu w Hazelton-on-Hudson. Lydia miała nadzieję, że ci dwoje wkrótce wezmą ślub, żeby sytuacja była na powrót jasna i klarowna.

W dużym, mieszanym kręgu znajomych Lydii w Hazelton było wielu mężczyzn, ale nikogo, kto budziłby w niej romantyczne marzenia czy nadzieje na związek – zdecydowanie nikogo. Była szczupła, zadbana, swoiście piękna, jak dogasający dzień w kolorze starego złota, jakby była cała upudrowana pyłkiem kwiatowym; jak lilia, która właśnie zaczyna przekwitać; uważała, że jest dla mężczyzn atrakcyjna, ale w żaden sposób ich nie ośmiela, nie zachęca. Jej przyjaciółki, które wciąż były mężatkami, nie kryły, że zazdroszczą jej tego, co potocznie określa się mianem świętego spokoju. Wszystkie przepadały za Samem, ale która chciałaby z nim mieszkać? A ich mężowie? Kto by chciał mieszkać z *nimi*? Dlatego spotykając się na lunch w klubie tenisowym czy w mieście, Lydia i jej długoletnie przyjaciółki wybuchaly czasami radosnym młodzieńczym śmiechem, któremu perlistości dodawały wypite kieliszki białego wytrawnego wina, schłodzonego, cierpkiego w smaku, niskokalorycznego. Najbardziej inteligentna i najśmielsza z nich (nigdy nie była to Lydia) czasami dawała się nawet namówić na naśladowanie niektórych z tych mężów, a one zaśmiewały się do łez – bo z punktu widzenia atrakcyjnych kobiet wkraczających w wiek średni domowe pielesze są zabawne jak opery komiczne Mozarta. Jeszcze śmieszniejsze ze względu na to, że piękne arie śpiewają niepewne, nieszkolone głosy, jak w letnim przedstawieniu dla turystów.

Lydia zastanawiała się, czy bawiąc się tak pysznie, jest nielojalna nie tylko wobec Sama, ale też wobec dzieci – Josha, Roslyn, Barry’ego – gdy tak określa się jako osobę całkowicie od nich niezależną?

Kiedyś, podczas przeprowadzania rozwodu, Lydia zwierzyła się, że wciąż kocha Sama, ale często nie może go *znieść*.

– W pewnym sensie najbardziej przeszkadza mi jego – zaczęła mówić, a przyjaciółki nachyliły się ku niej z uwagą, jak studenci asystujący po raz pierwszy przy sekcji zwłok – nie wiem, jak to określić, dwulicowość? To za mocne słowo. Jego różne traktowanie ludzi – przyjaciół – w zależności od ich

statusu. Na przykład kiedy zapraszaliśmy znajomych na kolację – w tym miejscu przyjaciółki rzeczywiście zaczęły słuchać uważnie, bo nieraz bywały wraz z mężami na kolacji u Manningów, podobnie jak Manningowie bywali częstymi gośćmi u nich – Sam przez kilka dni deliberował, jakie podać wino.

Piwniczka win Sama Manninga była w Hazelton częstym przedmiotem rozmów; wiele z nich inicjował i monopolizował sam jej właściciel.

– Zawsze ma dokładnie przemyślane, jakie wino powinno się pojawić na stole. Ma wina klasy A, czerwone, z lat sześćdziesiątych, wina klasy B... aż boję się pomyśleć, co zalicza dzisiaj do klasy C. I dobiera wina do gości, a ja zawsze się martwię, że goście, nie wiem jakim sposobem, ale o tym wiedzą.

Przyjaciółki Lydii wybuchnęły śmiechem.

– Oczywiście, że wiemy, wiedziałyśmy od początku, wszyscy wiedzieli.

Lydia zrobiła coś, czego obiecała sobie już nigdy nie robić. Gdy Barry nie wrócił na obiad, obdzwoniła jego znajomych, żeby dowiedzieć się, gdzie jest. Znalazła go dopiero po trzech nieudanych próbach. Owszem, był u swojego kolegi Triga, który właśnie ściągnął do domu z Wesleyan College, ale niedawno się pożegnał i odjechał.

– Aha, dziękuję! – powiedziała Lydia pogodnie.

Pomyślała sobie: Jak tak dalej pójdzie, zacznę przeszukiwać jego rzeczy.

Pomyślała sobie: O nie.

Lydia była z wykształcenia psychologiem edukacji, niedawno ukończyła też studia podyplomowe na Nowojorskim Uniwersytecie Stanowym. Pracowała jako konsultant w firmie produkującej filmy edukacyjne; podpisała nawet umowę na napisanie scenariusza do jednego z nich. Wraz z przyjaciółką z Hazelton, rozwódką jak ona, zamierzała też zainwestować w serię filmów dokumentalnych o dzieciach i sztuce. Gdy była mężatką, pracowała czasami, lecz nigdy w pełnym wymiarze godzin; rzadko miała ten luksus, że mogła skoncentrować się przez jakiś okres wyłącznie na pracy. Kiedy dzieci i Sam byli w domu, jej uwaga rozpraszała się z taką łatwością jak – co? Stadko wróbli grzebiących w piasku, gdy ktoś rzuci w nie kamieniem. Od przyjazdu Barry'ego znów znajdowała się w tym nieprzyjemnym stanie – nie tylko nerwów towarzyszących samej konfrontacji, ale bardziej nawet oczekiwaniu na nią. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ich rozmowa się potoczy, co najwyżej tylko, że w ogóle się odbędzie.

Przypomniała sobie, co powiedział. Zaskakująca powaga słów „wstydzę się”. „Strasznie się wstydzę”.

Przypomniała sobie jego oczy – unikające jej wzroku, mocno pociemniałe,

jakby składały się z samej źrenicy.

Przypomniała sobie, jak przykro było jej poprzedniego wieczoru, kiedy przygotowała lekką kolację dla dwojga, a Barry nie miał apetytu, bawił się jezeniem, prawie nie słuchał, co do niego mówiła, odpowiadał na pytania krótko i z roztargnieniem, jakby w rozmowie brała udział tylko sama powierzchnia jego świadomości.

Był czymś zdenerwowany, zaaferowany, a jednak, co było bardzo dziwne, wcześniej, już o jedenastej, położył się do łóżka. Lydia chodziła spać koło północy.

Przyszła jej do głowy myśl: Źle się czuje sam na sam ze mną w domu, kiedy starsze rodzeństwo mieszka już gdzie indziej.

Była to myśl, którą od siebie odsuwała.

Była to myśl, która przyszła jej do głowy i którą nie do końca ubrała w słowa. Świadomie ją od siebie odsunęła.

Poprzedniego dnia namówiła Barry'ego, by poszedł z nią na małe popołudniowe przyjęcie u sąsiadów przy Somers Brook Road. Choć był w domu dopiero od kilku godzin i mógł wymówić się zmęczeniem, zgodził się jej towarzyszyć, pod warunkiem że nie będzie musiał wkładać marynarki i krawata (Lydia zapewniła, że nie ma takiej konieczności) i że nie zabawią zbyt długo (Lydia obiecała, że najwyżej godzinę). Państwo Brewerowie, starzy znajomi rodziny, byli świadkami jego dorastania, Barry rozumiał więc, że byłoby im przykro, gdyby się dowiedzieli, że przyjechał do domu, ale nie chciał ich odwiedzić. Rozumiał, że – podobnie jak inni młodzi ludzie – w oczach znajomych swoich rodziców, szczególnie takich ze starszego pokolenia, uosabia sens ich rodzicielskich wysiłków i to pociąga za sobą pewnego rodzaju zobowiązanie. Poszedł więc z matką i spędzili na przyjęciu dwie godziny. Lydia była skrycie dumna ze swojego wysokiego, przystojnego, kulturalnego syna, który podawał dorosłym rękę tak, jakby był jednym z nich.

Został nawet wciągnięty w zagadkowo żywą rozmowę przez miejscową kobietę, którą Manningowie znali, choć niezbyt dobrze – zameżną córkę znajomych Brewerów, blisko trzydziestoletnią, która przyjechała do Hazelton w odwiedziny do rodziców.

„Jak się Barry'emu podoba Amherst?” – pytano Lydię. „Przyjechał do domu na wakacje?” i „Co studiuje?”, i „Czy wciąż poważnie traktuje – co to tam było? Biegi? Pływanie? Nurkowanie?”. Siedemdziesięcikilkuletni Brewerowie jak zwykle nie mogli się nadziwić: „Jak on wyrósł!”, dzieląc się tym z Lydią, kiedy Barry nie słyszał, tak jakby jego wzrost był zasługą Lydi. Ona uśmiechała się i rumieniała, jakby rzeczywiście była to jej zasługa.

Dzień był przyjemny, ożywcze powietrze pachniało słodko kotkami wierzbowymi i kwitnącymi topolami. Przyjęcie odbywało się u Brewerów na tarasie, który wychodził na trawnik i porośnięty tatarakiem staw. Niewidzącym wzrokiem Lydia patrzyła, jak Barry i młoda mężatka idą powoli nad staw, ona przodem, opowiadając coś z ożywieniem, gestykułując, wyzywająca w sukience opinającej ją ciasno jak rękawiczka i w szpilkach, ze sztywną i błyszczącą od lakieru upiętą fryzurą, z której z tyłu wyjętych było kilka kosmyków i okalało jej szczupłą twarz. Nazywała się Phoebe Stone, nazwiska jej męża Lydia nie mogła sobie przypomnieć, wiedziała jednak, że jest świetnym manhattańskim finansistą i kiedy brali ślub, żyło tym całe Hazelton – chyba nie dalej niż dwa lata temu? Phoebe Stone była wyzywająco, przeraźliwie chuda; ubrała się w czarną jedwabną sukienkę, by dodatkowo tę swoją chudość podkreślić; nie była piękna ani nawet ładna, miała wąsko rozstawione oczy patrzące z podejrzliwością i duże usta wiecznie pokazujące niezadowolenie, prezentowała się jednak jako osoba ostentacyjnie atrakcyjna, nie pasowała do otoczenia, wyglądała komicznie, nie na miejscu w zestawieniu z Brewerami i ich gośćmi, z których kilkoro miało siwe głowy. Barry był tam jedynym prawie rówieśnikiem Phoebe, jeżeli można powiedzieć, że dwudziestolatek to niemal rówieśnik kobiety dwudziestodziewięcioletniej. Jedyne on, wysoki, szczupły i nieśmiały, ubrany w dżinsy, sweter i płócienne buty, wydał jej się interesujący.

Sam wymyślił kiedyś trafne przezwisko dla zadzierającej nosa panny Stone, córki bardzo bogatych rodziców. Jak też ono brzmiało?

Lydia najbardziej tęskniła za mężem, starym dobrym kumplem i powiernikiem, właśnie po tego rodzaju hazeltońskich przyjęciach. Dzięki Samowi – który potrafił mówić bez ogródek, wyśmiewać się ze wszystkiego, wydawać bezlitosne i niepoprawne sądy – przez te wszystkie lata mogła być *miła*, a mimo to zaśmiewać się do łez z cudownym poczuciem bezkarności.

Barry zatem towarzyszył matce na przyjęciu u Brewerów i wyglądał, jakby dobrze się bawił. Kiedy przyszła pora się żegnać, energicznie ucisnął dłoń gospodarza, gospodynię pocałował w policzek i podziękował obojgu ze słodkim, nieśmiałym uśmiechem. Jednak już w drodze do domu zaczął pokazywać humory; przez cały czas wyglądał przez okno, wiercił się, odpowiadał Lydii monosylabami, jakby nagle znów miał dwanaście lat. Lydia była zdziwiona i było jej przykro. Ci młodzi są jak słońce w pochmurny dzień – zmienni, nieprzewidywalni. Przeczowała, że ich wspólny wieczór, kolacja we dwoje, na którą tak czekała, okaże się męczarnią; nie myliła się.

Barry mruknął, że nie jest głodny, i przesunął po talerzu przygotowane

przez Lydię jedzenie. Twierdził, że najadł się u Brewerów.

– Chyba ją znacie, ty i tata. Tę kobietę, która była u Brewerów. Wczoraj.

Barry się zacinał, twarz miał zaczerwienioną, oczy spuszczone. Czuć było od niego lekko kwaśny zapach piwa.

– Phoebe Stone? – zapytała Lydia, bardziej zdumiona niż zbita z tropu.

– Ona... ja... o Boże, tak mi wstyd.

– Co się stało, Barry?

Siedział dokładnie naprzeciwko matki; lekko przygarbiony, zaciskał i otwierał duże dłonie. Dochodziła szósta. Nie było go przez cały dzień, a kiedy Lydia usłyszała zbliżający się motor, usłyszała, jak ta przekłeta kupa złomu hamuje przy drzwiach garażu, omal nie zasłabła ze złości i ze strachu. Siedziała na werandzie z drugiej strony domu – w przeszklonym pomieszczeniu, gdzie urządziła sobie gabinet – i pracowała, choć oczywiście cały czas czekała, przez calutki dzień.

– Co się stało, Barry? – powtórzyła dość ostrym tonem.

Barry się skulił. Przeczesał palcami włosy. Mówił tak cicho, że Lydia ledwo go słyszała. W końcu skoczył, z planową desperacją, jak na mityngach w szkole średniej... kiedy to wchodził po drabince na najwyższą trampolinę, skupiając na sobie wzrok wszystkich, chudy, wyglądający na wystraszonego chłopiec, prawie nagi, ociekający wodą i dygoczący jakby z nerwów. Lydii i Samowi wydawało się, że ich syn bierze rozbieg na trampolinie, by skoczyć – dokąd? W przestrzeń, w zapomnienie, na spotkanie przeznaczenia.

Zaczerwieniony ze wstydu Barry powiedział Lydii, że na tym przyjęciu Phoebe Stone „ostro się do niego przystawiała”; był zaskoczony i chyba pochlebiało mu to; nie był przyzwyczajony do tego rodzaju zabiegów ze strony starszych od siebie kobiet – „a gdzie tam, kobiet w ogóle”. Była taka piękna. Taka atrakcyjna. I była mężatką. Trzydziestokilkuletnią.

Lydia była wstrząśnięta do głębi, ale poprawiła syna:

– O, nie sądzę. Phoebe Stone ma najwyżej dwadzieścia dziewięć lat.

Barry wzruszył bezsilnie ramionami i znów przeczesał palcami włosy. Wyglądały na brudne, tłuste, chociaż rano mył głowę. Sterczały w nierównych kępkach jak wilgotne pierze ledwo wyklutego pisklęcia.

Lydia zauważyła, że lekko się zdziwił – ależ oczywiście, dokładny wiek Phoebe Stone nie miał znaczenia. Była *starsza*.

Lydia łagodnie zapytała jeszcze raz, co się stało; Barry milczał chwilę, lecz wreszcie cicho i niezbyt wyraźnie powiedział:

– Mamo, ona chce, żebym dziś w nocy do niej przyszedł. Dała mi adres

i w ogóle. Mieszka u rodziców, ale w osobnym domku. Powiedziała, że nikt mnie nie zobaczy, jeśli przyjdę, jak będzie ciemno. Dała mi też swój numer telefonu. – Wyjął z kieszeni dzinsów mocno wymiętą kartkę i położył na biurku, wygładzając ją niezgrabnie.

Trwało to kilka sekund. Lydia dostrzegła mocno pochyłe pismo, jakieś słowa i cyfry wypisane czerwonym atramentem.

– Powiedziała – mówił dalej, tłumiąc nerwowe beknięcie – chciała, żebym... się z nią kochał. – Znów przerwał; przełknął ślinę; twarz miał tak nabiegłą krwią, że wyglądała jak obsypana silnym trądzikiem. – Nie użyła... dokładnie tych słów. Powiedziała to inaczej.

Znów zapadło milczenie; oboje odczuwali porównywalną przykrość; Lydia spojrzała na swoje ręce, zaciśnięte w pięści, aż pobieleały. O czym oni tu rozmawiają? Jak to możliwe? Jej Barry, jej syn? Zwerbowany do udziału w seksualnej przygodzie? Na jej oczach? I to gdzie, u Brewerów przy Somers Brook Road?

Barry mówił dalej, szybko wyrzucając z siebie słowa:

– Powiedziała, że tak naprawdę nie wie, jak to się robi, przez tego męża, chyba coś z nim jest nie tak, albo może przez innych, z którymi była... związana. Powiedziała, że ja wyglądam na kogoś, kto wie. Dlatego – w tym miejscu Barry zachichotał – powiedziałem tak.

– Powiedziałeś *tak*? – zapytała Lydia słabo.

– Chyba mi to pochlebilo, nie wiem. Jest taka piękna i taka... atrakcyjna. Taka inna. Nie przypomina nikogo z moich znajomych, w ogóle... nikogo. Nie miałem czasu się zastanowić, to było jak sytuacja z filmu. Ale taka, która raczej nie mogła przydarzyć się komuś takiemu jak ja. Powiedziała, że „czuje, że nam ze sobą po drodze”, że jak tylko zobaczyła mnie u Brewerów, „poczuła, że mnie pragnie”. Nie wiedziała, kim jestem ani kim ty jesteś, mamo. Albo udawała, że nie wie. Jezu, ale to było dziwne! Już wtedy czułem, że to jest dziwne, ale... nie mogłem powiedzieć nie. Spacerowaliśmy nad stawem, a ona na mnie patrzyła, ma takie ogromne oczy i taką białą skórę, jakby niedawno chorowała, wyglądała jak w gorączce, jakoś mnie to wzięło. „Obiecuj, że przyjdiesz, i obiecuj, że nikomu nie powiesz”, powiedziała i mocno ścisnęła mi rękę, wbiła paznokcie tak głęboko, że zabolalo. „Obiecuj, obiecuj, obiecuj”. To powiedziałem, dobra, jasne, przyjdę i nikomu nic nie powiem, wszystko chyba wtedy bym jej obiecał, tak mnie... – Barry zmarszczył brwi, szukając słowa, którego nie mógł sobie przypomnieć, a Lydia, która słuchała z boleśnie bijącym sercem, nie miała ochoty mu go podsuwać. – W każdym razie obiecałem jej to wszystko. A teraz tobie o tym mówię, mamo, czyli chy-

ba jestem kłamcą, i nie pójdę do niej wieczorem, więc tego też nie dotrzymam... Ale mi skurwysyńsko wstyd.

Był widocznie tak zaaferowany, że nie zauważył, iż wymknęło mu się przekleństwo, którego Lydia nigdy wcześniej z jego ust nie słyszała. Nawet jej ono nie zaskoczyło – zbytnio.

Powiedział jej zatem, przyznał się. Potem powtórzył wszystko od początku, tym razem bardziej szczegółowo. Było widać, że dużo go to kosztuje; poza tym, że krępował się rozmawiać z matką o seksie, najzwyczajniej nie wiedział, co ma zrobić. Inny na jego miejscu podarłby kartkę z numerem telefonu albo poszedł na schadzki i później przechwalał się tym przed kolegami, ale Barry był zbyt wrażliwy i zbyt niedoświadczony. Gdyby zamiast Lydii siedział naprzeciw niego Sam, położyłby mu na ramieniu swoją ciężką łapę i powiedział, że ta cała sytuacja jest śmieszna. Tak, Sam określiłby tę sytuację po prostu jako śmieszna. Może zresztą i taka była.

– Gęsiareczka! – wykrzyknęła nagle Lydia.

Barry spojrział na nią zdumiony, mrużąc oczy.

– Tak twój ojciec nazywał Phoebe Stone – wyjaśniła. – Za jej plecami oczywiście. Nadawał ludziom takie zabawne przydomki. Przypominała mu – mnie zresztą też – ilustrację Gęsiareczki z naszego wydania *Baśni* braci Grimm, ma taką samą kwaśną minę, ogromne wytrzeszczone oczy, patykowate nogi. Nie pamiętasz biednej Gęsiareczki? Naprawdę?

Barry patrzył na nią pustym wzrokiem. Podejmowane przez nią próby przypominania dzieciom ich wspólnego dzieciństwa, szczególnie wczesnego dzieciństwa, zwykle spotykały się z tego rodzaju tępym oporem.

– Phoebe zawsze starała wyróżnić się strojem, tak jak wczoraj. Przez pewien czas nosiła nierównomiernie farbowane ciuchy, istne szmaty. Potem znowu chodziła w czymś, co przypominało mundur, szerokie spodnie khaki, wysokie skórzane oficerki. Teraz ubiera się na czarno. Wszystko zawsze obcisłe. Jest tak potwornie wychudzona – pewnie ma anoreksję. I te szpilki, przy jej wzroście – przecież ona ma co najmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. I ten udziwniony makijaż. – Lydia urwała, robiąc przerwę na oddech. Nie mogła sobie przypomnieć, czy wczoraj Phoebe była za mocno umalowana, czy też wcale nie miała makijażu. Jej blada, napięta twarz pojawiła się Lydii przed oczami, niewyraźna jak twarz ducha. – Słyszeliśmy, że miała „problemy ze sobą”, jakieś załamanie nerwowe w college’u. Potem zaangażowała się w demonstrację przeciwko... chyba elektrowniom jądrowym. Zawsze starała się znaleźć w centrum uwagi. Jakby krzyczała: „Patrzcie! Patrzcie na mnie!”.

Barry był zbyt pochłonięty własnymi emocjami, by dostrzec emocje matki.

– Gdyby tylko nie zmusiła mnie, żebym obiecał, że przyjdę – poskarżył się z grymasem żałości jak u kilkulatka. – Gdybym tylko nie był taką ofiarą. Szybko wypilem cały kieliszek wina, a poza tym, wiesz, byłem zdezorientowany przyjazdem do domu i – to wszystko mi tak zamieszało w głowie. A teraz...

– A teraz... – Lydia uśmiechnęła się krzepiąco.

– Nie idę.

Te słowa były gwałtownie wypowiedzianą przysięgą.

– Tak też mi się wydawało, że w tych okolicznościach nie pójdziesz – powiedziała Lydia.

Syn wciąż patrzył na nią proszącym wzrokiem. O co prosił? Z oczyma lśniącymi od łez powiedział:

– Nie idę i nie... nie mogę do niej zadzwonić.

Zapadła cisza. Lydia wiedziała już, co zaraz nastąpi, i zaczęła kręcić głową.

– Mamo, *proszę cię* – przymilał się Barry. – Tylko do niej zadzwoń i powiedz... wszystko jedno co. Cokolwiek. Że musiałem wyjechać, wrócić do szkoły, że mnie nie ma...

– Nie, Barry – ucięła Lydia ostro.

– Możesz powiedzieć, co chcesz, po prostu...

– Mam skłamać? Za ciebie? Masz dwadzieścia lat i sam się w to wpakowałeś! – Lydia roześmiała się, choć w jej śmiechu nie było wesołości. Z trudem zmusiła się, by spojrzeć na Barry'ego. Na jego twarzy malował się wyraz bezbrzeżnego młodzieńczego cierpienia; wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

Energicznie poderwała się z krzesła, wściekłość krążyła jej w żyłach jak kuleczki rtęci. Nie wiedziała, dlaczego jest taka rozzłoszczona, i nie chciała wiedzieć. Chwyliła Barry'ego mocno za ramiona i oznajmiła stanowczo:

– Nie. Nic z tego. *Nie i koniec.*

Lydia poszła na górę, taka była zdenerwowana.

Czy złościła się na Gęsiareczkę za to, że śmiała składać propozycje jej synowi, jej młodemu, pięknemu, niewinnemu synowi, czy też na syna, że dostał taką propozycję – i pochlebilo mu to? Że był tak wyraźnie zuroczony jej seksapilem? Lydia pomyślała z irytacją: złość się dlatego, że to jedyna rzecz, której matka musi synowi odmówić.

Później jednak się ugięła oczywiście.

Bo Barry rzeczywiście cierpiał, jak tylko potrafią cierpieć młodzi, którzy traktują zdradę drugiego człowieka jak zdradę samego siebie; za upokorzenie tak wielkie, że nic nie może go zmazać.

– I proszę, nie mów nic Samowi – poprosił.

(Były mąż Lydii należał do tych ojców, którzy każą dzieciom zwracać się do siebie po imieniu, jakby dzięki stworzeniu pozorów równości mieli prawo ponosić mniejszą odpowiedzialność rodzicielską).

Lydia westchnęła, roześmiała się i powiedziała z niesmakiem:

– No dobrze. Ale pamiętaj, to będzie pierwszy i ostatni raz.

Barry popatrzył na nią tak, jakby powiedziała coś nieprzyzwoitego.

Ugięła się więc i o dwudziestej drugiej piętnaście, gdy Barry znów wyszedł z domu, nalała sobie lampkę wytrawnego białego wina, rozprostowała pogniecioną kartkę z telefonem Phoebe Stone i lekko drżącą ręką wybrała numer. Barry twierdził, że Phoebe poprosiła, by przyszedł do jej domku, byłej powozowni na terenie posiadłości Stone'ów, „po wpół do dziesiątej”. Czekala więc na niego, wyczekiwała go, od czterdziestu pięciu minut.

Gdy w słuchawce rozlegały się kolejne sygnały, twarz Lydii płonęła. Czuła się – jak? Mściwa, podekscytowana? Triumfująca? Dlaczego ta kobieta miałaby mieć jej syna, syna Lydii, choć przez jedną noc? Ta pokracznie chuda Gęsiareczka, która zasługuje tylko na odepchnięcie, odrzucenie?

Wreszcie ktoś odebrał i cichy, ostrożny głos rzucił pytająco:

– Halo?

Lydia przełknęła ślinę, nagle bardzo zdenerwowana.

– Halo? Czy to Phoebe Stone?

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Phoebe Stone potwierdziła, że owszem, to ona. Wtedy Lydia odchrząknęła i ciepłym, przepraszającym tonem, tak gładko, jakby ćwiczyła tę krótką przemowę godzinami, powiedziała:

– Phoebe, mówi Lydia Manning, żona Sama Manninga. Spotkałyśmy się wczoraj na przyjęciu u Brewerów, ale chyba nie miałyśmy okazji porozmawiać?

Ten wstęp, zdawkowo uprzejmy i nie do rzeczy, nie doczekał się odpowiedzi, nawet zwyczajowego yhm, zachęcającego do mówienia dalej, więc Lydia brnęła, nieco bardziej niezdarnie, z rozognioną twarzą.

– Dzwonię w imieniu mojego syna, Barry'ego. Mówił, że zaprosiła go pani wraz z grupką znajomych na dziś wieczór. – Skłamała, ale było to kłamstwo nadzwyczaj udane, które jak sobie tłumaczyła, pozwoli Gęsiareczce wyjść z tego z twarzą. – Poprosił mnie, żebym do pani zadzwoniła i przeprosiła, coś mu wypadło, kolega z college'u... – Lydia zawiesiła głos na naturalnie

brzmiającej nucie zniecierpliwienia i pobłażania.

Cisza. Żadnej odpowiedzi.

– Wie pani, jacy są chłopcy w tym wieku – dodała Lydia, śmiejąc się słabo.

Na to odezwał się głos Phoebe Stone, czysty, wyraźny i dźwięczny jak uderzony kryształ:

– Niestety, nie wiem, proszę pani.

W tej chwili Lydia wyobraziła sobie szczupłą, bladą twarz tej młodej kobiety, oczy wzbierające łzami. Tę jej szopę skręconych, suchych włosów z syntetycznym połyskiem.

– Ale dziękuję, że pani zadzwoniła, to bardzo uprzejme z pani strony.

Lydia położyła się wcześniej niż zwykle, ogromnie zmęczona. Jednak mimo że dom był pusty i cichy jak grób, a przykre zadanie miała już za sobą, nie mogła zasnąć. (Nie, nie czekała na powrót Barry’ego; już wiele lat temu zarzuciła to bezcelowe zajęcie). Około drugiej wstała i zeszła na dół, zapalając po drodze światła. Jakby wiedziona instynktem podeszła do chybotliwego, skleconego przez Sama regału w jednej z wolnych teraz sypialni, odszukała postarzały egzemplarz *Baśni* Grimmów, przekartkowała... było to wydanie dla dzieci, w twardej oprawie, niewygodnie duże, z ilustracjami do większości baśni... w bardzo złym stanie (czy ona lub Sam nie upuścili tej książki kiedyś do wanny przy okazji kąpieli któregoś z dzieci?)... nietknięte od lat. Lydia odszukała Gęsiareczkę i ze zdumieniem przekonała się, że rysunek wcale nie przypomina Phoebe Stone.

W książce Gęsiareczka była ładna pospolitą urodą, miała okrągłą buzię, kręcone włosy, twarz słodką, bez wyrazu. Lydia przejrzała baśń i stwierdziła, że po tytule spodziewała się zupełnie czego innego, a okazało się, że to dość okrutna, prymitywna opowieść, wariacja na temat „księżniczki w przebraniu”. Gęsiareczka była księżniczką, przebraną za prostą wieśniaczkę.

Okazało się, że Sam nie miał racji. Ale w końcu Sam nie miał racji w tak wielu sprawach.

Lydia zamknęła książkę, oczy piekły ją od łez. Biedna Gęsiareczka! Ci dobrzy ludzie, do których trafiła, powinni byli lepiej ją traktować.

Amerykanka za granicą

W nieoznaczonym samochodzie korpusu dyplomatycznego z przyciemnionymi szybami jadącym do rezydencji konsula generalnego w zielonej dzielnicy miasta, gdzie jest mniejszy ruch samochodowy i rowerowy, żona attaché kulturalnego nachyliła się do Caroline Carmichael i powiedziała zniżonym głosem:

– Proszę nikomu o tym dziś nie wspominać, panno Carmichael, ale pan Price żyje ostatnio w dużym stresie. Dostaliśmy ostrzeżenie od wywiadu, że irańskie ugrupowanie terrorystyczne planuje na niego atak zbrojny. Jego córka...

Pan Price – Norman Price – był konsulem generalnym, do którego rezydencji Caroline Carmichael została zaproszona tego wieczoru na kolację; kolacja została właściwie wydana na jej cześć – na cześć gościa z kraju, „feministycznej” krytyczki sztuki podróżującej po Europie pod auspicjami pewnej amerykańskiej instytucji o ambicjach kulturalnych. Po trzydziestu pięciu dobach w hotelach dobieranych zgodnie ze skromną dietą przyznaną przez ową instytucję oraz niepokojąco niskim kursem dolara, krótkich, często trudnych lotów, sal wykładowych, nie wiedzieć czemu wypełnionych po brzegi lub nie wiedzieć czemu świecących pustkami, i typowych kłopotach ze snem i z żołądkiem Caroline Carmichael uważała się już za osobę zaprawioną w trudach podróży, a przynajmniej z cierpliwą rezygnacją znoszącą swój los; była pełną pasji, nieuskarżającą się na niewygodę emisariuszką kultury, za jaką zapewne uznała ją instytucja sponsorująca jej tournée. Ale – ugrupowanie terrorystyczne? Irańczycy? „Atak zbrojny”? Zszokowała ją ta podana zwyczajnym tonem informacja; jednak skinęła tylko głową, poważnie i ze współczuciem, jakby ta wiadomość, to niespodziewane odkrycie stresu w życiu dyplomaty, nie było dla niej niczym nowym czy przerażającym.

Siedzący obok kierowcy attaché kulturalny obrócił się do żony, może po to, by rzucić jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona z przejęciem mówiła dalej, nie zwracając na niego uwagi:

– Jego córka Inge – pozna ją pani – przyjechała na krótko ze Stanów – wczoraj przez kilka godzin ktoś ją śledził, doniesiono też o innych incydentach. Ale państwo Price’owie nie chcieli odwołać dzisiejszej kolacji – zaproszono przecież tyle osób, tyle *wybitnych* osób. To będzie uroczyste wydarzenie. Oczywiście rezydencja jest pilnie strzeżona. Ochrona tej placówki nie jest bez zarzutu, bo od początku lat siedemdziesiątych panował tu spokój, ale...

Attaché kulturalny odwrócił się gwałtownie i powiedział, jakby powtarzał tę kwestię wielokrotnie i był na jej punkcie przewrażliwiony:

– Nie wiem, ile już razy składałem podanie o samochód kuloodporny. Oczywiście konsulat ma do dyspozycji wiele aut, także limuzyn, i większość z nich jest odpowiednio zabezpieczona, ale *to*, przeznaczone do użytku naszego wydziału... – urwał nagle i zapanowała krępująca cisza.

Jakby w reakcji na te słowa kierowca, który nie mówił po angielsku, ale chyba co nieco rozumiał, wyraźnie przyspieszył; z głośnym stukotem przejeżdżali po moście nad jednym z kanałów, szerokich, spokojnych, zwykle podziobanych kroplami deszczu. Serce Caroline Carmichael też zaczęło bić szybciej; patrzyła przez okno na ponury miejski krajobraz szeregowych domów z brudnej cegły, zaniedbanych budynków użyteczności publicznej, ze śladami „modernizacji” tu i ówdzie – podobnych do siebie wysokich biurowców i bloków mieszkalnych, wielopoziomowych garaży. Najbardziej przykuwające uwagę i przygnębiające – Caroline przyjechała do miasta zaledwie dzień wcześniej – były kilkukilometrowej długości mury, chodniki, ławki, nawet drzewa – olbrzymie, dumne wiązy, dęby, platany – splugawione przez graffiti w intensywnych odblaskowych kolorach. Jakie to było dziwne! Jakie brzydkie! Niby buntownicza, ale nijaka ikonografia młodzieży, najwyraźniej przeschcepiona z nowojorskiego metra do tego legendarnego miasta – Caroline Carmichael zapytała gospodarzy, kto to robi i z jakiego powodu, dlaczego się to toleruje, dlaczego się tego nie czyści czy nie zamalowuje, ale odpowiedzi były mało konkretne. Młodzież. Narkomani. „Rewolucjoniści” bez rewolucji.

Zastanawiała się, czy zaraz, może już na następnym skrzyżowaniu lub kiedy wjadą w jakąś spokojniejszą uliczkę, spotka ich śmierć. Kula z karabinu maszynowego, bomba? Caroline Carmichael należała do pokolenia ludzi na wskroś nowoczesnych, wręcz ponowoczesnych, którzy żyją ze świadomością, że ich śmierć nie będzie skutkiem logicznego, przewidywalnego ciągu zdarzeń czy etycznie spójnego algorytmu duszy; dlaczego więc nie miałyby nastąpić tu i teraz, w towarzystwie tych dwojga zwyczajnych, poczciwych Amerykanów (attaché kulturalny i jego żona pochodzili, podobnie jak Caroline Carmichael, ze Środkowego Zachodu; dwadzieścia lat życia za granicą nie zneutralizowało ich silnego akcentu), w samochodzie – śmierć od kuli zamachowca? Zaśmiała się nerwowo i rzuciła:

– Ale nie sądzą państwo, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, prawda?

Widząc zaniepokojenie gościa, państwo Bonnersowie postarali się je jak najszybciej załagodzić; pani Bonners nawet poklepała Caroline po rękę. Skądże znowu, zapewniali, oczywiście, że nie, realne niebezpieczeństwo nie

istnieje – gdyby było inaczej, ochrona nalegałaby, żeby konsul odwołał kolację.

– Dlaczego Irańczycy chcą zabić pana Price’a? – zapytała Caroline.

– Nie „Irańczycy” w ogóle, tylko irańscy terroryści – uściślił attaché. – Nasz wywiad nie zna nawet nazwy tego ugrupowania, musi to być więc jakiś odłam, raptem kilku ludzi. Tacy potrafią być najskuteczniejsi. Chcą zabić pana Price’a, ponieważ był w Teheranie aż do końca; ma wielu irańskich przyjaciół w samym Iranie i za granicą.

– Uwielbiali go tam, i Georgine też – dodała z uczuciem pani Bonners.

– Rozumiem – powiedziała Caroline Carmichael, choć niezupełnie rozumiała.

Rezydencja konsula generalnego okazała się olbrzymim, solidnym, zdobionym sztukaterią budynkiem z kamienia pomalowanym na niewiarygodny, choć całkiem ładny kolor bladoróżowy; otoczonym niczym forteca wysokim na piętnaście stóp kamiennym murem z żelazną bramą o średniowiecznym wyglądem i z budką strażniczą, w której siedziało dwóch żołnierzy piechoty morskiej. Caroline Carmichael czuła niechęć do tych młodych Amerykanów z ogolonymi głowami i o oczach świadomie pozbawionych wyrazu: w ambasadzie amerykańskiej w RFN przypadkowo usłyszała, jak rozmawiają o niej dwaj strażnicy, bez skrępowania, dość głośno, wzięwszy ją widocznie za Niemkę, ponieważ w tym momencie nie towarzyszył jej i nie bawił rozmową po angielsku żaden z pracowników konsulatu. Ten incydent ją zirytował; wywarł jednak i głębsze wrażenie – poczuła nie tylko absolutną bezradność kobiety w świecie mężczyzn, lecz także bezradność obywatela nieamerykańskiego w świecie, w którym panuje wojskowy porządek władzy i wpływów. Dziś wieczorem jednak strażnicy zachowywali się uprzejmie, choć może nieco automatycznie, ponieważ Caroline Carmichael była gościem specjalnym, miała przy sobie paszport i obstawę pracowników konsulatu.

W innych miastach europejskich, gdy wchodziła do okazałych, przypominających pałace rezydencji konsulów, kilka razy zdarzyło jej się usłyszeć, że ten budynek, który teraz stanowi własność rządu Stanów Zjednoczonych, podczas drugiej wojny światowej służył za kwaterę dowództwa nazistowskiego; możliwe nawet, że pod jego dachem nocował sam Adolf Hitler. Czekwała, kiedy państwo Bonnersowie wygłoszą podobną uwagę – której towarzyszył zwykle zażenowany śmiech – ale o niczym takim nie wspomnieli. Podnosząc wzrok na elegancką fasadę i wdzięczny portal, Caroline powiedziała:

– Piękny budynek!

– Ale Georgine Price wolałaby mieszkać gdzie indziej – odparła żona at-

taché kulturalnego.

Boczne wejście do domu otaczały podwójne rzędy żółtych, złotych i bladopomarańczowych róż, których kwiaty wyglądały w gasnącym świetle dnia jak złota żyła.

Mały terier z różową kokardą przy obróżce wybiegł z domu powitać gości histerycznym szczekaniem, lecz jeden z młodych strażników go przytrzymał. Drzwi otworzyły się na zewnątrz i pani Price – wysoka, dostojna, o kościstej twarzy, ubrana w długą brokatową suknię – stanąwszy w progu, zaprosiła ich do środka, napominając jednocześnie teriera, który skakał na Caroline Carmichael i lizał jej dłonie językiem przypominającym w dotyku mokrą irchę.

– Suzie, bądź grzeczna! I bez ciebie jest dziś dosyć nerwów.

Była to tak czytelna aluzja do ostrzeżenia o ataku terrorystów, że Caroline uznała zagrożenie za tajemnicę poliszynela; ale oczywiście nie odezwała się ani słowem. Była tego wieczoru gościem honorowym i zamierzała wywiązać się ze swojej roli.

Pani Price, mająca skłonność do teatralnych gestów, ujęła dłoń Caroline Carmichael, przyłożyła do swojej piersi i zapytała, jak się czuje, jak znosi ciągłe podróże, i wyraziła nadzieję, że nie jest zmęczona „tym dzisiejszym wykładem, absolutnie fenomenalnym. *Tak dużo z niego wyniosłam*”.

Wzięła gościa pod rękę i energicznie zaprowadziła do ogromnego salonu, gdzie Caroline przez kilka minut musiała ścierpieć następującą po sobie w zawrotnym tempie wymianę nazwisk, uścisków dłoni, wystudiowanych staroświeckich uprzejmości, wysłuchać kolejnych, może nawet szczerych słów uznania dla swojego wykładu (*Ikonografia męczeństwa kobiet w sztuce europejskiej*) oraz dziękować za kolejne kieliszki białego wina i wymyślne przekąski ułożone na srebrnych tacach i roznoszone przez ubranych w liberie kelnerów. Jak zawsze w takich sytuacjach Caroline Carmichael odczuwała idealnie przeciwstawne impulsy: pragnienie znalezienia się gdzie indziej, wszystko jedno gdzie, i przekonanie, że owszem, jest na właściwym miejscu i wszystkie składane jej hołdy są jak najbardziej zasłużone.

Bo jaką miała w istocie alternatywę?

Pani Price klasnęła w dłonie i oznajmiła donośnym głosem:

– Norman ma nadzieję, że mu wybaczycie. Trochę się spóźni. – Po czym powtórzyła, jakby dla tych, którzy nie całkiem zrozumieli: – Konsul generalny prosi o wybaczenie, spóźni się kilka minut.

Pani Price miała sześćdziesiąt kilka lat, ale mówiła i ruszała się jak młoda, bardzo energiczna osoba; jej lekko wytrzeszczone oczy, ruchliwe usta, siwiejące włosy ufryzowane wokół twarzy kojarzyły się Caroline z rysunkiem

Johna Tenniela, Czerwoną Królową w przygodach Alicji w świecie po drugiej stronie lustra. Pani Price przyglądała się Caroline z wyrazem wielkiej, choć nieco roztargnionej troski.

– Czy mówiła pani, że jest pani zmęczona, pani Carmichael? Może miałyby pani ochotę pójść na górę i położyć się na kilka minut? – zapytała nagle.

Wszyscy spojrzeli na Caroline Carmichael, oczekując, co odpowie, a ona, zażenowana, zastanawiając się, czy aż tak strasznie wygląda, zapewniła gospodynię, że bynajmniej nie jest zmęczona:

– Naprawdę bardzo się cieszę, że mogę tu dzisiaj być.

Ale uwagę pani Price pochłonęło już przybycie nowych gości i dochodzące od wejścia spazmatyczne szczekanie.

Drżącą prawie niezauważalnie ręką Caroline wzięła z tacy lampkę białego wina i podeszła do grupki osób, w której znajdował się między innymi trudny do strawienia „krytyk kultury z Paryża”, który po południu wygłosił wprowadzenie do jej wykładu – jak wyjaśniła nietaktownie pani Bonners, był jedyną osobą, jaką udało im się znaleźć, mogącą „w miarę na poziomie” przedstawić Caroline Carmichael audytorium, które nigdy nie słyszało o jej książkach. Ten szczupły, drobny, w miarę młody mężczyzna o sarnich oczach, François, miał bardzo białe zęby i traktował wszystkich z protekcyjną, wyszukaną uprzejmością. Jakby chciał ukoić nadszarpnięte nerwy Caroline, szepnął jej do ucha:

– Proszę się nie denerwować, panno Carmichael, ludzie z waszego CIA na pewno mają wszystko pod kontrolą.

– Nie denerwuję się – odparła Caroline, zaskoczona; nie miała ochoty zostać wciągnięta w wymianę zwierzeń.

Przez dłuższy czas, jak jej się zdawało, a w rzeczywistości prawdopodobnie nie więcej niż pół godziny, goście zebrani w salonie państwa Price’ów – około piętnastu osób, w tym dziennikarz i dokumentalista z Holandii, profesor i tłumacz z Niemiec, kustosz miejscowego muzeum sztuki współczesnej, kilku pracowników konsulatu amerykańskiego wraz z małżonkami oraz przybyły z wizytą ze Stanów ekonomista o nazwisku Zaller, który trzymał w ręku niezapaloną fajkę – prowadzili ożywione rozmowy; neutralny obserwator wyczułby zapewne wiszące w powietrzu napięcie, nerwową wesołość, lecz mógłby przypisać je podekscytowaniu, jakie zwykle towarzyszy przyjęciom. Zbliżała się pora zasiadania do stołu, a konsul generalny wciąż się nie zjawiał; pani Price co rusz wychodziła z salonu i wracała, przyciskając upierścienione dłonie do piersi i patrząc rozbieranym, lekko zamglonym, niewidzącym wzrokiem. To koszmar każdej gospodyni, pomyślała Caroline Carmichael.

Może powinniśmy po prostu się pożegnać i wyjść? Pomyślała o swojej matce, którą bardzo kochała, nieżyjącej już od blisko dziesięciu lat. Pomyślała o swoim starzejącym się, schorowanym ojcu, z którym od dawna nie miała kontaktu; i przeszło jej przez myśl pytanie, jakiej treści telegram wysłałby mu rząd Stanów Zjednoczonych, gdyby ona zginęła nagłą śmiercią. Jako zawałowiec pan Carmichael odczytywał niezliczone zagadki tego świata według własnych szyfrów; w jego kosmologii nie było miejsca na coś tak niewinnego jak zwykajny przypadek.

Nagle pojawiła jej się przed oczami wizja – błyskawiczna, jak krótka scena z filmu – ognia wpadającego przez udrapowane satynowymi zasłonami okna salonu; toczącej się prosto na nich kuli płomieni, od której w okamgnieniu zajmują się ogniem i umierają potworną śmiercią. Ta wizja wystraszyła ją, lecz również przyniosła pociechę: bo skoro tak czy owak trzeba umrzeć, to czy nie lepiej umrzeć nagle i w pewnym sensie anonimowo, wśród obcych? Powolne umieranie matki było dla nich udręką i możliwe, że ojciec wciąż nie pogodził się z jej śmiercią, choć ożenił się ponownie w zdumiewająco krótkim czasie, po półtora roku, z kobietą tak młodą, że – jak to się zawsze w takich przypadkach mówi – mogłaby być jego córką, która jednak w stosunku do jego córki bynajmniej nie zachowywała się jak siostra. Pan Carmichael, emerytowany profesor filologii w Oberlin College, był niegdyś mężczyzną o niekwestionowanym autorytecie i przekornym wdzięku, obecnie zaś całkowicie pokonanym przez życie starcem, u którego po lekkim zawale przebyłym przed dwoma laty i po zdarzających się od tamtego czasu okresach afazji wykształciła się autentyczna paranoja – wieloletnia skłonność do wyobrażania sobie, jak inni go oceniają i co przeciw niemu „knują”, przybrała postać gorączkowego, powtarzającego się wciąż od nowa cyklu lęków, oskarżeń, wątpliwości, próśb o wybaczenie, pożegnalnych scen o szekspirowskiej intensywności. Przez większość swojego życia mój ojciec czuł się Hamletem, mówiła Caroline przyjaciółom, a teraz czuje się Learem. Pan Carmichael nigdy w pełni nie zaaprobował specjalności, którą wybrała jego córka – czyż w feminizmie jako takim nie ma bowiem czegoś upraszczającego, wulgarnego – lecz starał się okazywać jej zyczliwość; od czasu zawału na sam jej widok, na dźwięk jej głosu, podniesionego w przedstawianiu swoich racji, do oczu napływały mu łzy gniewu. Zarzucał jej, że go nie kocha lub nie dość go kocha – „ale ile to jest *dość*?” – zapytała Caroline kiedyś drugą żonę ojca, której wymuszony uśmiech i pozbawione współczucia spojrzenie budziły w niej jak najgorsze przeczucia, i usłyszała szczerą odpowiedź: „Chyba niczego by mu nie było dosyć, Caroline. Może więc lepiej zostaw go w spokoju”.

Na drugiej półkuli, niczym po drugiej stronie lustra, bliźniacze ja Caroline Carmichael wiodło normalne życie, wykonując znane do znudzenia codzienne obowiązki, podczas gdy tutaj, w tym gustownie, choć może odrobinę zbyt starannie urządzonej sypialni odbywało się przyjęcie na jej cześć; w domu, czyli w wynajmowanym domku na przedmieściach dużego, rozrastającego się miasta, pozbawionego jakichkolwiek cech wyróżniających je spośród innych amerykańskich miast na Środkowym Zachodzie, oddalonym o godzinę drogi pociągiem od uniwersytetu stanowego, gdzie wykłada, je właśnie kolację z przyjaciółmi czy z mężczyzną (miała jeszcze dwóch czy trzech takich znajomych, bardziej przyjaciół niż adoratorów, kolegów z uczelni), choć najbardziej prawdopodobne jest, że je sama, z charakterystycznym roztargnieniem, przeglądając przy okazji pocztę czy notatki do wykładu na następny dzień lub usiłując przebrnąć przez którąś z fachowych książek, których recenzji zawsze się podejmowała i z którymi nigdy nie zdążyła na czas. Niebezpieczeństwo mieszkania w pojedynkę polega na tym, że czyta się lub pracuje przy jedzeniu – Caroline Carmichael miała tego świadomość, lecz alternatywa jej się nie uśmiechała; bez towarzystwa przy stole jedzenie nie ma smaku. W domu również geograficzna bliskość (czterysta sześćdziesiąt kilka mil – zaledwie dzień jazdy samochodem) kazała jej myśleć o ojcu częściej, niż miałyby na to ochotę, gdyż pograżanie się w takich myślach jest bezcelowe i szybko przeraża się w uzalanie się nad sobą.

Caroline Carmichael przyjęła propozycję rządu USA, by wybrać się na przełomie wiosny i lata w ambitny objazd miast zachodnioeuropejskich, nie tylko po to, by uciec od ojca, niemniej musiała przyznać, że nie widziała plusów pozostania „w domu” – w każdym sensie tego słowa. Czytała Cesarego Pavese’go i raczej z satysfakcją niż przerażeniem zakreśliła następujący fragment: *Podróżowanie to brutalność. Zmusza człowieka do pokładania ufności w nieznanym i stracenia z oczu tego, co daje poczucie bezpieczeństwa – domu i przyjaciół. Każde wciąż stąpać po niepewnym gruncie. Nic nie jest własne, prócz tego, co najbardziej uniwersalne: powietrze, sen, sny, słońce, niebo – tego wszystkiego, co bez wyjątku ciąży ku wieczności bądź naszemu o niej wyobrażeniu.* Taka ekstatyczna ucieczka od świata nie stała się jednak udziałem Caroline Carmichael, ponieważ jej dni były wypełnione kakofonią ludzi: przeważnie miłych, ale ludzi, co do jednego nieznanym, zwracających się do niej z uśmiechami, z uściskami dłoni, z takimi czy innymi prośbami, z pytaniami sformułowanymi starannie, lecz nieraz kuriozalną angielszczyzną. Zataczając nierówne pętle i gwałtowne zygzaki, Caroline przemieszczała się na północ, wygłaszała swój wykład w nieco zmodyfikowanych wersjach, poznawała stu-

dentów, nauczycieli akademickich, tłumaczy, historyków sztuki i feministki, Amerykanów żyjących za granicą; rozpoczęła podróż w Atenach i miała zakończyć za dwanaście dni w Oslo, jeżeli nie wydarzy się nic niespodziewanego – nagła choroba, „polityczny” zamach. Miała trzydzieści siedem lat. Była atrakcyjna, miała otwarte, dość melancholijne spojrzenie, delikatne jasne włosy, zwyczaj uśmiechania się zbyt szybko i nieszczerze; była wysoka, trzymała się prosto, nieco zbyt sztywno; przypominała, jak zauważył złośliwie jeden z jej byłych kochanków, napięty łuk, który zaraz wypuści strzałę. Choć odniosła zawodowy sukces – o ile sukces można bez cynizmu zmierzyć w oficjalnych, publicznych kategoriach – nosiła w sobie dziewczęcą, romantyczną nadzieję, że w podróży spotka swoje „przeznaczenie”: że od pierwszego wejrzenia rozpozna osobę czy osoby, czy miejsce, czy widok, który nada jej podróży wyjątkowy sens. Inaczej bowiem po co w ogóle ruszać się z domu?

Dlatego czuła się nieproporcjonalnie przygnębiona, jakby osobiście znieważona przez to właśnie miasto: słynny Amsterdam, malownicze miasto kanałów, szesnasto- i siedemnastowiecznych kamienic, niezliczonych muzeów. Zaniedbanie zauważyła już na lotnisku; jadąc do centrum, widziała zeszpecone budynki, mury i chodniki, przybrudzone ze starości graffiti częściowo przykryte nowym, bezsensowne akty wandalizmu na własności wspólnej, które jakby coś wyrażały, coś krytykowały, ale co? Nawet parki, w innych zachodnioeuropejskich miastach oazy dumy publicznej, tutaj były zapuszczone i przedstawiały przykry widok; młodzi ludzie w środku dnia spali na trawnikach albo kulili się na ławkach, zaćpani, ledwo przytomni, o kompletnie pozbawionych wyrazu twarzach; sprawiali wrażenie, jakby niczego im nie brakowało do pełni szczęścia. Co za koszmarna deformacja państwa opiekuńczego, pomyślała Caroline Carmichael, naoczny dowód na niesłuszność założenia o wrodzonej prawości i godności jednostki. Miasto nie dawało rady udźwignąć finansowego ciężaru olbrzymich comiesięcznych wypłat socjalnych; szeregi zawodowych bezrobotnych wciąż się powiększały; istniały związki zawodowe mieszkańców squatów, nawet związki zawodowe narkomanów...! Niemniej wykład Caroline *Ikonografia męczeństwa kobiet w sztuce europejskiej* się udał; frekwencja była zaskakująco wysoka. Nikt nie jest tak absolutnie samotny jak wykładowca zwracający się do słuchaczy, pomyślała Caroline, ale ten rodzaj wywyższenia nad innych w gruncie rzeczy jej odpowiadał; ekscytował ją; budził elokwencję i płomienny zapał, które idealnie przystawały do wygłaszanych przez nią kontrowersyjnych koncepcji.

Wprowadzenie paryskiego krytyka było zaś uprzejme, powierzchowne

i uroczym protekcjonalnie; jasne było, że François nie czytał ani jednej jej książki i że niczego o niej nie wiedział, wyrecytował tylko listę faktów podanych przez konsulat. Dłużej zatrzymał się nad tym – chyba go to bawiło – że Caroline była pierwszą w historii swojej uczelni kobietą, której powierzono kierowanie katedrą; była pierwszą kobietą przewodniczącą swojego towarzystwa naukowego; pierwszą kobietą historykiem sztuki, która zawitała z gościnnym odczytem do konsulatu amerykańskiego w Amsterdamie. Niby wychwalając Caroline Carmichael i dziękując organizatorom jej tournée za to, że może ona przemawiać również w Amsterdamie („po raz pierwszy w błyskotliwej karierze profesor Carmichael!”), ten uśmiechnięty, wymuskany Francuzik z egzotycznym akcentem w istocie ją obrażał. Ale Caroline dzielnie utrzymała na twarzy wyraz stoickiego spokoju, nawet pogody. Publicznie nigdy nie dałaby po sobie poznać, co czuje. Publicznie nawet mordczy szłał nie przebiłby się z głębi jej istoty na powierzchnię.

Z pełnym wdzięku uśmiechem wstąpiła na mównicę po François i zabrała się do zjednywania sobie publiczności, co jak wiedziała, na pewno skończy się sukcesem. Jak doskonała byłaby Caroline Carmichael, pomyślała, jak nieskończenie dobra, wrażliwa, odważna, gdyby tylko mogła całe swoje życie przeżyć publicznie.

– Pani wykład był genialny! *Pani* była genialna!

Inge, dwudziestoletnia córka państwa Price’ów, przedstawiona Caroline Carmichael przez panią domu, złapała gościa za rękę, jakby brała ją w posiadanie; podeszła tak blisko i z takim uczuciem, że Caroline przeszła przez głowę dziwna myśl, iż dziewczyna chce ją pocałować w usta. Co za niezwykle porywcza młoda kobieta! Jakże inna niż studentki, które uczyła! W oczach Inge zapaliły się gniewne ogniki, jakby w obronie Caroline; jej duża twarz – pełna, usiana piegami, ciepło zaróżowiona, jak po uderzeniu – przypominała księżyc w pełni; jej młode, pulchne ciało promieniowało energią, pewnością siebie, zuchwałością. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że jest ubrana po prostu w łąchmany, ale jej strój miał swoistą logikę, a nawet pewien niedbały styl – dwie czy trzy spódnice, prześwitująca bluzka o kroju ludowego kaftanu z dużym dekoltem, bezkształtny czarny sweter czy może robiony na drutach wielki szal. Pyszne miedziane włosy, długie, silnie skręcone i nierozczesane, co rusz opadały jej na twarz i wpadały do oczu; pełne, miękkie piersi poruszały się nieskrępowane pod bluzką; biodra miała szerokie, krzepkie, jędrne; skojarzyła się Caroline z młodą Flamandką z obrazu, zdrową, rumianą, nieświadomą swojej urody. Było widać, że matka jest z niej dumna,

choć trochę się zaniepokoiła, gdy Inge wpadła do salonu, by pomagać służbie (z którą, być może, czuła pokrewieństwo dusz?), lecz bez śladu nieśmiałości wdała się w ożywioną rozmowę z gościem honorowym. Inge wyznała Caroline Carmichael, że ikonografia męczeństwa kobiet interesuje ją szczególnie w odniesieniu do współczesności, nie tylko do przeszłości; chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o „polityce inkwizycji” (o której Caroline wspomniała pokrótce pod koniec wykładu) i o tym, jak ona się ma w odniesieniu do rzeczywistości, a nie tylko do jakichś starych obrazów, których nikt już nie ogląda albo prawie nikt.

– Jak długo zostanie pani w Amsterdamie? Może mogłybyśmy się spotkać? Może jutro? Im wcześniej, tym lepiej. Może na śniadanie? – zapytała Inge na jednym oddechu, nachylając się ku Caroline i wpatrując w nią błyszczącymi, lekko wyłupiastymi zielonymi oczami. Bił od niej silny, hipnotyczny zapach pudru, ciepła, niezbyt częstego mycia; lekko zatechły zapach długo noszonych ubrań, niezdejmowanych nawet do snu.

Pani Price, ubrana w wyszytą brokatem suknię, z wisiorem w kształcie kindżału, dała wyraz matczynemu oburzeniu czy może po prostu zawstydzeniu:

– Inge, zmiłuj się, pani Carmichael jest zajęta, na pewno ma na jutro zaplanowane mnóstwo spotkań, wywiadów...

Caroline nieświadomie odsunęła się o krok od żywiołowej Inge, lecz teraz złapała oddech, zaśmiała się, dość zaskoczona, zdumiona, i powiedziała z uśmiechem:

– Bez przesady, możemy się umówić. Niech będzie śniadanie.

Było to tak dobitne zwycięstwo córki nad matką, że Inge szturchnęła matkę i mruknęła:

– Mamo, zostaw nas na chwilę, muszę jeszcze pomówić z panią Carmichael.

Pani Price usunęła się na bok, nagle pokonana, a Caroline Carmichael wciąż się uśmiechała, nieco zamroczona, bo Inge była tak niezwykłą dziewczyną, tak widowiskowo silną osobowością, jakby do szacownego grona gości wpadła kula płomieni, boleśnie kontrastując z tłem złożonym z dorosłych ludzi, przeważnie w średnim wieku, zadbanych i starannie, elegancko ubranych. Caroline przypomniała sobie teraz, że widziała tę ekscentryczną młodą Amerykankę na wykładzie, zwróciła jej uwagę pasją, z jaką dziewczyna przytakiwała jej słowom, a kiedy nadszedł czas na pytania z sali, Inge zapytała niezbyt składowo o wspomnianą przez Caroline „enancjomorficzną” zależność między ascetyzmem a sadyzmem w sztuce sakralnej późnego średniowiecza

i wczesnego renesansu; było to pytanie zarazem aroganckie i inteligentne – bo czy „ascetyzm” i „sadyzm” to nie są po prostu wyrażenia patriarchalne? – a jej donośny, pewny siebie głos z amerykańskim akcentem sprawił, że wszyscy odwrócili się, żeby na nią spojrzeć. Caroline nie wiedziała oczywiście, że ta odważna młoda kobieta jest córką konsula generalnego; po wykładzie zniknęła, nie podeszła, żeby się przedstawić.

Teraz rozmawiała z Caroline podekscytowanym głosem, uśmiechała się do niej swoim olśniewającym uśmiechem, ujęła ją za rękę, jakby przyjaźniły się od zawsze, i jeszcze raz pochwaliła wykład, mówiąc, że zwalił ją z nóg, że nie może zapomnieć niektórych slajdów, tych wyłupionych oczu, piersi męczennic na tacach, tej Madonny o niezdrowo zielonkawej cerze, karmiącej małego Jezusa, który całym ciałem wyrażał pogardę – czy to był obraz niemiecki? średniowieczny? flamandzki? Czy może to wszystko właściwie jedno i to samo? Inge powiedziała, że rzuciła Bennington College w połowie drugiego roku i nie zamierza wracać, chociaż może kiedyś wróci, tylko nie tak zaraz; nie chce ugiąć się pod presją rodziców.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, Caroline! Jestem rozpuszczonym bachorem dyplomaty, mój staruszek na każdej placówce dostaje najwyższe stanowisko, a najgorsze w tym wszystkim jest to – powiedziała gościowi do ucha, zniżając głos do szeptu – że on jest taki strasznie dobry i porządny, Kocham go, to praktycznie święty człowiek, wszyscy tak mówią. Mama zresztą też, chociaż pozory mogą mylić. Jest *dziwna*, to fakt. Ale to dobrzy ludzie, gotowi byliby chyba nawet umrzeć na posterunku, reprezentując pieprzoną politykę zagraniczną Stanów, tata dwa razy o mały włos nie zginął, z tego, co wiem, a przecież nie mówią mi wszystkiego. To *dobrzy* ludzie. Kocham ich oboje, też za to, jacy są dziwni, jak zdrowo stuknięci! Nie są źli. Cytowałeś jedną feministkę, nie pamiętam nazwiska, chyba jedną z tych pionierek sufrażystek, która powiedziała: „Kobiety nie mają w sobie dość zła”...?

Caroline Carmichael roześmiała się z zadowoleniem, ponieważ to zdanie i na niej wywarło bardzo silne wrażenie, kiedy natknęła się na nie po raz pierwszy, wiele lat temu.

– Rebecca West. Ale mówiła to o Brytyjkach, o pewnej szczególnej kaście kobiet, w roku 1912...

Inge zapamiętała kiwała głową, ale chyba nie słuchała, bo nagle nachyliła się znów do Caroline; źrenice miała rozszerzone, a tęczęwki cudownego koloru przejrzystej zieleni.

– Poznałaś tego gościa z fajką, który stoi przy drzwiach, „Petera Zallera”? Pracuje dla CIA, ale nie jest tajnym agentem, tylko zajmuje się „analizą”, jak

to nazywają. – Prychnęła z oburzeniem i pogardliwie wydeła dolną wargę. – Jakby nie słyszał, że istnieje coś takiego jak brudna wojna czy „przyjacielski” zamach!

Caroline spojrzała na tego dość zwyczajnie wyglądającego pana; zapytała, co to znaczy „analiza”; ale Inge już przestał interesować pan Zaller. Wróciła do przerwane go, bardziej zajmującego tematu wykładu Caroline Carmichael – do obrazów podcinanych dłoni, ściętych głów, Madonn jako męczennic, ekstazy śmierci – może Caroline mogłaby podać jej listę książek, które powinna przeczytać, obrazów, które powinna obejrzeć, nazwisk najważniejszych radykalnych feministek w Stanach? I kiedy mogłyby się spotkać? Naprawdę jutro? Jakoś przed południem, w hotelu Caroline? W którym hotelu się zatrzymała?

– Przez te kilka godzin między wykładem a przyjęciem – mówiła dziewczyna bez tchu, patrząc Caroline w oczy w sposób zarazem irytujący i schlebający – łąziłam po mieście, nad kanałami, chociaż oni tego nie lubią, ze względu na... – mają teraz jakiś problem z bezpieczeństwem – i wiesz, co sobie przez cały ten czas myślałam?

Wpatrywała się w Caroline tak intensywnie, że Caroline poczuła ukłucie zwykły strach.

– Co?

– *Chciałabym być tobą.*

To zdanie zawisło w powietrzu, jakby zostało wypowiedziane, ale nie usłyszane: Caroline nie wiedziała, jak zareagować na to wyznanie.

W tym momencie do salonu weszła pani Price, a za nią konsul generalny, gdyż wreszcie ściągnął do domu – wysoki, siwowłosy mężczyzna o smutnych oczach, szarawej cerze i miłych ustach.

– Pani Carmichael! Tak mi miło panią poznać! Najmocniej panią przepraszam za spóźnienie! – wykrzyknął takim tonem, jakby naprawdę było mu przykro; jakby spieszył się, żeby ją, właśnie ją, wreszcie poznać.

Był to dyplomatyczny styl *par excellence* i choć Caroline Carmichael nie dała się zwieść szczerości w głosie konsula, była nią oczarowana. Podała mu dłoń – uścisk jego ręki był ciepły, suchy, pewny, silny. Gdy rozmawiali, zauważyła z lekkim żalem – a może była to jedynie ulga – że Inge Price wychodzi z salonu. Był czas siadać do kolacji.

Podczas wykwintnego posiłku uwagę Caroline Carmichael rozpraszała Inge, która pokazywała się w regularnych, niemal przewidywalnych odstępach czasu, pomagając dwóm służącym podawać do stołu; wynurzała się z za wa-

hadłowych drzwi prowadzących do kuchni jak słońce zza chmur, w skupieniu niosąc tacę, przygryzając wargi. Jej długie do pasa miedziane włosy były naelektryzowane; w talii przewiązała się jak wieśniaczka szkarłatną szarfą, jakby chciała podkreślić kształtność swojego pełnego młodego ciała. Podchodząc do Caroline Carmichael – Inge chyba zastrzegła sobie, że to ona, nie kto inny, będzie obsługiwała tę część stołu, gdzie siedzieli Caroline i pan Price – uśmiechała się jak zadowolone z siebie bystre dziecko. Najwyraźniej dobrze się czuła w swojej roli i nie po raz pierwszy „pomagała” usługiwać na przyjęciu wydawanym przez rodziców. Ze służbą chyba też łączyły ją dość zażyłe stosunki. Co za niezwykła dziewczyna, myślała Caroline, starając się nie wpatrywać w nią zanadto intensywnie. I jakie to dziwne, że wyobraża sobie, iż chciałyby być *mną*.

Niemniej pochlebiało jej to. Caroline Carmichael błyskawicznie układała w głowie listę tytułów i nazwisk, które poda Inge nazajutrz rano. Tak, musi też pamiętać, żeby wziąć od niej adres, prześle jej egzemplarze swoich dwóch książek.

Konsul generalny, siedzący u szczytu stołu, mając Caroline Carmichael po prawicy, nie okazywał ani śladu roztargnienia, które byłoby usprawiedliwione w wypadku człowieka figurującego na „liście celów” grupy terrorystycznej, lecz zabawiał gościa honorowego uprzejmą, nawet dość żywą rozmową, zapytując o jej rodzinne strony, o pracę, wrażenia z europejskich miast i zdanie o podejmujących ją tam amerykańskich dyplomatach. A co sądzi o Amsterdamie?

– To piękne miasto – powiedziała Caroline. – Tyle że dość zaniedbane – dodała z lekkim wahaniem.

– Istotnie – zgodził się pan Price z uśmiechem. – „Zaniedbane”.

Przy drugim krańcu bogato zastawionego stołu pani Price, ledwo widoczna zza wieloramiennego kandelabru, umiejętnie podtrzymywała konwersację, wykrzykując coś raz po raz i wybuchając dziewczęcym śmiechem. Serwowano dania środkowowschodnie, irańskie gwoli ścisłości, wyśmienite, wyraziste smakowo i dla Caroline zupełnie nowe; wina również były wyborne i szybko uderzyły jej do głowy. Inge znów weszła przez wahadłowe drzwi, tym razem po to, by zebrać talerze po pierwszym daniu; w jej zamasztych ruchach było coś niewinnego. Posłała uśmiech w stronę Caroline Carmichael.

Serce Caroline wypełniło się zwyczajnym szczęściem.

– Jak tu jest pięknie! – zwróciła się do pana Price’a. – Wszystko, cały ten pokój, stół! Chyba wiodą państwo fascynujące życie!

Norman Price popatrzył na nią i uśmiechnął się, najpierw tylko uprzejmie,

potem z większym ożywieniem.

– Rzeczywiście, wie pani – powiedział z namysłem – ma pani rację. Żyjemy tak od prawie czterdziestu lat, Georgine i ja. I tak, rzeczywiście takie to życie jest: fascynujące.

Państwo Price'owie byli na placówkach w ZSRR, w zachodniej Afryce, w Iranie, Japonii, Niemczech i znów w Iranie, i w Norwegii; służba na misji zagranicznej zawsze przeplatała się ze służbą w Waszyngtonie, lecz oni zawsze woleli mieszkać za granicą, mimo trudności z wychowaniem i edukacją dzieci. Pan Price uczył się języków wszystkich krajów, w których mieszkali, starał się dowiedzieć jak najwięcej o ich historii i kulturze. Owszem, rzekł w odpowiedzi na pytanie Caroline, Iran to bez wątpienia kraj, który wspominają najcieplej:

– Bardzo za nim tęsknimy, do dzisiaj, Georgine i ja.

Przed rewolucją, gdy pan Price był zastępcą szefa misji w Teheranie, ich znajomi Irańczycy – „nie szach i jego otoczenie, tylko ci drudzy” – to byli cudownie wrażliwi, znakomicie wykształceni ludzie, elita: nauczyciele, intelektualiści, lekarze, naukowcy, artyści. Co za tragedia ich spotkała! Tragedia w istocie dla całego świata!

– To martwił się pan na pewno, kiedy... – zaczęła Caroline niezgrabnie.

– W słowniku dyplomaty nie ma słowa „martwić się” – odparł pan Price z uśmiechem.

Oddychał wprawdzie nie szybciej, ale bardziej głęboko; nagle wydał jej się stary i zaszczuty. Zauważyła, że wychylił kieliszek do dna.

Później, mniej więcej w połowie posiłku, pan Price znów zainteresował się Caroline Carmichael i zapytał ją o rodziców – czy jeszcze żyją? Opowiedziała mu o ojcu, ale bardzo niewiele; podkreśliła jego osiągnięcia, jego długie, owocne i na pozór udane życie zawodowe. Bo takim właśnie zamierzała go zapamiętać. Takim *będzie* go pamiętać. Jego ojciec z kolei, powiedział pan Price z czułym, nostalgicznym uśmiechem, chwycił się wszystkich możliwych zajęć, jako młody człowiek nawet quasi-zawodowo boksował się w klubach, chyba nie całkiem legalnych, w okolicach Nowego Jorku.

– Czasami boksował się nawet o zegarki. Mam jedno jego zdjęcie, na którym pozuje, mając na obu przegubach po kilka zegarków.

– Coś takiego! – wykrzyknęła Caroline Carmichael.

Oczy wypełniły jej się sentymentalnymi łzami, jakby miała przed sobą to stare zdjęcie w kolorze sepii, mocno zniszczone. Podnosząc wzrok, zobaczyła Inge Price, która wychodziła przez wahadłowe drzwi z olbrzymią kryształową misą sałaty w rękach.

Gdy zjedli sałatę, pan Price rzucił:

– Słyszałem, że poznała pani moją córkę.

Caroline wymamrotała swego rodzaju potwierdzenie.

– Nasza najmłodsza córka to wojownicza, niezależna młoda dama – ciągnął pan Price neutralnym tonem. – Może dlatego, że jako najmłodszą zawsze traktowaliśmy ją jak małe dziecko; między nią a naszym najstarszym, Robertem, jest osiemnaście lat różnicy. Na przykład rzuciła Bennington, nawet nas o tym nie powiadamiając – uczelni zresztą też nie – i wybrała się na włóczęgę z plecakiem po Kanadzie. Zresztą nie na długo. – Przerwał, potrząsnął głową i westchnął.

Caroline nie umiała stwierdzić, czy w jego tonie było więcej goryczy, czy troski. Starając się nie okazać nadmiernej ciekawości, zadała kilka pytań o Inge: czym się interesuje, jak przeżyła dorastanie w różnych krajach, na jak długo przyjechała z wizytą do rodziców do Amsterdamu.

– Nie na długo, mam nadzieję! – wykrzyknął pan Price. – Amsterdam to niebezpieczne miejsce. Dla młodych ludzi – dodał, widząc pytający wzrok Caroline. – Dla młodych ludzi bez pracy i pieniędzy, wykazujących pewną skłonność do – urwał, by znaleźć odpowiednie słowo – dryfowania z prądem.

Dryfowanie z prądem! Dla Caroline Carmichael, której życie było wypełnione rozkładami zajęć, wpisanymi w kalendarzu terminami i obowiązkami, zabrzmiało to niebywale atrakcyjnie.

Dalej od szczytu stołu toczyły się rozmowy o charakterze bardziej abstrakcyjnym, mniej osobiste w tonie – konsul generalny oraz Caroline Carmichael starali się teraz do nich włączyć, ponieważ nie wypada, by na oficjalnym przyjęciu dwoje ludzi rozmawiało tak długo wyłącznie ze sobą – rozmowy o zanieczyszczeniu powietrza, wody i gleby („najgorsze jest pod tym względem NRD, ale Francja nie pozostaje daleko w tyle”), o AIDS w Europie („My nie popełnimy tego błędu, który robi Ameryka – nie zabronimy rozdawania narkomanom darmowych igieł jednorazowych”) i wspomnienia z drugiej wojny światowej, wciąż niepokojąco świeże („Holendrzy głodowali i żyli jak zwierzęta aż do 1945 roku, kiedy większość Europy była już wyzwolona”). Wspomniano nawet, choć przelotnie i mało konkretnie, o CIA i jej ostatnich akcjach w Ameryce Środkowej, które tego dnia znalazły się na pierwszej stronie „International Herald Tribune” i Peter Zaller zwrócił na siebie uwagę zebranych, mówiąc przygnębionym głosem:

– Nikt nie zdaje sobie sprawy, nawet ludzie, którzy nieźle orientują się w polityce, że działania Centralnej Agencji Wywiadowczej polegają przede wszystkim na analizie. W tajnych operacjach uczestniczy zaledwie trzy pro-

cent jej pracowników.

– A czy jedno z drugim ściśle się nie łączy? – rzucił sceptycznie profesor z Niemiec.

– Komunikacja jest bardzo ograniczona – odparł Zaller.

– W takim razie może powinno się ją usprawnić – uciał profesor.

Przyszła pora na kawę. Peter Zaller, wciąż trzymając niezapaloną fajkę, jak talizman, dyskretnie oddalił się od stołu – żeby zatelefonować, pomyślała Caroline, czy po prostu skorzystać z toalety dla gości – a pani Price powiedziała wesoło:

– Peter to taki taktowny człowiek, uwielbiam go za to, że nie pali w towarzystwie tej swojej wstrętnej fajki.

Tak oto rozmowa zesłała na palenie i zabrali głos ci, którzy kiedyś palili, ale już rzucili, i ci, którzy wciąż palili, ale chcieliby zerwać z nałogiem, i ci, którzy palili i niezłomnie zamierzali palić dalej, a pani Price, słuchając nie-uważnie, z euforią gospodyni, która spodziewała się wszystkiego, co najgorsze, ale zostało jej to oszczędzone, wykrzyknęła:

– Wszystko można, byle z umiarem, jak mawiał mój ojciec! Grzeszyć również!

Profesor Fredrich z Niemiec, krępy okularnik w średnim wieku, wykładowca literatury amerykańskiej na uniwersytecie w Moguncji, stary przyjaciel państwa Price'ów, zabawiał współbiedniaków opowieścią o tym, jak brał udział w drugiej wojnie światowej przez „mniej więcej piętnaście minut”: w roku 1943, jako osiemnastolatek, zeskoczył na spadochronie na terytorium aliantów we Francji, natychmiast trafił do niewoli i resztę wojny spędził w obozie jenieckim w Galesburgu w stanie Illinois.

– W Galesburgu! – powtórzyła Caroline Carmichael odruchowo. – Ja się tam urodziłam!

Fredrich uśmiechnął się do niej, pokazując duże, przebarwione zęby, i odparł z galanterią:

– Ale niewątpliwie długo po tym, kiedy ja tam przebywałem.

W tym momencie włączył się alarm.

Przeszywająco ostry, głośny dźwięk, donośniejszy niż gwizd, lecz nie tak ogłuszający jak syrena. Caroline Carmichael pomyślała, niemal spokojnie: czyli to się stanie.

Państwo Price'owie i pracownicy konsulatu nagle okazali się doskonale zorganizowani: działali szybko i energicznie, jakby przećwiczyli tę scenę setki razy. Georgine Price, po której można by się spodziewać napadu hysterii, natychmiast poderwała się z krzesła, otworzyła znajdujące się za nią przeszkło-

ne drzwi i pomagała kierować wystraszonych gości na taras, skąd po kilku kamiennych schodkach mieli zejść na trawnik. Tak jak pozostali Caroline Carmichael bez oporu robiła, co kazano, bo nie był to czas na panikowanie; jak uczeń podczas próbnego alarmu pożarowego w szkole poddała się rozkazom cudownie władczego głosu konsula: „Tędy, proszę. Tymi drzwiami. Inge? Pozwól tutaj. Tędy. Tak. Proszę przechodzić”. Drżąc na całym ciele, stała na trawniku i wdychała rześkie, chłodne powietrze, które pachniało różami albo tylko tak sobie wyobrażała, założywszy ręce na piersi, jakby w obronie przed nieopanowanymi dreszczami. Ból brzucha sygnalizował jej dobitniej niż cokolwiek innego szok i ironię faktu, że to, czego nadejście wyobrażała sobie od kilku godzin, atak i śmierć z rąk anonimowych zamachowców bez twarzy – nie jest ostatecznie spekulacją spragnionego rozrywki umysłu.

Rezydencja została postawiona w stan gotowości w ciągu kilku sekund. Wszystkie okna były rześkie oświetlone; zapalono reflektory ukryte wśród krzewów, oświetlając różową fasadę budynku jak na planie filmowym; słychać było męskie głosy i ciężkie kroki. Alarm wciąż wył. Caroline Carmichael myślała: czy rezydencja została otoczona? Czy padły już jakieś strzały? Czy zaraz wybuchnie bomba? Cofnęła się o kilka kroków, dusząc się ze strachu. Nie chciała umierać. Bała się śmierci. Niebo nad ich głowami było czarne jak smoła, niezliczone migoczące gwiazdy zamazywały jej jego obraz; pomyślała o swoim ojcu, samotnym, wylęknionym, umierającym staruszką, zamkniętym w kruchym więzieniu swojej czaszki. Obiecała sobie, że jeśli wyjdzie z tego cało, natychmiast wróci do domu i poprosi go o wybaczenie. Bo jednak miał rację: nigdy dość go nie kochała.

Na jej ręce zacisnęła się czyjaś dłoń. Inge szepnęła jej do ucha:

– Nie martw się! Tata nie pozwoli, żeby coś nam się stało.

Alarm nagle zamilkł. Pan Price, który widocznie wrócił w międzyczasie do budynku, pojawił się teraz w drzwiach, przyłożył do ust dłoń zwiniętą w trąbkę i zawołał wesołym tonem, który nie sprawiał wrażenia wymuszonego:

– Pardon! Fałszywy alarm! To był tylko wykrywacz dymu!

* * *

– Tak strasznie mi przykro, tak strasznie mi głupio – powtarzał Peter Zaller, pąsowy na twarzy, spocony ze wstydu, ale wszyscy kazali mu się nie przejmować i nie czuć głupio; ostatecznie ucieszyli się, że to tylko on i jego fajka, a nie prawdziwy alarm. – Czuję się jak skończony idiota.

Pani Price roześmiała się głośno i ująwszy jedną z obecnych kobiet za rękę, tylko dlatego, że ta akurat siedziała obok, powiedziała:

– Niech pan tak nie mówi. To my okazaliśmy się głupcami. Te przekłete wykrywacze są nadmiernie wrażliwe!

Reszta wieczoru upłynęła w takiej właśnie atmosferze, serdecznej, trochę może zbyt wesołkowatej, i Caroline Carmichael pomyślała, jakie życie jest komiczne, jakie w gruncie rzeczy głupie i przypominające farsę, tak, i w ostatecznym rachunku anegdotyczne – przecież wyjdzie z tego wyborna historyjka o tym, jak trzeba było przerwać oficjalne przyjęcie w rezydencji konsula generalnego w Amsterdamie, a przerażeni goście drżeli o swoje życie tylko dlatego, że jeden z ich grona wymknął się do łazienki, żeby wypalić fajkę, której nie wolno mu było palić w salonie. *I to nie pierwszy lepszy gość, tylko kto? Pracownik CIA.*

Jak na komendę goście rozeszli się dokładnie o dwudziestą trzecią. Przed wyjściem Caroline, którą państwo Bonnersowie mieli odwiedzić do hoteliku nieopodal Stedelijk Museum, umówiła się z Inge Price na następny dzień na dziewiątą w kawiarni hotelowej. („Super, będę o dziewiątej! A potem możemy przejść się po muzeach!” – powiedziała Inge). Pan Price uściskał na pożegnanie dłoń Caroline i chyba naprawdę żałował, że za dwa dni będzie musiała wyjechać z Amsterdamu: „Bardzo miło mi się z panią rozmawiało”. Pani Price mocno uściskała Caroline, jakby przeżyły razem prawdziwe oblężenie, i poskarżyła jej się ochryplym szeptem: „Żałuję, że Inge nie może studiować u kogoś takiego jak pani! Choćby korespondencyjnie, jeśli nie dałoby się inaczej! Na dobre by jej wyszło, gdyby wreszcie zaczęła robić użytek z tego, że nie jest głupia. Ale ona nic nie robi, marnuje tylko czas i kusi licho. Zawsze znajduje sobie towarzystwo wyrzutków – nieudaczników...”.

Konsul generalny położył rękę na ramieniu żony i powiedział delikatnie:

– Kochanie, samochód pani Carmichael czeka.

Suczka Suzie, którą alarm i ewakuacja domu wpędziły w amok, szczełała i podskakiwała jak oszalała, stukała pazurkami o marmurową posadzkę we foyer i zimnym, wilgotnym nosem obwąchiwała kolana Caroline Carmichael.

Na zewnątrz przy otwartych tylnych drzwiach limuzyny stał strażnik z piechoty morskiej, którego kamienny wyraz twarzy skrywał irytację, pogardę albo zwyczajną nudę.

Nazajutrz rano, choć Caroline cierpliwie czekała w hotelowej kawiarni do sporo po dziesiątej, popijając kawę, dodając kolejne nazwiska i tytuły do listy

sporządzonej dla Inge Price, dziewczyna się nie pojawiła. Stolik Caroline stał tuż przy oknie, przez które widać było ulicę. Ruch – samochodów, pieszych, rowerów – co chwila odwracał jej uwagę. Ale Inge nie nadchodziła; nie zadzwoniła też, żeby wyjaśnić, dlaczego się spóźnia.

Caroline zjadła lekkie śniadanie, bułeczki z dżemem, wypła szklanę dość sztucznego soku pomarańczowego, zostawiła w recepcji wiadomość dla Inge („Będę w pokoju do 11.00. Przyjdź na górę. Numer 302”) i wróciła do pokoju, mówiąc sobie, że jeśli Inge nie zjawi się do jedenastej, to wyjdzie do miasta i zwiedzi Stedelijk Museum. I może jeszcze Muzeum van Gogha, skoro znajduje się w pobliżu.

Siedziała w ciasnym, ponurym pokoiku i mówiła sobie, że przecież nie czeka, tylko czyta, bo od zawsze zamierzała przeczytać *Dziennik Anne Frank*, a że teraz dom rodziców Anne miała tuż pod bokiem, to idealnie się złożyło. Książka była tak wciągająca, głos młodej dziewczyny tak piękny i tragiczny, że kiedy Caroline spojrzała na zegarek, było blisko wpół do dwunastej. Z podenerwowania – niewątpliwie skutku zeszłego wieczoru, kiedy najadła się strachu – i bezsennej nocy nie miała siły czytać dzienników Anne w kolejności chronologicznej, obawiając się kumulacji napięcia, przeglądała je więc na wyrywki, aż ze swego rodzaju paraliżującym przerażeniem przeczytała ten fragment w pobliżu końca:

Żegnam się z Tobą, zanim umrzemy. Drogi Tato: żegnam się z Tobą. Tak bardzo chcielibyśmy żyć, ale to na nic – nie wolno nam! Tak się boję tej śmierci, bo oni wrzucają dzieci do grobu żywcem. Żegnaj na zawsze.

Całuję Cię.

Caroline Carmichael chwyciła płaszcz i parasol i wybiegła z pokoju. Idąc w zacinającym deszczu pod trzymanym pod kątem parasolem, schodząc z drogi rowerzystom pędzącym prosto na nią, mówiła sobie, że to nic takiego, że to uczucie przykrości i rozczarowanie to nic takiego; pomyśl o prawdziwym rozczarowaniu, o prawdziwej krzywdzie, o prawdziwym strachu i przerażeniu, pomyśl o Anne Frank i milionach jej podobnych dzieci wrzucanych żywcem do grobów, pomyśl o kimkolwiek, czymkolwiek innym niż Caroline Carmichael, lat trzydzieści siedem, idącej samotnie w deszczu, w szarym mieście, powtarzającej: *wyrzutki, nieudacznicy, czego się spodziewałaś!*

Chciałabym być tobą.

Spędziła intensywne półtorej godziny w Stedelijk Museum, gdzie mogła też w stylowo urządzonej restauracyjce zjeść lunch, ale wróciła do hotelu, na

wszelki wypadek, bo a nuż pod jej nieobecność zjawiała się Inge Price, zdyszana, skruszona, z rozwianymi przez wiatr włosami wpadającymi do oczu... Mimo iż widziała, że w jej przegródce nie ma nic oprócz klucza z ogromną przywieszką, Caroline Carmichael zapytała recepcjonistkę, czy ktoś nie zostawił dla niej wiadomości. Nie ma żadnych wiadomości, usłyszała w odpowiedzi.

Napisała więc i zostawiła w recepcji wiadomość dla Inge, po czym znów wyszła na deszcz. Zjadła lunch w przepelnionej pobliskiej restauracji, która wyglądała na tanią i bynajmniej nie elegancką, ale kurs dolara był tak niski, że i tak okazała się dość droga. Jakby na przekór swojemu nastrojowi Caroline zostawiła hojny napiwek. Potem poszła do Muzeum van Gogha, w pewnym sensie z przekory, bo jeśli Inge Price chciała zabrać ją do jakiegoś muzeum, to na pewno do tego – jakie bardziej nadawało się dla dwóch Amerykanek zwiedzających Amsterdam? Na piętnastą miała umówiony wywiad w kawiarni hotelowej, wróciła więc do hotelu i nawet podobały jej się albo udawała, że jej się podobają, inteligentne i prowokatorskie pytania młodej dziennikarki, a jeśli było jej przykro, jeśli wręcz do żywego była urażona tym, że Inge Price się z nią nie skontaktowała, nie dała tego po sobie poznać.

Po wywiadzie znów wyszła, brakowało jej świeżego powietrza. Nie przeszkadzał jej padający bez przerwy deszcz ani kłujące w oczy ściany zabazgrane graffiti. Holendrzy przefruwali koło niej na swoich starych, odrapanych rowerach z wysokimi siodełkami i wygiętymi kierownicami, Holendrzy o bladych i ponurych twarzach, bladych kamiennych twarzach o wyrazistych rysach, kobiecych nie do odróżnienia od męskich. Jutro rano przed wyjazdem na lotnisko zadzwoni do konsulatu i zostawi wiadomość dla Inge Price, coś krótkiego i formalnego, prześle jej też sporządzoną listę nazwisk i tytułów, bo dla czego nie miałyby okazać wspaniałomyślności, mimo że potraktowano ją niegrzecznie. Postanowiła kontynuować zaplanowaną podróż – Hamburg, Kopenhaga, Sztokholm i Oslo. Nie wróci do domu, do ojca, tylko po to, by znów usłyszeć gorzkie słowa; sama myśl o tym wydawała jej się teraz absurdalna i cikliwa, pozbawiona sensu. A Caroline Carmichael była przede wszystkim osobą rozsądną.

Co tam, pomyślała, przynajmniej jestem Amerykanką. Przechodziła koło targu kwiatowego pod otwartym niebem, deszcz zelżał do lekkiej mżawki, złożyła więc parasol i włożyła pod pachę. Myśl ta, która zrodziła się ze złości, rozwinęła się i zakwitła w jej sercu; i tak zmieniła jej twarz, że przez ładnych kilka przecznic przechodnie, wśród nich może też kilku jej rodaków, przyglądali się jej z lekkim zdziwieniem, z półuśmiechem, jakby wiedzieli,

kim jest.

Tor wyścigowy

Roczny inochodziec Navajo, ich pierwszy koń wyścigowy, miał niedługo zostać przewieziony na zimę do stadniny na Florydzie, dlatego któregoś dnia w środku października McCullen i jego żona Lydia wybrali się do stadniny Belle Acres, by zobaczyć go, zanim wyjedzie tak daleko. Mieszkali w East Orange w stanie New Jersey, dwie godziny jazdy samochodem od stadniny położonej na północ od miejscowości Netcong.

– Jak myślisz, poznamy go? – zapytała Lydia. – Mógł się zmienić od aukcji.

– Pewnie trochę urósł – odparł McCullen – ale zmienić się nie zmienił.

Do drzwi lodówki w kuchni McCullenów przyłączone były małymi magnesami liczne polaroidowe zdjęcia gniadego żrebaka, zrobione tuż po aukcji, w sierpniu: Navajo z McCullenem, który trzyma go za uzdę, Navajo z Lydią, Navajo z McCullenami uśmiechającymi się szeroko jak dumni rodzice, Navajo z McCullenami i trenerem, Jakiem Crotty, o ciemnej karnacji Indianina. Na aukcji sprzedano sto siedemdziesiąt trzy rasowe roczniaki, najdroższe w granicach około trzystu tysięcy dolarów; Navajo, mimo obiecujących rodziców, poszedł za jedyne trzydzieści dziewięć tysięcy – McCullen słyszał zewsząd, że zrobił fantastyczny interes. (Ojciec Navajo, potomek ogierów wartych miliony dolarów, wyrobił sobie podczas swojej nader krótkiej kariery w wyścigach zaprzęgów nie najlepszą reputację: kilka razy, kiedy miał wyjść na tor, stanął dęba i był niesłychanie uparty. Matka Navajo była pierworodną klaczy Stormy Weather, drugiej pod względem szybkości klaczy inochodźca w historii). Zanim McCullen zgłosił się do udziału w aukcji, został poinformowany – choć oczywiście wiedział o tym już wcześniej – że nie wszystkie rasowe roczniaki, nawet najlepszej krwi i wychodzące spod ręki najlepszych hodowców i trenerów, staną się ze stuprocentową pewnością końmi wyścigowymi, kwalifikowanymi do gonitw w profesjonalnych zawodach; a nawet że pomyślnie przejdą szkolenie. Ale, pomyślał sobie McCullen, z takim ryzykiem zawsze trzeba się liczyć.

Podczas aukcji stadnina przypominała jarmark czy festyn: na ogrodzonym linami pastwisku stały setki samochodów, obok ogromny namiot w szerokie pasy, jak lizak, a w nim rzędy rozkładanych krzesel z czerwonego płótna, do których oparcie przyłączone były karteczki z nazwiskami – między innymi *T.J. i L. McCullen*, podwyższenie dla trzech ubranych we fraki prowadzących aukcję oraz platformy dla znawców, by mieli jak najlepszy ogląd koni, i darmowy szampan, i dużo emocji i nerwów, gdy młode dziewczyny stajenne

w strojach jeździeckich wyprowadzały pojedynczo na środek wystawione na sprzedaż konie; teraz, w chłodniejszym, bardziej rześkim październikowym powietrzu, gdy wiatr kołysał koronami drzew, pod stopami leżały opadłe liście, a na wysypanym żwirem parkingu przed stajnią stały zaledwie trzy, cztery samochody i jedna półciężarówka, stadnina wyglądała zupełnie inaczej. Było pięknie, ale bardzo cicho; jakby opustoszałe.

– Aż nie do wiary, że to to samo miejsce, prawda? – powiedziała Lydia, wzdrygając się.

Na terenie stadniny znajdowało się kilka stajni pomalowanych na kolor miętowy z przyjemnie kontrastującymi białymi framugami drzwi i okien; stał tam też okazały, stary, najwyraźniej świeżo odremontowany biały dom zarządcy stadniny, a o milę dalej imponująca kamienna posiadłość (którą McCullenowie widzieli przelotnie w sierpniu), zamieszkiwana przez właściciela stadniny Belle Acres, niejakiego pana Marksa, kiedy przebywał on w New Jersey. (McCullenowie jeszcze go nie poznali; transakcja przeprowadzona została przez pośredników). Wokół rozciągały się pastwiska okolonione oślepiająco białym ogrodzeniem, a za zabudowaniami gospodarskimi znajdowały się ćwierćmilowy tor wyścigowy i krótszy tor ćwiczebny, gdzie właśnie odbywał się trening – konie szły stępą, kłusowały, co rusz przechodziły do galopu, zaprzężone do prowadzonych przez stajennych małych wózków spalinywych. McCullen osłonił ręką oczy od słońca i rozejrzał się. I gdzie ten Crotty? Byli z nim umówieni tutaj na drugą, było już prawie dziesięć po, a nikt do nich nie podszedł i nie zapytał, w jakiej sprawie przyjechali. Pomyślał, że może powinni z Lydią sami poszukać Navajo... chyba że wyszedł na pastwisko, wówczas nawet jeśli go zobaczą, skąd będą mieli pewność, że to on? McCullen przyglądał się uważnie kilku koniom pasącym się nieopodal – były w większości ciemne, brązowe albo gniade, młode, pięknie umięśnione, o lśniącej sierści, całkowicie pochłonięte jedzeniem.

Lydia, jakby wiedząc, o czym myśli mąż, zaśmiała się cicho, nerwowo i powiedziała:

– Wszystkie są do siebie podobne, prawda? Pamiętam to z aukcji. Jeśli koń nie ma białych znamion, to nie da się go odróżnić od innych. Trudno nawet odróżnić młode ogiery od młodych klaczy; przynajmniej ja nie umiem.

– Łatwo poznać dorosłe ogiery – odparł McCullen. – Są większe od klaczy.

Czarny chłopak stajenny prowadził wyrywającego się konia do zaparkowanej niedaleko furgonetki i przez chwilę McCullenowie myśleli, że może się z nimi przywita, ale tego nie zrobił.

– To frustrujące, że jesteśmy tu na miejscu i nie wiemy, gdzie on jest. Na-

vajo, znaczy – powiedział McCullen, drżąc lekko, z oczekiwania i być może z irytacji. – Myślisz, że Crotty zapomniał, że się z nami umówił?

– Skąd, na pewno pamięta – zapewniła męża Lydia. Ale jej głos nie brzmiał pewnie.

Na dzisiejszą wyprawę ubrała się w bordowy kardigan o grubym splocie zapinany na rzeźbione drewniane guziki, czarny kaszmirowy półgolf, dżinsy Ann Taylor i dobre buty, włoskie czółenka z wężowej skóry na małym obcasie. Popielatoblond włosy schowała pod zawiązanym jak turban szalem, a dla ochrony wrażliwych oczu przed białawym światłem jesiennego słońca włożyła swoje najciemniejsze okulary przeciwsłoneczne. Nadawały jej one wygląd osoby pewnej siebie, wręcz aroganckiej, co podobało się McCullenowi, który wiedział, że to tylko pozór. Sam również starał się sprawiać takie wrażenie, co nie zawsze się udawało.

Miał na sobie spodnie z cienkiej flaneli, rozpiętą pod szyją sportową koszulę i wrzosowo-brązową tweedową marynarkę, która doskonale leżała na jego szerokich ramionach i dzięki której przypominał zamożnego angielskiego dżentelmena z reklamy: powściągliwego, sympatycznego, niedbałego. Jego siwiejące włosy powiewały swobodnie na wietrze. Na nosie miał okulary w stalowych oprawkach o barwionych na ciemnozielony kolor szklach korekcyjnych. Był posiadaczem dwóch samochodów – mercedesa 450 SL w kolorze błękitny metalik i chevroleta kombi; dziś przyjechali mercedesem, mimo iż był bardziej zawodny – kiedyś jeden z klientów McCullena pilnie potrzebował gotówki, postanowił więc tanio i szybko sprzedać auto, a McCullen, który uwielbiał wyjątkowe przedmioty, rzeczy z klasą, rzeczy, które o swoich właścicielach mówiły, że różnią się może nieznacznie, lecz istotnie od szarych obywateli, nie mógł przepuścić takiej okazji. Był doradcą podatkowym, partnerem w swojej firmie w East Orange. Dobrowolnie zrezygnował z życia w światku akademickim – kiedyś wykładał w szkole administracji i biznesu w Rutgers University – gdzie były zbyt niskie płace i zbyt mała pewność awansu. Nie należał jednak do ludzi, którzy uważają, że wykonywany zawód ich określa. Miał czterdzieści dziewięć lat i żadnego poczucia określoności.

Po kolejnych kilku minutach poszli szukać Crotty'ego w stajni oznaczonej tabliczką „MŁODE OGIERY INOCHODŹCE”, a tam młoda dziewczyna poradziła im, żeby udali się na tor na tyłach stajni. Wiatr wiał tu silniej, a nad ich głowami mały prywatny samolot wzbijał się w górę z głośnym warkotem i zaraz potem pikował z wyłączonym silnikiem.

– Zawsze się denerwuję, jak widzę takie małe samoloty – powiedziała Lydia, zakrywając dłońmi uszy. – Zawsze mam wrażenie, że zaraz się rozbija.

Crotty z pomocnikiem sprowadzili właśnie konia z toru wyścigowego i wyprzęgali z dwukołowych sulek. Trener przeprosił za spóźnienie, jeśli rzeczywiście się spóźnił, a McCullen zapewnił szybko:

– Nie, nie spóźnił się pan.

– To my przyjechaliśmy za wcześnie – dodała Lydia przepaszającym tonem.

Crotty oficjalnie uściśnął im dłonie na przywitanie. Był o głowę niższy od McCullena, wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, miał trójkątną twarz, mocno opaloną i wysmaganą wiatrem, małe, sprytne, uważne oczka, ostrożny uśmiech. Przez chwilę dość otwarcie przyglądał się Lydii i McCullen przypominał sobie, że kiedy spotkali się poprzednio, też tak jej się przyglądał. Crotty zapytał, czy szukają Molly-O, na co McCullen odparł, że nie, że ich koń nazywa się Navajo, to młody źrebiak, którego kupili na aukcji w sierpniu, a Crotty wyjaśnił, że miał na myśli właśnie jego; mówiąc o koniach między sobą, używają na ich określenie imienia matki.

– Rodzi się tyle źrebiąt – powiedział Crotty, szczerząc zęby w uśmiechu – że trudno spamiętać ich imiona.

– Ile rodzi się w jednym sezonie? – zapytała Lydia.

– W tym roku sto dziewięćdziesiąt dwa.

– Sto dziewięćdziesiąt dwa źrebaki!

Lydia uśmiechnęła się do Crotty'ego z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, a potem do męża, który poczuł zniecierpliwienie: widocznie zapomniała, że podczas aukcji zadała identyczne pytanie innemu pracownikowi Belle Acres i dostała dokładnie taką samą odpowiedź.

– Oczywiście Navajo nie jest tylko jednym z wielu – uzupełnił taktownie. – Znam go bardzo dobrze.

Z nasłonecznionego podwórza zaprowadził ich z powrotem do stajni oznaczonej tabliczką „MŁODE OGIERY INOCHODŹCE”, a wewnątrz poprowadził wzdłuż okratowanych boksów; pod numerem jedenastym stał Navajo. Gdy się do niego zbliżali, czujnie podniósł łeb. Był pięknie wyszczotkowany, lśniący, miał duże stojące uszy i bardzo duże, wilgotne oczy w kolorze intensywnego brązu, w których McCullen, jak mu się wydawało, choć wiedział, że to nie może prawda, zauważył błysk rozpoznania. Lydia wykrzyknęła z zachwytem nad jego urodą, a McCullen głośno przełknął ślinę. Był piękny, owszem. Ale to nie było wszystko.

Crotty uroczyście wyprowadził Navajo z boksu. Koń stanął w przejściu, uszy drgały mu nerwowo, po mięśniach przebiegały lekkie skurcze. Trener przez cały czas coś do niego mruczał, ze szczerą chyba czułością, głaskał go

i zachęcał McCullenów, by podeszli bliżej.

– Nie wystraszy się – zapewnił. – Nie ugryzie. Prawda, kolego? Czasem jest trochę bojaźliwy, głównie na powietrzu, konie się boją, kiedy się je prowadzi w nieznanne miejsca, każe robić coś innego niż zwykle; jak my wszyscy, prawda? – Crotty uśmiechnął się do McCullenów, którzy czuli się onieśmieleni i nie na miejscu, jak zaawansowani wiekiem rodzice. – Niech państwo podejść i pogłaszczą go po pysku, konie uwielbiają głaskanie po pysku, dobrze mówię, Navajo?

McCullenowie podeszli więc bliżej i pogłaskali konia, najpierw ostrożnie, później z większą pewnością.

– Ojej, jaką ma aksamitną skórę! Przepiękną! – wykrzyknęła Lydia.

Nie zachwycała się nią po raz pierwszy, ale i McCullena ta kasztanowa sierść też za każdym razem na nowo zdumiewała i wprawiała w zachwyt – miękka jak futro. Nawet grzywa, która wyglądała na sztywną, wydawała mu się bajecznie delikatna w dotyku. Ale najbardziej zachwycający był pysk – jego gładkość, jego wilgotny, aksamitny chłód. I olbrzymie oczy z wyrazem czujnej inteligencji. *Jest mój*, pomyślał McCullen i serce zabiło mu szybciej z miłości i niedowierzania. *To mój koń, moja własność*. Głaskał jego doskonale umięśnione przednie nogi, grzbiet, boki, po czym znów łeb i szeroką, rasową klatkę piersiową... McCullen wiedział, że fakt prawa własności, zapisanego w dokumentach i potwierdzanego comiesięcznym przelewem tysiąca sześciuset dolarów na konto stadniny Belle Acres, nie ma dla Navajo absolutnie żadnego znaczenia. Ten koń nigdy nie pozna swoich właścicieli.

Niemniej tego październikowego dnia McCullen czuł się tak, jakby w postaci tego młodego konia stało przed nim jego życie. Nieświadome jego obecności i obojętne na nią. W tym właśnie tkwiła zagadka: że go nie znało, *nie mogło go poznać*.

Nad wyszczotkowanym do połysku grzbietem konia, na którym niemal niezauważalnie drgały mięśnie, McCullen i Lydia uśmiechnęli się do siebie z radością, jakby nagle zdumieni tym, że znajdują się tutaj, w tym nieznanym, w pewnym sensie nieprawdopodobnym, wręcz absurdalnym miejscu, a oczy błyszczały im, jakby zaszyły łzami.

Lydia zachwycała się Navajo swoim głębokim, melodyjnym głosem i okazywała pochlebne zainteresowanie Crotty'emu, zarzucając go pytaniami o plan treningów, o to, czy jego zdaniem koń „nabiera formy”, jak znosi sulki i ćwiczenia na torze, czy jest tak zdrowy, na jakiego wygląda, i jak by to powiedzieć, tak *szczęśliwy*, na jakiego wygląda. McCullen słuchał, ale niezbyt uważnie, bo wszystko to już wiedział, przekazano mu te informacje przez te-

lefon, Lydia zresztą też większość wiedziała i może nawet nie tyle wyleciało jej to z głowy, ile po prostu chciała usłyszeć te słowa jeszcze raz, może po to, by słyszeć imię Navajo i samej je wymawiać. Crotty powiedział, że Navajo kilka dni temu „stłukł” sobie lewą tylną nogę, ale to „nic poważnego, nie ma czym się martwić”. Lydia zaczęła wtedy mówić, tak szybko, że McCullen poczuł się zażenowany: konie to takie delikatne stworzenia, szczególnie rasy wyścigowe, są podatne na schorzenia układu oddechowego i najróżniejsze infekcje, łatwo naciągają i zrywają ścięgna, łamią nogi czasami z tak błahego powodu jak stąpienie pod niewłaściwym kątem w czasie wyścigu, i jakie to dziwne, co za ironia losu, przynajmniej ona to tak odbiera, ciągnęła Lydia, śmiejąc się nerwowo, bo koń to przecież zwierzę niezwykle silne: można wręcz powiedzieć, że symbolizuje siłę. Crotty wysłuchał uprzejmie i raz jeszcze powtórzył, że stłuczona noga to nic poważnego, patrząc otwarcie w oczy Lydii, prawie pięknej kobiety, modnie ubranej, starannie, elegancko umalowanej, tak że jej cera o różowym odcieniu wyglądała jak bez skazy, popielate włosy jak nietknięte siwizną, a lekko pomarszczoną skórę wokół oczu zakrywały ciemne okulary. Na jej lewej dłoni błyszczał pierścionek z brylantami, na prawej – ze sporym topazem, uszy zdobiły duże wiszące srebrne kolczyki ręcznej roboty w kształcie figur geometrycznych; zbliżała się wprawdzie do czterdziestki, lecz możliwe, że Crotty uważał ją za młodszą. (McCullen, starszy od żony o blisko dziesięć lat, na pewno uznałby ją za młodszą, niż była naprawdę). Niektóre Amerykanki do końca życia świadomie pozostają młodymi dziewczynami, a on pokochał i poślubił jedną z nich, specjalnie poślubił jedną z nich, bo innych się bał, brzydził się nimi. I nigdy tego wyboru nie żałował.

McCullen przerwał Lydii i też zadał Crotty’emu kilka pytań, może bardziej istotnych: w których zawodach jego zdaniem – „pytam oczywiście o pana nieoficjalne, prywatne zdanie” – Navajo mógłby wziąć udział. W gonitwie w Meadowlands? W derby inochodźców w Kentucky? W pucharze New Jersey? Crotty odpowiedział po prostu, że dopiero czas pokaże, to zależy od bardzo wielu rzeczy; trenowanie koni, powiedział, podobnie jak życie w ogóle, polega głównie na tym, że się czeka, by zobaczyć, jak wszystko się potoczy.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej – powiedział Crotty, pocierając energicznie nos – ale nie na tyle, żeby się potem mocno rozczarować.

McCullen prędko potaknął. W dziedzinie koni był nowicjuszem, ale był inteligentny. Jeśli nawet głęboko w sercu żywił przekonanie, równie nieświadomione jak bicie tegoż serca, że jego koń *będzie* odnosił sukcesy, że *będzie*

lepszy niż inne, McCullen wiedział z doświadczenia – przez lata robił zakłady na gonitwach, uprawiał hazard w Atlantic City i co miesiąc grał ze znajomymi w pokera na pieniądze, w czym był dość dobry, choć nie zawsze wygrywał – że nie powinien wypowiadać tych myśli na głos. Zauważył, że Crotty ma na policzku paskudną szramę długości sześciu cali oraz zniekształcone dwa palce u lewej ręki.

– Wiesz, o czym o mało nie zapomniałam, Jerry? – odezwała się nagle Lydia. – O czym *oboje* o mało nie zapomnieliśmy? O tym, żeby zrobić Navajo nowe zdjęcia. Zostawiłam aparat w samochodzie.

Zrobili kilka zdjęć polaroidem: McCullen trzyma Navajo za uzdę, Lydia trzyma Navajo za uzdę, uśmiechnięci McCullenowie razem i każde z nich z Crotty przy Navajo. Potem Crotty zaprowadził Navajo z powrotem do jego boksu i w ten sposób wizyta dobiegła końca. Niespodziewanie napełniło ich to smutkiem: że zwierzę dało się tak posłusznie zamknąć w swojej, jakkolwiek by było, klatce, że drzwi zostały zaryglowane. Navajo momentalnie stracił zainteresowanie gośćmi albo o nich zapomniał i odwrócił się lekceważąco w drugą stronę.

Nad uchem McCullena zabzyczała mucha. Odgonił ją, myśląc przy tym, jak czysto utrzymana jest ta stajnia: była to pierwsza mucha, którą zauważył.

Crotty wydawał się zadowolony, gdy dostał jedno ze zdjęć, na którym on trzyma uzdę, a Lydia głaszcze grzywę Navajo i oboje uśmiechają się, jakby byli niezmiernie szczęśliwi. Na zdjęciu Crotty wyszedł ciemny jak Indianin, a Lydia dziwnie blada, z wyjątkiem mocno czerwonych ust i delikatnie podkreślonych kredką łuków brwi.

– Może pokaże nam pan najpiękniejszego konia, jakiego tu macie? – odezwał się nagle McCullen z jowialnością, której wcale nie czuł. – To znaczy, oczywiście – dodał, puszczając oko – zaraz po naszym.

Crotty zaprowadził więc McCullenów do sąsiedniej stajni, a stamtąd do następnej, gdzie stał najsłynniejszy ogier stadniny Belle Acres, Rondeley. Był to kłusak, który podczas trzyletniej kariery wyścigowej zarobił dla swojego właściciela, pana Marksa, ponad dwa miliony dolarów (wygrał gonitwę w Hambledonie i był drugim co do szybkości koniem rasowym w historii), a potem kolejne miliony jako ogier rozplodowy, ojciec stu sześćdziesięciu sześciu kłusaków, w tym, jak z dumą podkreślił Crotty, dwudziestu dwóch czempionów.

– W sumie dzięki staruszkowi z rąk do rąk przeszło pięćdziesiąt jeden milionów dolarów.

McCullen gwizdnął z uznaniem, a Lydia powiedziała ze śmiechem:

– To faktycznie ogromne pieniądze.

– Nie wszystko trafiło do pana Marksa, rzecz jasna – wyjaśnił Crotty. – Zyskali też inni właściciele, właściciele dziesiątek klaczy. Ale on zarobił najwięcej.

Ogier wydawał się McCullenowi znacznie większy od Navajo; miał ciemne, prawie czarne umaszczenie, nerwowo reagował na obecność gości, parskał cicho, trącał nosem metalowe kraty w drzwiach, a nawet je gryzł czy udawał, że gryzie. Boks był wewnątrz wyłożony materacami w kolorze ciemnoczerwonym, a przez całą szerokość ściany naprzeciwko drzwi biegło lustro. Rondeley miał siedem lat i jego okres świetności jako kłusaka, jak stwierdził Crotty, dawno minął, ale na pastwisku zazwyczaj „dostawał kota” i próbował ścigać się z samochodami. Niejedno pastwisko zniszczył, puściwszy się po nim galopem, a w boksie czasem rzucał się o ściany z niewiadomej przyczyny, może po prostu taki miał kaprys, a może rozpierał go nadmiar energii, w każdym razie dlatego musieli obić ściany materacami; czasem też czuł się tak samotny, że rżał, bił kopytami o ziemię i zachowywał się jak młody źrebak, dlatego powiesili w boksie lustro, żeby patrzył na swoje odbicie i czuł się mniej samotny.

– Mniej samotny...! – powtórzył szeptem McCullen. Był do głębi poruszony.

Rondeley był bez dwóch zdań pięknym, efektownym koniem i nie było po nim widać, a przynajmniej McCullen musiał przyznać, że nie widzi, by był na emeryturze: wyglądał cholernie dobrze. Lydia zagadywała do niego pieszczotliwie, kiedy jednak wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po pysku, Crotty rzucił ostro:

– Uwaga!

Szybko cofnęła rękę. Nastąpiła chwila zażenowania. Crotty jednak zaraz wyjaśnił przeproszającym tonem:

– On gryzie. Nawet niesprowokowany czasami po prostu ugryzie i już. Któregoś dnia był podkuwany, można by sądzić, że zdążył się do tego przez te wszystkie lata przyzwyczaić, a nagle powoli odwrócił głowę, jakby chciał na coś popatrzeć, i zatopił zęby w dłoni stajennej, bardzo miłej dziewczyny, która zajmowała się nim od dwóch lat i prawie nigdy nie miała z nim problemów, a ten skurczybyk bez żadnego powodu ugryzł ją aż do kości, wyglądało to potwornie, naprawdę *potwornie*.

– Przykro mi, nie wiedziałam – powiedziała Lydia sztywno. Twarz miała lekko zarumienioną. – Nie wiedziałam, że konie gryzą.

McCullenowi zrobiło się żal żony, chciał jej wzrokiem dodać otuchy, ale patrzyła w drugą stronę.

– O tak, gryzą – zaśmiał się Crotty. – Robią mnóstwo rzeczy, które nikomu nie wychodzą na dobre, ani im, ani nam.

– Od jak dawna trenuje pan konie? – zapytał McCullen.

– Zajmuję się końmi właściwie od zawsze – powiedział Crotty. – A tutaj, u pana Marksa, pracuję od jakichś dziesięciu lat.

– A pan Marks – zaczął McCullen, choć nie wiedział, o co chce zapytać – też od zawsze zajmuje się końmi?

– Ta stadnina należała kiedyś do ojca pana Marksa, a wcześniej do ojca jego ojca – powiedział Crotty. – Pan Marks dużo jeździ po świecie – dodał po chwili. – Teraz jest w Szwecji. W listopadzie szykuje nam się kolejna aukcja, ale nie tutaj, w innej stadninie pana Marksa, w stanie Nowy Jork, większa od tej ostatniej, sierpniowej, a wie pan, chociaż może i pan nie wie, że Szwedzi mają bzika na punkcie koni: niektórzy mają sporo pieniędzy, które mogą wydać na konie.

Wolnym krokiem wyszli ze stajni na słońce, które z wewnątrz wydawało się oslepiająco ostre; od wszystkiego odbijał się przejrzysty jesienny blask wskutek, jak przypuszczał McCullen, niskiej wilgotności powietrza. Nie chciał jeszcze wychodzić: zaczerpnął haust powietrza, wdychając głęboko mocny, słodki zapach siana, paszy, końskich odchodów i uryny... trudny do określenia, specyficzny zapach stajni, zapach koni. O zawrót głowy przyprawiło go to, że znajduje się w budynku i wygląda na jaskrawo słoneczny dzień... Z czym mu się to skojarzyło? Przypomnił sobie jak przez mgłę farmę dziadka w północnej Minnesocie, gdzie spędzał część wakacji, ale gdzie nigdy dłużej nie mieszkał, gdzie wówczas nie chciałby mieszkać. *Mniej samotny*, pomyślał. Te słowa zapadły mu w pamięć. Zdarzało mu się tak zapamiętywać słowa; często latami nie mógł się uwolnić od przypadkiem zasłyszanego fragmentu rozmowy, urywku dialogu z filmu czy programu telewizyjnego; możliwe, że nie uwolni się od nich do końca życia. Kiedyś zapytał Lydię, czy jej to się też zdarza, a ona zmarszczyła czoło, zastanowiła się i już prawie powiedziała, że tak, ale potrząsnęła głową i przyznała, że nie, że chyba nie do końca rozumie, o czym on mówi.

Nagle McCullenowi przyszło do głowy, żeby zapytać Crotty'ego, czy mogliby niedługo znów przyjechać, bardzo niedługo, może nawet jutro, zanim Navajo i inne roczniaki wyjadą na południe, na tyle wcześniej (musiałaby to być siódma rano), by poobserwować je na torze. Bardzo chciałby zobaczyć swojego żrebaka, jak biega, a nie tylko zamkniętego w boksie... Ale wstrzymał się

z zadaniem tego pytania. Wstydził się. Nie chciał przecież, Bóg mu świadkiem, nie chciał okazać się tego rodzaju właścicielem konia, który przesadnie się o niego troszczy, jak strachliwy rodzic albo paranoik przekonany, że cały świat myśli tylko o tym, jak go oszukać. Zanim przelał na konto stadniny Belle Acres sumę trzydziestu dziewięciu tysięcy dolarów, porządnie sprawdził jej papiery i potwierdził z zadowoleniem, że pan Marks i jego wspólnicy są czysti jak łąza; słynęli wręcz w tym światku z uczciwości i przeważnie znakomitej jakości swoich koni. Nie miał się więc czym martwić. Nie powinien się niczym martwić.

Lydia i Crotty znów odnosili się do siebie przyjaźnie, Crotty rozśmieszał ją opowieściami o incydentach, które wydarzają się podczas wyścigów, na przykład o tym, kiedy warta milion dolarów klacz Sheba, prowadząc na torze w gonitwie New Jersey Classic, nagle nie wiedzieć czemu postanowiła wrócić do stajni... powożący był bezsilny, cholerna szkapa uparcie nie dała sobą kierować, zeszła z toru i na oczach zdumionych i przerażonych widzów (wśród których był także jej właściciel, ojciec pana Marksa) pobiegła do stajni. A zaledwie kilka lat temu wystawiony w zawodach inochodziec konkurencji, gorąco krwisty młody ogier, wszedł w drogę jednemu z ich koni, bezwzględnemu faworytowi wyścigu, a to była gonitwa Kentucky Futurity i nagrodą była olbrzymia, powtarzam, olbrzymia kupa pieniędzy, i koła sulek zachaczyły o siebie, powożących wyrzuciło i cholerne szczęście, że nikt sobie nie skręcił karku. A znowu nie tak dawno ojciec Rondeleya, Macheath, odmówił wyjścia na tor w Meadowlands... i to „odmówił” nie raz i nie dwa, tylko trzy razy, no i było po zawodach, i nie udało się tego nijak wytłumaczyć, poza tym, że koniom czasami odbija i nie można ich zmusić do zrobienia czegoś, na co nie mają ochoty, tak jak nie da rady zmusić kobiety, żeby zrobiła coś, na co nie ma ochoty. Crotty i Lydia zaśmiali się razem i Lydia zapytała, czy samce, ogiery nie są bardziej narowiste i niebezpieczne, na co Crotty odparł, że tak, to jasne: ale dopiero wtedy, kiedy kończą karierę wyścigową i zaczynają rozplodową. Wtedy naprawdę trudno, bardzo trudno utrzymać je w ryzach.

Lydia znów się zaśmiała.

Crotty, jakby właśnie przyszło mu coś do głowy, obrócił się, żeby skierować propozycję także do McCullena, i zapytał:

– Może mieliby państwo ochotę zrobić parę kółek po torze? W jednej z naszych sulek do ćwiczeń? Żeby zobaczyć, jak to jest?

Lydia i McCullen odpowiedzieli chórem, jak dzieci, którym ktoś sprawił miłą niespodziankę:

– Jasne!

Crotty wraz z pomocnikiem ze stoperami w rękach przygotowywali do treningu dwuletnią kasztankę, która w zeszłym sezonie miała problemy z kolanem, lecz, zdaniem Crotty’ego, obecnie była w doskonałej formie; to piękna klacz, mówił z błyszczącymi oczami, pierworodne źrebię Irlandzkiej Księżniczki z krycia Rondeleya; pan Marks bardzo na nią liczył. Zresztą wszyscy na nią liczyli.

Drżąc od wiatru, który wiał teraz znacznie silniej, McCullen i Lydia przyglądali się, jak stawiająca opór klacz jest zaprzęgana do pomalowanych na czarno sulek – nie sulek do ćwiczeń, domyślił się McCullen, lecz przeznaczonych dla gości, może dla gości specjalnych – jak zakłada się jej pęta i nawet opaskę z bandany na pysk. Ich podniecenie przed przejażdżką graniczyło z czymś jeszcze, może z lękiem, bo choć niebo wciąż było intensywnie niebieskie, to wiatr szarpał czubkami drzew i rozwiewał opadłe suche liście. Lydia mocniej otuliła się obszernym swetrem, McCullen żałował, że nie włożył pod marynarkę pulowera i nie wziął czapki. Zapytał Crotty’ego, po co klacz ma na pysku tę czerwoną opaskę.

– Żeby nie widziała cienia; żeby się nie wystraszyła na widok własnego cienia na ziemi.

– Własnego *cienia*? – powtórzył McCullen, ale Crotty nie pociągnął tego tematu, tylko powiedział:

– Pani pierwsza, pani McCullen, zrobimy jej rozgrzewkę. – Uśmiechnął się do Lydii i pomógł jej wsiąść do sulek. – Może pożyczycy pani od męża rękawiczki, żeby palce pani nie zmarzły.

Lydia wzięła od McCullena zamszowe rękawiczki, Crotty chwycił bat i wyjechali na tor. McCullen skierował na nich obiektyw aparatu i zrobił zdjęcie. Klacz niezbyt równo ciągnęła sulki, wierzgała i podrzucała łbem, ale nie wyglądało to niebezpiecznie, więc McCullen się uspokoił, wytłumaczył sobie, że nic złego nie może się stać, szczególnie przy tak niewielkiej prędkości. Zresztą ten Crotty na pewno wie, co robi.

Gdy sulki zbliżały się do punktu startu, McCullen zrobił jeszcze jedno zdjęcie, choć Lydia jak zahipnotyzowana patrzyła na rozwiewany przez wiatr i pęd ogon klaczy i zapomniała o mężu, a Crotty, uśmiechnięty, ściągając lekko wodze i mówiąc coś do klaczy, też nawet na niego nie spojrział. Lydia, biedaczka, siedziała sztywno i pochylała się mocno do przodu, prawą ręką trzymała się przedniej poręczy, a lewą bocznej, zaciskała dłonie z całej siły. Wcześniej była z McCullenem na torze wyścigowym zaledwie kilka razy –

świat zawodowych wyścigów końskich zaprzęgów był jej zupełnie obcy – choć jak wielokrotnie powtarzała przyjaciółom i jak zapewniała McCullena, kupno Navajo było „czymś niezwykle ekscytującym”, „fantastyczną przygodą”. Na jednym z wyścigów, na które zabrał ją McCullen, w Meadowlands, zdarzył się wypadek, w którym uszkodzonym zostało kilka koni i powożących; jeden powożący próbował zastraszyć drugiego, ten się nie dawał i nagle skłębily się konie, powożący, koła i szprychy, jeden człowiek został poważnie ranny, jeden z koni miał strzaskaną nogę, a Lydia była zdeglustowana: stwierdziła naiwnie, że nawet jej się nie śniło, że takie wyścigi, nie samochodowe, tylko konne, a właściwie końskich zaprzęgów, mogą być aż tak niebezpieczne. McCullen zaśmiał się i odparł:

– Każde wyścigi są niebezpieczne, inaczej nie byłoby sensu ich urządzać.

Byli małżeństwem od blisko piętnastu lat i dla obojga było to pierwsze i jedyne małżeństwo, choć McCullen miał za sobą kilka związków, zanim poznał Lydię, właściwie można by powiedzieć „więzów”, a Lydia, o ile wiedział, była z co najmniej jednym mężczyzną na poważnie... ale McCullen zabronił sobie o nim myśleć. Nie był zazdrośnikiem i uważał, że nie jest człowiekiem zaborczym, ale o niektórych rzeczach po prostu lepiej, i dla niego, i dla Lydii, było nie myśleć. Przez całe wspólne życie – najpierw w Nowym Brunszwiku, później w Filadelfii, potem w podmiejskiej dzielnicy Newark, a przez ostatnie siedem lat w East Orange – przenosząc się za każdym razem do większego i droższego domu, chcieli zostać rodzicami i mieli nadzieję, że doczekają się dziecka; Lydia może goręcej i zdecydowanie bardziej wytrwale niż McCullen; ale i on z przyjemnością oczekiwał ojcostwa, rozmyślał o tym jako pewnego rodzaju... jak by to powiedzieć... pewnego rodzaju zakotwiczeniu, poczuciu, że naprawdę *tu jest*. Ale musieli brać pod uwagę tak wiele różnych czynników: sytuacja na rynku jak zwykle była niestabilna, prawie zawsze; nie było wiadomo, czy osiedlą na dobre w danym miejscu, czy też, jak uważał McCullen, są tam tylko tymczasowo, czekając, aż nadarzy się okazja do kolejnej przeprowadzki, kolejnego awansu. Aż wreszcie Lydia miała trzydzieści sześć lat, potem trzydzieści siedem, i McCullen miał podszyte paniką poczucie, że zaraz będzie za późno, ale niemal jednocześnie narkotyzujące poczucie, że zaraz istotnie będzie za późno i że może to nawet lepiej. A w każdym razie łatwiej. W miarę upływu czasu Lydia coraz rzadziej mówiła o dziecku, o założeniu prawdziwej rodziny, choć McCullen przypuszczał, że wciąż chce być matką, tak jak on, na swój sposób, wciąż chciał zostać ojcem, lecz teraz rzadko o tym rozmawiali i McCullen uważał, że to dobrze, bo przecież takie pragnienia i nadzieje, takie uczucia, rany, zagadki i ironie losu z czasem

ustępują, jak siły natury: powodzie, huragany; przez pewien czas wywołują straszliwe zniszczenia, ale tylko przez jakiś czas.

Kiedy rozpoczynali ostatnie okrążenie, Crotty oddał wodze Lydii i klacz natychmiast zwolniła tempo, wypadła z rytmu – jak niewiarygodnie szybko! – wyczuwając innego powożącego, powożącego o słabej woli, i tego momentu, krępującego dla Lydii, McCullen nie mógł nie sfotografować. Konie, choć czasem płochliwe i skłonne do paniki, potrafią być jednak cholernie inteligentne, pomyślał McCullen z uznaniem. Tylko od razu trzeba im pokazać, kto jest górą. Nie może być ani chwili wahania.

Potem przyszła jego kolej. Lydia oddała mu rękawiczki i wzięła od niego aparat, zarumieniona, z oczami błyszczącymi za ciemnymi szkłami. McCullen wsiadł do sulek, Crotty zaciął i ruszyli, w spokojnym tempie, trochę szybciej niż Lydia, ale nie szybko. McCullen zauważył jednak, że siedzi tak samo jak żona, sztywno wychylony do przodu, z jedną ręką zaciśniętą na przedniej poręczy, drugą na bocznej, ze spuszczoną głową.

– No, mała, bądź grzeczna, ładnie się zachowuj – napomniał Crotty, gdy klacz zaczęła, ni stąd, ni zowąd według McCullena, podrzucać łbem i huścić sulkami. – To jej koledzy rżą tam w stajni, słyszy pan? – zapytał Crotty, a McCullen, nasłuchując intensywnie, dosłyszał rżenie koni gdzieś w pobliżu.

– Chyba nie poniesie, co? – zapytał.

– Skąd, przecież ma olej w głowie, co, mała? Co? Zachowuj się, no!

Wszystko znów było w porządku lub na to wyglądało, klacz wyrównała krok, a szła dość szybko, wiatr wiał McCullenowi w twarz, szczypał go w uszy.

– Pójdziemy teraz trochę szybciej, zmierzmy jej czas – powiedział Crotty, nagle poważny i skupiony.

Sulki mknęły za klaczą, choć ta wydawała się zdenerwowana, o włos od poniesienia.

– To ten wiatr, te cholerne liście – zaklął Crotty. – *Zachowuj się, psiakrew!* Słyszysz? Zachowuj się!

Gdy zbliżali się do startu, McCullen czuł, że Lydia i drugi trener patrzą na nich, ale nie potrafił oderwać wzroku od powiewającego ogona klaczy i jej muskularnych ud, od których dzieliło go niecałe dwanaście cali; wydawało mu się, że Lydia podniosła aparat do oczu, i przeszło mu przez myśl, szybko jak rażący oko promień słońca, że jego żona nie tylko będzie świadkiem, lecz także uwieczni na nietrwałym polaroidzie – jego śmierć.

Kolejne okrążenie. I jeszcze jedno. I wciąż wydawało się, że klacz zaraz stanie dęba albo wywróci sulki, bo najwyraźniej denerwowały ją nie tylko wiatr

i unoszące się w powietrzu liście, ale nawet ślady na piasku, nawet cień własnej grzywy i ogona. McCullen zaciskał ręce na poręczach tak mocno, że bolały go palce. Zamknął oczy, żeby nie dostały się do nich piasek i ziemia pryskające spod kopyt, obryzgujące mu płaszcz, twarz i eleganckie okulary jak śrut z wiatrówki. Usiłował panować nad paniką, myśląc: *Nie umrę, nie w ten sposób. Nie tak, nie dzisiaj.* Przypomniawszy sobie, jak dwanaście lat wcześniej, w luksusowym apartamencie w hotelu w Meksyku podczas trzęsienia ziemi, które trwało dwadzieścia osiem straszliwych sekund, powtarzał sobie, nie zważając na smak żółci w ustach: *Nie umrę teraz, nie jestem gotów umierać*, a mimo to wydawało mu się, że własna śmierć stoi przed nim jak w lustrze i drwi z jego żałosnego śmiertelnego ciała. Teraz też jakby wiedział, czuł: *Owszem, umrę; właśnie tak*; jego chore serce biło mocno, czuł pierwsze ostre ukłucia dławicy, a to wprawiało go w jeszcze większe przerażenie, perspektywa bólu, prawdziwego bólu, uduszenia, strachu, śmierci. A siedzący obok Crotty tego nie zauważył, ciągle popędzał tego cholernego konia, pokrzykując energicznie: *szybciej, mała, no, zachowuj się, no*, a McCullen nie mógł wydusić z siebie słowa, zatopiony w strachu jak w bryle lodu, nie tylko w strachu przed śmiercią, i to śmiercią w paroksyzmie bólu, ale też przed tym, że na oczach Crotty'ego i na oczach swojej żony zwyczajnie się załamie: nie sprawdzi się jako mężczyzna.

Nad ich głowami ku przerażeniu Crotty'ego nagle pojawił się mały samolot, lecący bardzo nisko, jakby dla żartu; oczywiście nerwowa klacz natychmiast na to zareagowała: prawie wypadła z toru. McCullen otworzył oczy, ale nic nie widział. Crotty jednak nadal nie zauważał udręki swojego pasażera, poganiał klacz ostrymi cmoknięciami, na przemian rugał ją i pieścił słowami jak kochanek, i przeproszał – absurdalnie! – za jej „niegrzeczne zachowanie”. McCullenowi wydawało się, że klacz jest może nie tyle szalona, ile oszalała: rzucała się na boki, podrzucała łbem, jakby chciała uwolnić się od znienawidzonych sulek; od uprząży, kłapek na oczy, pęt, bandany na pysku; od ciężaru ludzi. Czuł w piersiach serie ukłuć bólu, ostrego, najostrzejszego, jakiego kiedykolwiek zaznał, a nie dość, że nie wziął ze sobą tabletek i nitrogliceryny, zapomniał też uzupełnić ich zapas w samochodzie na wypadek nagłej potrzeby, teraz zaszła właśnie taka potrzeba, a tabletki znajdowały się o sto mil stamtąd, w domu w East Orange. Ból się nasilał. McCullen oddychał rozpaczliwie, wciągając do płuc powietrze, tlen, nie zważając na uderzające go w twarz grudki piasku i błota, nie zważając na upokorzenie i wstyd. A eleganckie lakierowane na czarno sulki wciąż pędziły naprzód. Tor wciąż mknął pod nimi, a Crotty, nadal nie zwracając uwagi na McCullena, wciąż poganiał

klacz, *batem*.

Dlaczego nie powiedział Crotty'emu, co się z nim dzieje, dlaczego nie poprosił, żeby się zatrzymali? Nie mógł, nie mógł, po prostu nie mógł. Był jak sparaliżowany, a niebo – tor – tętent kopyt – powiewający ogon wirowały wokół niego, dołączały do wiatru, który wyciskał mu z oczu łzy. Znów mignęła mu Lydia i drugi trener, którzy machali do niego i śmiali się, jakby to była pyszna zabawa, jakaś wyjątkowa uroczystość; piękna, pewna siebie Lydia w fioletowym szalu i ciemnych okularach, Lydia w markowych dżinsach, kobieta, którą McCullen ledwo znał, której ciało, jak mu się wydawało, posiadał; rękami, na których błyszcząły pierścionki, podnosiła teraz aparat fotograficzny, by utrwalić na kliszy śmierć męża. Lecz sulki minęły ich w okamgnieniu, robili kolejne okrążenie, Crotty co rusz wspomagał się krótkim, przypominającym patyk batem, Boże święty, to się nigdy nie skończy. McCullen siedział skulony, z głową wciśniętą w ramiona, jakby chciał w ten sposób złagodzić ból w piersi, i powtarzał sobie, że nie umrze: nie bądź śmieszny, nie w taki sposób, nie w taki sposób. Usiłował dojrzeć komizm sytuacji. Humor jak z kreskówki: nie dość, że klacz rzucała łbem na wszystkie strony, to jeszcze wystawiła język! – była cała spocona, pokryta pianą, wyglądała na oszalałą. I McCullen, i Crotty byli już ubłoceni od stóp do głów, a McCullen odczuwał nie pojedynczy ból w klatce piersiowej, lecz gęstą sieć bolesnych ukłuc przypominających porażenia prądem, pajęczą sieć, tafle lodu kruszącą się po liniach łączących najsłabsze punkty. Rozumiał: był bezbronny wobec śmierci, wszyscy ludzie są bezbronni wobec śmierci, bo ta dzika przejażdżka może skończyć się jedynie śmiercią, *nie da się nic zrobić, trzeba wytrzymać*.

Nigdy więcej nie zobaczy już Navajo. Nigdy nie zobaczy, jak jego koń biegnie w wyścigu.

* * *

– Co ci jest...? – Gdy wysiadał z sulek, Lydia zauważyła jego trupią bladłość i wyraz bólu na twarzy, podbiegła i otoczyła go ramieniem.

– Nic, to nic – wymamrotał szybko McCullen, żeby żona się nie zaniepokoiła, żeby Crotty i jego młody pomocnik niepotrzebnie się o niego nie martwili.

Ależ musi im się wydawać stary, *inny* niż oni, którzy tak swobodnie czują się w swoich ciałach i panują nad tymi nieokiełznanymi, nieprzeniknionymi zwierzętami! Chciał jak najprędzej zejść im z oczu, bąknął coś, wymówił się, że to ból żołądka, nic poważnego. Teraz, gdy stał na ziemi, gdy wreszcie wy-

siadł z sułek, zszedł z tego piekielnego toru i znów był panem siebie, ból zelżał i oddychało mu się znacznie lepiej. Crotty zapytał, czy zechciałby się położyć w budynku lub napić się wody, lecz McCullen machnął ręką, że nie, dziękuje, ale nie: muszą już jechać. Żałują, że muszą odjeżdżać tak szybko. Ale jeszcze przyjadą.

Czuł, że Crotty i jego pomocnik przyglądają się im, jak idą w stronę parkingu. Patrzą, jak McCullen ostrożnie stawia kroki, opierając się dyskretnie na ramieniu Lydii. Gdy doszli do mercedesa, wiedział, że Lydia musi prowadzić; on nie był w stanie sięgnąć za kierownicą.

– Usiądź, nie myśl o niczym, a zaraz się uspokoisz – szepnęła Lydia.

Twarz miała ściągniętą, oczy błyszczące i czujne; pomogła mu zapiąć pas. Pojechała do Netcong, znalazła drugstore, wbiegła do środka i po dwudziestu minutach, które omal nie przyprawiły jej o obłąd, aptekarz dodzwonił się do lekarza McCullena w East Orange i dopiero po konsultacji z nim wypisał receptę na czterouncjową fiolkę pastylek nitrogliceryny.

McCullen siedział z zamkniętymi oczami w fotelu pasażera, na miejscu, do którego nie był przyzwyczajony. Lydia, spięta, siedziała obok; Lydia, która go kochała, trzymała go mocno za lodowatą rękę i oboje czekali, aż pastylka rozpuści mu się pod językiem, dostanie się do krwiobiegu i dotrze do niegodnych zaufania arterii oplatających jego serce, żywiących jego serce; mimo iż, jak zapewnił żonę McCullen, zapewnił ją kilkakrotnie, naprawdę już czuł się dobrze – naprawdę, czuł się *dobrze*. Nie umarł na torze wyścigowym i nie umrze w mercedesie, a za kilka minut może nawet okaże się zdolny do prowadzenia samochodu, w rzeczy samej będzie się upierał, że chce prowadzić, gdy tylko jego oddech całkowicie wróci do normy, a dłonie i stopy przestanie przenikać ten dziwny chłód.

Uśmiechając się nagle i otwierając oczy, McCullen zapytał:

– Piękny był, prawda?

A Lydia odpowiedziała na pół gniewnie, ściskając jego dłoń:

– Tak. Był piękny.

Mocny uścisk

Zobaczył w jej twarzy coś, o czego istnieniu nie wiedziała.

Chwycił ją za ramiona, niezbyt mocno, jakby chciał ją pokrzepić czy przed czymś powstrzymać, i zapytał:

– Znów się zaczyna, Edith?

Był dobrym człowiekiem, od dwudziestu dwóch lat byli małżeństwem.

– Czy co się znów zaczyna? – odparła Edith szybko, tonem winowajczyni.

– Dobrze wiesz – powiedział Mark.

Edith zaczęła się bać, choć mówiła dość spokojnie, prawie nie poruszając wargami, jak brzucho mówca:

– Nie wiem – i nie zdając sobie sprawy z tego, że sama sobie zaprzecza – przecież bym ci powiedziała, prawda? Gdyby się zaczynało?

– Powiedziałaabyś? – zapytał Mark, patrząc na nią przeciągle.

Chwila przysła jak bańka mydlana.

Znajomi Edith i Marka Gotschalków mieli siedemnastoletnią szarą papugę zachodnioafrykańską.

Cóż to był za wspaniały ptak! Mierzył około dwudziestu cali, miał perłowo-szare, jakby rzeźbione upierzenie, a pióra w ogonie koloru jasnoczerwonej krwi tętniczej. Lecz wokół szyi wyskubał sobie pióra do żywego ciała, wyrrywając po jednym swoim dużym, zakrzywionym dziobem. Pióra wyściełały dno klatki.

– Ale dlaczego...? – zapytała Edith. – Jest taki piękny, dlaczego się oszpeca?

– Nie wiem, chyba z nudów albo dlatego, że czuje się samotny. Tak rzadko jesteśmy w domu – odpowiedział znajomy.

– Ale jak on – ona? – dosięga dziobem tyłu szyi?

Znajomy odważnie włożył rękę do dużej miedzianej klatki i papuga, po chwili wahania, zdecydowała się go nie dziobnąć, lecz usiadła mu na ręce i powędrowała w górę, podpierając się częściowo dziobem, jakby była ranna, aż wreszcie wyszła z klatki i znalazła się na ramieniu znajomego Edith, a on zwrócił się do niej:

– Masz niewiarygodnie elastyczną szyję, prawda, Gigi? Umie obrócić głowę prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni. No, pokaż, jak to się robi, Gigi – powiedział pieszczotliwie.

Na wpół zafascynowana, na wpół przerażona Edith patrzyła, jak papuga się

wierci, rusza głową, jakby odruchowo otwiera i zamyka dziób, pokazując język, wygięty w łuk, ruchliwy, żyjący niemal własnym życiem. Papuga nie wygięła jednak szyi, by zademonstrować jej elastyczność, nie machała też skrzydłami, co wydało się Edith dziwne, więc zapytała:

– Czy ona nie lata?

– Papugi żyjące w klatce zawsze mają usunięte lotki – wyjaśnił znajomy i dodał, nie zdając sobie sprawy z tego, że sam sobie zaprzecza: – Zresztą Gigi już dawno zapomniała, jak się lata, prawda, Gigi?

Edith Gotschalk popatrzyła na niego i już o nic więcej nie pytała.

Edith Gotschalk zdarzało się czasem wsiąść do samochodu i jechać przed siebie. Wszystko jedno w jakim kierunku, bez określonego celu.

Pewnego ranka wczesną jesienią zorientowała się, że dojechała do Pocomos, położonego wysoko nad rzeką Delaware. Myślała: jestem szczęśliwa, i rzeczywiście była szczęśliwa, siedząc za kierownicą samochodu, odczuwając coś, co dobrze знаła, lecz nie umiałaby nazwać, pulsujące w mózgu poczucie szczęścia, niczym nabrzmiała żyła, która zaraz pęknie.

Jasne, proste fakty i radość czerpana z tych faktów: że górzysty teren, gdzie się znalazła, ma swoją nazwę, i szeroka rzeka z białą pianą na wodospadach ma swoją nazwę, ludzie wszystkiemu nadali nazwy i wszystko nanieśli na mapy lub tak przynajmniej im się wydaje. I ta pora roku, z ciemnoniebieskim niebem, matowym złotem liści porozrzucanym tu i ówdzie na zboczach gór jak monety – „jesień”.

Edith zostawiła samochód przy jednym z punktów widokowych i spacerowała – przez kilka godzin. Aż poczuła, jak pod bawełnianą koszulą po bokach i plecach zimnymi strużkami spływa jej pot. Jak szczęście nas przeraża. Nie miała pojęcia, skąd się wzięło ani dlaczego; ani do czego może doprowadzić. Bądź do czego doprowadziło.

Jak w takich miejscach zaciera się granica tego, co ludzkie. Nie ma się nazwiska ani twarzy. Nie ma map. Można zapomnieć nie tylko o tym, kim się jest, lecz również o tym, kim się jest dla ludzi, których pozostawiło się za sobą.

Edith Gotschalk wróciła jednak tego dnia, jak wracała w inne dni. Zawsze wracała. Poczucie szczęścia nabrzmiewało w jej mózgu tak, jakby miało zaraz pęknąć, ale nie pękało.

Niebezpieczeństwo więc minęło. Chyba że przeminęła tylko pora roku.

Była pisarką i adiunktem na uniwersytecie – miała co robić. Nawet kiedy

nie pracowała (tak jak teraz), miała co robić. Miała też przyjaciół; dającą poczucie bezpieczeństwa rutynę; i przede wszystkim, bo tylko z tej strony mogło przyjść ocalenie, miała męża, z którym była od dwudziestu dwóch lat, który ją kochał, nie osądzał surowo, w wietrzne zimowe wieczory układał na kominku brzoszowe polana i zapalał, by mogli razem czytać, siedząc na sofie lub splótłszy palce, patrzeć marzycielsko w trzaskający ogień. Tyle że ja już nie daję rady, pomyślała Edith. To kosztuje tyle wysiłku.

Mecenas Kronberg z Detroit reprezentował klienta o nazwisku Koenig. Podobieństwo nazwisk, ich twarde germańskie brzmienie, było oczywiście nieistotne, lecz na moment przykuwało uwagę.

Kronberg uścisnął dłoń Edith Gotschalk i udawał, że zna jej książki, podziwia jej talent i tak dalej; być może wcześniej jej nazwisko obilo mu się o uszy, a może nie – należała do tego rodzaju pisarzy: znanych, a jednak nieznanym. Zupełnie nie zależało jej na tym, czy obcy ludzie cenią jej pracę, nie obchodziła jej też sława, ta ulotna smużka dymu; nie bardziej niż ona sama podczas tych szybko umierających zimowych dni. Tyle wysiłku kosztowało nabieranie jednego oddechu po drugim, przechodzenie z pokoju do pokoju z wyprostowanym kręgosłupem i w miarę jednorodnym poczuciem własnego ja, że koncentrowała się wyłącznie na tym, z tego czerpała satysfakcję.

– Jestem zaszczycony! – powiedział mecenas Kronberg, który miał grube wargi i szczery, przyjacielski, wypracowany uśmiech, blaknące rude włosy i przemawiał schrypłym barytonem.

Edith Gotschalk odwzajemniła uśmiech i roześmiała się.

Kronberg zadzwonił wcześniej z Detroit, mówiąc, że ma poufną sprawę; tak, może przyjechać do niej na uniwersytet (uczelnia była szacowna, jej gabinet przestronny, oszczędnie umeblowany, z dobrą wentylacją). Odbębniwszy pochlebstwa, niezwłocznie przystąpił do rzeczy. Zapytał Edith, czy pamięta mężczyznę, który nazywał się Roger Koenig i był jej studentem w Detroit w połowie lat siedemdziesiątych. Edith odpowiedziała, że owszem, nazwisko wydaje jej się znajome.

Kronberg skrzywił się lekko, jakby spotkał go zawód.

– Tylko nazwisko, nic więcej, panno Gotschalk?

– Właściwie pani Gotschalk – sprostowała Edith.

– Ach, przepraszam najmocniej.

Edith usiłowała się skupić. Usiadła przy biurku, przycisnęła powieki palcami i starała się wywołać z głębin pamięci jego twarz. „Roger Koenig”,

brzmiało dziwnie znajomo, ale nie wiedziała, z czym to nazwisko skojarzyć. Wydawało jej się, że przypomina sobie poważnego, upartego młodego chłopaka, w którym było coś melancholijnego, jakaś gorączkowa nadzieja granicząca z rozpaczą, cechująca wielu młodych ludzi, szczególnie mężczyzn, którzy uważają się za artystów. Nie mogła jednak przypomnieć sobie jego twarzy.

– Połowa lat siedemdziesiątych to było dawno temu – powiedziała.

Nie chciało jej się zastanawiać nad tym, jak wiele ze swojego życia zapomniała, jak wiele już zapomniała. Ogromne połączenie czasu, którego nie da się przywrócić, znikły jak podmywany przez fale klif.

– W pewnym sensie ma pani rację – odparł Kronberg. – A z drugiej strony wydaje się, jakby to było wczoraj.

Podał jej zdjęcie Rogera Koeniga, oficjalne zdjęcie do szkolnego tableau, i Edith momentalnie rozpoznała tę twarz, chłopięcą, bardzo młodą, o inteligentnych oczach i ustach ułożonych tak, jakby zęby nie mieściły się w wąskich szczękach.

– Tak, teraz go sobie przypominam – powiedziała. – Był dobrym studentem.

– Tak, *był* – powiedział z naciskiem Kronberg. – Potwierdzają to zestawienia ocen.

Podał jej Edith, a ona szybko przebiegła po nich wzrokiem, nie wiedząc po co, i zauważyła, że w kolumnach wypełnionych w większości ocenami A i B Roger Koenig miał też kilka C – może i był dobrym studentem, ale nic ponadto, nawet na tak niewymagającej uczelni jak uniwersytet w Detroit, gdzie uczyła przez kilka lat.

Kronberg mówił tymczasem:

– ...jak pani widzi, pani Gotschalk, uczęszczał również na trzy kursy do pani i ze wszystkich trzech uzyskał ocenę A. W swoim dzienniku z tamtego okresu często pisze o pani, z niezmiernym szacunkiem. Ze wszystkich profesorów pani wpłynęła na niego najmocniej... zmieniła pani jego życie.

Edith podniosła wzrok, gdy wspomniał o dzienniku.

– Mówi pan o nim tak, jakby to wszystko było w czasie przeszłym – rzuciła zaniepokojona.

Kronberg westchnął i z powagą pokiwał głową.

– Tak właśnie jest, niestety. Młody Roger Koenig nie żyje. Właśnie dlatego się tu znalazłem, pani Gotschalk – dodał po chwili.

– Nie żyje?

A dopiero przed chwilą ożył w jej pamięci.

– Ależ... to straszne – powiedziała. Dziwne, do oczu napływały jej łzy szczerzego współczucia. – Jak to się stało?

Samobójstwo, pomyślała.

– Tak – potwierdził Kronberg. – Rzeczywiście *było* to straszne. I niepotrzebne. Kilka tygodni temu poddał się operacji w szpitalu w Detroit, nieskomplikowanemu zabiegowi usunięcia przepukliny, i zmarł na stole operacyjnym w wyniku błędu anestezjologa. Tragiczna śmierć... oczywisty przypadek błędu w sztuce lekarskiej.

Edith nie odrywała od niego wzroku, oczy wezbrały jej łzami aż do bólu. Ponieważ nie miała swoich dzieci, o cudzych słuchała z niemal fizycznym współczuciem.

– Jak sobie pani pewnie może wyobrazić, rodzice są nieutuleni w żalu. Zatrudnili mnie, bym pozwał do sądu winnych: anestezjologa, chirurga, który przeprowadzał operację, i szpital w Detroit.

– Rozumiem – powiedziała Edith powoli, choć nic nie rozumiała.

Przez kilka minut Kronberg mówił dalej. Był rozgorączkowany, przemawiał z żarem. Jakby występował przed ławą przysięgłych, potępił szpital, adwokatów szpitalnych, dzisiejszy stan etyki w medycynie. Edith potakiwała, krótkimi pomrukami dawała znać, że w zupełności się z nim zgadza, prawie jakby Kronberg ze swoim smętnym wzrokiem, modnym krawatem i schrypłym głosem był ojcem Rogera Koeniga, któremu należało okazać współczucie z powodu utraty syna. Wreszcie przerwała potok jego wymowy i zapytała:

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego ze mną?

W tym kontekście pytanie zabrzmiało grubiańsko.

– Rodzice Rogera są przekonani, że ich syn zapowiadał się na niezwykle zdolnego pisarza, lecz śmierć położyła kres jego karierze literackiej, zanim zdążył się wykazać – odparł Kronberg. – Pani dostrzegła w nim talent, pani Gotschalk, kiedy jeszcze był studentem. Opublikował kilka drobiazgów w miejscowych pismach, ale jak się okazuje, przez kilka lat pracował nad dużą, ambitną powieścią, która, gdyby ukazała się drukiem, zdobyłaby rozgłos, a tak, został katapultowany... – Kronberg wyjmował z teczki grube pliki, kolejne partie maszynopisu, przerażające ilości papieru, i kładł je Edith Gotschalk na biurku, a ona patrzyła w milczeniu. – Zachęty z pani strony przesądziły o dokonanej przez tego młodego człowieka wyborze zawodu – ciągnął mecenas, oddychając chrapliwie. – Państwo Koenigowie mówili mi, że „ciągle”, jak to określili, opowiadał o pani w domu; istnieje również, jak się pani przekona, dowód w postaci dziennika. Dzięki temu, że była pani

uprzejma udzielać mu krytycznych uwag i wskazówek, Roger postanowił nie kształcić się dalej, jak początkowo planował, lecz zostać w domu, pomagać w prowadzeniu rodzinnego interesu – państwo Koenigowie mają mały sklep żelazny przy Grand Boulevard – i poświęcić się pisaniu. Była to decyzja odważna i kto wie, jaki sukces odniósłby ten młody człowiek, gdyby nie straszliwy, straszliwy błąd lekarza!

Edith patrzyła na stos kartek i czuła, jak zbiera jej się na mdłości. Pewnie jej zadaniem będzie przeczytanie tego materiału; może pomoc w znalezieniu wydawcy?

– Roger był ich jedynym synem – dodał Kronberg.

– Ile miał lat, kiedy zmarł?

– Trzydzieści cztery.

– Trzydzieści cztery!

Edith pamiętała bardzo młodego mężczyznę, niemal jeszcze chłopca.

Opróżniwszy teczkę, mecenas usiadł wygodniej na krześle, założył nogę na nogę, splótł ręce na kolanie i zwrócił się do niej jak do współnika w spisku:

– Sąd będzie potrzebował oceny możliwości zarobkowych tego nieszczęsnego młodego człowieka w latach aktywności zawodowej, gdyby, zgodnie z oczekiwaniami wszystkich, nadal żył pracowicie i produktywnie. Mogłaby pani ogromnie pomóc jako świadek-ekspert. Gdyby mogła pani, po przeczytaniu przynajmniej części dzieła Rogera, określić mniej więcej, do czego by doszedł, gdyby ukończył powieść i ją wydał... gdyby umiejscowiła go pani, jeśli pani potrafi, w gronie pisarzy współczesnych... powieściopisarzy, których nazwiska będą sądowi coś mówiły. Oczywiście nie proszę o podanie wysokości dochodów tych osób; to sam sprawdzę.

– Chwileczkę – powiedziała Edith. – Nie wiem, czy dobrze rozumiem. Mam panu pomóc... przy procesie?

– Państwo Koenigowie bardzo na panią liczą. Są nieutuleni w żalu i... bardzo na panią liczą.

– Oczekuje pan, żebym porównała nieznanego, niedrukowanego autora...

Widząc wyraz niedowierzania na twarzy Edith, Kronberg pośpiesznie dokończył:

– ...ze współczesnymi amerykańskimi pisarzami, którzy odnieśli rynkowy sukces. Z Updikiem, Vonnegutem, Styronem... – na moment zawiesił głos – z pisarzami takimi jak pani, piszącymi „literacko”, a jednocześnie popularnymi. Takimi, którzy nieźle zarabiają piórem.

– Ale przecież Roger nie opublikował nic za życia – zaprotestowała Edith. – Zdaje się, że nawet nie skończył tej powieści. Jak ktokolwiek może oczeki-

wać...

– Pani Gotschalk, pogrążona w żałobie rodzina bardzo na panią liczy w tym procesie jako eksperta od literatury – powiedział Kronberg z lekkim wyrzutem w głosie. – Oczywiście mamy aż nadto dowodów na to, że śmierć nastąpiła z winy lekarza, z udowodnieniem tego nie będzie najmniejszego problemu. W procesach o błąd w sztuce lekarskiej zwykle dokonuje się jednak szacunkowej oceny możliwości zarobkowych zmarłego, zakładając, że dożyłby przeciętnego wieku. Porównując...

– Panie Kronberg, nie mogę się zgodzić – przerwała mu Edith.

– Jak to? „Nie może” pani?

– Roger był tylko moim studentem. Jestem przekonana, że nie chwaliłam go bardziej niż pozostałych licznych studentów, których uczyłam. To obowiązek nauczyciela, chwalić i zachęcać do dalszej pracy...

– Ale, jak ufam, szczerze?

– Oczywiście, że szczerze! Ale... uczę od 1971 roku, miałam dosłownie setki studentów. Nawet nie byłam w kontakcie...

– Roger pisał do pani. Wysłał cztery listy. Ani razu pani nie odpowiedziała.

– Ja... nie pamiętam żadnych listów.

– *On* pamiętał. Wszystko zapisał w dzienniku.

Edith siedziała nieruchomo i mocno przyciskała palcami powieki. Już przestała się bać, że się rozpłacze, groził jej za to wybuch śmiechu.

Kronberg powiedział ostrożnie:

– Powiniennem być to powiedzieć na samym początku, pani Gotschalk: oczywiście pokryjemy wszystkie koszty, jakie poniesie pani, pomagając nam w tej sprawie. Gdyby okazało się na przykład, że sąd będzie wymagał, by stawiała się pani na rozprawie osobiście. – Przerwał. – Czy coś jest nie w porządku, pani Gotschalk? – zapytał ostrożnie.

– Bardzo dużo jest nie w porządku, panie Kronberg – odparła ze spokojem.

Kronberg jakby nie dosłyszał. Już wstał z krzesła, znów pełen wigoru i gotów do wyjścia.

– Zostawię pani maszynopis Rogera. Nie może pani podjąć decyzji, zanim nie rzuci pani na niego okiem. Zgoda? Zadzwońię za kilka dni i wtedy porozmawiamy. W końcu to pani pochwały i zachęty skłoniły tego młodego człowieka do poświęcenia życia sztuce... była pani dla niego wzorem, jego, że tak się wyrażę, gwiazdą przewodnią. Była pani – dorzucił złowrogo – odpowiedzialna.

Edith przeszył dreszcz.

Ponieważ jednak była uprzejma, grzeczna do szpiku kości, odprowadziła

mecenasa Kronberga z Detroit do drzwi gabinetu i ukryła przed nim ironiczny uśmieszek, choć czuła, jak wzbiera w niej złość. Podała mu nawet rękę na pożegnanie, jakby ubili jakiś interes.

Wychodząc, Kronberg powiedział z uśmiechem:

– Spodoba się pani, gwarantuję. To fascynujący materiał!

– Czyżby pan to wszystko przeczytał? – zapytała Edith.

Kronberg zawahał się przez ułamek sekundy.

– Powiedzmy, że przeglądnąłem.

Setki stron maszynopisu, wiele z nich ledwie czytelnych od skreśleń (i niewyraźnie odbitych na ksero); szkice całości, nabazgrane pośpiesznie notatki, akapity urwane w pół zdania; gdzieniegdzie większe fragmenty tekstu poprzekreślane na krzyż tak gwałtownie, że oryginalne strony się przedarły. Książka, zatytułowana po prostu „moja powieść”, nie była w istocie jednorodnym dziełem, lecz nieciągłą, epizodyczną opowieścią, w której pojawiały się i znikwały zupełnie niewiarygodne postacie, po czym znów się pojawiały, pod innymi imionami i nazwiskami, co jednoznacznie wskazywało na to, że autor robił w pisaniu długie przerwy i nie starał się ujednoczyć poszczególnych części ani połączyć w spójną całość. Zdarzały się długie, czasami piękne liryczne opisy (nieba, krajobrazów, miasta, rzeki Detroit); nieraz przez trzydzieści stron bez przerwy ciągnęły się dialogi między niezidentyfikowanymi bohaterami. Przebłyski natchnienia ginęły w natłoku bezładnej prozy, jak pojedyncze błyski światła w ciemnościach. Nawet zapiski w dzienniku nie były uporządkowane, tak jakby autor nie umiał zmusić się do ponownego przeczytania tego, co napisał, tylko parł naprzód. Napędzała go jakaś szaleńcza energia, lecz brakowało energii retrospektywnej, która kazałaby mu co pewien czas wracać do tego, co stworzył. Edith zrobiło się niedobrze, gdy pomyślała: czy temu poświęcił swoje życie? I czy ja jestem za to odpowiedzialna?

Głowa pękała jej z bólu i poczucia winy, ale czytała dalej, zamknawszy na klucz drzwi do gabinetu, by nikt nie przeszkadzał jej w wykonywaniu tej czynności, tego zadania, tego obowiązku... aż zrobiło się późno, zadzwonił telefon i Mark zapytał, co się dzieje, dlaczego jeszcze nie wróciła do domu, a ona opowiedziała mu całą sytuację, stwierdziła, że nie wie, kiedy przyjdzie, i poprosiła, żeby na nią nie czekał. Zostawiła nieskładną opowieść i zabrała się do dziennika, z zażenowaniem zauważając liczne fragmenty zaznaczone markerem (przez Kronberga?), w których występuje profesorka zwana „E.G.”, długie, pozbawione interpunkcji zapiski z roku 1974 i 1975. Czuła, że twarz jej płonie; serce biło mocno, jakby chciało wydostać się z klatki piersiowej;

znalazła tu bowiem wizję dawnej, młodszej siebie, tajemniczej postaci przefiltrowanej przez oczy zmarłego chłopca, który nie tylko chodził na zajęcia Edith Gotschalk, lecz również słuchał jej wykładów, czytał jej powieści i opowiadania z gorącym, bezkrytycznym podziwem, interesował się nią. Opisywał nawet jej ubrania... stary płaszcz z wielbłądziej wełny, karminowy szalik... białe rękawiczki z angory. Charakterystyka Edith Gotschalk była absurdalną hiperbolą: „nieziemsko utalentowana”, „geniusz”, „umysł jak języki ognia”, „najbardziej prawa & dobra & wrażliwa & *piękna* osoba, jaką znam”. W tekście były gwiazdki i całe szeregi wykrzykników. Odczuwając nieokreślony ból, a może to szczęście pulsowało w jej mózgu jak ból, Edith pomyślała: on mnie kochał, kochał swoje wyobrażenie o mnie, a teraz oboje jesteśmy martwi.

Podniosła wzrok i stanął jej przed oczami jak żywy – chłopak, któremu pisana była przedwczesna śmierć, nieśmiała, lecz uparta postać czyhająca przed drzwiami jej gabinetu. Czekał na nią po wykładach, schodził razem z nią po schodach i towarzyszył w drodze przez kampus. Opowiadał podekscytowany o swojej fascynacji Camusem... Genetem... *Męczeństwem i śmiercią Jean Paul Marata przedstawionymi przez zespół aktorski przytułku w Charenton pod kierownictwem pana de Sade* Petera Weissa... modnymi dziełami, które miały wytrzymać próbę czasu. Po zajęciach Roger Koenig był ożywiony, dużo mówił, jaskając się z przejęcia; na zajęciach raczej się nie odzywał, siedział cicho i marszczył czoło, jakby nie zgadzał się ze swoją panią profesor. Chyba że to głęboka empatia sprawiała, że nie mógł wykrztusić słowa.

Roger Koenig. Łagodny, wilgotny oczy pełne nadziei. Defensywny ironiczny uśmiech. Dolna część twarzy wąska, cofnięta, z wyrazem wyzywającej słabości. Jednak nie można było powiedzieć, że nie jest przystojnym chłopcem... mężczyzną. Jednak go lubiła. (Kiedy o nim myślała; bo oczywiście w tamtym okresie życia, kiedy nie miała jeszcze trzydziestu lat, pochłaniała ją mnóstwo rzeczy. Miała męża, odpowiadającą jej ambicjom i wymagającą pracę. Romans, który zbliżał się do zenitu). Była miła dla Rogera Koeniga, niestrudzenie nanosiła poprawki na marginesach jego obszernych, rozwlekłych prac; taktownie i zawsze konstruktywnie krytykowała jego pracę twórczą; udzielała mu tylu uwag, ile w jej ocenie mogły znieść jego delikatne nerwy; za wszystko, co napisał, dawała mu ocenę odrobinę wyższą, niż prawdopodobnie zasługiwał. Nie miała sumienia go rozczarować czy zniechęcić, bo Roger Koenig był jednym z tych studentów, którzy starają się tak usilnie, że aż się serce ściska... jak niewyraźne lustrzane odbicia Edith Gotschalk, którą wysiłek wkładany w pisanie, podobnie jak wysiłek odpiera-

nia szaleństwa, męczył tak, że ani mniej lub bardziej powszechne uznanie, ani sława, ani zaszczyty, ani nawet rynkowy sukces, którego, jak rozumiał Kronberg, nie osiągnęła, nie mogły stanowić żadnej rekompensaty.

Czy to rzeczywiście ja ponoszę winę? Ja, „geniusz”?

Pewnego wietrznego listopadowego dnia Roger Koenig zaczął się na nią – nagle wróciło do niej wspomnienie tego spotkania, jednego z ich ostatnich spotkań poza zajęciami – i zorientował się, że Edith nie jest w najlepszym nastroju czy po prostu jest zmęczona, czy też się śpieszy, dlatego nie ma ochoty na rozmowę, a jednak szedł obok niej, opowiadał o czymś, zarzucał ją pytaniami, nieśmiały, uparty zalotnik. Roger Koenig miał też zwyczaj... teraz wyraźnie sobie to przypomniła... podawania ręki na pożegnanie i tego dnia, stojąc na uniwersyteckim parkingu, nie zważając na wyjąca wichurę, stanowczo wyciągnął do niej dłoń, naga, drobnokoścista, a Edith zawahała się przez moment, zanim ją uściśnęła, denerwowało ją tego dnia jego towarzystwo, to, że tak uparcie za nią chodzi, i zawahała się na tyle długo, by to zauważył, po czym stanowczo i energicznie uściśnęła jego dłoń, jakby nic się nie stało.

Na pożegnanie ostrzegła go łagodnie, poważnym tonem:

– Nie spodziewaj się nie wiadomo czego po „kariery literackiej”, Roger.

– Ja się zawsze spodziewam nie wiadomo czego! – odpowiedział Roger Koenig, śmiejąc się nerwowo.

Biedny chłopak z włosami opadającymi na oczy.

* * *

– Ale dlaczego tak się tym przejmujesz? I dlaczego czujesz się *winna*? – zapytał Mark, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. – Skoro przez piętnaście lat nawet o tym, jak mu tam, ani razu nie pomyślałaś?

Edith przygotowała taktowną, oficjalną wypowiedź, którą zamierzała przeczytać Kronbergowi przez telefon, ale gdy zadzwonił, nagle owładnęły ją emocje, była zła.

– Przykro mi, ale to naprawdę niemożliwe. Nie mogę z czystym sumieniem zeznać, że Roger Koenig ukończyłby tę powieść, zdołał ją wydać i na niej zarobić. – Słyszała, jak głos jej się łamie. – Nie mogę z czystym sumieniem zeznać, że miał prawdziwy talent.

– Ale chwaliła pani prace tego podatnego na wpływy młodego człowieka, pani Gotschalk – powiedział Kronberg z wyrzutem. – Mamy na to dowody.

– Przyznaję, że się myliłam – odparła Edith. – Nie jestem przecież nieomylna.

na.

– W takim razie otrzyma pani wezwanie do sądu – powiedział Kronberg, lecz Edith wiedziała, że blefuje; co za absurdalny pomysł, żeby jej grozić.

– Moje zeznania na nic się nie przydadzą – stwierdziła.

Nastąpiła chwila ciszy. Edith niemal widziała, jak z grubych warg mecena-sa wymyka się nieme przekleństwo, słyszała jego ciężki oddech.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Trudno. Przepraszam, że zabrałem pani cenny czas, panno Gotschalk.

– Na jaką sumę pozywa pan szpital? – zapytała Edith. – Pytam z czystej ciekawości.

– Trzydzieści milionów – odrzekł Kronberg.

Nadeszło Boże Narodzenie, nazbyt szybko; i sylwester. Okazje wymagające publicznej radości. Gotschalkowie mieli w niej swój udział, gościli krewnych, wydali przyjęcie dla licznych przyjaciół, wpisując się w szaleńczy cykl podobnych imprez. „Kręgi zimowego ciepła” – zauważył Mark z uśmiechem. W jego głosie nie było ironii.

Ponieważ Gotschalkowie byli bezdzietni, potrzebowali bliskości przyjaciół, przynajmniej teoretycznie.

Ponieważ byli bezdzietni, nie starzeli się. Przynajmniej tak to oboje odbierali.

W Nowy Rok Edith powiedziała do Marka, jakby było to najzwyczajsze zagajenie pod słońcem:

– Śmieszne, prawda... że niektórzy z nas nie żyją, a inni nie.

Mark skrzywił się.

– Dziwnie to ujęłaś.

– Bo to jest dziwne.

Gdy incydent związany ze śmiercią Rogera Koeniga był jeszcze świeży w pamięci i szarpał jej nerwy, Edith rozmawiała o nim z Markiem, bo oczywiście Mark chciał go z nią omawiać, Gotschalkowie mówili sobie o wszystkim z wyjątkiem tego, czego nie można wyrazić słowami. Powiedział jej, że poczuwanie się do winy jest absurdem; tak, błąd lekarza nie ulega najmniejszej wątpliwości – trzydziestoczteroletni mężczyzna zasnął na stole operacyjnym i się nie obudził; ale takie rzeczy zdarzają się co dzień, świat to nieprzewidywalne miejsce. Racja, powiedziała Edith. A jeśli przedtem marnował życie na coś, czego nawet nie umiał dokończyć, w dziedzinie, w której nie miał talentu, to czyja to była wina? Chyba nie jej?

Tak, powiedziała Edith. Masz rację.

Czuła wtedy, jak w mózgu otwiera jej się szczelina.

W dzieciństwie napady minorowego nastroju były tajemnicą, o której nigdy nie mówiła, lecz były one wówczas na tyle łagodne, że nazywano je humorkami; Edith była „nadpobudliwym” dzieckiem. W okresie dojrzewania wypielęgnowała je do niebezpiecznie dużych rozmiarów, stanowiły wówczas o jej wyjątkowości; jako młoda kobieta walczyła z nimi, gdyż były objawem normalności. Teraz, w wieku czterdziestu kilku lat, zaczęła mieć poczucie, że jej normalna świadomość skarłała, a prawdziwa jest tylko ta druga, te napady szczęścia, szczęścia ostrego jak ból. Patrząc na swojego męża, który był człowiekiem absolutnie dobrym, rozsądnym i praktycznym, zdrowym psychicznie jak jasno oświetlony, wymalowany na biało pokój, myślała: pozwól mi odejść, nie trzymaj się mnie, nie chcę cię w to wciągać.

Lecz on oczywiście był wciągnięty i dawno temu, kiedy Edith nie spała przez kilka nocy z rzędu, nie rozmawiała z nikim oprócz niego, a i z nim niechętnie, płaskim, obojętnym głosem, najwyraźniej w nastroju samobójczym, najwyraźniej wymagająca opieki lekarskiej (Mark w to wierzył – Mark wierzył w takie rzeczy), uparł się, że zawiezie ją do lekarza, do psychiatry w Detroit; ten przepisał jej tabletki – barbiturany, jak się potem okazało, dawkę, która powaliłaby nawet konia, które na dodatek uzależniały, w dwa tygodnie można było wpaść w nałóg, więc któregoś dnia zdesperowana Edith wrzuciła zawartość buteleczki do klozetu i szybko spuściła wodę, by nie wylawiać tabletek trzęsącymi się z głodu rękami.

Przysięgła sobie, że już nigdy nie zwróci się po pomoc do psychiatry, a Mark, spokorniały w poczuciu winy za to, co się z nią działo, nie mógł zaprotestować.

To szczęście nie było właściwie szczęściem, tak jak rażący oko promień słońca nie jest właściwie światłem, lecz oślepieniem.

Edith nie wiedziała jednak, jak inaczej to nazwać: tę otwierającą się w jej czaszce szczelinę, przez którą wlewało się do środka światło, paraliżujące, zacierające wszystko... Wszystkie kierunki były równie bezsensowne. Wszystkie ludzkie starania – bezcelowe.

W styczniu było wiele słonecznych dni, pod nogami chrzęszczący śnieg, błękit nieba ostry jak brzytwa, nie było spokojnego miejsca, gdzie można by uciec wzrokiem. Edith wyobraziła sobie język papugi, zwinięty i ułożony w dziobie, który na przemian otwiera i zamyka... otwiera i zamyka. Wyobraziła sobie Rogera Koeniga, jak siedzi w pokoju w domu rodziców i przelewa

swoje życie w „swoją powieść” bez żadnego wewnętrznego ładu, bez końca. Wyobraziła sobie „Edith Gotschalk” i „Rogera Koeniga” jako tonącą parę, objętą mocno ramionami, może był to obraz z jakiegoś koszmarne snu, który zachował się gdzieś w jej pamięci.

Nie omawiając tego wcześniej z Markiem, Edith wbrew pierwotnym planom postanowiła nie uczyć w semestrze letnim.

– Chcę się skoncentrować na swojej pracy – powiedziała. – Na tej pracy, która tak ciężko mi idzie.

Mimo iż wiedziała, czy też powinna była wiedzieć, że długie godziny zimowej samotności nie wpłyną dobrze na jej koncentrację, tylko dadzą jej czas, by siedzieć i godzinami jak zahipnotyzowana wpatrywać się w drzewa za oknem... i w miarę zapadania wieczoru we własneupiorne odbicie w szybie. Czuła, że jej dusza mogłaby wymknąć się z ciała, by *tam* polecieć.

Wieczorem Mark zapytał z troską:

– Nie było cię dziś w domu, Edith? Dzwoniłem pięć czy sześć razy.

– Widocznie byłam na dworze – odpowiedziała.

– Przez cały dzień? Wzięłaś samochód? Gdzie byłaś?

Nie słyszała dzwonka telefonu albo słyszała i natychmiast o tym zapomniała.

– Przepraszam. Widocznie byłam poza domem.

Mark przyglądał się jej z niedowierzaniem. Był wysoki i dobrze zbudowany, wokół ust i oczu miał pogłębiające się zmarszczki, na jego twarzy malowały się miłość i lęk o nią.

– Nie wierzę ci, Edith. Jestem pewien, że byłaś w domu, ale po prostu nie chciało ci się ze mną rozmawiać i chciałbym się teraz dowiedzieć dlaczego.

Daj mi spokój, pomyślała Edith.

– Może więc nie powinieneś wydzwaniać do domu – powiedziała. – Nie podoba mi się to, że mnie kontrolujesz.

Na szerokim biurku w jej gabinecie leżał ułożony w kilka stosów egzemplarz „mojej powieści” Rogera Koeniga (Kronberg nie zażądał jego zwrotu, może liczył na to, że Edith zmieni zdanie) i czasami, kiedy pisanie jej nie szło, Edith wracała do jego lektury. Nie osądzała już jakości literackiej tekstu, czytała tylko po to, by zatracić się w tej czynności; słyszała głos zmarłego, specyfikę jego języka i ton fraz. Jego twarz jednak zacierała się w pamięci.

Żałowała, że nie zapytała Kronberga, czy mogłaby zatrzymać fotografię. Ale nie zapytała.

W lutym napisała do państwa Koenigów spóźniony list z kondolencjami.

Oczywiście nie nawiązała do procesu ani swojej odmowy udzielenia pomocy; w końcu nie poprosiła też, choć zamierzała, o zdjęcie zmarłego. List napisała odręcznie, tylko trzy krótkie zdania, lecz ułożenie ich zajęło jej całe popołudnie.

Koenigowie nie odpowiedzieli. Edith pomyślała: oczywiście winią mnie przecież za śmierć swojego jedyne go syna. Dlaczego niby mieliby odpowiadać!

– Edith, proszę. Wyrzuć go. Nalegam.

– Ale to jedyna kopia.

– Dla własnego dobra, kochanie, dobrze? Jeśli nie chcesz, *ja* mogę to zrobić.

Mark wyrzucił zatem maszynopis. Edith pozwoliła mu na to, wiedząc, że będzie mogła wyciągnąć go ze śmietnika. I jeszcze tej samej nocy, kiedy mąż już spał, cichcem, po kryjomu, rzeczywiście to zrobiła.

Tym razem była mądrzejsza i schowała go tak, by Mark nie miał szans go znaleźć. Nawet gdyby podejrzewał, że go odzyskała, a nie podejrzewał. Rozłożyła kartki po teczkach z własnymi pracami od roku 1964 do teraz.

* * *

Podczas tej niekończącej się zimy Edith często leżała bezsennie w nocy i słuchała, jak za oknami sypialni pasą się jelenie. Na początku ten dźwięk ją wystraszył, bo wydawało jej się, że do domu podchodzi złodziej, później jednak się do niego przyzwyczaiła i dziwnie ją uspokajał. Jak nieśmiało, jak ostrożnie jelenie stąpały po chrzęszczącym śniegu... jelenie o białych ogonkach, doskonale piękne nawet w brunatnym zimowym futrze. (O tej porze roku młode, urodzone w czerwcu, nie miały już delikatnych białych pasków na bokach. Były wyraźnie drobniejsze od osobników dorosłych, ale już nie od razu można było je od nich odróżnić). W sąsiedztwie domu Gotschalków grasowały małe stada zagłodzonych jeleni, z punktu widzenia mieszkańców istna plaga, ponieważ z żarłocznością szarańczy ogołacały z liści krzewy i winorośle; Edith jednak nie lubiła myśleć o nich jak o drapieżnikach ani nawet podmiejskich szkodnikach, były przecież takie piękne. Przede wszystkim jednak nie chciała myśleć o tym, że głodują – a głodują dlatego, że za bardzo się rozmnożyły. W jej umyśle coś łączyło Rogera Koeniga z pasącymi się jeleniami: gdy tylko słyszała za oknem ich ruchy, zaraz myślała o zmarłym chłopcu. W stanie między jawą a snem myślała o Rogerze Koenigu, jakby nie

był osobą czy nawet ciałem, lecz żywotną siłą; namacalną żywotną siłą, która wypełniała ją tak dokładnie, jak oko wypełnia oczodół czy płód łono.

Boże, zmiłuj się nade mną. Gdybym tylko mogła wierzyć. Pomóż mnie, pomóż jemu.

Pewnej wietrznej nocy w marcu, słuchając jeleni chodzących po śniegu za oknami, Edith zrozumiała nagle, że dłużej tego nie zniesie – tego szczęścia, które właściwie nie jest szczęściem, tego straszego pulsowania w mózgu, które nigdy nie dochodzi do punktu kulminacyjnego. Wyśliznęła się z łóżka, uważając, by nie zbudzić śpiącego obok męża, zauważając, jak we śnie jego twarz jest młodsza niż ta dzienna, którą znała.

Weszła do łazienki. Otworzyła szafkę z kosmetykami, unikając swojego wzroku w lustrze. Wyjęła aluminiową żyletkę, jedną z tych, które wyglądają, jakby nie można było zrobić sobie nimi krzywdy, bo są takie cienkie, takie lekkie.

To do mnie nie pasuje, myślała Edith. Muszę działać szybko.

Chyba ze zdenerwowania poczuła ucisk na pęcherz. Musiała więc skorzystać z toalety. Słyszac, jak jej mocz spływa po muszli, pomyślała: przynajmniej z tym nie mam problemów; spuszczac wodę, pomyślała: przynajmniej z tym nie mam problemów. I roześmiała się, wiedzac, jak małe znaczenie ma to, czy będzie dalej żyła, czy umrze; czy umrze, czy będzie żyła dalej. Ale skoro już zaczęła, skoro już miała żyletkę w ręku, musiała wykonać ten gest do końca. Gdy ciało uzyska pęd, nie można go zatrzymać. Trzymając cienkie ostrze zdumiewajaco pewnie, przeciągnęła nim lekko, jak piórkiem, wzdłuż wewnętrznej strony lewego przedramienia, jakby szkicowała linię. Nagle usłyszała kroki Marka i jego głos:

– Edith? Kochanie? Jesteś tam?

Chwycił za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Ogarnięta nagłym wstydem, Edith wyrzuciła żyletkę do kosza. Nie miała wyjścia, cholera, musiała otworzyć drzwi, bo gdyby nie otworzyła, on by je wyważył.

Odemknęła zamek i otworzyła drzwi. Jej mąż mrugał szybko i przyglądał się jej podejrzliwie, przestraszony, wyczytując z jej oczu stan duszy. Bo znał ją, znał ją na wylot, był tak blisko, że nie mogła tego znieść.

– Co ty tu robisz, Edith? – zapytał. – Wracaj do łóżka, dobrze?

Edith powiedziała ze złością:

– Daj mi spokój, Mark, pozwól mi odejść, Boże, przecież wiesz, że to beznadziejne, tacy ludzie jak ja są beznadziejni. No co jest z tobą, że nie możesz odpuścić?

Wyprowadził ją z łazienki, posadził na krześle. Edith poczuła się dziwnie,

że siedzi na krześle w środku nocy, w koszuli nocnej. Płakała, była zgnębiona, wściekła na niego, że znów, kolejny raz ją powstrzymał. Jakby on też nie miał wyboru. Teraz mówił do niej łagodnie:

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Była taka zmęczona – te długie noce, tygodnie, miesiące zmęczenia, pragnienia snu.

Mark był przy niej, coś szeptał, pocieszał ją, głaskał po włosach, po ramionach zakrytych rękawem nocnej koszuli i Edith poczuła, że mu się poddaje, że nagle kładzie ręce na stole i opiera na nich głowę w krańcowym znużeniu. Zsunęła się z krawędzi czegoś, co lśniło blado jak lód, i unosiła ją ciemna, rwąca woda. Zawsze obiecywali, że nadejdzie sen. Jak wtedy, kiedy trzeba było „uśpić” Toby’ego, bo jego brzuch aż się wzdął od nowotworów i jego piękne oczy błyszczały od gorączki, Edith zabroniono płakać, nie płacz, to tylko sen, gdy wbijano jej w żyłę igłę, pomyślała więc z ulgą, że zawsze może spać, była to ogromna ulga, że zawsze może uciec i zasnąć, a teraz, w tym domu, którego prawie nie poznawała, wiedziała tylko, że wiąże się z ostatnimi latami jej życia i że była w nim szczęśliwa, czuła, że zapada w sen, oparłszy głowę na złożonych ramionach, ale spała w tej niewygodnej pozycji tylko kilka minut i obudziła się z suchością w ustach, zdezorientowana, wystraszona jak małe dziecko, ale ktoś mocno ścisnął jej rękę, zaciskał palce w swoich i nie pozwolił jej się wymknąć.

Tak to było, tamtej nocy.

Dziewczyna, która miała umrzeć

Dziewczyna, która miała umrzeć, nie była już właściwie dziewczyną, lecz młodą kobietą – miała dwadzieścia cztery lata, drobne, zgrabne, ruchliwe ciało i twarz lalki, zdaniem Beverly Crystal zbyt małą, doskonale rysy wydawały się zbyt ściśnięte, jak rysy karlicy. Była pielęgniarką w szpitalu ogólnym w Yewville. Ubrana w dopasowany fartuch z białego nylonu, cienkie białe rajstopy i nieskazitelnie czyste wiązane białe buty, z kręconymi włosami koloru miodu wysypującymi się spod pielęgniarskiego czepka wyglądała olśniewająco i nie pasowała do ponurego salonu Crystalów, gdzie siedziała na starej włoskiej sofie, ledwo dosięgając palcami ziemi, mówiąc poważnym głosem małej dziewczynki. Nazywała się Audrey McDermitt i była licealną koleżanką Ednelli, pasierbicy Beverly Crystal, która nie wiedziała, że dziewczęta są sobie tak bliskie.

Audrey przyszła do Ednelli późnym popołudniem 6 listopada, zaledwie dwa dni przed śmiercią. Beverly obserwowała siedzące w salonie dziewczęta i z początku nie była pewna, czy ma się pokazać i przywitać, nie wiedziała, czy Ednella zaprosiła Audrey, żeby ją odwiedziła po pracy, czy Audrey wpadła bez zaproszenia. Beverly i dwudziestopięcioletnia córka jej zmarłego męża odnosiły się do siebie miło i serdecznie, na ogół, lecz nie były sobie bliskie; Beverly rozmawiała z Ednellą o przeróżnych rzeczach jak z przyjaciółką, po czym nagle uraziła ją jakimś niewinnym pytaniem, jeśli wkraczało w sferę jej prywatności. Nie zapytała więc o Audrey McDermitt w obawie, że Ednella odprawi ją jakimś spokojnym, zimnym, raniącym słowem. Miała już nigdy o nią nie zapytać.

Tego dnia, w środę, o siedemnastej czterdzieści pięć było już ciemno. Beverly usłyszała na górze, że ktoś otwiera drzwi, dobiegły ją głosy i tłumiony śmiech i pomyślała, że Ednella ma gościa; dlatego zeszła tylnymi schodami. (Dom Crystalów, gdzie mieszkała teraz tylko z pasierbicą, bez Wally'ego Crystal, męża Beverly i ojca Ednelli, który by je łączył, był jednym ze starych, przestronnych, dobrze zachowanych wiktoriańskich domów przy Church Street. Z przedpokoju prowadziły na górę szerokie schody, a z tyłu, od strony kuchni, znajdowały się drugie – wąskie i strome, prawie jak drabina). Beverly we flanelowych spodniach i robionym na drutach rozpinanym swetrze koloru truskawki zjawiła się w drzwiach jadalni i uśmiechnęła się niepewnie do Ednelli i jej koleżanki w pielęgniarskim fartuchu, który oślepił bielą. Pomyślała, że może miałyby ochotę na kawę, herbatę czy coś słodkiego. Ed-

nelli jak zwykle nie przyszło do głowy, żeby gościa czymś poczęstować. Dziewczęta jednak nie zauważyły Beverly, tak były pochłonięte rozmową. Audrey McDermitt mówiła swoim przyciszonym głosem małej dziewczynki:

– ...i powiedziałam mu – płakałam, ale byłam też wściekła jak nie wiem co! Powiedziałam mu: „Skoro masz o mnie takie złe zdanie, mój drogi, to chyba ci go zwrócę, i to zaraz”.

Szarpnęła przy tym lekko pierścionek na lewej ręce, a Ednella zapytała o coś cicho, Beverly nie dosłyszała o co. Audrey odpowiedziała z nerwowym chichotem:

– Wtedy *on* się rozpłakał! Powiedział, że się zabije, że strzeli sobie w łeb, jak...

O czym one, na Boga, rozmawiają, dziwiła się Beverly. Ta McDermitt dużo gestykulowała, twarz miała rozognioną i przejętą, jak aktorka z popołudniowego serialu specjalnie umalowana do jakiejś dramatycznej sceny. A Ednella Crystal, która zwykle gardziła byłymi kolegami ze szkoły średniej, podobnie jak gardziła większością mieszkańców Yewville, uważając ich za nudnych prowincjuszy o wąskich horyzontach – Ednella siedziała na krześle naprzeciwko Audrey, łokcie opierała na kolanach, a brodę na splecionych rękach, nachylała się ku koleżance i nie odrywała od niej wzroku. Ednella była chudą dziewczyną z ciemnymi ironicznymi oczami i suchą ziemistą cerą. Rzuciła starą pracę, obecnie szukała nowej i przez cały dzień nie wyszła z domu; miała na sobie wypchane beżowe sztruksy, które nosiła bez przerwy od kilku tygodni, oraz wyblakłą i skurczoną w praniu bluzę, która opinała jej płaską klatkę piersiową. Beverly skrzywiła się na widok tej przeklętej bluzy – stałowszarej z podobizną Myszkki Miki na przedzie i półokrągłym napisem „VAS-SAR COLLEGE” pod spodem. Była to żalosna pamiątka z college’u, do którego uczęszczała Ednella i w którym naukę, mimo inteligencji i zdolności, ledwo ukończyła w terminie. (Biedny Wally, który wtedy jeszcze żył, musiał wykonać kilka telefonów do dyrektora college’u, żeby wszystko się dobrze skończyło. Beverly nie dowiedziała się, na czym właściwie polegał problem). W oczach Beverly Ednella była piękną kobietą, znacznie ciekawszą z urody niż ta mała McDermitt, która przypominała lalkę; ale wcale się nie malowała, nie dbała o swoje delikatne, miękkie czarne włosy, była z natury bardziej skora do grymasów niż do uśmiechów, humorzasta i nieprzewidywalna. Na przykład Beverly nie potrafiłaby przewidzieć, że zastanie Ednellę zatopioną w rozmowie z Audrey McDermitt.

Audrey brakowało tchu i wycierała oczy.

– Cholera, przecież *on* wie, że nie ma żadnych podstaw do zazdrości. I to

o kogo, o Rona Carpentera! Żadna dziewczyna nawet by nie spojrzała na Rona, gdyby знаła Harveya Mercera! Boże, znamy się z Ronem od piątej klasy, a teraz jego matka przyjeżdża do nas do szpitala na chemioterapię, Ron ją przywozi, więc widzimy się, chcąc nie chcąc, a jeśli mam akurat wolną chwilę, to rozmawiamy. Ron martwi się o matkę i...

Ednella nachyliła się jeszcze bardziej. W Vassar chodziła na zajęcia z aktorstwa, a w Albany skończyła rok prawa; w jej zachowaniu często było trochę gry i przyczajenia.

– I nic więcej? – przerwała. – Tylko rozmawiacie?

– No... raz czy dwa poszliśmy na kawę do barku – przyznała Audrey, robiąc przeproszącą minę kilkuletniej dziewczynki. – Poza tym kiedyś zawiózł mnie do Picketown (Picketown, zwane tak od biegnącej tam drogi, było największym centrum handlowym w okolicy). Raz, po mojej pracy. Ale...

– Czy ktoś powiedział o tym Harveyowi?

– Chyba tak! Cholera. To właśnie całe Yewville. Przekłeta dziura. – Audrey przerwała i wytarła oczy chusteczką. Jej ładna buzia lśniła od łez, jakby miała się zaraz rozpuścić. – Najgorsze jest to, że ja się go boję. Harveya. Kocham go i nie mogę bez niego żyć, i to się nie zmieni, choćby moi rodzice nie wiem co mówili, ale...

– Harv nie mówił tego serio, po prostu jest porywczy – stwierdziła Ednella, kiwając głową. – Może z nim pogadam. Wyjaśnię sytuację.

– Już sama nie wiem! On cię szanuje, to fakt, ale gdyby się domyślił, że rozmawiałam o nim za jego plecami, to... nie wiem, chyba wzięłby to za zdradę. Teraz w kółko powtarza to słowo: „zdrada”.

Ednella jakby nie słyszała, ciągnęła cichym, przejętym głosem:

– Ktoś mu musi to po prostu wyjaśnić. Ktoś, komu on ufa. – Przeczesała palcami włosy, tak że stały teraz jak naelektryzowane, jakby naładowane ładunkiem jej myśli. – Harvey nie jest powierzchowny jak większość ludzi, jest głęboki. Pełen pasji i *głęboki*.

Właśnie w tej chwili, gdy Beverly postanowiła, że nie będzie im przeszkadzać i chciała wycofać się po cichu do kuchni, Audrey McDermitt ją zauważyła. Natychmiast grzecznie się przywitała:

– O, dzień dobry pani!

Jak to ona – miła, dobra, nieskomplikowana dziewczyna z Yewville; uśmiechała się chyba szczerze, choć w oczach błyszczały jej łzy. Beverly, która była wobec niej tak krytyczna, poczuła teraz przypływ czułości – Boże, jednak *jest* ładna i tak jej do twarzy w fartuchu pielęgniarki. Ednella odwróciła się do Beverly, ale nie uśmiechnęła się od razu – patrzyła nieruchomym wzrokiem

na swoją macochę, przystojną, łagodną, wrażliwą pięćdziesięcioletnią kobietę, z którą mieszkała pod jednym dachem, tak jakby przez długą bolesną chwilę jej nie poznała.

Wreszcie odezwała się chłodno, z wymuszonym ożywieniem:

– Witaj, Beverly! Wejź! Znasz Audrey, prawda?

Beverly, zarumieniona, nie miała więc wyboru, musiała wejść do pokoju i dołączyć do dziewcząt. Uśmiechała się, a w jej uśmiechu były ciepło, wdzięk, nadzieja. (Jeśli dotknęło ją to powitanie, zgrzyt imienia „Beverly” tam, gdzie innym razem Ednella mogłaby zwrócić się do niej „Mamo”, nie dała nic po sobie poznać). Zapaliła drugą lampę.

– Siedzicie prawie po ciemku, dziewczęta!

Kierując pytanie przede wszystkim do Audrey, zapytała, czy mają ochotę na filiżankę kawy? herbaty? na coś słodkiego? To naprawdę żaden kłopot, tylko chwila i będzie gotowe.

W głosie Beverly było coś tak proszącego, w jej oczach skrytych za nowymi szklami w oprawie z macicy perłowej tyle nadziei, że Audrey McDermitt zawahała się przez moment, nim przeprosiła:

– Dziękuję pani, ale muszę już iść. Właściwie – spojrzała na zegarek na przegubie drobnym jak u dziecka – jestem już spóźniona.

Poderwała się z energią cheerleaderki i już jej nie było.

Po jej wyjściu Beverly zapytała Ednellę, co się stało, bo przecież było to w tych okolicznościach jak najbardziej naturalne pytanie; niemniej bała się tego, jak pasierbica jej odpowie. Ale Ednella zaskoczyła ją, mówiąc powoli:

– Na pierwszy rzut oka widać, dlaczego została pielęgniarką, prawda? I dlaczego w szkole średniej była cheerleaderką. Ta rozpierająca ją energia. Ten optymizm. – Ednella potrząsnęła głową, jakby łagodnie te cechy potępiała, a mimo to przepelniał ją podziw. – Nawet kiedy jej życie jest w niebezpieczeństwie, Audrey jest taka jak zawsze.

– Jej życie jest w niebezpieczeństwie? – powtórzyła zdumiona Beverly. – Co to znaczy, Ednello?

Ednella wstała, wzruszyła ramionami i weszła na schody.

– Nie mogę ci powiedzieć, Beverly. Nie mogę zawieść zaufania Audrey. Zresztą pewnie przesadzam: znasz mnie.

– Ale Ednello...

Beverly patrzyła za pasierbicą, która przeskakiwała po dwa stopnie naraz zwinnym, sprężystym krokiem dzikiego zwierzęcia. Odwracając głowę, zawołała niemal wesoło:

– Znasz mnie przecież.

W istocie Beverly jej nie znała.

Wiedziała, że podziwia swoją pasierbicę i żywi do niej silne, choć młode uczucie, z którym naiwnie łączyła się nadzieja na uzyskanie wreszcie akceptacji Yewville – ale tak naprawdę nie powiedziała, że *zna* Ednellę Crystal. Gdy dziewięć lat wcześniej przybyła do domu przy Church Street w Yewville jako nowa żona Wally’ego Crystala (jego druga żona; pierwsza, matka Ednelli, zmarła, gdy dziewczynka miała cztery lata), Beverly powiedziała Wally’emu: „Twoja córka jest nieprzeciętną osobą – widzę to po jej oczach!”. Ale on, burkliwy, dobroduszny, lekko zażenowany, nie przyjął komplementu: „Ednella? Jest rozpuszczona, i tyle”.

Co było prawdą, pomyślała Beverly. Ale niecałą.

Beverly została przedstawiona pasierbicy zaledwie tydzień przed ślubem. Dziewczyna miała wtedy szesnaście lat, ale wyglądała na znacznie młodszą. Miała ładną jasną karnację z niewielkimi przebarwieniami i nierównościami; oczy przejrzyste, głębokie i ciemne, ale ich piękno niszczył wyraz lekkiego szyderstwa. Gdy Beverly ujęła jej dłoń, była chłodna, sucha, bezwładna; gdy pocałowała ją w policzek, też był chłodny, niewzruszony jak marmur. Ednella, w wyblakłych dżinsach i czarnym golfie, stała wyprostowana, równa wzrostem Beverly i przyglądała się beznamiętnie, jak jej przyszła macocha nerwowo szczebioce. Wreszcie przerwała jej, jakby z uprzejmości.

– Wiesz, naprawdę nie musisz.

– Czego nie muszę? – zapytała Beverly.

– Tak strasznie się *starać*.

Beverly patrzyła na nią bez słowa. Nikt jej dotąd tak nie zranił. Nigdy nie została tak dotknięta do żywego. Taka odkryta. Taka bezbronna. Miała czterdzieści cztery lata i oszczędności, które pozwalały jej na niezależność; nigdy nie była mężatką; wkrótce miała zostać żoną zamożnego miejscowego bankiera, którego jeszcze trzy miesiące wcześniej nie znała nawet z nazwiska. Jak miała odpowiedzieć jego córce? Jak miała się ustawić wobec tego niepokojąco milczącego dziecka, które patrzyło nie na nią, lecz jakby przez nią, jakby była przezroczyista?

– Nie... nie rozumiem, co chcesz powiedzieć, Ednello – wyjąkała. – Jak to *starać się*?

Wciąż niewzruszona, dziewczyna odpowiedziała z takim spokojem, jakby wyuczyła się tych słów na pamięć:

– Masz być żoną mojego ojca, Beverly. Nie moją matką. Moja matka od

dawna nie żyje i wszyscy się z tym pogodzili.

Ale ja cię Kocham, chciała zawołać błagalnie Beverly. *Chcę cię pokochać*.

To był najbardziej nieprawdopodobny, w pewnym sensie najbardziej tajemniczy punkt kulminacyjny jej życia jako kobiety – oto w średnim wieku niespodziewanie zabiegała o uczucia opryskliwej córki kobiety, której nigdy nawet nie widziała na oczy.

Jakie to było żenujące, jak niebotycznie cliwe! Niczym duża, nieporęczna paczka, którą Beverly musiała wszędzie ze sobą nosić, bojąc się, że jeśli choć na moment gdzieś ją postawi, to ją straci.

Była żoną Wally'ego Crystala zaledwie przez pięć lat, ale te pięć lat nieodwracalnie zmieniło jej życie. Teraz, wiele lat po jego śmierci, znana była w Yewville jako wdowa po Wallym Crystalu; podobnie jak za jego życia, kiedy był jednym z najznamienitszych obywateli miasteczka, była *drugą żoną* Wally'ego Crystala.

Nie przeszkadzało jej to. Była w Yewville bardzo szczęśliwa, choć samotna. Jej życie przed ślubem i przybyciem tutaj nie było szczęśliwe, nie było nawet jasno określone.

Mieszkańcy Yewville byli ciekawi *drugiej żony* Wally'ego Crystala, lecz tak naprawdę ich nie interesowała. Nawet tych kobiet, które Beverly chciała uważać za przyjaciółki. „Gdzie mieszka twoja rodzina?”, „Skąd pochodzisz?”, „Jak poznaliście się z Wallym?”. Pytania były wścibskie, nigdy nie sięgały głębiej. Beverly odpowiadała po prostu i szczerze, wiedząc, że jest to swego rodzaju rozprawa. (Ale o co?). Niemal każda udzielana przez nią odpowiedź dawała fałszywy obraz jej jako osoby, ponieważ małżeństwo z Wallym Crystalem nawet po części nie było zaplanowane; doprowadził do niego najczystszy przypadek.

Poznali się – choć brzmi to nieprawdopodobnie – na rejsie po Morzu Karaibskim. Był to pierwszy rejs, w jaki wybrał się Wally, i to niechętnie. (Zwierzył się Beverly, że rok wcześniej miał zawał serca, niezbyt poważny, ale jednak zawał, i „wystraszyło go to jak cholera”. Chciał zrobić w życiu coś romantycznego, ekstrawaganckiego, zanim będzie za późno). Beverly zaś znalazła się na statku w roli „animatorki” – również dla niej był to pierwszy rejs, a zdecydowała się na tę pracę, bo musiała znaleźć jakieś płatne zajęcie. (W tej kwestii Beverly nie podawała ścisłych faktów. Zdobyła wykształcenie nauczycielki języka francuskiego, ale tak się złożyło, że przez wiele upokarzających, męczących lat nie znalazła odpowiedniego dla siebie miejsca; a na-

wet jeśli udawało jej się znaleźć odpowiednią posadę, okazywała się ona tylko tymczasowa. Kiedy jakaś szkoła gotowa była przyjąć nauczycielkę z jej kwalifikacjami, ona nie chciała być zatrudniona; tam z kolei, gdzie była chętna podjąć pracę, nagle okazywało się, że albo brakuje pieniędzy w budżecie, albo nie ma zapotrzebowania na nauczycielkę francuskiego. Jak jednak miała to wytłumaczyć, nie wychodząc na osobę, która się nad sobą użala? na nieudacznika?). Na luksusowo, komfortowo wyposażonym statku podczas oślepiająco słonecznych dni i ożywczych nocy rozbrzmiewających dźwiękami kalipso, ciesząc się przywilejami wynikającymi z różnicy wieku między nią a pozostałymi pasażerami (czterdziestoczteroletnia Beverly była zdecydowanie najmłodszą uczestniczką rejsu), czuła się i sprawiała wrażenie osoby radosnej i towarzyskiej, jaką nie była na co dzień; ale przecież pełniła na statku funkcję „animatorki”. Z modną fryzurą z ufarbowanymi na blond pazurkami, w nowych okularach w eleganckich oprawkach i z kaskadowym śmiechem wyrażającym czystą, nieskomplikowaną radość życia Beverly w ciągu kilku godzin podbiła serce samotnego, stęsknionego za domem, melancholijnego, cierpiącego na lekką niestrawność Wally’ego Crystala, który – jak zwierzył się jej później – dopóki jej nie zobaczył, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo chce ponownie się ożenić.

Miło było usłyszeć coś takiego, prawda? No oczywiście, że tak.

Wally Crystal był mężczyzną wyraźnie zamożnym, choć niezbyt wykształconym, po pięćdziesiątce; prawie łysy, masywny, lecz nie otyły; o ogorzałej, pomarszczonej twarzy, atrakcyjnej, choć brzydkiej, lekko żabiej, o szerokich ustach, lecz przenikliwym spojrzeniu – inteligentnej. (Tę inteligencję, charakterystyczny błysk ironii w oku, rozpoznała później u Ednelli. Poza tym dziewczyna mało miała z Wally’ego). Miał szorstko-nieśmiałe maniere człowieka, który przywykł do dyrygowania podwładnymi, lecz w towarzystwie kobiet czuje się nieswojo. Najczęściej używanym przez niego powiedzonkiem było nerwowe: „No, no!”, a do tego szeroki, wymuszony, bezbronny uśmiech.

Beverly wiedziała, gdy tylko go zobaczyła: *wdowiec*.

Była atrakcyjną kobietą, której młodość szybko przeminęła, jak krajobraz widziany z okien pędzącego samochodu. Co się z nią stało – wołała nie myśleć. Owszem, była w kilku związkach („związek” brzmi lepiej niż „romans”), ale nie wyszła za mąż; nie miała dzieci. Teraz na dziecko było za późno, ale nie za późno na zamążpójście, i lekko pijana, Beverly przyjęła oświadczenia Wally’ego Crystala nie ze zdumieniem i z wdzięcznością, które mogłyby go zaniepokoić, lecz ze swoim nowym, wznoszącym się kaskadami

śmiechem, przypominającym dźwięk rozkruszonego lodu wrzucanego do szklanki. Wróżył on dobre pożycie małżeńskie, nieskomplikowane szczęście. Wróżył przyszłość.

Fakt, Beverly nie była zakochana w Wallym Crystalu. Kiedy go poznała, nie był – może zresztą nigdy nie był? – mężczyzną, w którym można się zakochać. Z upływem czasu jednak przywiązała się do niego, nawet bardzo. Wreszcie go pokochała. A potem, po drugim zawale, w szóstym roku ich wspólnego życia, Wally zmarł.

I tak *druga żona* Wally'ego Crystala stała się *wdową* po Wallym Crystalu.

Ednella mieszkała wtedy w Nowym Jorku. Przerwała studia prawnicze i pracowała jako asystentka scenografa w małym teatrze w SoHo. Miała dwadzieścia dwa lata i od czasu ponownego ożenku ojca unikała Yewville, wpadając tylko z krótkimi wizytami na święta i wakacje. (Wówczas odnosiła się do nowej żony ojca z niezmienną uprzejmością, choć raczej chłodno. Podzielone na trzy jednakowo akcentowane sylaby imię „Be-ver-ly” brzmiało w jej ustach jak zabawne słowo w obcym języku). Gdy Beverly zadzwoniła do Ednelli z wiadomością o śmierci ojca, pasierbica zareagowała krzykiem i rzuciła słuchawką. Później, gdy Beverly udało się z nią porozmawiać, Ednella nie płakała, ale bredziła, mówiła od rzeczy; tak się złożyło, że sama w tym czasie chorowała, była poważnie chora od wielu dni; jak się okazało, na mononukleozę. Beverly zostawiła przygotowania do pogrzebu i poleciała do Nowego Jorku, by sprowadzić Ednellę do domu. Omal nie zemdląła na widok swojej pięknej pasierbicy, wychudłej jak śmierć, w której wycieńczonej twarzy widać było tylko ogromne, przerażone oczy. (Ogarnięta paniką Beverly pomyślała najpierw, że dziewczyna ma AIDS). W samolocie Ednella przytuliła się słabo do Beverly i powiedziała do niej „Mamo”.

Szok i przyjemność wywołane tym słowem przeszły Beverly jak prąd.

Później kłóciły się, owszem, i to nawet dość często; a raczej Ednella kłóciła się z Beverly. Ale to nic nie znaczyło. To było naturalne. Beverly pocieszała się: *mogę poczekać*.

Następnego dnia po wizycie Audrey McDermitt Beverly kilka razy zauważyła, że Ednella rozmawia przez telefon; nie podsłuchiwała z drugiego aparatu, rzecz jasna. (Szanowała prywatność Ednelli, nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Poza tym Ednella była tak bystra, że zaraz by ją nakryła). Wczesnym popołudniem, podnosząc słuchawkę, by wykonać telefon, Beverly usłyszała męski głos, kilka oderwanych, wybełkotanych sarkastycznych słów: „...mam

uwierzyć w te pierdoły? Ja...”. Natychmiast odłożyła słuchawkę, jak oparżona.

O ile wiedziała, jej pasierbica nie spotykała się obecnie z żadnym mężczyzną czy mężczyznami. W Yewville nie było nikogo, kogo można by określić jako jej byłego chłopaka. Ednella stwierdziła, że dawno przerosła swoich tutejszych rówieśników; a w Nowym Jorku „przedawkowała”. Jej blade, ironiczny, dość melancholijny uśmiech dawał do zrozumienia, że sytuacja nie jest idealna, ale Beverly nie wyczuła przyzwolenia na zadawanie pytań.

W szkole średniej Ednella nie miała sympatii, bardzo blisko przyjaźniła się za to z dwoma czy trzema chłopakami. Ku zdziwieniu Beverly nie byli to chłopcy, jakich wyobrażałaby sobie jako kolegów Ednelli Crystal, podobnie jak ona chodzących na kursy przygotowawcze na uczelnię – były to typy gburowate, nieokrzesane, prototypowe wyrzutki społeczeństwa, życiowe zera. Chłopcy agresywni, męscy. Pochodzący z zupełnie innych środowisk niż ona. Jeden z nich, nagle przypomniała sobie Beverly, nazywał się Harvey Mercer – to o nim mówiła Audrey McDermitt. Wysoki, barczysty, rozczochrany blondyn, z baczkami à la Presley i dwudniowym zarostem, przystojny w ten młodzieńczy, buntowniczy sposób, który szybko przeradza się we własną karykaturę. Ednella spędziła kiedyś kilka tygodni, może nawet miesięcy, po szkole i w weekendy pomagając Harveyowi doprowadzać do stanu używalności stary samochód; podekscytowana opowiadała o dwóch autach „do kasacji” i jednym „do zmontowania”, „silnikach V8”, „odpalaniu bez kluczyków”, „rozbieraniu na części”, „szlifowaniu” i „lakierowaniu pokostem” i o tym, jaki ten samochód będzie „fantastyczny na podryw”, kiedy wreszcie będzie gotowy. Wally’ego denerwowało to, że Ednella poświęca czas i energię na tego rodzaju zajęcia, ale uznał, że nie ma w tym nic złego, o ile garaż ma dobrą wentylację (Ednella zapewniła go, że ma; dobrze wiedziała, że nie wolno wdychać oparów rozpuszczalnika); Beverly martwiła się o Ednellę, tak naiwną mimo dojrzałości i inteligencji; bała się, że któregoś dnia Harvey Mercer i jego koleżkowie dopuszczą się na niej zbiorowego gwałtu. Ale wiedziała, że to zły pomysł, powiedzieć otwarcie siedemnastoletniej dziewczynie, że martwi się o nią lub, co gorsza, o jej przyszłość. O Harveyu Mercerze Ednella mówiła z wyzywającym, tajemniczym uśmiechem: „Świetnie się dogadujemy. On nie daje sobie wciskać kitu”.

W końcu nic z tych przyjaźni nie wynikło. Przynajmniej o ile Beverly wiedziała. Nadszedł pewnie taki dzień, taka godzina, kiedy Ednella Crystal zrozumiała, że – tak naprawdę, na dłuższą metę – nie chcą jej w swoim gronie; kiedy samochód odbył jazdę próbną i wykazał się idealną sprawnością, służył do

robienia wrażenia na innych dziewczynach, do uwodzenia, namiętności, seksu. Barczyści chłopcy z baczkami chodzili z dziewczynami zupełnie innymi niż Ednella Crystal; w najlepszym razie z takimi jak Audrey McDermitt.

O godzinie szóstej wieczorem 7 listopada, gdy zapadł już zmrok, mżył lekki deszcz i pachniało zimą, Beverly usłyszała, jak przed dom zajeżdża samochód, i zobaczyła, że Ednella wybiega na dwór z gołą głową i wsiada do środka. Auto miało włączone światła i wycieraczki. Czy nie był to mały volkswagen Audrey McDermitt? Zdumiona Beverly przez kilka minut wyglądała przez okno w przedpokoju, aż wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, podbiegła do samochodu, zapukała w szybę, uśmiechnęła się i powiedziała tonem trochę karcącym i pełnym nadziei:

– Dziewczęta! Wejdźcie do domu. Jest tak paskudnie.

Młode kobiety patrzyły na nią nieruchomym wzrokiem, jakby była zjawą. Ednella miała zacięty wyraz twarzy, a Audrey wyglądała tak, jakby długo płakała. W rękę trzymała zapalonego papierosa. Wnętrze małego samochodu było siwe od dymu.

Ednella odkręciła szybę o kilka centymetrów, jakby z łaski.

– Beverly. – Głos jej drżał. – Audrey i ja chcemy spokojnie porozmawiać. *Proszę cię.*

– Rozumiem, przepraszam was, ale myślałam...

– *Proszę cię.*

Z płonącymi policzkami Beverly wróciła do domu.

Pomyślała: *Dlaczego mnie nie potrzebują? Przecież też jestem kobietą.*

Pomyślała: *Kto jak kto, ale pielęgniarki nie powinny palić.*

Wtedy po raz ostatni Beverly Crystal widziała Audrey McDermitt żywą.

Tego wieczoru, choć Beverly jak zwykle przygotowała kolację, Ednella powiedziała, że nie zje razem z nią. Była zbyt podniecona, zbyt rozkojarzona. Gdy o dwudziestej drugiej dwadzieścia zadzwonił telefon, pobiegła odebrać (Beverly, która siedziała w pokoju telewizyjnym na parterze, bez zainteresowania oglądając na kanale BBC powtórkę którejś z brytyjskich oper mydlanych o życiu ludzi zamożnych, usłyszała nad głową szybkie, ciężkie kroki pasierbicy); kilka minut później, ku zdumieniu Beverly, Ednella zbiegła tylnymi schodami i zapewne wypadłaby z domu bez słowa wyjaśnienia czy choćby rzuconego „wychodzę!”, gdyby Beverly do niej nie wyszła.

– Ednello, co się stało? Dokąd idziesz? – zapytała.

Pasierbica odwróciła się do niej z taką miną, jakby zapomniała, że nie

mieszka sama. Beverly zauważyła, że była zarumieniona i miała przyspieszony oddech; świeżo umyła i wyszczotkowała włosy, że aż lśniły, miała na sobie wąskie czarne wełniane spodnie i czerwony sweter. Wyglądała surowo, a mimo to jak atrakcyjnie!

– Idę z nim pogadać – rzuciła niedbale. – Z narzeczonym Audrey. Tym, który jest taki zazdrosny. Potrzebują mnie, sprawa jest pilna, wróć niedługo. Nie czekaj na mnie, dobrze, Beverly? Proszę.

Była już przy drzwiach, w ręku dzwoniły jej klucze. Beverly zawołała za nią:

– Ednello, kochanie, z kim? Z kim idziesz rozmawiać?

Ednella odkrzyknęła, odwracając głowę, zirytowana, ale też podekscytowana:

– Tylko na mnie nie czekaj. *Proszę.*

Beverly nie miała odwagi czekać na Ednellę; ale oczywiście nie potrafiła zasnąć. Gdzie też ta dziewczyna poszła, w jakim mogła znajdować się niebezpieczeństwie! Świecące blade jak zjawy cyfry na zegarze przy łóżku Beverly, wskazówki powoli obiegające tarczę zahipnotyzowały ją. Północ, pięć po pierwszej, druga czterdzieści... wreszcie światła samochodu przebiegły po suficie sypialni, samochód Ednelli wjechał na podjazd. Lęk doprowadził Beverly do takiego stanu, że kiedy wreszcie zanikł, omal się nie rozplakała.

– Ednella. Chwała Bogu.

Słyszała, jak dziewczyna wchodzi tylnym wejściem, po cichu. Słyszała kroki w kuchni. Ciche. Jakby ukradkowe.

Dopiero później przysłała jej do głowy myśl, że Ednella musiała nie zatrzasnąć drzwi w samochodzie. Żeby jej nie obudzić. Żeby jej nie denerwować.

Beverly wstała z łóżka, narzuciła szlafrok i bezgłośnie podeszła do schodów na tyłach domu. Widząc, że Ednella nie zapaliła światła na klatce schodowej, że świeciło się tylko na dole, gdzie uchylone były drzwi od kuchni, Beverly zrozumiała, że nie powinna jej przeszkadzać; nie powinna dać jej poznać, że nie śpi o tej porze i że najwyraźniej na nią czekała. Nie mogła się powstrzymać od zejścia po schodach, najciszej jak potrafiła. Serce biło jej tak mocno, że aż bolało. Później tłumaczyła sobie, że nie podglądała pasierbicy; chciała tylko się przekonać, zobaczyć na własne oczy, że Ednella jest cała i zdrowa.

Kochałam ją... kocham ją. Co w tym złego?

Gdy Beverly ostrożnie zbliżała się do ostatniego stopnia, zdumiała się, słysząc, jak Ednella mruży coś do siebie; usłyszała jej przyspieszony oddech,

otwieranie i zamykanie lodówki. Grzechot jakby kostek lodu? Nagle Ednella zaczęła rozmawiać przez telefon, przyciszonym, natarczywym głosem:

– Audrey? To ja. Tak. Tak, załatwione. Słuchaj! On... – Pauza.

Beverly słuchała zafascynowana. Podeszła trochę bliżej, usiłując dojrzeć coś przez uchylone drzwi. Gdzie jest Ednella? Telefon w kuchni był telefonem ściennym, a Ednella opierała się o zlew, napinając sznur niemal do poziomu.

– Dopiero teraz wróciłam. Otrzeźwiłam go... kazałam mu wypić czarną kawę... wybiłam mu z głowy... wiesz co. – Kolejna pauza. Głęboki wdech. Później, z większym ożywieniem, jakby usiłowała przemówić do rozumu upartemu dziecku. – Zadzwoń do niego, powiedz, że przyjeżdżasz. Czeka na ciebie. Wciąż powtarza, że „nie jest cię wart”. Chyba nigdy się nie dowiemy, jak poważnie o tym myślał, żeby „palnąć sobie w łeb”. Boże! Parę razy się rozplakał. Mówił, że tak cholernie mu wstyd! Nie wie, co w niego wstąpiło, że zrobił ci taką krzywdę, ale wie – tu nastąpiła kolejna pauza, szybki wdech, jakby Ednella tłumiła szloch czy też śmiech – wie, że cię *kocha*. Chce się z tobą ożenić. Jeśli...

Na poły zafascynowana, na poły przerażona Beverly podeszła bliżej do szpary w drzwiach i zobaczyła niezwykle widok: rozmawiając z takim przejęciem z Audrey McDermitt, unieruchomiwszy słuchawkę między ramieniem a podbródkiem, Ednella opierała się o zlew i wyginała w tył, głowę miała odrzuconą, a oczy zamknięte w jakiejś bolesnej euforii; podciągnęła czerwony sweter, obnażając piersi, małe, jędrne, lekko sinawe piersi z dziecięcymi sutkami, i pocierała je kilkoma kostkami lodu, powolnymi, leniwymi, okrężnymi ruchami. Lód topił się od dotyku jej rozgrzanej skóry i krople spływały lśniąco po brzuchu.

Beverly nie mogła oderwać od niej wzroku, wstrząśnięta i zdezorientowana.

Nagle przyszła jej do głowy myśl: *Czyżby Ednella kochała się z narzeczonym swojej koleżanki?* Ale wiedziała, że to nie było prawdopodobne. Nie, to nie było prawdopodobne.

Odsunęła się od kuchennych drzwi, żeby Ednella jej nie zauważyła. Szybko wróciła na górę, tak samo cicho, jak zeszła. Położyła się z powrotem do łóżka, wycieńczona, z zamętem w głowie, senna. Spojrzała na zegar: za kilka minut trzecia.

Jest bezpieczna! Jest w domu! Tylko to jest ważne.

Następnego dnia przed południem po Yewville rozeszła się nowina: Harvey Mercer zabił Audrey McDermitt, a następnie (tak twierdzili naoczni świadko-

wie) siebie, umyślnie rozbijając samochód o betonowy słup kilka mil na północ od Yewville.

Gdy lokalna telewizja i stacje radiowe nadawały biuletyny z doniesieniami o „tragedii” – określanej „podwójną tragedią” i „tragedią młodych kochanków” – mieszkańcy Yewville, którzy znali młodą parę, wydzwaniali do siebie, zatrzymywali się wzajemnie na ulicach, w sklepach. Biuro szeryfa wszczęło dochodzenie. Dopiero po śmierci Harveya Mercera o godzinie dziewiątej dwadzieścia rozpoczęto poszukiwania Audrey McDermitt, która nie zjawiała się w szpitalu na ranną zmianę, a zeszłej nocy nie wróciła do domu. Jak twierdziła jej rodzina, Audrey często pomieszkiwała z narzeczonym, Harveyem Mercerem, w domu wynajmowanym przez niego w południowej części Yewville i właśnie tam, w sypialni Mercera, która wyglądała jak po przejściu tornada, znaleziono jej mocno posiniaczone nagie ciało.

Raport koronera jako oficjalną przyczynę zgonu podał uduszenie. Młoda kobieta zmarła między godziną czwartą a piątą trzydzieści rano.

Audrey McDermitt, pielęgniarka, lat dwadzieścia cztery, absolwentka liceum w Yewville z 1985 roku.

Harvey Mercer, pracownik tartaku Valley Lumber, lat dwadzieścia siedem, nie ukończył liceum w Yewville.

Oboje od urodzenia mieszkali w Yewville. Oboje mieli liczną rodzinę.

Oboje pili przez pewien czas bezpośrednio przed śmiercią.

Zaręczyli się w kwietniu ubiegłego roku. Zaręczyny, mimo „nieporozumień”, nie zostały zerwane.

Audrey McDermitt miała na ręku pierścioneł zaręczynowy z jednokaratowym diamentem.

Policja weryfikowała doniesienia o tym, że Mercer, zazdrosny o rzekome znajomości narzeczonej z innymi mężczyznami, w przeszłości uciekał się do przemocy i przy świadkach groził, że ją zabije.

Każdy, kto mógłby pomóc w dochodzeniu, proszony jest o zgłoszenie się na policję.

Słyszając tę wiadomość po raz pierwszy z radia w kuchni, w południe, Beverly była zszokowana i pełna niedowierzania. Szepnęła: „O Boże. Nie. Ta ładna dziewczyna. Niemożliwe”. Nastawiła radio głośniej i słuchała. Była jak sparaliżowana, nie mogła myśleć. Później, drżąc, wyłączyła odbiornik. Pomyślała: *Ednella nie powinna o tym wiedzieć, nie teraz.*

Pomyślała: *Czy Ednella wie?*

Oczywiście nie wiedziała. Kiedy Beverly przekazała jej wiadomość, Ednella popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem; nawet, co było dziwne, uśmiechała się lekko, jakby podejrzewała żart.

– Co, Beverly? Co ty mówisz?

Beverly, której oczy napełniły się łzami, powtórzyła to, co już powiedziała, i dodała szczegóły, które podano w biuletynie. Ednella przerwała jej, spanikowana:

– Co? Co? Co? Chyba zwariowałaś!

W ciągu sekundy z twarzy odpłynęła jej krew. Jej blade wargi zrobiły się trupio sine.

Beverly zrobiła taki ruch, jakby chciała przytulić Ednellę, podprowadzić do krzesła (były w kuchni; Ednella dopiero zeszła na dół, opuchnięta na twarzy, zaspana), ale Ednella odepchnęła ją, jakby przerażona. Odwróciła się i wybiegła z kuchni. Pobiegła na górę, jej kroki dudniły ciężko na schodach. Jej płacz brzmiał jak płacz dziecka – były w nim ból i niedowierzanie.

Nie. Ednella nie wiedziała.

Po południu do domu Crystalów przy Church Street 8 przyszło dwóch śledczych z policji w Yewville, aby przesłuchać Ednellę Crystal w związku ze sprawą morderstwa i samobójstwa. Po rozmowie z Beverly Ednella zadzwoniła na policję i poinformowała, że zeszłej nocy widziała się z Harveyem Mercerem; możliwe, że była ostatnią osobą (nie licząc oczywiście Audrey McDermitt), która widziała go żywego.

Tak, widziała się również z zamordowaną młodą kobietą. Wcześniej tego samego wieczoru. Audrey za wszelką cenę chciała z nią porozmawiać, uprosić, żeby pomogła jej dogadać się z Harveyem; przyjechała do niej do domu i Ednella rozmawiała z nią w samochodzie. Przez mniej więcej godzinę.

Śledczy zapytali delikatnie, czy Ednella przyjaźniła się z obojgiem.

– Tak. Przyjaźniłam się – z obojgiem.

Mówiła cicho, słabym, bezbarwnym głosem. Twarz miała pokrytą czerwonymi plamami, oczy przekrwione. Ubrana była na czarno – w długą wełnianą spódnicę i jedwabną bluzkę z kołnierzem z misternej koronki. (Była to piękna bluzka, a Beverly nigdy wcześniej jej nie widziała; może Ednella kupiła ją w sklepie z używaną odzieżą w Nowym Jorku?). Włosy, wciąż lśniące, zaczesane gładko do tyłu, podkreślając wystające kości policzkowe i kanciastą chudość twarzy. Odpowiadając na pytania śledczych, przenosiła bezradny wzrok z jednego na drugiego, potem na Beverly i z powrotem. (Beverly nalegała oczywiście, by była obecna przy przesłuchaniu. Nagle zapragnęła mocno

ścisnąć dłoń pasierbicy). Śledczy byli solidnie zbudowanymi mężczyznami w średnim wieku, starszy przypominał z wyglądu Wally'ego Crystala – łysy, o pokrytej zmarszczkami łagodnej twarzy, z nawykiem głośnego wzdychania. Zresztą obaj, jak się okazało, znali Wally'ego Crystala lub przynajmniej o nim słyszeli. Mówili o nim z szacunkiem „pan Crystal”.

Ednella opowiadała śledczym, starannie dobierając słowa, jak Audrey poprosiła ją – właściwie i Audrey, i Harvey, ale Audrey pierwsza – żeby pomogła im przebrnąć przez trudny okres. Harveya znała z liceum, był dla niej tylko kolegą – „dobrze się dogadywaliśmy, rozumieliśmy się” – ale od powrotu do Yewville bliżej przyjaźniła się z Audrey. Przyjaźnie dziwnie się rozwijają. Nieprzewidywalnie.

Śledczy zapytali, czy Ednella udała się do domu Harveya Mercera na prośbę Audrey McDermitt.

Dziewczyna kiwnęła głową. W oczach lśniły jej łzy.

– Tak. Audrey była strasznie zdenerwowana, płakała, prawie histeryzowała. Nie mogłam jej odmówić.

Czy pośredniczyła między nimi dwojgiem w przeszłości?

– Nie! Nie, skądże – powiedziała szybko Ednella. – Nie czułam się zręcznie w takiej roli. Mam swoje życie. Zgodziłam się tylko dlatego, że Audrey mnie błagała, a zależało mi na tym, żeby była szczęśliwa. Ona i Harvey.

Audrey McDermitt była zdenerwowana? Bała się o swoje życie?

– Nie, wydaje mi się... wydaje mi się, że martwiła się, bo Harvey był bardzo zazdrosny i kiedy sobie wypił, wszystko wyolbrzymiał, mówił, że przestanie ją kochać i zerwie zaręczyny. A ona zawsze powtarzała: „Nie mogę bez niego żyć”.

Ale czy Audrey McDermitt nie bała się, że Mercer może jej wyrządzić krzywdę? Że może ją zabić? Jej rodzina twierdzi...

Ednella weszła śledczemu w słowo, kręcąc głową. Wyjaśniła, jakby to była najoczywistsza prawda:

– Audrey wiedziała przecież, że Harvey ją kocha, szaleje za nią. Spotykał się czasami z innymi dziewczynami, miał tu nawet jakąś mężatkę, ale był zakochany w Audrey i już. Nie mógłby zrobić jej krzywdy – to znaczy w normalnych okolicznościach.

Zeszłej nocy okoliczności nie były normalne? Dlaczego?

– Ja... nie wiem, naprawdę. Ja... – Ednella urwała i otarła oczy. Mówiła wolno, zacinając się. – *Nie wiem*. Ich związek zawsze był burzliwy. Harvey jest – był – taki... porywczy. W gorącej wodzie kąpany. I miał problem z pićciem, tak to chyba trzeba określić. A Audrey była taka ładna, taka szcziot-

ka. Nie zawsze wyczuwała, jakie na nim wywiera wrażenie, do jakiej zazdrości może go doprowadzić. – Po chwili dodała, niemal gorzko: – To znaczy wiedziała, ale nie wiedziała. Nie dawała po sobie poznać.

Czy Audrey McDermitt spotykała się z innymi mężczyznami? Czy pan Mercer miał powody do zazdrości?

– Nie! Właściwie nie. Powiedziałam mu to. Staralam się obrócić to w żart, powiedziałam: „Nie bądź głupi, Audrey cię *kocha*. Ci inni faceci nic nie znaczą. Takie dziewczyny jak ona mają znajomych na pęczki”. – Ednella zaśmiała się ostro. – Tak czy inaczej, wyglądało na to, że mi uwierzył – dodała, już spokojniej. – Zanim wyszłam...

A czy Ednella nie bała się spotkać z Mercerem? U niego w domu? Sam na sam? Kiedy sobie wypił? Skoro bił Audrey McDermitt i groził, że ją zabije?

Potrząsnęła głową, zirytowana.

– Oczywiście, że się nie bałam. *Ja* nie miałam czego się bać.

Dlaczego?

– Bo to był mój kolega! – odpowiedziała niecierpliwie. – Mój kumpel. Dobrze się dogadywaliśmy. – Pauza. Usta Ednelli wykrzywiły się. Rzuciła Beverly spojrzenie pełne pomieszania i żalu. – Boże. Nie mogę uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę! Ani jego, ani jej! *Nie mogę w to uwierzyć.*

Śledczy jednak naciskali: czy Ednella nie bała się Mercera zeszłej nocy, zaledwie kilka godzin przedtem, nim zamordował Audrey McDermitt i odebrał sobie życie?

– Powiedziałam już, że nie! Nie miałam czego się bać. Harvey *mnie* by nigdy nie zabił: mnie nie kochał. – Ednella uśmiechnęła się ironicznie. – Mężczyzna musi kochać, żeby zabić, prawda? – zapytała, jakby chciała sprowokować policjantów.

Ale oni tylko parsknęli krótko, jakby z przymusu.

Nie dawali za wygraną: czy kiedy Ednella wychodziła od Mercera, nie uważała u niego wzmożonej agresji? Czy się uspokoił?

– Tak! Bez dwóch zdań. Mogłabym przysiąc.

Czyli uważa, że jej interwencja pomogła?

Ednella przygryzła paznokiec kciuka. Oczy miała zamglone z wątpieniem, strachem.

– Właśnie to jest takie – potworne! Takie – niewiarygodne. Powiedziałam Harveyowi, żeby się przespał, wyglądał okropnie, był nadmiernie pobudzony, mówiłam, żeby poszedł spać i zobaczył się z Audrey na drugi dzień, zadzwonił do niej rano i się umówił. Teraz się zastanawiam, czy jeszcze ktoś z nim rozmawiał – może któryś z jego kolegów. Może ktoś go na nią napuścił. Wia-

domo, jacy potrafią być faceci. Kiedy wychodziłam, uściskał mi rękę i podziękował. Naprawdę. Miał łzy w oczach. Boże! Biedny Harvey! A ja byłam z siebie taka zadowolona! Boże!

Kiedy Ednella wyszła od Mercera?

W tym momencie dziewczyna szybko zamrugła. Siedziała wyprostowana w tej czarnej wełnianej spódnicy i czarnej jedwabnej bluzce z szykownym koronkowym kołnierzem. Lekkie półksiężycowate sińce pod oczami nadawały jej wygląd sponiewieranego godności. Spojrzała śledczym prosto w oczy i powiedziała:

– Policzmy: Harvey zadzwonił około wpół do jedenastej i pojechałam do niego zaraz potem; rozmawiałam z nim może godzinę; może trochę dłużej. – Przerwała. Oddychała szybko, niemal chciwie. – Wróciłam do domu koło północy, chyba. Położyłam się spać. Kazałam Harveyowi przysiąc, że rano zadzwoni do Audrey. *Ja* nie chciałam do niej dzwonić, nie chciałam jeszcze bardziej wikłać się w ich prywatne, intymne sprawy, więc wróciłam do domu i poszłam spać. Chyba było koło północy. Byłam taka zmęczona... – zawiesiła głos, dziecinny i zagubiony.

Nastąpiła chwila ciszy. Gdy śledczy już mieli zadawać kolejne pytania, nagle Beverly powiedziała szybko:

– Tak, było koło północy. – Siedziała trochę z boku, żeby nie przeszkadzać, ręce miała złożone na kolanach, głowa pulsowała jej z bólu, a teraz się odezwała, chcąc pomóc, jednak jakby przepraszała, że się wtrąca. – Spałam już, ale obudził mnie odgłos samochodu wjeżdżającego na podjazd. Chyba pięć minut po dwunastej.

Śledczy pokiwali głowami, uśmiechnęli się i uwierzyli jej, bo niby dlaczego nie mieliby uwierzyć?

Była drugą żoną Wally'ego Crystala, wdową po Wallym Crystalu – przystojną kobietą w średnim wieku, ubraną w dobrej jakości dżersejową suknię koloru głębokiego różu, czarne skórzane buty i okulary w oprawkach z masy perłowej. Była bardzo zadbana, może nieco przesadnie. Na srebrnoblond włosach miała trwałą ondulację; ledwie zauważalnie pomarszczona twarz była lekko przypudrowana, usta pomalowane koralową szminką. Uśmiechający się do niej śledczy widzieli ją właśnie taką. Ednella, wytrzeszczając oczy, wyglądała, jakby zobaczyła kogoś zupełnie innego.

Gdy policjanci zebrali się do wyjścia, Beverly odprowadziła ich do drzwi; Ednella została w salonie i gorzko płakała. Śledczy podziękowali Beverly i przeprosili za zakłócenie spokoju jej i Ednelli – było to rutynowe przesłuchanie,

stanowiące część dochodzenia, które prawdopodobnie zostanie zamknięte za dzień, najwyżej dwa. Sprawa była przecież niemal równocześnie otwarta i zamknięta – jak zwykle sprawy morderstwa połączonego z samobójstwem.

Beverly skrzywiła się i zmusiła do słabego uśmiechu.

– O tak! Doskonale rozumiem.

Tylko na mnie nie czekaj, Beverly. Proszę!

Tym razem Ednella rzeczywiście wybiegła z domu bez słowa. Beverly, słysząc tupot jej nóg na schodach, nie zawołała za nią, nawet nie wyjrzała przez okno, by zobaczyć, jak dziewczyna szybko, nie oglądając się na nic, wyjeżdża z podjazdu.

Chodziła po pustym domu. Nie czekała, nawet nie myślała o tym, że nie czeka. W drżącej ręce trzymała kieliszek cierpkiego czerwonego wina, choć może, skoro zażyła dwie ogromne tabletki od bólu głowy, nie było to rozsądne?

Zmrok zapadł szybko, przyszła noc. Listopad był wietrzny i wilgotny. Liście uderzały o szyby z dźwiękiem przypominającym chichot. Ta młoda dziewczyna nie żyła już od ponad dwunastu godzin.

„To się wydaje niemożliwe”.

Dokąd pojechała Ednella? Cóż, Beverly ani nie wiedziała, ani jej to nie obchodziło, to nie była jej sprawa. Wymknęła się wkrótce po wyjściu śledczych (może z wizytą do McDermittów? Żeby dzielić z nimi żal? Zaoferować współczucie? A może, co bardziej prawdopodobne, po prostu pojechała przed siebie?), ale to nie była sprawa Beverly Crystal. Nie łączyły ich ani więzy krwi, ani uczucia. To był fakt, niezaprzeczalny fakt, którego Beverly nie chciała dotąd przyjąć do wiadomości.

Życie składa się z wielu faktów, niezaprzeczalnych faktów, których nie chce się przyjąć do wiadomości.

Beverly Crystal, wdowa, krążyła po ciemku po obcym domu. Jakby się bała zapalić światło. Jakby się bała, co może zobaczyć.

Tylko na mnie nie czekaj. Proszę!

Głowa nie pękała jej tak od zawału Wally'ego Crystal. Znalazła go jęczącego w łazience na górze, zadzwoniła po karetkę, starając się, żeby w jej głosie nie było słyhać hysterii. Przyjechali w ciągu pięciu minut, zabrali go. Krótkie, dzielne, beznadziejne godziny na OIOM-ie szpitala ogólnego w Yewville.

Beverly, kim ty jesteś? Pytam tak po prostu, z ciekawości.

Kim jestem...?

Właśnie, poza tym, że wdową po moim ojcu?

Ależ... co to za pytanie!

To w wynajętej limuzynie, którą wracały z cmentarza na Church Street.

Zaskoczona Beverly mrugała szybko, patrząc na swoją zawziętą, okrutną, piękną pasierbicę, i nie wiedziała, czy zapytała w dobrej wierze, czy po prostu chciała ją zranić. Zmusiła się do uśmiechu, zaczerpnęła głęboko powietrza.

Czy muszę być kimś? Kimś szczególnym?

Głowa jej pulsowała, policzki miała rozpalone, obrzmiałe. Tak, niewątpliwie źle robi, że pije (czy to już trzecia lampka?) po zażyciu tak silnego lekarstwa – ale kto się o tym dowie?

„Nie ma świadków”.

Chciała położyć się spać, ale nie doszła do łóżka. Nie wiedząc jak, znów znalazła się w pokoju telewizyjnym i oglądała, po raz kolejny, materiał lokalnej telewizji o dwóch zgonach. Była jedenasta w nocy. Tak późno. Patrzyła w ekran, zahipnotyzowana. Pusty, skrzypiący dom i kobieta w koszuli nocnej i szlafroku, oglądająca – co? Zdjęcia zmarłych. Znajome twarze, które ogląda się w nadziei – na co? Że ożyją, zaprzeczą własnej śmierci? Były to przeważnie zdjęcia pokazywane już wcześniej, niemniej wywoływały wstrząsające wrażenie. Zamazane przez łzy. „O, cholera!” – upuściła kieliszek i wino się rozlało. Beverly tak kręciło się w głowie, że wołała się nie schylać, by go podnieść; po raz kolejny patrzyła na śliczną Audrey McDermitt w niebiesko-złotym stroju cheerleaderki, w poważnej czerni togi, w której odbierała świadectwo ukończenia szkoły, dumnie wyprostowaną w wykrochmalonym białym fartuchu pielęgniarki, z czepkiem upiętym na kręconych włosach koloru miodu. Uśmiecha się swoim olśniewającym uśmiechem do obiektywu, do publiczności, której nie widzi. Nie słyszy też poważnego głosu spikera mówiącego o szczegółach pogrzebu.

Pokazywano też zdjęcia „mordercy samobójcy” Harveya Mercera. Żadne z nich nie było tak oficjalne i upozowane jak zdjęcia ofiary; na żadnym nie występował w formalnym stroju. Na jednej fotografii silny młody mężczyzna z długimi brudnoblond włosami opiera się o maskę samochodu, który ma nieproporcjonalnie duże koła (czy to ten samochód Ednella pomagała mu zreperować? Rozbierać na części, czyścić, lakierować, polerować? Jakby na tym zaczynało się i kończyło jej młode życie?) i szczerzy zęby do obiektywu. Na innym zdjęciu, w większym zbliżeniu, Mercer uśmiecha się niemal nieśmiało, ręce ma założone na muskularnym torsie. Przystojny młody mężczyzna, ale

jest w nim jakaś nadmierna intensywność. Zmarszczone czoło, gęste brwi, blond szczecina na policzkach. *Mężczyzna musi kochać, żeby zabić – prawda?*

Jak się okazało, Beverly kojarzyła Harveya Mercera. Nie z nazwiska, ale z wyglądu. Widywała go czasami w Yewville, na ulicy, w sklepie; przypomniała sobie, że przez pewien czas pracował na jednej z miejscowych stacji benzynowych, gdzie tankowała. Oczywiście, on nie rozpoznawał w niej ma-cochy Ednelli Crystal. Prawdopodobnie nawet jej nie zauważał.

Na tle podekscytowanego brzęczenia telewizora rozległ się dźwięk cicho otwieranych i zamykanych drzwi. Kroki?

„Nie. Nigdy więcej”.

Beverly zamknęła oczy. Był to sposób na to, by po policzkach nie pociekły jej łzy. Nie była pijana, była po prostu bardzo smutna. Płakała, owszem, ale nikt tego nie zobaczy. Wyjęła skądś (z szafy w holu? ale była znacznie większa niż zwykle) ten ciężki, brudny, pikowany płaszcz firmy L.L. Bean, którego Ednella nie nosiła od lat, i szybko wyszła z domu, na pół biegnąc, na nieoświetlony zaułek, gdzie mieszkańcy Church Street lub ich służący wystawiali kubły na śmieci, które dwa razy w tygodniu zbierała śmieciarka; płatki śniegu topiły się na jej rozgrzanej skórze; myślała: *Gdzie ja jestem? Dlaczego jestem tutaj?*; dyszała, z przestachem patrzyła na otaczające ją cienie, była znów jedenastoletnią czy dwunastoletnią dziewczynką, która po zmroku wraca ze szkoły do domu i w zimowych ciemnościach, w lekko prószącym śniegu, zagląda w oświetlone okna obcych ludzi, widząc obrazki z nieznanego sobie, niedostępnego jej życia, ciepło oświetlone kuchnie, salony z niezasuniętymi jeszcze zasłonami (czasami akurat wtedy, gdy Beverly stała na chodniku i wpatrywała się w okno, ktoś do niego podchodził i spuszczał roletę – wykluczając ją, jakby od niechcienia!), nie płakała, ale patrzyła z pełną wyrzutu tęsknotą, tak, z zazdrością, tak, ze swego rodzaju gorzką miłością, bo jej dom nie był szczęśliwym domem – *Przestań! Przestań o tym myśleć!* – więc nie myślała o tym, bo była również dojrzałą, dorosłą kobietą, wpatrującą się ze zdumieniem w okno kuchni, w której młoda dziewczyna z obnażonymi piersiami przegina się ekstatycznie, ma zamknięte oczy i pociera czymś lśniącym rozgrzaną skórę, i Beverly wie, że powinna odwrócić wzrok, ale nie potrafi.

Coś ty mu naopowiadała? Pozwoliłaś, żeby ta dziewczyna umarła? Pozwoliłaś, żeby ta dziewczyna umarła?

– Beverly?

Głos był tak słaby i ochryply, że Beverly ledwo go rozpoznała.

Otworzyła oczy, zdezorientowana. Ból głowy ją oślepił. Przez chwilę nie

wiedziała, gdzie się znajduje. W drzwiach stała Ednella i przyglądała się jej. Włosy miała w nieładzie, twarz bladą, zmęczoną, brzydką, oczy zaczerwienione od płaczu. Stymulowany śmiech dobiegający z telewizora brzmiał ochryple i obłąkańczo.

Oto co się stało.

Gestem żalu i odrazy Beverly dała przygnębionej pasierbicy znak, że nie chce z nią rozmawiać ani nawet na nią patrzeć. Ednella, dotknięta do żywego, momentalnie się odwróciła i ciemnym korytarzem poszła z powrotem do kuchni. Beverly przez kilka minut nie ruszała się z kanapy, usiłując przeciężyć pulsujący ból głowy. Mruknęła na głos: „Nie. Nie pójdę. Nie muszę”. W domu panowała cisza. Czy Ednella znów wybiegła? Beverly zrozumiała, że nie ma wyjścia. Niepewnym krokiem pokonała część drogi do kuchni, gdzie przy stole siedziała Ednella i wyglądała tak, jakby dostała mocno w twarz. Ale na widok Beverly wstała, podeszła do niej i szepnęła:

– Ja – nie chciałam – nie wiedziałam – och, mamo!

Wybuchnęła płaczem. Drżała jak w konwulsjach. Beverly odruchowo objęła ją i zaczęła pocieszać, a dziewczyna tuliła się do niej mocno, mocno, prawie do bólu.

– Już dobrze, kochanie, wszystko będzie dobrze, kocham cię – powtarzała Beverly.

Bo choć prawie niczego nie wiedziała, to akurat wiedziała na pewno.

Małeństwo

Należała do tych osób, według których zwykły przypadek nie jest godny tego, by odmienić czyjeś życie. Ale oto co jej się przydarzyło.

Wracając z pracy w to zalane słońcem czerwcowe popołudnie, myślała o tym, jakie jej życie jest poukładane, na nowo szczęśliwe, spokojne, niedzielnione z nikim i nienarażone na cierpienie; gładkie jak asfalt wiejskiej drogi, którą jeździła tak często, że niemal nie zwracała już uwagi na okolicę – pagórkowate pola uprawne otoczone drzewami liściastymi, łąki rozświetlone o tej porze roku białą kwitnącą dziką różą, przydrożne rowy kipiące tatarakiem. Miała trzydzieści siedem lat i uważała, że zasłużyła sobie na to, by nie dzielić się z nikim swoim życiem, nie narażać się na cierpienie. Skręcając w węższą żwirowaną drogę, prowadzącą – dwie mile pod górę z zakrętami – do jej domu, zauważyła, że przy drodze coś się porusza, i natychmiast zahamowała. Coś się poruszało, coś żywego. Jako pierwsza przyszła jej do głowy paniczna myśl: *Dziecko? Porzucone?*

W wilgotnej trawie na poboczu drogi znalazła nowo narodzonego jelonka.

Podeszła bliżej, zdumiona. Nie mogła uwierzyć, że jest nie większy od dorosłego kota. Tak młodego jelonka jeszcze nie widziała. Teraz się nie poruszał, ale żył: z niezmaconym spokojem patrzył na Kathe dużymi, wilgotnymi, brązowymi oczami. Jego lekko zmierzwione futro było nakrapiane nieregularnymi białymi plamkami. Klęczał, głowę miał uniesioną do góry.

– Biedactwo – szepnęła Kathe. – Gdzie twoja mama?

Przykucnęła obok jelonka, nie bardzo wiedząc, co robić. Nie wyglądał na rannego, ale z całą pewnością był zbyt młody, by przeżyć rozłąkę z matką. Czyżby został porzucony? Czy jego matka została ranna, wystraszył ją pies, potrącił samochód? W tej części stanu New Jersey polowanie na jelenie było zakazane, ale w ciągu ostatnich lat ich populacja tak bardzo wzrosła, że zwierzęta często ginęły pod kołami samochodów na wiejskich i podmiejskich drogach.

Drżąc z emocji, Kathe nie odrywała wzroku od leżącego przy poboczu jelonka, on zaś nie odrywał wzroku od Kathe. Był taki maleńki! Taki bezbronny! Urodził się najwyżej przed kilkoma godzinami. Kathe nie dojrzała śladu innych jeleni, żadnego ruchu w wysokich trawach i dzikich różach, które podchodziły aż po granicę pobliskiego lasu. Powtarzała w myślach: *Muszę coś zrobić, muszę coś zrobić*, lecz rozpraszała ją bliskość miniaturowego stworzenia, jego wzruszające piękno i niesłychana kruchość; jej myśli rozpraszały się

jak stado ptaków wystraszonych odgłosem wystrzału. Dziwne, jaka była roztrzęsiona, tak jakby przez moment naprawdę myślała, że mogło to być dziecko porzucone na skraju drogi, które wskutek nieprzewidzianego zrządzenia losu trafiłoby do niej.

Nadjeżdżał kolejny samochód, szybko wchodził w zakręt. Na widok auta Kathe kierowca wcisnął hamulec, furgonetka zahamowała z piskiem i zatrzymała się. Zamaszyście otworzyły się drzwi i męski głos zawołał gniewnie:

– Co jest, do cholery? To ostry zakręt. Mało brakowało, a bym w panią wjechał.

Podszedł do niej nieznajomy mężczyzna w ubraniu roboczym, oddychając szybko. Potężnie zbudowany, miał tors jak pień sporego drzewa, obnażone przedramiona ogorzałe od słońca, a na szerokiej twarzy dominowała ciężka szczeka. W jego ciemnych okularach odbijały się promienie słoneczne. I w nim samym, i w jego ochlapanej błotem furgonetce marki Toyota było coś znajomego, ale Kathe go nie znała i aż skrzywiła się na dźwięk jego ostrych słów, w których brzmiała złość. Kiedy jednak mężczyzna podszedł bliżej i zobaczył jelonka na trawie, złagodniał.

– Co to, młody jeleni? Żyje? O Boże!

– Tak, żyje, nie jest ranny – powiedziała szybko Kathe. – Tylko *mały*.

Mężczyzna gwizdnął i też przykucnął.

– No tak, nie da się ukryć.

Kathe odczuła ulgę, że okazał zrozumienie. Gotów był nawet naradzić się z nią, co należy robić. Jelonka zdecydowanie nie można było zostawić samemu sobie – oznaczałoby to dla niego śmierć, jeśli nie z głodu, to pod kołami samochodu. Mężczyzna zaproponował, żeby zawieźć go do schroniska dla zwierząt w Schuylersville, oddalonym o jakieś siedem mil: „Tam będą wiedzieli, co z nim zrobić”. Kathe była zaskoczona i wdzięczna, że nieznajomy przejął się maleństwem tak jak ona sama.

Wyglądało na to, że pojedą do schroniska razem. Żadne z nich nie powiedziało tego głośno, ale Kathe już wyjmowała kluczyki ze stacyjki i zamykała swój samochód.

Kiedy wyciągnęła ręce, żeby podnieść jelonka, stworzenie zaczęło się trząść i żałośnie beczeć. Kathe nagle przeraziła się, że maleństwo umrze, kiedy go dotknie, że jego maleńkie serce przestanie bić.

Mężczyzna przykucnął koło niej, mówił spokojnym głosem i cmokał, żeby uspokoić jelonka. Po chwili ostrożnie wsunął mu pod brzuch dłonie – duże, z odciskami od fizycznej pracy – i delikatnie podniósł. Jelonek był taki mały, że mieścił mu się w złożonych dłoniach.

Był ojcem, pomyślała Kathe. Wie, jak obchodzić się z dziećmi.

Wsiadła ochoczo do furgonetki, której silnik wciąż pracował. Nie był to najnowszy model i karoseria po stronie pasażera była ochlapana błotem, ale poza tym samochód był w dobrym stanie. Kathe odsunęła leżącą na siedzeniu pasażera kurtkę i złączyła nogi, tak by mężczyzna, który wciąż głośno oddychał, jakby był astmatykiem, mógł ostrożnie położyć jej jelonka na kolanach. Nie myślała o niezwykłości tej przygody, o jej nagłym początku i nieoczekiwanych zwrotach akcji jak we śnie. Nie myślała o tym, że może grozić jej niebezpieczeństwo, bo ufnie wsiadła do samochodu z zupełnie obcym człowiekiem. Patrzyła tylko jak zahipnotyzowana na małe stworzenie, które zostało powierzone jej pieczy i którego drżenie wyraźnie czuła. Już siedziało spokojnie i patrzyło na nią przeciągle wilgotnymi oczami o delikatnych rzęsach. Było takie piękne! Te oczy, miniaturowy nos i pyszczek, sterczące drobne uszy, gładkie futerko koloru jasnego miodu, smukłe nogi, nie dłuższe niż sześć cali, i absolutnie doskonałe miniaturowe kopytka; ciepło zwierzęcego ciała i szybkie bicie serca. Kathe nigdy nie widziała, nigdy nie trzymała czegoś tak niezwykłego.

Nieznajomy usiadł za kierownicą. Zawrócił na wiejską drogę, która prowadziła na północny wschód, do Schuylersville. Minęła szósta, ale letnie niebo było zalane słońcem jak w południe. Przez otwarte okna furgonetki wpadał ciepły wiatr o zapachu dzikiej róży i chłodził rozgrzaną skórę Kathe. Czuła się jak w gorączce. Serce biło za mocno, zaschło jej w ustach. Mężczyzna, jakby chcąc rozładować napięcie, zagaił niezobowiązująco o rozwoju okolicy w ostatnim czasie; odkąd tu mieszka, od dwunastu lat, wyrosło kilkadziesiąt nowych domów, także w miejsce dawnych siedzib farmerów. Zresztą miał w tym swój udział – był stolarzem. Hodował też konie, dla przyjemności. Nazywał się...

Do Kathe docierało piąte przez dziesiąte. Cały czas wpatrywała się w jelonka. Nachylała się do przodu i delikatnie obejmowała stworzenie oburącz, przyciskając je do brzucha i ud; nawet gdyby toyota nagle wjechała w dziurę, jelonek był na jej kolanach bezpieczny.

– Wie pan, jestem dość zdenerwowana, sama nie wiem dlaczego – powiedziała. – Wolałabym nie rozmawiać, jeżeli panu to nie przeszkadza.

W milczeniu dojechali do schroniska dla zwierząt w Schuylersville.

Gdzie, gdy tylko młoda recepcjonistka zobaczyła, że wchodzi z jelonkiem, zostali odprawieni z kwitkiem.

– Jeleni nie przyjmujemy, niestety, takie jest zarządzenie władz stanu.

Kathe podeszła do recepcjonistki i nachyliła się nad kontuarem; jelonek, którego trzymała na rękach, mrużył oczy w reakcji na ostre światło jarzeniówek. Kathe najpierw prosiła, potem nalegała i groziła. Jelonek dopiero co się urodził, rozłączył się z matką, leżał tuż przy drodze, nie możemy pozwolić, żeby umarł, prawda? Mężczyzna mocno ją poparł, mówiąc, że przyjmowanie zagubionych i rannych zwierząt to obowiązek schroniska, czyż nie na to są przeznaczane pieniądze podatników? Zaczerwieniona na twarzy młoda recepcjonistka powtórzyła, że takie jest zarządzenie i nic nie może na to poradzić: liczebność populacji jeleni w stanie New Jersey jest pięciokrotnie wyższa niż w siedemnastym wieku, niech to sobie państwo wyobrażą. Zaniepokojona Kathe, w obawie, że mogą rzeczywiście nic nie wskórać, podniosła jelonka wyżej.

– Ale proszę spojrzeć, jaki on jest śliczny, jaki maleńki i bezbronny! Proszę popatrzeć na te oczy! Proszę popatrzeć, jak cały drży, jak nie chce umrzeć.

– Przecież wiadomo, wszystkie zwierzęta są słodkie, jak są małe – odburknęła młoda kobieta. – Nic tutaj nie poradzę, weterynarz jest na zapleczu, ale kiedy wróci, powie państwu to samo: takie jest zarządzenie władz stanu.

Zrozpaczona Kathe zapytała:

– To co ja mam z nim zrobić w takim razie? Mogę poić go mlekiem, krowim mlekiem? Będzie umiał pić przez smoczek?

Recepcjonistka starała się nie patrzeć na jelonka. Oblał ją jeszcze mocniejszy rumieniec, aż po szyję.

– Szczerze mówiąc, na państwa miejscu odniosłabym go tam, gdzie go państwo znaleźli. Jeśli matce nic się nie stało, wróci do dziecka.

– Ale my dotykaliśmy tego maleństwa, matka wyczuje ludzki zapach – zaprotestował mężczyzna.

– Nic nie szkodzi – odparła recepcjonistka. – Naprawdę. Jeżeli matce nic się nie stało, to na pewno pamięta, gdzie zostawiła młode, i do niego wróci, prawdopodobnie po zmroku.

– Ale on leżał tuż przy drodze, w niebezpiecznym miejscu – dodała Kathe.

Recepcjonistka odpowiedziała cierpliwie, jakby mówiła do wystraszonego dziecka albo histeryczki:

– To proszę zostawić go kawałek dalej, gdzie jest bezpieczniej. Matka i tak go znajdzie, jestem pewna.

Kathe drżała i tuliła jelonka do piersi. W obliczu zimnej logiki świata zalało ją nagle poczucie bezradności; czuła się słaba, samotna. To absurd, ale mało brakowało, by się rozplakała.

– Proszę powiedzieć, nie okłamuje nas pani, prawda? – spytała.

– Trzeba było tego jelonka w ogóle nie ruszać – odpowiedziała sucho recepcjonistka. – Mają państwo nauczkę na przyszłość.

Kathe wróciła więc razem z nieznanym – teraz już towarzyszem, dzielącym jej oburzenie – w miejsce, gdzie znalazła jelonka. Na widok swojego samochodu zaparkowanego na poboczu pod dziwnym kątem zdziwiła się, jakby nie spodziewała się go zobaczyć.

– Biedaczku – szepnęła, wysiadając z furgonetki z jelonkiem na rękach. – Mam nadzieję, że matka o tobie nie zapomni.

Stąpając ostrożnie, przeszła przez rów i położyła jelonka na kępie cykorii i trawy. Serce biło jej tak mocno, że prawie nie mogła złapać tchu. *Nie, nie mogę, nie mogę go tak zostawić...* Ale wróciła do mężczyzny, który wysiadł z samochodu i stał na poboczu, patrząc w jej stronę.

– Może zaczekamy chwilę? – zapytała. – Zobaczymy, co się będzie działo. Na wypadek gdyby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo? – Kathe starała się mówić normalnie, była przekonana, że mówi normalnie, choć głos jej drżał i oczy piekły od łez. – Gdyby były tu w okolicy psy albo...

Nowy znajomy powiedział szybko, zaskakując ją rozsądkiem:

– Jasne, możemy chwilę poczekać.

Kathe pomyślała: miał do czynienia z kobietami, dziewczętami albo dziećmi w takim stanie, w jakim ja jestem teraz. Rozumie, ale nie osądza.

Czekali w zaparkowanej nieopodal toyocie. Od czasu do czasu przejeżdżały koło nich samochody, ale jelonkowi, oddzielnemu od drogi rowem, nic nie groziło. Powoli, stopniowo zapadał zmierzch – pokrywał lasy, stoki pagórków, rów pełen tataraku i dzikich róż. Dochodziła ósma i niebo na zachodzie oblało się barwami bladego oranżu i błękitu. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Lyle Carter i tym razem Kathe to zapamiętała; sama też się przedstawiła, nazwiskiem Connor, panińskim, które brzmiało w jej uszach nowo i świeżo. Ale wciąż obserwowała jelonka i nie zwracała większej uwagi na to, co mówił do niej Lyle Carter, nie mogła się skupić, przyciskała pięści do ust i modliła się: *Niech jego matka przyjdzie! Proszę Cię, Boże! Spełnij tę prośbę, a już nigdy więcej o nic Cię nie poproszę.* Kilkakrotnie musiała się powstrzymać, żeby nie wysiąść z samochodu i nie sprawdzić, czy jelonkowi nic się nie stało – małej, prawie niewidocznej figurce, którą coraz bardziej skrywały gęstniejące cienie.

Była jak zahipnotyzowana. Zdawała sobie sprawę z obecności Lyle'a Cartera, słyszała jego niski, spokojny głos i miała świadomość, że nie do końca kontroluje swoje zachowanie, lecz mimo to nie mogła oderwać oczu od jelonka i wznoszącego się za nim w tle pagórka. Kawalek dalej zaczynał się las,

a pod nim o zmroku albo bardzo wczesnym rankiem zdarzało jej się widywać stado jeleni. Zmrużyła oczy i starała się dojrzeć je teraz, choćby jednego jedy- nego jelenia czy łanię; ale nic nie było widać.

– Może pojedziemy gdzieś usiąść i tam zaczekamy? – zaproponował Lyle Carter. – Wrócimy, kiedy będzie już ciemno. Pewnie do tego czasu matka po niego przyjdzie.

Kathe nie odpowiedziała od razu. Wiedziała jednak, że musi być rozsądna, dlatego odparła:

– Jeśli uważa pan, że nic mu się nie stanie. Jeśli nie zostawiamy go na pastwę losu...

– Jasne, że nic mu się nie stanie. Nie zostawiamy go na pastwę losu – za- pewnił Lyle Carter, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Furgonetką Lyle'a Cartera pojechali więc do tawerny Pod Podkową. Kathe przejeżdżała tamtędy mnóstwo razy, ale nigdy nie wstąpiła do środka, nawet nie przeszło jej to przez myśl. Barman i kilku siedzących przy barze mężczyzn przywitało Lyle'a Cartera, a on wesoło odpowiedział. Kathe zauważyła, że lekko utyka na lewą nogę. Zaprowadził ją do stolika przy oknie, skąd było widać powoli blaknące wieczorne niebo. Kathe poprosiła najpierw o wodę so- dową, ale później o piwo, bo to pił Lyle Carter. Była podminowana, ale uśmiechała się i słuchała tego, co mówił; stopniowo się odprężyła i ośmieliła się otwarcie mu przyjrzeć. Zdjął ciemne okulary i patrzył jej prosto w oczy. Nie było do końca wiadomo, czy się uśmiechał, czy marszczył brwi. Oczy miał głęboko osadzone, a spojrzenie inteligentne, uważne, ciekawe. Jego twarz pokrywały promieniste zmarszczki wieku średniego; Kathe szacowała, że ma czterdzieści parę lat, ale jak wielu mężczyzn o jasnej karnacji wygląda starzej, niż wskazywałyby na to wiek. Emanował dobrocią, serdecznością. Mówił, że wie, co to znaczy mocno przywiązać się do zwierzęcia – jedna z jego córek przez kilka tygodni opłakiwała śmierć ukochanego źrebaka. Ka- the nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Zastanawiała się, dlaczego o tym wspominał. Po chwili Lyle Carter zapytał, czy ma rodzinę. Domyśliła się, że w ten sposób pyta, czy jest zamężna. Odpowiedziała, że owszem, ma rodzinę, ale już nie jest mężatką i nie ma dzieci. A on? Lyle Carter wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa, jakby wysiłek poddania ocenie własnej sytu- acji wymagał tego, żeby najpierw się wzmocnić. Wreszcie stwierdził, że przy- zwyczał się już, że w tej fazie życia jest sam, i nie wie, czy to dobrze, czy niezbyt; ani czy w ogóle ma wybór. Zaśmiał się, jakby autentycznie go to roz- bawiło.

– Różnie się w życiu układa, raz tak, raz tak – powiedział.

Wydawało się, że ma zamiar coś dodać, ale nie dodał.

Zamówił jeszcze po piwie. Nagle zrobiło się ciemno.

– Może wrócimy i zobaczymy? – zapytała Kathe.

– Dajmy łani jeszcze pół godziny – odparł Lyle Carter. – Światła samochodu mogłyby ją odstraszyć.

Kathe spojrzała na jego twarz, która wydawała się jej znajoma – prawdopodobnie widywała Lyle'a Cartera i jego podniszczoną toyotę w okolicznych miejscowościach od wielu miesięcy czy nawet lat. Uśmiechnęła się do niego za ten przejaw troski i zdrowego rozsądku. Domyśliła się, że należy do tych mężczyzn, którzy szczycą się swoją zręcznością i siłą, uporem w kwestiach moralnych i zdrowym rozsądkiem.

– Aż dziwne, jak ważny może być taki mały jelonek, prawda? – zapytała.

III

Gorszy stolik

Mamrocząc pod nosem słowa przeprosin, szef sali naszej ulubionej restauracji Le Coq d'Or zaprowadził nas do gorszego stolika. Panowie z naszego grona zgłosili sprzeciw, ale nic nie dało się zrobić. Był sezon świąteczny, sobotni wieczór, wszystkie lepsze stoliki zostały zarezerwowane z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. My dokonaliśmy rezerwacji dosłownie w ostatniej chwili, czego więc się spodziewaliśmy? Chociaż byliśmy – jesteśmy – częstymi gośćmi w Le Coq d'Or i wydawało nam się, że cieszymy się u obsługi szczególnymi względami.

Gdy niechętnie zajmowaliśmy miejsca przy gorszym stoliku na werandzie połączonej z salą główną, z wychodzącymi na ulicę oknami, któreś z nas zauważyło, niby na żarty, a jednak serio, że może szef sali czekał, żeby dyskretnie wsunąć mu do ręki banknot dwudziestodolarowy. Czyżby rzeczywiście o to chodziło?

Siedząc przy gorszym stoliku, na połączonej z główną salą Le Coq d'Or werandzie z wychodzącymi na ulicę oknami, omawialiśmy tę możliwość przyciszonymi, rozemocjonowanymi głosami. Jesteśmy osobami o wysoko rozwiniętych zdolnościach werbalnych i z wieloma życiowymi problemami mierzymy się, czy wręcz je rozwiązujemy, za pomocą słów. Co bardziej cyniczni spośród nas uważali, że owszem, jest to możliwe; mimo że wcześniej jadalіśmy w tej restauracji mnóstwo razy, a szef sali nie próbował wyłudzać od nas pieniędzy. Co więksi optymiści uważali, że nie, że na pewno nie chodziło o to; po prostu bardzo późno zarezerwowaliśmy stolik, za ledwie z jednodniowym wyprzedzeniem, a sezon świąteczny jest w tym roku wyjątkowo udany, zresztą to przecież sobota. Dlaczego zatem nie mielibyśmy miło spędzić czasu? Tak jak zamierzaliśmy, planując to wyjście?

Nawet jeśli usadowienie przy gorszym stoliku w Le Coq d'Or było niejakiem rozczarowaniem i swego rodzaju nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Zająwszy zatem miejsca przy gorszym stoliku, na werandzie połączonej z główną salą Le Coq d'Or, z niepożądanym widokiem na ulicę, złożyliśmy u kelnera zamówienia na aperitify; uśmiechaliśmy się dzielnie i otworzyliśmy solidne menu (oprawne w skórę, z wytłaczanymi złotymi literami i złotymi frędzlami, w których nazwy potraw wypisane były elegancko po francusku i niżej przetłumaczone na angielski). Pogrążyliśmy się w lekturze znajomych kategorii: dań głównych, przystawek, deserów, win. Rozmawialiśmy o tym, co kto ma ochotę zamówić, wspominaliśmy poprzednie wizyty w Le Coq

d'Or, poprzednie wieczory spędzone w tym samym gronie, inspirujące intelektualnie i zarazem bogate pod względem emocjonalnym, spotkania mające *znaczenie*, do których przyjemnie było wracać pamięcią. Posiłek spożyty w towarzystwie serdecznych przyjaciół nie jest bowiem wyłącznie posiłkiem, lecz pokarmem – pokarmem dla duszy. Uroczysta kolacja z wyśmienicie dobranymi winami, w restauracji na takim poziomie jak Le Coq d'Or, w odpowiednim towarzystwie to zawsze prawdziwe święto. Prawda?

Prawda, potwierdzaliśmy dzielnie. Rozmowa toczyła się wartko. Nie zamierzaliśmy dać się okraść z przyjemności, którą zaplanowaliśmy na ten wieczór – która dla większości z nas stanowiła zasłużoną nagrodę za obowiązki minionego tygodnia – tylko dlatego, że przypadkiem trafił nam się gorszy stolik. Złożyliśmy zamówienia u kelnera, który z grzeczności kłaniał się w pas. Oddaliśmy solidne karty dań. Kiedy przybyły aperitify, wznieśliśmy kieliszki do ust z przyjemnością i ulgą. Udawało nam się prawie całkowicie nie zwracać uwagi na dwie rzeczy: na to, że stolik na werandzie okazał się jeszcze gorszy, niż spodziewał się największy pesymista wśród nas, i na to, że szczególnie cierpieli z tego powodu ci, którzy mieli nieszczęście siedzieć twarzą do okien werandy. Jednak nawet po wielu latach przyjaźni byliśmy wobec siebie nawzajem tak uprzejmi, a sytuacja była tak niezręczna, że nikt z nas nie wspomniał o tym na głos, nawet ci, którzy siedzieli twarzą do okien werandy i mieli widok na ulicę. *Nazwanie* problemu oznacza bowiem *nadanie mu zbyt wielkiego znaczenia*.

My, ludzie o wysoko rozwiniętych zdolnościach werbalnych, których życie to, można by powiedzieć, miasta pomysłowo wzniesione ze słów, rozumiemy to niebezpieczeństwo jak mało kto. O tak...

Wkrótce wywiązała się ożywiona dyskusja na temat doboru win, w której kilka osób z naszego grona, wyłącznie mężczyźni, uczestniczyło z wielką przyjemnością i znajomością rzeczy, inni zaś przysłuchiwali się z uwagą i pobłażaniem w różnych proporcjach. Które wina, z wielu oferowanych w imponującej karcie win Le Coq d'Or, należałoby dzisiaj zamówić? Zważywszy, że jedni zamówili owoce morza, inni ryby, mięso i drób. Nasze rozmowy o winach zawsze są długie i ożywione, drobiazgowo, nawet pedantyczne; niemniej pobrzmiewa w nich także nuta autoironii, gdyż koneserzy doskonale zdają sobie sprawę z absurdalności swego mitycznego niemal fanatyzmu, również w tych chwilach, w których z lubością mu folgują. Zresztą, jeżeli istnieje czysta, niezmacona ekstaza, której można fizycznie posmakować, jak płynnej komunii, to dlaczego ci, którzy mogą sobie na nią pozwolić, mieliby jej sobie odmawiać? I kto mógłby ich do tego zmusić?

Zatem jak zwykle z werwą rozmawialiśmy o winie. Trochę się sprzecza-
liśmy. Przy tematach budzących emocje *zawsze* dochodzi do sprzeczek. Ale
smakosze win nie zdominowali rozmowy bez reszty, mimo iż mówili dość
głośno. Pojawiały się tematy bardziej ogólne, zdarzały się kwestie wypowie-
dziane jakby w nawiasie, zwyczajowe serdeczne wypytywanie o zdrowie,
o ostatnie podróże, o rodzinę, o pracę, plotki o wspólnych znajomych i kole-
gach z branży. Jeżeli na zewnątrz, za oknem, na ulicy (która w istocie była
aleją, szeroką, wietrzną, zaśmieconą, oświetloną niezwykłymi latarniami,
które wydawały się pochłaniać, a nie rzucać światło) czy też na chodniku, od-
dalonym zaledwie o kilka jardów od tych z nas, którzy siedzieli do ulicy ple-
cami, rozgrywała się jakaś scena, *my nic o tym nie wiedzieliśmy: nic nie widzie-
liśmy*.

Wreszcie przyniesiono przystawki. I pierwsze wina. Nastąpiło pełne cere-
monii odkorkowanie i kosztowanie – wyśmienite!

Czerwony kawior i sałaty z rukolą. Krewetki tygrysie w delikatnej maryna-
cie. Paszтет z gęsich wątróbek à la maison. Ślimaki. Małże świętego Jakuba.
Bulion à la Barigoule. Połędwica wołowa w ostrym sosie majonezowym. Do
tego, oczywiście, chleb razowy z grubą, chrupiącą skórką, specjalność Le Coq
d'Or. Teraz mówiliśmy o polityce: zagranicznej, wewnętrznej, stanowej, lo-
kalnej. Rozmawialiśmy o religii – czy istnieją *wyraźne różnice* między
postępowaniem ludzi „wierzących” i „niewierzących”? Pytaliśmy przyjaciół,
co słyhać u ich dzieci, licząc na to, że odwzajemnią zainteresowanie.

(Jedna z kobiet z naszego grona, która przez to, że dostał nam się gorszy
stolik, siedziała twarzą do okna i co jakiś czas patrzyła przez nie szeroko
otwartymi oczami, jakby coś przykuwało uwagę wbrew jej woli, nagle
odłożyła widelec. Zamknęła oczy. Ze wszystkich stron opływała ją wartka
rozmowa, ale ona się nie odezwała i nikt nie odzywał się do niej. Po chwili
otworzyła oczy i umyślnie nie odrywając wzroku od talerza, wzięła widelec
do ręki i znów zaczęła jeść).

(Ugięła się kolejna osoba, tym razem mężczyzna. On też odłożył widelec,
podniósł dłoń do czoła. Znów rozmowa toczyła się nieprzerwanie. Patrzy-
liśmy sobie w oczy. Minęła może minuta i on też doszedł do siebie, z żelazną
determinacją podniósł do ust kieliszek i opróżnił go jednym haustem).

Boeuf Stroganow. Pompano à la Meuniere. Bouillabaisse. Grasicca cieleca à
la York. Chateaubriand. Medaliony z cielęciny, coq au vin, sola à la Lyonna-
ise i żółwie mięso z grilla z grzybami mun. I blanszowane młode jarzyny po-
lane oliwą. I kolejny szcudrze wypełniony koszyk chleba razowego z chru-
piącą skórką. I kolejna butelka wina, tym razem Bordeaux.

Któraś z nas otworzyła szeroko oczy i wykrzyknęła:

– Boże! Cóż oni robią...? – Patrzyła przez okno z niedowierzaniem i przerażeniem. – Nie, lepiej nie patrzcie – dorzuciła zaraz, rumieniąc się mocno.

Nikt z nas nie popatrzył, udaliśmy, że nic nie słyszeliśmy. Na wszelki wypadek.

(Oczywiście, że panom siedzącym tyłem do okna i do przykłej sceny przeszło przez myśl, żeby zaproponować paniom siedzącym twarzą do okna zamianę miejsc. Ale wahali się. I wreszcie, jakby na mocy wspólnej decyzji, nic nie powiedzieli. Gdyż *nazwanie* problemu, szczególnie problemu trudnego i demoralizującego, na który żadne z nas nie ma wpływu, oznacza *nadanie mu zbyt wielkiego znaczenia*).

Jak wielką popularnością cieszy się Le Coq d'Or! To nie tylko *restauracja*, lecz także wyjątkowe miejsce, niepowtarzalna atmosfera, podniosły stan ducha. W takim otoczeniu, wśród refleksów światła odbijających się w srebrach, drogich naczyniach i kryształowych żyrandolach, zwierzęca żarłoczność zostaje poskromiona do tego stopnia, że zdaje się niemal ascetyzmem.

Idealnie zharmonizowany posiłek w Le Coq d'Or – a pragnęliśmy, by nasz za wszelką cenę taki właśnie był, mimo że trafił nam się gorszy stolik – rzadko trwa krócej niż dwie godziny.

Umyślnie nie patrzyliśmy w kierunku okna, alei oraz idących nią ludzi, którzy nie mieli tyle szczęścia co my. Spoglądaliśmy raczej – z dużą dozą zawiści – na gości siedzących przy lepszych stolikach. Nie sposób było nie odczuwać zazdrości, goryczy, gniewu. Niemniej cały czas się uśmiechaliśmy. Kręcił się koło nas szef sali, przygarbiony pod ciężarem poczucia winy, i pytał, czy jesteśmy zadowoleni z jakości potraw, alkoholu i obsługi, a my zapewnialiśmy, z nienaganną uprzejmością i z pewną dozą chłodu, że jak zawsze wszystko jest znakomite. A jednak nachodziła nas myśl: *Dlaczego inni goście dostąpili zaszczytu siedzenia przy lepszych stolikach, a my nie, chociaż jesteśmy równie, jeśli nie bardziej godni tego zaszczytu?*

Odwieczne kwestie filozoficzne. Tajemnica dobra i zła. Boga i szatana. Jeszcze wina? Otwieramy ostatnią butelkę. Przez duże okna werandy przedostaje się co jakiś czas niepożądany, puszczany mimo uszu natarczywy dźwięk. Zawodzenia, wycie syren? Nie, zwyczajne drgania. Każdy dźwięk to drganie, pozbawione znaczenia. Kawa, likiery. Desery tak wyśmienite, że trzeba się nimi dzielić: sorbet à la Bruxelles, czekoladowe profiterolki, torcik bezowy, krem zabaione, truskawki *flambé*. I rozplływające się w ustach szwajcarskie czekoladki z nadzieniem miętowym. Ktoś z nas zauważył na głos, że stojące pośrodku stołu różowawe świece pomалу się dopalają, płomienie zaczęły

drgać. Jakże romantyczny jest blask świec. Okrągły stół, nakryty gładkim, białym, lnianym obrusem, krzesła obite materiałem w róże kołysały się w mroku. Wpatrywaliśmy się intensywnie w siebie nawzajem, przyjaciele, dobrzy przyjaciele; czuliśmy, jak bije od nas żar wzajemnej serdeczności i rozpaczliwego zaufania, jak hipnotyzuje nas wyraz naszych oczu i twarzy. Gdyż w tym kryje się *znaczenie*. Prawda?

Spodziewaliście się, że się ugnę. Że poddam się instynktownemu pędowi opowieści. Że *nienazwane* stanie się nagle – i nieodwracalnie – *nazwanym*. Zgodnie z konwencją opowieści mogłabym przejść do kolejnych wydarzeń B, C i D, a strach przed ujawnieniem oczekiwanej potworności narastałby w rytm pojawiania się na stole dań, z których składał się nasz wyrafinowany posiłek. W punkcie kulminacyjnym – po opróżnieniu ostatniej butelki wina, uregulowaniu rachunku, wstaniu od stołu – nastąpi moment olśnienia. *Po tym, co wydarzyło się dziś przy tym gorszym stoliku, już nigdy nie będziemy tacy sami*. Tego się spodziewaliście.

Ale nie tak to zaplanowałam, bo nie tak to się wydarzyło. Nie było żadnego *nazywania*, nie było zatem *opowieści*.

Zapłaciliśmy i wstaliśmy od stołu. Któraś z kobiet sięgnęła po torebkę i krzyknęła cicho, kiedy torebka wysunęła jej się z ręki, najpierw na krzesło, a potem na podłogę, i wysypała się część jej zawartości.

Przeszliśmy przez główną salę Le Coq d'Or, ani razu nie oglądając się za siebie, w stronę gorszego stolika.

(Niech szef sali, który z wymuszonym uśmiechem życzył nam wesołych świąt, martwi się, że więcej nie przyjdziemy do tej przeklętej restauracji. Niech się martwi, że nas obraził i że opowiemy o tym znajomym. To będzie nasza zemsta!).

Tak się szczęśliwie składa, że z Le Coq d'Or prowadzi bezpośrednio przejście na wielopoziomowy parking, gościom oszczędzona zostaje więc konieczność wychodzenia na wietrzną, zaśmieconą aleję i narażania się na niebezpieczeństwa chodzenia po okolicy. Gdy weszliśmy na poziom A, gdzie zostawiliśmy samochody, gdzie powietrze było chłodniejsze, nagle ogarnęło nas euforyczne poczucie wolności, niczym dzieci wypuszczone z zamkniętego mieszkania. Rozmawialiśmy głośno, śmialiśmy się. Serdecznie ściskaliśmy sobie ręce, życząc sobie nawzajem dobrej nocy, obejmowaliśmy się, dawaliśmy całusy. Dobrzy przyjaciele, serdeczni przyjaciele. Teraz, gdy wreszcie mieliśmy za sobą udrękę siedzenia przy gorszym stoliku, mogliśmy o niej zapo-

mnieć. Prawdę mówiąc, zapomnieliśmy o niej błyskawicznie. Zachowamy tylko nieporównanie ważniejsze wspomnienie kolejnego znakomitego wspólnego posiłku w Le Coq d'Or, kolejnego wieczoru w swoim gronie. Oczywiście, że będziemy tam wracać – po wielekroć.

Ponieważ Le Coq d'Or to po prostu najlepsza restauracja w okolicy. Można by powiedzieć, że nie mamy wyboru.

Czy śmiech jest zaraźliwy?

To jak to jest, czy śmiech naprawdę jest zaraźliwy? – jadąc North Pearl Street we Franklin Village, pani D. nagle usłyszała dochodzący zewsząd śmiech, kaskady śmiechu bijącego złotym blaskiem jak monety, o ton głośniejszego z tyłu samochodu, i niespodziewanie uśmiechnęła się do siebie, jakby coś siłą zmyło jej z twarzy wyraz melancholii, zamyślenia, mało brakowało, a sama wybuchnęłaby śmiechem, czy serce bowiem nie napełnia się samoistnie radością, gdy w uszach rozbrzmiewa śmiech? Nawet, a może w szczególności, śmiech obcych ludzi? Nawet śmiech niespodziewany, niewytłumaczalny, tajemniczy? Pani D. wiedziała jednak, że śmiech, który słyszy, wcale nie jest tajemniczy, a przynajmniej tajemnicą nie było to, skąd dobiega, ponieważ najwyraźniej, wysiadając ostatnio z samochodu, zapomniała wyłączyć radio i śmiech płynął z głośników, a na najwyższą głośność nastawione były te z tyłu mercedesa.

Z czego też oni się śmieją, ci niewidzialni ludzie w radiu?

Śmiech mężczyzn – i pobrzmiwający od czasu do czasu na jego tle pojedynczy, odosobniony wysoki śmiech kobiety? – miły dla ucha, wznoszący się kaskadami, jak gra sopłami lodu na cymbałkach?

Pani D. zawtórowała radiu śmiechem, choć była osobą poważną i na sercu leżało jej niejedno zmartwienie, z tego większość prywatna, sekretna, niewyjawiona nawet panu D. – lecz wyłączyła radio, wołała ciszę.

No, tak lepiej.

* * *

Christine Delahunt. Lat trzydzieści dziewięć. Żona i matka. Od niedawna na powrót czynna zawodowo. Kobieta o rozwiniętym poczuciu moralności, lecz nie pruderyjna, purytańska, dogmatyczna. Czyż nie tak pani D. określała przed sobą samą siebie? I czy, określając się w ten sposób, nie jest jedną z nas? – jedną z osób odczuwających niewytłumaczalny przymus określania siebie – przed samym sobą?

Jakbyśmy wątpili w to, że kogoś poza sobą obchodzimy?

Pani D. opowiedziała nam, niektórym ze swoich dobrych znajomych, jak to było. Zaczęło się bodajże w zeszły czwartek. Czy inni mieszkańcy Franklin Village zauważyli? – po południu, trochę przed szóstą? W porze załatwiania różnych spraw, powinności rodzinnych, odbioru rzeczy z pralni chemicznej,

ostatnich zakupów przed zamknięciem sklepów i drugstore'ów, kiedy dzień coraz prędzej biegł ku końcowi, a czwartek to przecież dzień-przed-piątkiem, w piątek zaś, jak wiadomo, tydzień przyspiesza tempo i wyczuwa się w nim panikę, podobnie jak bieg z pozoru spokojnej i spławnej rzeki zaczyna wyraźnie przyspieszać, gdy zbliża się katarakta? – choć na razie nie widać jeszcze oznak, że zbliża się niebezpieczeństwo? Nie ma powodu, by wszczynać alarm?

Wybuchy śmiechu. Wesołego, zaraźliwego. We Franklin Food Mart, naszym „lepszym” markecie, przy jednej z kas zajmujący się pakowaniem zakupów głuchoniemy mężczyzna z wypisanym na identyfikatorze imieniem FRITZ (ponadpięćdziesięcioletni, o ziemistej cerze; Franklin Food Mart to jedno z nielicznych w okolicy przedsiębiorstw uwzględniających w statucie zatrudnianie niepełnosprawnych) upuścił na podłogę torbę ze świeżymi owocami i warzywami. Kiście winogron, jaskrawe pomarańcze Florida, małe włochate kiwi, kilka główek bostońskiej sałaty, kilkanaście czerwonych ziemniaków z Idaho, kalifornijski melon – wszystko to wysypało się na podłogę i potoczyło w różnych kierunkach, i wyglądało to trochę strasznie, ale też komicznie, jak głuchoniemy pakowacz stał z półotwartymi ustami i wpatrywał się w podłogę, jakby замуrowało go z przerażenia, wystawionego co prawda na widok publiczny, lecz nam, świadkom tej sceny, wydającego się czymś ściśle prywatnym – a przez to jeszcze bardziej śmiesznym – i klient, który zapłacił niebotyczną cenę za rozsypane zakupy, roześmiał się, choć może nieco na siłę; widząc to, wybuchnęli śmiechem też inni klienci, a nawet kasjer; inni kasjerzy i obsługa marketu popatrzyli w ich stronę, usiłując dojrzeć, co to za zamieszanie; śmiali się z początku niepewnie, bo przecież po biednym Fritzu było widać, że jest przerażony – ale potem już swobodnie, zdrowo, z głębi trzewi, bynajmniej nie złośliwie, ale, owszem, *głośno*.

Pani D. stała przy sąsiedniej kasie i starannie wypisywała czek, spełniała swoją cotygodniową powinność, choć może właściwsze byłoby określenie ofiara, gdyż czek w tym tygodniu opiewał na – jak to możliwe? – 328,98 dolara za zwyczajne zakupy na tydzień? Dla czteroosobowej rodziny? Bez produktów na proszoną kolację? Bez piwa, wina, innych alkoholi? Nawet bez owoców morza? Kiedy z rezygnacją wypisywała czek, usłyszała wokół siebie ten dziwny śmiech, wznoszący się, wybuchający, wysoki jak śmiech dziecka, i obracając się, gotowa też się roześmiać, zobaczyła jego przyczynę – upuszczona została torba z zakupami, które rozsypały się i potoczyły po podłodze, a wyraz twarzy tego biednego człowieka rzeczywiście *był* zabawny, ale pani D. zdusiła śmiech, bo tak naprawdę to *nie było* zabawne, Boże drogi, nie

było to ani trochę zabawne, jak ten biedak cofnął się o krok i jak zahipnotyzowany patrzył na leżące na podłodze zakupy, a wszyscy się tak okrutnie śmiali, czy ludzie w ogóle myślą? Jak tak można? I to w takim miejscu – we Franklin Food Mart?

Czy państwo Delahuntowie są naszymi sąsiadami? Niezupełnie.

My tu we Franklin Village nie mamy „sąsiadów” w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Nasze domy stoją na działkach o powierzchni trzech, czterech akrów, więc są od siebie dość oddalone, a dzięki pomysłowym sposobom urządzania ogrodów (różne gatunki drzew i krzewów, wysokie na dwanaście stóp palisady z drzewa sekwoi, ogrodzenia z drutu pod napięciem, „żeby jele nie narobiły szkód”) można sprawić, by mieszkańcy jednego domu nie widzieli ani skrawka fasady sąsiedniego, bez problemu można całymi latami nie widywać ludzi, którzy mieszkają obok, chyba że, jak to się u nas często zdarza, urządzi się spotkania na gruncie towarzyskim – na neutralnym terytorium, by tak rzec. W części mieszkalnej Franklin Village nie ma również chodników. Ani ulic w dawnym tego słowa znaczeniu – mamy „podjazdy”, „pasaje”, „ronda” i „aleje”, lecz „ulic” nie mamy.

Czy państwo Delahuntowie są naszymi przyjaciółmi? Niezupełnie.

My tu we Franklin Village nie mamy „przyjaciół” w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Większość z nas mieszka tu od niedawna, a część już zamierza się wyprowadzić. Wiosna to najlepszy czas na przeprowadzkę. (Oczywiście są i mieszkańcy określaniani mianem „starych”. Którzy pamiętają na przykład, że w miejscu, gdzie dziś wznosi się centrum handlowe Franklin Hills, rozciągała się ogromna, otwarta, dzika przestrzeń nieużytków, że w budynkach przy Main Street od Pearl Street w górę były lokale mieszkalne, a trasa 26 była zwykłą wiejską drogą!). Większość z nas nie mówi zatem, że ma „przyjaciół” – ale jesteśmy dla siebie „dobrymi znajomymi” i jesteśmy towarzyscy. Bardzo!

Państwo Delahuntowie zostali naszymi „dobrymi znajomymi” kilka dni po tym, jak się wprowadzili. To bardzo szanowani ludzie, lubiani, atrakcyjni, aktywni, niemal natychmiast zaproponowano im członkostwo w Klubie Golfowym Franklin Hills i jeszcze bardziej prestiżowym Klubie Tenisowym Franklin Hills. Pan D. przeprowadził się tu wraz z rodziną trzy lata temu z Rye w stanie Connecticut, a może Grosse Pointe w stanie Michigan, gdy otrzymał posadę dyrektora sprzedaży w W.W.C. & M., a pani D. niedawno podjęła pracę w niepełnym wymiarze godzin w zespole do spraw public relations u naszego republikańskiego kongresmena Gordona Frayne’a – tego, którego

gazety często nawołują do „poprawy” wizerunku. Delahuntowie mieszkają przy Fairway Circle w domu w stylu normandzkim z sześcioma sypialniami. Ich czternastoletnia córka Tracey i jedenastoletni syn Jamey chodzą do szkoły we Franklin Hills. Pani D., jak wiele z nas, usiłuje brać udział w spotkaniach rodziców z nauczycielami, ale – kiedy, na Boga, można wykroić na to czas?

„Poprawa” wizerunku Gordona Frayne’a to niemałe wyzwanie, jak przyznaje pani D. ze śmiechem, choć nie beztrąsko. Ale Gordy Frayne – niektórzy mówią na niego nawet Gordo – wygrywa kolejne wybory. To równy gość, poczciwy, rumiany zabijaka, który często pojawia się w nagłówkach prasowych i w telewizyjnych wiadomościach w związku z kolejnymi wywołanymi przez siebie kontrowersjami; w ubiegłym roku w wywiadzie dla którejś sieci telewizyjnej rzucił ostrzegawczo, że „mniejszości etniczne” powinny wreszcie porządnie przyłożyć się do wioseł, „w przeciwnym razie święty Korab Państwa przechyli się i utonie” – co naturalnie wywołało protesty pewnych środowisk, ale spotkało się ze sporym poparciem innych. Pani D., jak inni współpracownicy i dobrzy znajomi Gordona Frayne’a, nauczyła się marszczyć lekko brwi, reagując uśmiechem na jego dowcipy, z leciutką dezaprobatą, jak większość mieszkanki Franklin Village; nieświadomie przyswoiła sobie ten odruch, tę minę, naśladując ją udatnie jak zawodowa aktorka – „Gordy! Jesteś niemożliwy!”. Na sobotnim przyjęciu (w sobotę zaraz po tamtym czwartku) Gordy dał zabawny popis swoich możliwości, na pewno byłby świetnym komikiem – bezlitośnie, lecz pomysłowo sparodiował Jessego Jacksona, opowiedział jeden z nowszych w swoim repertuarze kawałów o gejach, pedałach, „ofiarach” AIDS, po czym wdał się z kilkoma gośćmi w dyskusję na temat artykułu, który ukazał się w „Detroit News”, o starszych mieszkańcach miasta, którzy żyją z przydzielonych przez opiekę bonów żywnościowych, a ponieważ ceny rosną, zamiast mięsa kupują karmę dla psów; Gordy przybrał śmiertelnie poważną minę i podsumował: „Psiakość, a może oni *lubią* żarcie dla psów? To przecież wolny kraj!”. Na co większość towarzystwa się roześmiała, pani D. również, nie chcąc wyjść na osobę pruderyjną, śmiała się i kręciła głową, unikając wzroku innych i myśląc: dlaczego, dlaczego, dlaczego i do czego to doprowadzi?

W poniedziałek po lekcjach pięć uczennic szkoły Franklin Hills wybrało się na jogging do Park Ridge Road. Głowy trzymały wysoko, nogi i ręce pracowały im rytmicznie; miały na sobie szorty, luźne koszulki ze szkolnym nadrukiem i identyczne drogie adidas. Jak później twierdziły dziewczęta w zeznaniu złożonym po „napaści z wykorzystaniem pojazdu”, biegły gęsiego, trzymały

się lewej strony drogi, by widzieć nadjeżdżające z naprzeciwka samochody, uważały, by nie wbiegać na drogę, tylko trzymać się asfaltowanego pobocza. Jak zwykle jedna zostawała trochę w tyle – trzy biegły blisko jedna za drugą, kawałek za nimi czwarta, a około dwudziestu stóp za nią piąta, biedna Bonnie, Bonnie S., czternastolatka, uczennica drugiej klasy gimnazjum; Bonnie S. waży o kilka kilogramów za dużo, nie jest gruba, najbardziej pasuje do niej określenie pulchna, ale która dziewczyna chciałaby być pulchna? Która zniosłaby to, że jest pulchna? Czy jest w stanie Nowy Jork druga czternastolatka, która byłaby pulchna? Biedna Bonnie S., inne dziewczyny nawet ją lubią, trochę jakby jest im jej żal, jest miła, stara się, jak może, jest uczynna, ale to żalosne, jak Bonnie próbuje dotrzymać kroku szczupłym dziewczynom, dziewczynom, którym zazdrości, i rozgłasza po całej szkole, że nie ma problemu z jedzeniem, że w jej wypadku to kwestia „hormonalna”, „dziedziczna – nic się nie da z tym zrobić”, i może nawet to prawda, bo koleżanki z klasy nigdy nie widziały, by Bonnie jadła coś poza jabłkami, pokrojoną w słupki marchewką i cieniutkimi plasterkami melona, które pochłaniała w całości, miąższ wraz ze skórką – biedna Bonnie S.! (Ale czy naprawdę jej nadwaga to kwestia „hormonalna”? Może się objada – po kryjomu? – a potem próbuje wepchnąć sobie palec do gardła i z wymiotować? Ale jej się *nie udaje*? – w każdym razie na tyle, żeby było widać jakiś efekt?). Bonnie S. biegła jako ostatnia, zdyszana, ocieężała, jej okrągła twarz była zgrzana i lśniła od potu, wilgotne brązowe oczy ze zmęczenia przesłaniała mgła, a zza zakrętu wyjechał samochód pełen chłopaków, zza tego zakrętu tuż za Grouse Hill Lane, sześciu starszych uczniów siedziało w nowiutkiej białej acurze, dziewczyny słyszały dudnienie heavy metalu, zanim jeszcze zobaczyły samochód, słyszały wrzaski i śmiech chłopaków, gdy samochód się do nich zbliżał, wyraźnie widziały twarze chłopaków na przednich siedzeniach, ich zadowolone z siebie uśmiechy, błyszczące z podniecenia oczy, u kilku puszkę piwa w ręce, po czym krzyknęły i rozbiegły się, celem była Bonnie S., to biedna Bonnie wzbudziła szyderczy rechot chłopaków, wlokąc się dwadzieścia stóp za resztą, biedna spocona Bonnie S., na której twarzy na widok jadącego prosto na nią białego samochodu pojawił się wyraz niedowierzania, szoku i przerażenia, usłyszała rżący śmiech, rzuciła się rozpaczliwie w lewo, samochód minął ją może o cal, skręcił, wrócił na swój pas i z piskiem opon odjechał, a biedna Bonnie S. leżała nieprzytomna w płytkim betonowym rowie, jak wyrzucony niepotrzebny przedmiot, i tak obficie krwawiła z rany na czole, że pierwsza z koleżanek, która do niej dobiegła, omal nie zemdląca.

Tracey Delahunt opowiada potem o tym matce, powie o tym tylko matce,

wiedząc, że ona zrozumie albo – nawet jeśli nie zrozumie, bo przecież kto mógłby to zrozumieć? – wysłucha ze współczuciem i z chęcią zrozumienia: „To się stało tak szybko – Boże! – odwróciłyśmy się, a Bonnie tak jakby *sfruwała* z drogi, jak na kreskówce dla dzieci – i to było straszne – to było no... po prostu straszne, ale... – Tracey spuszcza załzawione oczy, świetliste zielone oczy o gęstych rzęsach, które choć bardzo podobne do jej oczu, zdaniem pani D. są znacznie piękniejsze – ...tak trochę, w pewnym sensie – o Boże – też *komiczne*”.

Mocno przyciska palce do ust, ale nie udaje jej się powstrzymać wybuchu histerycznego śmiechu.

Trzy dni później najgorszy incydent.

Nie żeby pani D. pozwalała sobie wracać do niego myślami. Na pewno nie obsesyjnie. Nie należy do tego rodzaju matek – obsesyjnych, neurotycznych. Bez przerwy zamartwiających się swoimi dziećmi, nieufnych, podejrzliwych.

Weszła do domu tylnym wejściem, jak zwykle. Miała skierować się do kuchni, gdy usłyszała dochodzący z piwnicy, z mieszczącego się w piwnicy pokoju rodzinnego, młodzieńczy śmiech i zwykle nie zwróciłaby na niego uwagi, bo Jamey z kolegami często po szkole przesiadywali w tym pokoju i oglądali filmy na wideo, z których część, owszem, była dość nieprzyzwoita, pani D. wiedziała o tym i owszem, usiłowała jakoś to ograniczyć, lecz jednocześnie starała się nie być, a nawet nie wyglądać na taką, która wprowadza zakazy i do wszystkiego się wtrąca, lecz tego dnia w śmiechu chłopców było coś napawającego lękiem, a poza tym czy oprócz ich śmiechu nie było słyhać jeszcze czegoś? – jakby coś *beczało*? – dziwny, wysoki dźwięk, którym pani D. się przejęła. Podeszła więc do drzwi pokoju rodzinnego (były zamknięte), przyłożyła do nich ucho, usłyszała śmiech, czy raczej śmiechy, wyraźniej niż przedtem i ostrożnie, niemal lękliwie – ona, Christine Delahunt, kobieta prawie czterdziestoletnia, żona, matka, chyba przecież pełna szacunku dla własnej osoby? chyba przecież pewna siebie? lękliwie we własnym domu? – otworzyła drzwi i na widok, który ukazał się jej oczom, zamarła, lecz w tej samej chwili już go od siebie odpychała, wyrzucała go ze świadomości, zabraniała weryfikować miłość do syna: bo oto Jamey i kilku jego kolegów, uczniów ósmej klasy szkoły Franklin Hills, których twarze pani D. dobrze знаła, Evan, Allen, Terry, rudowłosy nicpoń Terry, a oprócz nich kto? dziewczyna? nieznajoma? *nienormalna*? – nieco starsza od chłopców, o grubych, pospolitych rysach, z opuchniętymi oczami, śliną w kącikach ust, pani D. jej nie znała, nigdy nawet jej nie widziała; dziewczyna leżała na ple-

cach przy kominku, na ręcznie tkanym chodniku w stylu kolonialnym, w pokoju rodzinnym Delahuntów, pulchne nogi miała rozłożone, kolana w górze, od pasa w dół była naga, i co jej robił rudowłosy Terry? – wtykał coś (większe od ołówka, jakiś spory plastikowy przedmiot, czyżby dziecienny kij bejsbolowy?) czy usiłował wetknąć do pochwy tej dziewczyny? – a inni chłopcy, jakby zahipnotyzowani, kucali wokół nich, przyglądali się, śmiali i pochrząkiwali.

– Co tu się dzieje?! – krzyknęła bez namysłu pani D. – Chłopcy! Jamey! I ty – ty wstrętne *dziewucho!*

Nigdy nie słyszała, by jej głos tak brzmiał. Zduszony, niedowierzający, zaginiony, zraniony.

Trzasnęła drzwiami, zostawiając dzieci z wyrazem zaskoczenia i winy na twarzach, i głupawymi uśmiezkami, i uciekła. Na piętro.

Wieczorem przy kolacji ani słowa! ani słowa! ani słowa Jameyowi, który wystraszony, spokojny, jadł niemal nieśmiało i rzucał pani D. błagalne spojrzenia, lecz ona zachowywała się – tak jak zwykle? – wiedząc, że jej dziecko *wie*.

– Boję się.

Pani D. siedziała z drinkiem w ręku – tak, w pokoju rodzinnym, który pan D. wolał nazywać pokojem rekreacyjnym. Głos miała cichy, przepraszający.

Pan D. upił łyk drinka. Zerknął na gazetę. Nieuważnie, choć uprzejmie zapytał:

– Proszę?

– Boję się, Harry.

– Hm. – Pan D. przeglądał gazetę z narastającym zniecierpliwieniem. – Chryste, w kółko to samo! AIDS, narkotyki, zbrodnie! „Getto”! – Zmrużonymi oczami popatrzył na zdjęcie przedstawiające kilku czarnych chłopaków pakowanych do wozu policyjnego i zaśmiał się chrapliwie. – *Ja* prenumeruję tę gazetę, do cholery. Myślisz, że ten element kupuje gazety? Dlaczego w takim razie, do jasnej cholery, zawsze muszę czytać o nich?

Na górze zadzwonił telefon. Prywatna linia Tracey.

Pani D. podniosła kieliszek do ust, ale nie tknęła alkoholu. Bała się go skosztować – bała się pierwszego łyku i tego, co po nim. Mocno przycisnęła powieki opuszkami palców i siedziała bez ruchu.

Po kilku minutach, podnosząc na chwilę wzrok znad gazety, choć nie odrywając od niej uwagi, pan D. zapytał:

- Chris? Wszystko w porządku?
- Boję się.
- Boli cię głowa? Masz migrenę?
- *Boję się.*

Pan D. przeglądał drugą stronę. Naraz jego twarz rozjaśnił uśmiech. Pokiwał głową, po czym, nagle znudzony, zrzucił gazetę na podłogę.

– Dzisiaj każdy ma *opinię*. A mój ojciec zawsze powtarzał: „Mniej gadania, więcej roboty”.

Podniósł się majestatycznie. Był solidnie zbudowany, miał potężne uda, lekko zaczerwienioną twarz, bystre oczy. Na brzegach jego twarz uległa erozji, lecz usta nadal były tymi „rzeźbionymi” ustami, które pani D. bardzo dawno temu, tak dawno, że aż jej się to wydawało śmieszne, jak scena z niskobudżetowego filmu science fiction, namiętnie, łapczywie całowała i nigdy *nie miała dość*.

Wychodząc, pan D. rzucił:

- Weź dwa bufferiny. Powinno przejść.

Po kolacji, opłukując naczynia i ustawiając je starannie w zmywarce, pani D. uśmiechnęła się nieśmiało do swojego odbicia w oknie nad zlewem. Dlaczego się boi? Czy trochę nie przesadza? Ostatnio bardzo często myślała o tym, o czym woli nie myśleć, lecz teraz, nagle, *nie* myślała o tym, o czym woli nie myśleć.

Skądś w domu, z pokoju rodzinnego i z pokoju Tracey na górze, dochodził przerywany śmiech – sądząc po brzmieniu, śmiech z telewizora.

Może po prostu znudziła się tym tematem.

Jakim tematem?

Pan H., ojciec jednej z dziewcząt, które biegły Park Ridge Road w dniu niesławnej „napaści z wykorzystaniem pojazdu”, znów zadzwonił do pana D., a pan D. znów odebrał w swoim gabinecie, uprzednio dokładnie zamknąwszy drzwi; gdy tego wieczoru kładli się spać, pani D. zapytała ostrożnie, co uzgodnili. Pan D. odpowiedział ze spokojem:

- Nie angażujemy się.

Pani D. od samego początku rozumiała, nawet kiedy Tracey szlochała w jej ramionach, że zważywszy na to, iż szkoła Franklin Hills nawet najbliższe kwestie lubi rozstrzygać na drodze sądowej, będzie to wyjście i najrozsądniejsze, i najbardziej praktyczne; domyśliła się też, że w miarę upływu czasu, mimo zapewnień Tracey, jej napadów płaczu, złego humoru i hysterii, córka

się z tym pogodziła, podobnie jak pogodziły się jej koleżanki – z wyjątkiem Bonnie – może jeszcze zanim doradzili im to zmartwieni rodzice. Niemniej usłyszała własny głos, protestujący słabo:

– Och, Harry... Ale jeśli Tracey 7 twarze tych chłopców, to chce o tym powiedzieć.

Ziewając i przeciągając się w drodze do łazienki, pan D. rzucił w jej stronę:

– Nastaw budzik na szóstą piętnaście, kochanie. Kierowca przyjeżdża po mnie za piętnaście siódma.

* * *

Tracey już nie rozmawia o wypadku z rodzicami. *Ohyda! – horror! – koszmar! – nigdy, przenigdy tego nie zapomnę!* Rozmowy na ten temat prowadzi tylko z koleżankami, podobnie jak one nie rozmawiają o tym z nikim spoza swojego grona.

To znaczy dziewczyny, które były świadkami wypadku, a nie Bonnie S., która była jego ofiarą. Nie politowania godna Bonnie S., z którą nie rozmawiają prawie wcale czy wcale.

Przez wiele tygodni rudowłosy Terry miał zakaz wstępu do domu państwa Delahuntów. Wprawdzie pani D. nie wydała takiego zakazu ani nawet słowem nie wspomniała o tym Jameyowi, który obserwował ją bacznie, można by wręcz powiedzieć: z wyrachowaniem, uciekając wzrokiem, jeśli przypadkiem na niego spojrziała.

Nie ma co biednego dziecka upominać i zawstydząć, zaczęła się w pewnym momencie przekonywać pani D. To dobre, grzeczne, wrażliwe, cywilizowane dziecko; *wie*, jak wielką sprawił mi przykrość.

Biedna pani K.! – biedna „Vivvie”!

Przez ostatnie półtora roku, odkąd pojawiły się problemy, jedna mastektomia, druga mastektomia, a potem chemioterapia, jej krąg dobrych znajomych się skurczył; a tym, którzy ją odwiedzali, przeważnie kobietom, nie było łatwo.

Tak, to takie smutne, tak strasznie smutne.

Że też musiało trafić na Vivvie Kern.

Kilka z nas odwiedziło ją w szpitalu, część czekała, aż chora wróci do domu, to niemiłe uczucie, kiedy człowiek nie wie, jak się zachować i co po-

wiedzieć, czasami wydaje się, że nie da się nic zrobić ani nic powiedzieć, a tu jeszcze dochodzi dodatkowe obciążenie, konieczność wymiany grzeczności z panem K., który sprawia wrażenie urażonego, wrogiego, mężczyźni w takich sytuacjach czasami się tak zachowują, mężowie byłych szkolnych piękności, a pani K. była szkolną piękną, królową balu, czym lubiła się chwalić. Oczywiście najrozsądniej jest unikać *tego tematu*, ale jak tu unikać *tego tematu*, kiedy ten nieszczęśnik patrzy, bez uśmiechu? – po prostu *patrzy*?

Przynajmniej mają prześlicznie urządzonej nową werandę. Jest tyle rzeczy, na które można patrzeć, i w środku, i na zewnątrz, tak że nie trzeba patrzeć na nią, to znaczy wyłącznie na nią. Biedactwo! Tak dzielnie podtrzymuje rozmowę! Piękne rudoblond włosy, przedmiot jej próżności, prawie całkiem wypadły, a peruka jakby *sterczy* jej na głowie, brwi ma narysowane grubą kreską, a że nie ma już rzęs, to trzeba jej patrzeć w *nagie* oczy, chyba że można tego jakoś unikać, ale gdy się siedzi tak blisko, a ona nachyla się i ściska za rękę, jak tonący chwyta za szyję ratownika, to jak można tego unikać? – poza tym, żeby w ogóle nie odwiedzać biednej pani K.?

(Oczywiście niektórzy nasi znajomi przestali ją odwiedzać i aż przykro się robi, gdy pani K. żartami pokrywa rozgoryczenie: „Mój Boże, przecież nie mam AIDS, tym się nie można zarazić!”).

Gdy pod koniec czerwca pani D. odwiedziła panią K., wcześniej odwlekając tę wizytę tygodniami, nerwowo podziwiała liczne rośliny doniczkowe na werandzie, zaskakujące i piękne pastelowe barwy kwiatów kaktusa, słuchała, jak pani K. z ożywieniem mówi o wspólnych znajomych i skarży się nie do końca poważnie na latynoską pomoc domową, pracującą też u pani D., może właściwsze byłoby określenie: na poły słuchała, nie myśląc o tym, o czym wolą nie myśleć, myślała o smutnych uroczystościach, o śmierci, o żałobie, jak ludzie dzielnie sobie radzą, ale jakie to wszystko beznadziejne, jak ogromnie beznadziejne, a jednak odważne, że nieuleczalnie chora kobieta mówi teraz z całą mocą, że musi nadrobić to, co schudła – nabrać, jak to określiła, „masy mięśniowej” – i wrócić do gry w tenisa, pani D. uśmiechała się do jej szeroko rozciągniętych w uśmiechu warg, teraz wąskich, umalowanych na ja-skrawoszkarłatny kolor, tak, przecież trzeba zachowywać pozory, trzeba być dzielnym, uśmiechać się, potakiwać i zgadzać, inaczej bowiem czy to wszystko nie jest już nazbyt straszne?

Spostrzegawcza pani K. zauważyła, że pani D. drugim razem ukradkiem zerknęła na zegarek; jak wygłodniałe zwierzę wyczuwa pokarm, nawet odległy i niedosiężny, tak pani K. wyczuwa, że gość pragnie uciec, więc nagle pochyła się nad stołem ze szklanym blatem, niemal przewracając kieliszki

z białym winem, wygląda, jakby chciała otworzyć przed nią serce, *och, dla-
czego ta Vivvie to robi! Każdej z nas, jakby to była jej jedyna i ostatnia szansa!*,
ujmuje dłoń pani D. w swoje wychudłe, lecz silne palce i mówi prędko,
z uczuciem, wlepiając nagie, błyszczące od leków oczy w oczy pani D.,
wiążąc ją w ten sposób.

– ...po prostu nie potrafię myśleć o tym, że ich zostawię... że zostaną
sami... biedny Gene! Biedny Robbie!... załamani... zagubieni... Robbie już
się budzi w nocy... dopiero trzynaście lat... psycholog, do którego chodzi...
specjalista od dorastających chłopców... mówi, że to najbardziej wrażliwy
wiek... że dla takiego chłopca to traumatyczne przeżycie... utrata matki.

Pani D. sprawiała wprawdzie wrażenie, że słucha i że jest do głębi poruszo-
na, ale w istocie nie słuchała zbyt uważnie żarliwego wybuchu pani K.
Myślała – nie, nie myślała. O czym?

– Naprawdę tak myślisz? *Naprawdę?* – pyta ze zdziwionym, cichym śmiesz-
kiem.

– Czy naprawdę myślę – co? – upewnia się zaniepokojona pani K.

Spokojnie, nie odwracając wzroku, pani D. po raz pierwszy patrzy skazanej
na śmierć sąsiadce prosto w oczy.

– Że twój mąż i syn będą „załamani”, kiedy umrzesz? Że będą za tobą jakoś
specjalnie tęsknić? To znaczy, kiedy minie pierwszy szok, jak już przyzwy-
czają się do nowego trybu życia?

Długa cisza.

Bardzo długa cisza.

Pani K. patrzy z niedowierzaniem na panią D. Jej palce zaciśnięte kurczo-
wo na dłoni pani D. powoli rozluźniają uścisk. Wyraziście umalowane wargi
poruszają się, drżą – ale nie dobywa się z nich żaden dźwięk.

Jest tak, jakby w jednej chwili z werandy został odessany tlen. Czuje się, że
coś, jakiś niewidzialny płomień, jasność, zaraz *zgaśnie*.

– Ojej! – wykrzykuje pani D. i wstaje. – Lece, muszę jeszcze zrobić zakupy,
a już *po szóstej*.

Opowie nam o tym, zwierzy nam się z tego; tak, doznałyśmy niedawno cze-
goś podobnego, takich niepokojących przeżyć, ataków śmiechu nagłych jak
kichnięcia, chichotu jak bąbelków dwutlenku węgla przebijających po-
wierzchnię czegoś, co uważało się za stałe, solidne, trwałe, niezniszczalne.
Tego dnia, uciekając od pani K., pani D. czuła się w samochodzie jak pijana,
pijana aż do zawrotów głowy, pijana okropnie, ale też *na wesoło*, jak nigdy
w rzeczywistości, słyszała w mercedesie śmiech, oblewał ją zewsząd, łaskotał,

ale to było śmieszne, no nie mogę! Myślałam, że pęknę ze śmiechu! Żałujcie, że nie widziałyście jej miny! Co z niej za nudziara! Co za szantażystka! Jak ona śmie! Wprawiać nas w zakłopotanie! Dotykać nas! W taki sposób! Jak ona śmie! *Jakbym raz w życiu nie powiedziała prawdy!*

Od domu Kernów przy Juniper Way do Delahuntów przy Fairway Circle jechało się niecałe pięć minut, niemniej pani D. włączyła radio.

No, tak lepiej.

Bracia

Przyszli po niego o zmroku pewnego wietrznego dnia w październiku, gdy wracał sam po skończonych lekcjach. Mógł to być piątek – po ostatniej lekcji w tygodniu. Podniósł wzrok i zobaczył, że schodzi ze stromej góry za dawną okolicą Hubbard Street. Oczy łzawiły mu od wiatru od rzeki płynącej za terenem ogrodzonym Erie Central Railroad, kilka przecznic za szeregowym domem z cegły, w którym mieszkała jego rodzina. Zrównano ten kawałek miasta z ziemią, zryto buldożerami na miazgę i przerobiono na wyprofilowaną autostradę z wielopoziomowymi zjazdami, odkąd wyjechał do college'u i zaczął dorosłe życie; jego rodzina też się wyprowadziła, jak wszyscy mieszkańcy i wszyscy właściciele sklepów i zakładów przy Hubbard Street. Ale oto znajdował się na górze, z której w dzieciństwie zjeżdżał na sankach, czuł w powietrzu zapach śniegu, a serce biło mu z radosnym wyczekiwaniem, jakby wiedziało to, o czym on nie wiedział, *Zaraz po mnie przyjdą!*, a gdy znów spojrzął przed siebie, ujrzał ich, choć jeszcze przed chwilą nikogo tam nie było: tylko pusta przestrzeń dzikich traw i zarośli w przygnębiającym, wyschłym, udręczonym przez wiatr kolorze jesieni po pierwszym przymrozku.

Przywitali go z chłopięcą ekscytacją.

– John Michael! W samą porę.

– John Michael! Czekaliśmy na ciebie.

Początkowo twarze mieli jakby ze sztruksu w piaskowym kolorze. Błyszczące oczy z czarnych guzików. Gładkie lśniące czarne włosy, jakby namalowane na głowach. Trudno też było ocenić, ile mogą mieć lat czy choćby wzrostu – nie miał śmiałości się im przyglądać, nie chciał zachować się niegrzecznie. Ich głosy dźwięczały mu ciepło w uszach, mimo że nie słyszał słów. Jakimś sposobem wiedział: *To jest najprawdziwsza rozmowa*. Tym, co zaskoczyło go najbardziej, tak jakby wyszła na jaw jakaś ukryta dotąd część jego ja, było jego własne dziecięce podekscytowanie, wręcz radość, z jaką się z nimi witał.

Choć sam komunikat był niezrozumiały i dziwnie oficjalny:

– Bardzo się starałem, żeby się nie spóźnić. Musiałem przebyć długą drogę.

To była prawda, ponieważ mieszkał teraz daleko od miasta swojego dzieciństwa. Wiele mil – i prawie dwadzieścia lat – od Hubbard Street.

– John Michael! Musimy się pospieszyć.

– John Michael! Mamy mało czasu.

Śmiało wyciągnęli po niego ręce. Uśmiechy rozjaśniały im twarze, bijący od nich blask był niemal oślepiający. Tak silne światło zacierało rysy ich twarzy; a może były płynne, nie przyjęły jeszcze ostatecznego kształtu. *Co jest o wiele lepsze niż to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni.* Chyba wiedział, że mają jakiś plan, wszystko zostało wcześniej uzgodnione, ale nie pamiętał, na czym ten plan polega. A równocześnie to, co zaplanowali, już się zdarzyło. Czuł się tak, jakby rośło mu serce; od klatki piersiowej wychodziło poczucie unoszenia się w górę.

– Ja mam na imię...

– *Ja* mam na imię...

Rozumiał, że są braćmi, ale nie dosłyszał imion. Wibracje dochodziły jego uszu jakby przez jakąś substancję, gęstą jak woda, lecz rozpraszały się w irytujące drobne fale.

Jeden chwycił go za lewą rękę, drugi chwycił go za prawą rękę i obaj pociągnęli lekko ku sobie. Wskutek tego, ponieważ stał na ścieżce trochę wyżej niż oni, stracił równowagę, musiał więc do nich dołączyć, nie miał wyboru; równocześnie nie posiadał się z radości, że z nimi jest.

We trzech zbiegali w dół, potykając się, ślizgając i krzycząc z podekscytowania. Górka była porośniętym krzakami kawałkiem ziemi górującym nad Hubbard Street, gdzie jak pamiętał John Michael Wells, podwiewane przez wiatr śmieci szpeciły warstwową powierzchnię wysokich traw, jak kłaczki włosie dywanu, ale nagle było to miejsce mu nieznanne, zdradliwa stromizna pokryta lodem. Albo czymś, co pod stopami było tak samo szczywanie śliskie jak lód. Błyszczącym, aż oślepiającym. Intensywna przyjemność i świadomość: *To jest najprawdziwsze szczęście* wypełniały go, idąc od ziemi, przez stopy i nogi, i dalej w górę do genitaliów, do brzucha, do klatki piersiowej, *Innego szczęścia nie ma*, gdy bracia ciągnęli go za sobą w dół. Z ust wydychali parę.

– Ale zimno! Ale zimno! – krzyczał ze śmiechem.

Wiedział, że oni, jego bracia, go ogrzeją.

Następnej nocy poznał ich imiona.

– To jest Damm...

– To jest Vann...

Jeden wskazywał drugiego identycznym lustrzanym odbiciem gestu brata, jakby to wcześniej ćwiczyli. Ale nie byli bliźniakami – jeden wyglądał na wyraźnie starszego, bardziej przysadzistego niż drugi; włosy jednego miały ten osobliwy odcień gładko lśniącej czerni, czarne włosy drugiego były gęste

i mocno kręcone, równo podzielone przedziałkami. Znajdowali się na Hubbard Street, choć nic nie wyglądało znajomo, przepływało w tle, rozmazane od pędu, jakby bracia nie ustalili jeszcze, dokąd dokładnie go zabierają, właściwie chyba się o to kłócili, choć jednocześnie bez przerwy rozmawiali z nim, ciepłe fale ich bezgłośnych słów obmywały go jak pieśzcoty. Wzięli go w środek – Damm z lewej, Vann z prawej – i mocno trzymali za ręce, tak że zrozumiał, że jest bardzo mały, jest dzieckiem, mimo swojego wzrostu, który nieudolnie próbował zatuszować. Nie byli na Hubbard Street, tylko na boisku jego szkoły podstawowej, które nie wyglądało tak, jak pamiętał, ale na tyle podobnie, że wiedział, że to ma być właśnie ono i że czyha tu niebezpieczeństwo, tak jak czyhało na tamtym boisku, kiedy był dzieckiem i chodził do tej szkoły, dlatego nagle szarpnął się i próbował się wyrwać, poczuł coś jak skurcz w mięśniach, a Damm i Vann uspokajali go kojącymi słowami i mocno ściskali za ręce, żeby się wyciszył, odzyskał równowagę. Miał ochotę się rozplakać, *Skoro bracia tak się o ciebie troszczą, to jest jedyna prawda, ale to również udało mu się zatuszować.*

– John Michael! Przecież chcesz.

– John Michael! Mądry chłopak.

Ciągnęli go za sobą, zmuszali, by szedł tam, gdzie nie chciał, a równocześnie chciał iść – do innego dziecka czy dzieci w rogu boiska, gdzie ceglane ściany szkoły tworzyły kształt L. Dochodziło tutaj do pewnych czynów. Nie nadawano tym czynom nazw, dlatego nie wiązały się z nimi żadne wspomnienia, z wyjątkiem wstrętu i wstydu.

Tak, ale wiesz, że nic tu się nigdy nie stało. Wiesz, że niczego nie było.

Damm ciągnął go za rękę i Vann ciągnął go za rękę, niebezpieczeństwo było blisko, ale *Bracia cię ochronią*, dlatego czuł promienną radość, która przerodziła się w bulgoczącą złość, dziwną złość, której towarzyszył śmiech. Ujrzał, niewyraźnie, jakby w wodzie, twarz kogoś, kogo nienawidził i o kim nie myślał od trzydziestu lat; i inne szydercze twarze dzieci; ale się śmiał, i Damm, i Vann też się śmiali, więc wszystko było w porządku. Przeszedł przez te postaci, jakby rzeczywiście były wodą.

Złość rosła w nim jak płomień, wzbijała się od genitaliów do klatki piersiowej, do gardła. Prawdziwe ciepło, jak dotyk płomieni w gardle. Próbował mówić do tej dziecięcej twarzy, sztywną, pustą jak maska, ale coś mu się stało z językiem, z ustami, dźwięki, które z siebie wydawał, były gardłowe, grzechoczące, staccato. Kompulsywnie przełykał ślinę, by ugasić ogień koło przełyku, ale nic to nie dawało i słysząc wołania Damma i Vanna *John Michael! John Michael!*, wyśliznął im się z rąk, bezradny jak dziecko, i upadł na

popękany asfalt boiska. *Nie puszczajcie mnie, gdzie jesteście? Jeszcze nie.* Gwałtownie uniósł głowę z mokrej poduszki zbitej w kłęb pod karkiem, oczy mu się otworzyły, ale przez chwilę niczego nie widziały, gardło miał obolałe, jakby otarte – spał głębokim snem z głową odchyloną w tył i otwartymi ustami. Oddychał przez nie, tak że zaschło mu w gardle, i to nieprzyjemne uczucie go obudziło.

I chrapanie – na pewno chrapał jak wieprz. Słyszał to, słyszał zgrzytliwe, chrypiące odgłosy, jakby rytmicznego cięcia tępą piłą, ale wydawało mu się, że dochodzą z oddali.

Po przebudzeniu przyszło poczucie strasznej straty. I spadania w dół. Paraliż. Kontury snu zniknęły szybko, jak filmowy obraz na ekranie, gdy zapalą się światła – taka strata! Uścisk dłoni braci, jego palce w ich palcach, to tylko sen, fantazmat. Nic.

Po przebudzeniu i w ciągu dnia – przez kilka dni złożonych z wielu godzin, gęsto zaludnionych, częściowo przez kolegów z pracy na uniwersytecie, częściowo przez znajomych, przyjaciół, a wieczorami przez jego kochankę Cristę i jej sześciolatniego syna, z którymi nie mieszkał, ale z którymi widywał się prawie codziennie – Jackowi towarzyszyło żywe, niepokojące wspomnienie braci, niczym pamięć erotycznego spełnienia, w całym ciele. *Tu jestem naprawdę, tym jestem naprawdę.*

Czy ktoś zwrócił uwagę na nietypowe dla niego roztargnienie? Na niekonkretność jego odpowiedzi, uśmiechów? Jack Wells, z natury tak sceptyczny, specjalista od geometrii różniczkowej i muzyk-kompozytor amator, znany w kręgu przyjaciół z cierpkiego poczucia humoru, wyrazistych poglądów politycznych, jak to możliwe, by czuł tak silne pragnienie – tak silne pragnienie połączone z tęsknotą? By jak najszybciej wrócić do swoich snów, do tych dziwnych, tajemniczych snów, które przyszły nie wiadomo skąd i nie mają nic wspólnego z jego życiem; nie mają związku z teraźniejszością ani – tak naprawdę – z przeszłością. *By wrócić do nich, do moich braci.*

Pierwszy sen przyśnił mu się zaledwie kilka nocy wcześniej. Ale miał wrażenie, że ma te sny od lat. Czy raczej że od lat odczuwa to dziwne pragnienie, niemal nie do wytrzymania.

Jak to możliwe? Niemożliwe. „To absurd”.

Kim byli ci bracia i dlaczego byli dla niego tacy ważni, nie miał pojęcia. Nie umiał nawet wyraźnie ich sobie przypomnieć. Byli młodzi i było w nich coś nie do końca normalnego – to wiedział. Ale nie potrafił przywołać ich

twarży. *Dla siebie samych jesteśmy niewidzialni. Mózg nie ma twarzy.* A to, co stało się we śnie o Hubbard Street, o boisku Szkoły Podstawowej imienia Benjamina Franklina? *Tego, czego nie powinienes pamiętać, nie zapamiętasz.*

Nigdy nie wierzył w to, że sny mają jakieś znaczenie. Myślenie o snach w rześkim świetle dnia było stratą czasu. A on nie lubił tracić czasu. Był jednym z tych ludzi, którzy na obrzeżach zebrania czy spotkania towarzyskiego dobiegającego końca pobrękują kluczykami do samochodu w kieszeni.

Był jednym z tych ludzi, którzy, gdy ktoś zaczyna opowiadać o swoich snach, teatralnie udają, że ukrywają ziewnięcie.

Ale bracia pokazali mu *najprawdziwsze szczęście*, którego nie rozumiał i którego intensywność budziła w nim lęk.

Wiedząc bowiem, jak gorące były jego uczucia w tych snach, musiał przyznać sam przed sobą, jak letnio przeżywa swoje życie – nawet życie seksualne, erotyczne.

Poza tym były w tych snach tajemnice, które go intrygowały. Dlaczego na przykład bracia zwracali się do niego „John Michael”? Przez większość jego życia wszyscy mówili albo „Jack”, albo „Jacky”. Imiona „John Michael”, które otrzymał na chrzcie, były dla niego równie odległe jak dawno zmarły dziadek, po którym je nosił i którego prawie nie znał. A w ogóle skąd sen o *braciach*? Jack miał jednego brata, o pięć lat starszego, Stevena, który był inżynierem i mieszkał z żoną i dziećmi w ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy Chicago; nawet jako nastolatek Steve nie dzielił zainteresowań Jacka matematyką, naukami ścisłymi, muzyką – żyli ze sobą w miarę zgodnie, na ogół, ale nie byli sobie bliscy. Teraz wysyłali sobie kartki na Boże Narodzenie, pomijali nawzajem swoje urodziny i nieraz zdarzało im się nawet przez rok nie rozmawiać przez telefon. Steve Wells – dobry, nudny, porządny człowiek. Żeby powiedzieć o nim coś ciekawego, Jack musiałby bardzo wyteńczyć pamięć.

Ale właściwie co można powiedzieć o większości ludzi? Jack powtarzał, że człowiek nie jest istotą bardziej *tajemniczą* niż choćby taki banan. Na podstawie samej obserwacji skóry nie sposób wydedukować, co banan ma w środku, a środek całkowicie różni się od skóry, tylko co z tego? Dlaczego miałyby to być ważne?

„Jack, jesteś taki cyniczny!”, wykrzykiwała czasami Crista, jakby rzucone przez niego stwierdzenia naprawdę ją szokowały. Jack podejrzewał, że miało mu to pochlebiać. Taki seksualny flirt, seksualne przekomarzanie. Sam nie uważał się za cynicznego, tylko za rzeczowego; za człowieka, który nie lubi przesady.

Dlatego właśnie pociągnęła go matematyka, geometria – figury, czyste struktury – niezamieszkałe przez osobowości – nieokreślone przez osobowości.

Na uczelni do Jacka zwracano się po nazwisku, a studenci tytułowali go „panie profesorze”. Odkąd wiele lat temu praca przestała dostarczać mu niespodzianek, podobnie jak podręcznik, który zadawał na studiach pierwszego stopnia – był jednym z jego współautorów – nie miał potrzeby głęboko się angażować. Miał trzydzieści siedem lat. W okularach w stalowoszarych metalowych oprawkach, z siwiejącymi brązowymi włosami, uczesаныmi gładko z surowym przedziałkiem i założonymi za uszy, z zabawnym zwyczajem przewidywania pytania studentów podnoszących rękę, wydawał się człowiekiem bez określonego wieku: nie młodym, tak jak młodzi byli jego studenci; ale bynajmniej nie starym; uśmiechał się i był młodzieńczy w zachowaniu, twarz miał niepomarszczoną, oczy duże, ciemne, inteligentne, współczujące, ciało człowieka umiarkowanie aktywnego fizycznie – pływał regularnie, choć bez entuzjazmu. W tenisie wykazywał za małą potrzebę rywalizacji, by można było nazwać go dobrym graczem. Dlaczego miałyby to być ważne?

W dzień po śnie o boisku, prowadząc zaawansowane seminarium z geometrii riemannowskiej, Jack usłyszał swój głos, który odbijał się echem od kątów sali, i zdał sobie sprawę: *Skoro ci ludzie widzą mnie i słyszą, to znaczy, że tu jestem!* Obezwładniło go to spostrzeżenie.

I tak to wyglądało w godzinach spędzanych na jawie: podczas spotkań z kolegami z pracy i z przyjaciółmi, sprawnego przeglądania prac studenckich tą częścią umysłu, która działała jak komputer, niezależnie od nastrojów Jacka Wellsa czy jego ja; nawet z Cristą i jej dzieckiem, których kochał i dla których stał się swego rodzaju „rodziną”. *Oni mnie widzą i słyszą – czy ich szukuję?*

Nawet kiedy kochał się z Cristą, doprowadzał i ją, i siebie do ulgi orgazmu, czuł ssanie tego drugiego pragnienia i zastanawiał się, czy wszyscy ludzie kryją w sobie takie potajemne, niewyraźne pragnienie – pociechy snów. Jeśli bracia oferowali mu rzeczywiście pociechę.

– John Michael! W samą porę.

– John Michael! Czekaliśmy na ciebie.

I Jack ucieszył się, widząc, że bracia się na niego nie gniewają.

Odrzucił kołdrę i był nagi.

Tyle że, jadąc na rowerze, pedałowując z całych sił, by nadążyć za braćmi, miał na sobie za dużą flanelową pizamę. Gumka w pasie była za luźna, szero-

kie nogawki przeszkadzały mu w jeździe i bracia się z niego śmiali. Sam też się śmiał, oddychając przez usta i łapiąc powietrze. Rower był dla niego za duży, miał wielkie koła ze szprychami i wyglądał tak, jakby był zespawany z rur. Rowery Damma i Vanna były podobne, ale oni mieli dłuższe nogi, byli od niego starsi. Mknęli ulicą, jakby Hubbard Street, ale nie do końca. Na rogu, koło warsztatu wulkanizacyjnego: skrzyżowanie z Mohegan Street, gdzie mieszkał w domu szeregowym z cegły, w okolicy złożonej z wielu takich domów, które można było odróżnić dzięki pomalowanym na różne kolory drzwiom frontowym i okiennicom, powciskany na siłę ogródkom z trawą lub kwiatami. Ale sporo było zamazane. Otwarte przestrzenie jak krawędzie świata, puste jak ekran telewizora bez obrazu.

– John Michael! John Michael! – Głosy braci, dźwięczne i miłe jak pieszczoły, wibrowały mu w głowie. – John Michael! *Pospiesz się.* – Brzmiał w nich śmiech i przekomarzenie, i odrobina zniecierpliwienia jego powolnością.

Dom Jacka był czwarty od skrzyżowania i oblała go gorąca fala wstydu na widok jego nędzy, ścian koloru brudnordzawej cegły, okiennic pomalowanych na żółty kolor, wesoły, jak twierdziła matka Jacka, ale coś się stało z tym domem, wyglądał jak zniekształcona twarz, twarz, z jaką rodzi się dziecko genetycznie skazane na okropności, wstydził się, że bracia to widzą, ale oczywiście nie było to dla nich niczym nowym, bo przecież sami też tam mieszkali. *Jeśli jest za wcześnie, jeśli się jeszcze nie urodziłem, to gdzie się mogę podziąć?* Bał się zobaczyć swoich rodziców, zanim zostali jego rodzicami. Ta perspektywa wiązała się ze wstydem, którego smak czuł jako coś smolistego na podniebieniu.

Plakał głośno, krztusił się, pedałowal z całych sił, by nadążyć za Dammem i Vannem, którzy krzykiem przekazywali mu polecenia, ale on ich nie słyszał – takie dudnienie w uszach! Zobaczył, że pędem zbliża się ku niemu jakaś ludzka sylwetka, i rozległo się mdlące *trach!*, gdy przednie koło jego roweru, które równie dobrze mogło być (szczegóły płynnie się zmieniały) przednim kołem samochodu, przejechało tę osobę, dziecko czy starszego człowieka, a on nie mógł przestać pedałowal i nie chciał, goniąc braci, którzy teraz coraz bardziej się oddalali, wyrzucając mu z żartobliwą drwiną:

– *John Michael! No i coś ty narobił?*

Jack obudził się przerażony, serce waliło mu mocno, a nagie ciało, które wydawało mu się duże, niezgrabne, *czymś, co nie jest mną*, pokrywał lepki pot. Jamę ustną miał rozognioną od przesuszenia. Oczy uciekały mu w tył głowy. Crista, która miała lekki sen, w odruchu macierzyńskiej troski odgarniała mu wilgotne włosy z czoła, pytając, czy dzieje się coś złego? czy miał

zły sen? A zdezorientowany Jack odepchnął ją łokciem, nie na tyle mocno, żeby ją zabolalo, ale jednak. Zaraz potem zorientował się, gdzie jest i z kim. W łóżku swojej przyjaciółki. *Jestem bezpieczny, to się jeszcze nie wydarzyło.* Zapewnił Cristę, że to był tylko sen, dezorientujący sen o grze w tenisa.

– Przepraszam! Postaraj się jeszcze zasnąć.

Otumaniony wyszedł niepewnym krokiem, żeby skorzystać z łazienki, i w przedpokoju słyszał za sobą cichy, zaniepokojony głos Cristy. Jakby się bała, biedna, że Jack w jednym z tych swoich nastrojów wyjdzie po cichu w noc, nawet nie całując jej na pożegnanie.

Oczywiście nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nawet gdyby mógł sięgnąć po swoje ubrania i włożyć je w łazience, tak by Crista o tym nie wiedziała.

Był roztrzęsiony, bo stało się coś strasznego. Pomogło przemycie winnej twarzy zimną wodą. W lustrze unikał swoich oczu. *Ale nikt nie widział. Oprócz moich braci nikt tego nie widział.*

Ale teraz już nie śnił i nic mu nie było. Nie da się wydedukować: banan to nie skóra od banana.

Skorzystał z toalety i spuścił wodę, świadomie i niechętnie, mając nadzieję, że nie obudzi Lonniego, którego pokój znajdował się naprzeciwko łazienki. Ciasno tu było, w tym wynajmowanym domu. Crista pracowała jako sekretarka w firmie prawniczej, jej pracodawca poniósł podczas recesji straty finansowe, od dwóch lat nie dostała podwyżki, ale wstydziła się przyjmować pieniądze od Jacka, choć czasem nie miała wyboru, jeśli nie brała pieniędzy, to pozwalała mu opłacić dentystę Lonniego czy kupić mu kurtkę na zimę, tak jakby, gdyby się z nią ożenił, gdyby wziął ją i Lonniego do siebie, gdzie było przestronniej, do mieszkania w wysokim bloku w pagórkowatej, lesistej części ogromnego kampusu uniwersyteckiego, wprowadził do ich relacji istotną moralną różnicę.

Fantazjował o kartce, którą zostawiłby przyklepioną do drzwi lodówki jednym z tych małych magnesów dinozaurów, których paczkę kupił kiedyś chłopcu: *Tak, kocham cię, kocham was oboje, ale nie mam serca do tego, żeby się z tobą ożenić, by ściany zaczęły nas dusić. Kiedy jestem daleko, tęsknię za tobą, ale kiedy jestem z tobą, tęsknię za tą częścią siebie, która jest gdzie indziej.* Ale nigdy by nie zrobił czegoś takiego, nie był okrutny, chyba że przypadkowo.

Sen o rozpędzonym rowerze i tajemniczym zderzeniu przyśnił mu się na początku listopada. Nazajutrz Jack odwołał kolację z Cristą i parą ich wspólnych przyjaciół, mimo iż sprawił tym Criście olbrzymi zawód – plano-

wała ten wieczór od kilku tygodni. Został w domu i pracował nad utworem muzycznym, który zaczął, po czym z frustracją odłożył i wymazał z pamięci dziesięć lat temu. Był to dziwny utwór na fortepian i smyczki, eksperymentalny, dysonansowy, liryczny i medytacyjny; neoklasycy, ale pełen zaskakujących kontrastów i przeskoków zainspirowanych Strawińskim i Varèse'em; z tonem gorącego pragnienia i tęsknoty. W tej fazie jego życia nikt nawet nie wiedział, że Jack kiedyś chciał komponować – „wymyślać muzykę”, jak mówił. Była to jego tajemnica czy jedna z jego tajemnic.

Dlaczego zabrał się do tej starej, nieudanej kompozycji, nie umiałby wytłumaczyć. Nagle poczuł natchnienie, podniecenie. *Pragnienie – czego?* Było to odczucie niemal fizyczne, głód tak niezmierny, że przechodzący w zachwyty. Siedząc przy pianinie, poprawiając to, co napisał kiedyś i posuwając się naprzód, tak dał się wciągnąć dziwnym nutom, które wychodziły mu spod palców, że kiedy spojrzął na zegar, zdumiał się, że była prawie druga w nocy – pracował sześć godzin właściwie bez przerwy.

Na zewnątrz mokra i wietrzna listopadowa noc. Liście unoszone podmuchami wiatru stuknęły o okna gabinetu leciutko jak bębniące o blat opuszki palców.

Jestem taki szczęśliwy i tak właśnie ma być.

Do Jacka Wellsa wróciło teraz, stopniowo, odkąd śnił o braciach, nie co noc ani nie z regularnością, na której mógłby polegać, niemniej na tyle często, że czerpał z tego otuchę, wspomnienie o tym, że jako chłopiec odczuwał płomienne podekscytowanie, gdy rozwiązywał zadania matematyczne; gdy grał na pianinie i przez pewien czas na wiolonczeli, do której miał więcej uczucia niż zdolności; gdy próbował potajemnie „wymyślać” swoją muzykę. Wstydział się tej skrywanej próżności, pewności, jaką odczuwał w chwilach żarliwego uniesienia. *Jesteś urodzonym kompozytorem, muzyka to twoje przeznaczenie*, co w pewien sposób wiązało się z jego talentem do matematyki, geometrii. Ta niezwykła łatwość, z jaką w szkole potrafił w głowie „rozwiązywać” zadania, które nauczyciele musieli sobie rozpisywać na kartce.

Wiedział i nie chciał wiedzieć. Wiedział i odrzucił tę wiedzę, tak jak chowa się w szufladzie podarunek, który ma w sobie niepokojącą tajemnicę.

Jako mały chłopiec Jack był bystry, dociekliwy i uparty, zadając pytania dorosłym. *Ile to będzie, jak doda się do siebie wszystkie liczby we wszechświecie? Gdzie słońce chowa się nocą? Gdzie są w dzień moje sny? Skoro Bóg mieszka w niebie, to dlaczego nie możemy Go zobaczyć przez teleskop?* A jako uczeń liceum, z charakterystyczną intensywną sceptyczną ciekawością: *Dlaczego Be-*

nedicta Arnolda nazywamy „zdrajcą”, a Jerzego Waszyngtona „bohaterem”? Dlaczego wątroba działa właśnie tak, a nie inaczej? Dlaczego partenogeneza nie wykształciła się w procesie ewolucji jako najbardziej ekonomiczna metoda rozmnażania? Wykazywał znacznie większą intelektualną ciekawość niż jego brat Steven, choć on też zawsze dostawał w szkole dobre stopnie; zupełnie nie był podobny do rodziców, którzy czasem byli z niego dumni, ale częściej wprawiał ich w konsternację i denerwował. Pan Wells był urzędnikiem niższego szczebla w administracji szkół publicznych, a pani Wells zastępczą nauczycielką w gimnazjum – poznali się w Stanowym Kolegium Nauczycielskim w Albany i pobrali się chyba to po, żeby mieć już młodość za sobą. Jack nie był podobny ani do ojca, ani do matki, był tego pewien. Jego najwyraźniejszym wspomnieniem była przestroga, jakiej udzielił ojciec w przeddzień rozdania świadectw w liceum, na którym Jack miał wygłosić mowę pożegnalną: „Byłeś się tylko nie wygłupił, synu!”.

Jack zaczął uczyć się grać na pianinie w gimnazjum, choć u Wellsów w domu nie było pianina; w liceum pod wpływem widzianego w telewizji koncertu Pabla Casalsa zaczął uczyć się gry na wiolonczeli, tak zapalony do tego, by opanować ten instrument, a przynajmniej spróbować, że nauczycielka pozwoliła mu ćwiczyć na swoim. Później, już jako dorosły, Jack kupił sobie wiolonczelę, piękny instrument, który wspominał z żalem niczym dawno utraconą miłość, ale w tamtym czasie nie podchodził poważnie do nauki gry i w końcu go sprzedał. Nie traktował też poważnie „wymyślenia” muzyki. Zajmował się tym tylko w weekendy, a z czasem stało się to zajęcie, o którym częściej myślał, niż któremu poświęcał czas. Na przeszkodzie stanęła praca akademicka, sumienne, choć pozbawione iskry obywatelstwo w społeczności uniwersyteckiej. Był człowiekiem próżnym i nie chciał stać się jednym z tych matematyków, których i tak jest za dużo i których nazywa się *ekscentrykami*.

Muzyka była płomykiem świecy, który osłaniał w złożonych dłoniach, aż pewnego dnia zauważył, że świeca zgasła.

Podobnie było z matematyką. Na studiach zapowiadał się bardzo obiecująco, zdobył prestiżowe stypendium, zaliczał się do najbardziej energicznych młodych wykładowców na pierwszym uniwersytecie, na którym uczył; potem, stopniowo, po przenosinach na mniej wymagającą uczelnię, które wiązały się z awansem i umową o stałym zatrudnieniu, pozwolił, by jego przedsięwzięcia i pomysły uległy atrofii. Za duży stres. Za duże odosobnienie. I zawsze ryzyko porażki – *Byłeś się tylko nie wygłupił!* Rutyna prowadzenia zajęć, powierzchowna koleżeńskość stosunków na uczelni, niezawodna powtarzalność tygodni, semestrów, lat okazały się dla Jacka wystarczająco sa-

tysfakcjonujące. Geometria różniczkowa, krzywe, płaszczyzny, widmowe struktury w przestrzeni trójwymiarowej, przyjemna aktywność umysłu dążącego do wiedzy „wyższej” – czymże to było, jeśli nie hobby, fascynującym i jak na hobby szacownym; w miarę dobrze płatnym; w miarę dającym poczucie bezpieczeństwa; które można było podejmować, zarzucać i znów podejmować, jak każde hobby. Na zajęciach lub w towarzystwie kolegów uniwersyteckich profesor Wells potrafił zachowywać się jak „natchniony”, „pełen pasji” matematyk – i umyślnie odgrywał tę rolę od czasu do czasu. Był aktorem grającym własne, dawne ja i zastanawiał się z rozbawieniem, czy publicznie nie jest nawet bardziej skuteczny jako aktor, niż był jako tamto dawne ja.

I jeszcze kobiety, powolna procesja kobiet. Romanse, które z czasem przedzierały się w przyjaźnię. Kurs kompasowy uczuć seksualnych – czy da się coś takiego wytyczyć? Jack sądził, że w jego przypadku owszem. Przechodzi przez punkty a, b, c... a zanim dotrze do z, już jest gdzie indziej.

Fantazja o zostawieniu Criście na drzwiach lodówki listu, zrodzona w jednym z tych snów na jawie, w których świadomość wynurza się na powierzchnię, cofa i znów wynurza; gdy dzienne ja styka się czubkami palców z nocnym, *Rodzina to struktura czterowymiarowa, w tym jeden z wymiarów to Czas. Wektor wychodzi z pewnego określonego punktu, ale ponieważ zakrzywia się w nieskończoność, jest niewytyczalny. Niepoznawalny. Przeróżający.*

W 1 grudnia, w tygodniu pierwszych dużych opadów śniegu, przez kilka nocy z rzędu pracował nad swoim *Trio c-moll* i co pewien czas śnił o braciach, i jego stosunki z Cristą były uprzejme, choć napięte i pełne rezerwy. *Wie, że jest ktoś inny czy coś innego: jest zazdrosna* i czuł się winny, było mu jej żal, choć jednocześnie miał jej to za złe, aż nagle przyszedł do niego sen, Damm po lewej! Vann po prawej! jakby wyskoczyli spod ziemi, całkowicie niespodziewanie.

– Zawsze jesteście dla mnie nowi, nikt nie może was wymyślić – powiedział Jack.

Bracia roześmiali się głośno, odchylając głowy z rozbawienia.

– John Michael! Mamy dla ciebie niespodziankę.

– John Michael! Chodź z nami.

Pociągnęli go za sobą, mocno trzymając za ręce. Przez moment czuł panikę. Jakby włożył dłonie w wąską szczelinę i teraz nie mógł ich wyjąć.

– John Michael! Tak bardzo cię kochamy...

– ...że zrobiliśmy sobie miejsce w środku, gdzie możesz wejść...

Mimo iż śnił, nie powinno więc było go stać na taką klarowność myśli, czuł tak cudowne ciepło, taką radość, że myślał: *To nieważne, że oni nie są rzeczywistości, w rzeczywistym świecie nic nie jest takie jak to.*

Przyprowadzili Jacka na polanę pokrytą śniegiem, w którym znajdował się tunel, jak zajęcza nora, i Jack wszedł do niego na czworakach, a Damm i Vann jakimś sposobem byli przy nim czy w nim, a może on w nich, we trzech przeciskali się przez śnieżny tunel, torując sobie przejście głowami. *Jeśli mnie opuszczą, nie znajdę drogi powrotnej.* Ale czuł tylko słaby lęk, wiedząc: *To jest najprawdziwsze szczęście,* i okazało się, że słusznie zaufał braciom, bo znaleźli się teraz w sporej przestrzeni, niby-pokoju, przegrzanym i dusznym, i dziwnie oświetlonym, jakby pulsującym nieregularnie światłem fajerwerków. Raczkował w ich stronę mały chłopiec, piszcząc z podniecenia czy niepokoju, i okazało się, że on też jest ich bratem – buzię miał miłą, ale niewyraźną, a włosy koloru toffi. Jego imię brzmiało jak „Hän-ne” – dwie wysokie, wibrujące sylaby, dźwięczące Jackowi w głowie.

– John Michael! Poznajesz, kto to jest?

– John Michael! Przyprowadziliśmy go tutaj w pewnym celu.

– W jakim? – zapytał Jack, ciekaw odpowiedzi, ale pytanie wyszło przekręcone, zabrzmiało niewyraźnie, jak parsknięcie czy czkawka.

Damm i Vann roześmiali się jeszcze głośniejsze niż wcześniej.

– Myśleliśmy, że to on jest małą dzidzią, a to ty.

– John Michael! Dlaczego jesteś taki...

Chłodny czy wystraszony, czy powolny, czy – stary? Jack wyteżał słuch, ale nie dosłyszał. Podobnie jak, patrząc na Damma i Vanna, a teraz na małego Hänneho, który był wzrostu mniej więcej ośmiolatka, nie mógł dostrzec ich twarzy. *To dlatego, że są w twojej głowie, nie po tej co trzeba stronie oczu.*

Przez ułamek chwili Jack jakby wiedział, że był już wcześniej w tym miejscu. A Hänne nie był dla niego niespodzianką, bo go znał. I jakby wiedział, co się stanie, choć nie mógł sobie tego przypomnieć.

Miał się schylić i pocałować swojego młodszego brata Hänneho, z którym został teraz sam w tej ciepłej, dusznej jamie, ale nie mógł, nogi jakby zaplątały mu się w supeł, a kręgosłup tak zeszywniał, jakby miał się zaraz złamać. I cholernie zaschło mu w gardle, znów ten chrapliwie grzechoczący dźwięk. Damm i Vann wyszli, ale zaglądali przez szybkę w staroświeckich holenderskich drzwiach i uśmiechali się oblesnie. Stroboskopowe światła odbijały się dziwnie w ich oczach. Byli – Jack miał ich zaraz „zobaczyć”, ponieważ nie patrzył prosto na nich, więc nie pomyśleli, że muszą zmienić wygląd – ożywionymi drewnianymi rzeźbami o zdumiewająco szczegółowych, reali-

stycznych rysach, jasnych oczach, gęstych ciemnych rzęsach, błyszczących ustach – nawet ubrania mieli wyrzeźbione z drewna, gładkie i błyszczące. Jednocześnie byli umięśnionymi licealistami o szczerych, przystojnych twarzach, mniej więcej szesnastoletnimi, takimi chłopakami, którzy w liceum Jacka Wellsa może i szanowali jego inteligencję, ale patrzyli na niego jak na powietrze, jakby tam, gdzie stał, *nikogo nie było*. Może z wyjątkiem lekcji wychowania fizycznego, na których wyrażali lekką pogardę dla jego wysokiego szczupło-wątlęgo ciała, mięśni jak u gołębia i słabych oczu, i wyrazu nadaśanej wyższości stanowiącego jego obronę.

Ale teraz słyszał tak rozkoszne „John Michael! *Kochamy cię*”.

Najmłodszy brat też Jacka kochał i teraz podbiegł do niego, chichocząc i machając rękami jak ptak – jak koliber – chcąc dać mu mokrego całusa w usta. Ale Jack uchylił się, spanikowany, osłonił rękami głowę i w napadzie kaszlu zbudził się, oszołomiony, odkrył, że nogi ma zaplątane w wilgotną pościel, usta otwarte w kształt ogromnego O i też ogromnego penisa, sztywnego od erekcji pulsującej aż do bólu.

Była szósta dwadzieścia rano. Za oknem jęczał silny wiatr. Ciemno, choć oko wykol, ale już po spaniu. Jack wstał z łóżka, ostrożnie, przerażony myślą, że mógłby się dotykać.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem ojciec Jacka miał wypadek samochodowy, doznał lekkich obrażeń i trafił do szpitala. Jack pojechał w odwiedzinę i poznał po twarzy ojca, zobaczył w jego unizonym spojrzeniu i w okolicy oczu, że nie jest to już ten sam mężczyzna, którego znał. Ten tutaj był starszym się, porządnie wystraszonego panem, który zmuszał szarawe wargi do zawiadackiego uśmiechu; żartował z pielęgniarkami, którym przedstawił też „swojego syna profesora”; twierdził:

– W jednej chwili miałem tę przeklętą kierownicę pod kontrolą, a w drugiej już nie.

Winił oblodzoną jezdnię, ale Jack wiedział od matki, że to była chwilowa utrata przytomności, ojciec po prostu stracił świadomość i obudził się dopiero w szpitalu.

Na szczęście samochód jechał powoli, około dwudziestu mil na godzinę. Przeciął kilka pasów, zderzył się bokiem z innym samochodem, uderzył w tył motocykla prowadzonego przez młodego mężczyznę i zatrzymał się gwałtownie dopiero na barierce.

– Ten motocyklista został ranny? – zapytał Jack.

– Cóż – matka przysłoniła oczy powiekami – niezbyt poważnie.

– Chyba nie zginął, na litość boską? Czy zginął?

– Dlaczego tak się tym przejąłeś? – zapytała Jacka matka, przyglądając mu się. Zawsze była nerwowa, łatwo się obrażała; ryzyko obrazy wiązało się nawet ze zwyczajnym zadaniem takich pytań, jakie trzeba zadać. – Nie, oczywiście, że *nie*. Przywieziono go na ten sam oddział nagłych wypadków co ojca i *on* wyszedł jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Jack zamknął oczy, czując *trach!*, z jakim przednie koło uderzyło niewidzialną ofiarę. Ale to był tylko sen, coś zupełnie innego niż to, co przydarzyło się ojcu, tak naprawdę.

– Dlaczego tak się przejąłem? – odpowiedział matce spokojnie. – Czy nie jest tak, że powinniśmy się przejmować sprawami życia i śmierci?

Mniej więcej w tym samym okresie zdarzyło się coś jeszcze, jego sny o braciach przedostały się do rzeczywistości czy też rzeczywistość przedostała się do jego snów o braciach. Na uniwersyteckiej pływalni, gdzie nie był od wielu miesięcy, gdy pływał pewnego mroźnego styczniowego poranka, kątem oka zauważył idącego boso wzdłuż basenu krępego, umięśnionego młodego mężczyznę pokrytego ciemną małą sierścią, któremu różowy wąż penisa podskakiwał przy każdym kroku – studenta jednego z pierwszych lat, futbolistę, niewątpliwie pierwowzór Damma i Vanna. Jack zagapił się na niego, wstrząśnięty: *on*? Była to w grafiku pływalni godzina wyłącznie dla mężczyzn i w tej atmosferze nagich męskich ciał ten młody futbolista, który krzyknął coś do kolegi i głośno dał nura do wody, był najprawdziej *nagi*.

Jack Wells płynął dalej po swoim torze, nieźbornie, tak wstrząśnięty, że aż się zachłysnął i napił wody.

John Michael! Teraz już wiesz.

Zauważył też, któregoś wieczoru u Cristy, kiedy Lonnie w piżamie wbiegał do salonu i wybiegał z głośnym piskiem, licząc na to, że mama nie położy go spać – jako że Jack przychodził ostatnio rzadziej, w jego obecności pojawiała się napięcie – że kręcone włosy chłopca są koloru toffi. *Hänne – Lonnie?* Przetarł ręką oczy i zaśmiał się słabo. Chyba wyglądało to tak, jakby chciał wstać i wyjść, bo Crista powiedziała ostro:

– Lonnie, *przestań*. – A do Jacka, tonem proszącym o wybaczenie: – Przepraszam cię za niego. Wie dobrze, że musi o tej porze iść spać, ale... chyba tęsknił za tobą i...

– Ja za nim też tęskniłem – powiedział Jack. Była to prawda, a w każdym razie prawie prawda.

Lonnie podszedł do nich, gdy siedzieli oboje z Cristą, każde z lampką wina w rękę, w geście impulsywności nieśmiałego dziecka, popatrzył na niego wielkimi brązobursztynowymi oczami i Jack poczuł, jak serce ściska mu emocja ostra jak ból, *Dlaczego mnie nie kochasz?* – pytał Lonnie tymi oczyma. *Dlaczego nie jesteś moim tatą?*

Potem, gdy zostali sami, Crista zapytała:

– Czy jest ktoś inny? – po czym szybko dodała, w ten swój sposób, który do głębi Jacka wzruszał, gdyż dowodził instynktownej troski o pozycję i uczucia drugiej osoby: – Chyba że wolisz o tym ze mną nie rozmawiać.

– Nie. Nie ma nikogo – odparł powoli Jack.

Siedzieli przy stole w jadalni, niezbyt chętni do przejścia do następnej fazy wieczoru, nieuchronnej jak nadjeżdżająca lokomotywa – czy będą się kochać, czego od dłuższego czasu nie robili, czy Jack zostanie na noc, czy też, bardzo niedługo, zerknie na zegarek, powie coś o późnej porze i czekającej na niego w domu pracy. Zapadło milczenie.

Przedłużająca się, niezręczna chwila milczenia. Crista współczująco położyła rękę na dłoni Jacka. *Tu jestem naprawdę, tym jestem naprawdę.* Prawie tak, jakby wiedziała. Jakby wybaczała i dawała mu wolność. Na zewnątrz prószył śnieg, drobny jak piasek, i stukał o szyby okienne; w powietrzu coś mrucało czy wibrowało, drażniące, niemal niesłyszalne dźwięki muzyki.

– Jack, dobranoc – powiedziała Crista.

Siedział zgarbiony przy pianinie. Bolały go oczy i ręce. Stracił rachubę czasu, *Dzięki czemu wiesz, że jesteś tu, gdzie masz być, i że nikt nie może zająć twojego miejsca.* Za oknami jego mieszkania na jedenastym piętrze nocne miasto wyglądało jak delikatna sieć świateł. Było późno i bardzo zimno – temperatura wahała się koło zera. Jack pomyślał: Bardzo dobrze, nikt nie będzie przeszkadzał. Nawet wiatr ucichł.

Trio c-moll wychodziło spod jego palców w gorączkowym tempie, ale wymagało ciągłych poprawek. Na każdy ruch do przodu przypadał jeden ruch wstecz. W niektóre noce cała robota poprzedniej nocy, akordy na granicy zasięgu rozpiętości palców, dopiski i poprawki, była do wyrzucenia. *Gdybym mógł po prostu iść naprzód, jak najszybciej dotrzeć do końca,* ale nawet w tym podwyższonym stanie świadomości był ostrożny, konserwatywny. Mroziła go i przejmowała przytłumioną grozą myśl, że być może nigdy nie dokończy tego utworu. Że będzie pracował tak noc w noc, tydzień w tydzień, w nieskończoność.

Był już luty. Jack wystąpił o urlop bezpłatny na uniwersytecie, ku zdziwieniu kolegów i przyjaciół. Dlaczego? – pytali. Nad czym pracujesz, że wymaga to tyle czasu? Czy może wybierasz się w podróż? Dokąd? Nic im nie mówił, większość czasu spędzał sam.

Niedawno zadzwonił do Cristy, żeby zwyczajnie miło porozmawiać, bo tęsknił za nią i za małym, a ona była chłodna i oschła, mówiła, że ma się dobrze i jest zajęta, nie, nie może dać do telefonu Lonniego: „Za bardzo jest na ciebie zły”.

Jack chciał odpowiedzieć: „Sam jestem na siebie zły”, ale zabrzmiałoby to niepoważnie, nieszczerze.

Damm położył mu ciężką łapę na prawym ramieniu, Vann położył mu ciężką łapę na lewym ramieniu. Mały Hanne w czerwonej piżamie kuczał nieopodal i rysował coś rękami na śniegu. Włosy koloru toffi sterczały w słodkosztywnych kępkach. Z jego lewym okiem było coś nie tak, czego Jack wcześniej nie zauważył.

– John Michael! Jesteś pełen złości.

– John Michael! Nie bądź tchórzem.

Pierwszy raz bracia odezwali się do niego tak szorstko i wzdrygnął się z przykrości, jednocześnie kuląc ramiona, by wyglądać na niższego.

W ostatnich snach o braciach Jack był swoich właściwych rozmiarów – dorosłego mężczyzny. Był wyższy od własnego ojca, zanim ojciec zaczął się kurczyć, zmierzając do nieskończoności. Ale bracia, o dziwo, mimo iż byli bystrzy, chyba nie wiedzieli o tym, że Jack Wells jest profesorem uniwersytetu, matematykiem. Nie mieli też pojęcia o muzyce w jego życiu, *czyli się ochroniłem – prawda?* Jakby wiedział, że gdyby dowiedzieli się o jego drugim życiu, bardzo by mu zazdrościli.

– John Michael! *Nas się nie okłamuje.*

– John Michael! *Tutaj ci to nie ujdzie na sucho.*

Posłużyliby się groźbą odebrania mu swojej miłości. Nawet odczuwając tę miłość jak ciepły złoty płyn, dzięki któremu unosiło mu się serce, bał się jej utraty.

Hanne biegł po śniegu, śmiejąc się i piszcząc, i nie było jasne, czy prowadzi braci, czy też bracia go gonią, dysząc, z wywieszonymi językami, jak wilki. Nagle podniecenie! niebezpieczeństwo! Ślizgając się, zbiegali po zaśnieżonooblodzonego zboczu nad Hubbard Street. W pobliżu przejeżdżał ze stukotem pociąg towarowy, wagon za wagonem ERIE CENTRAL RAILROAD ERIE CENTRAL RAILROAD, ogłuszający hałas wibrował w głowie Jacka, aż zęby mu dzwoniły. Znajdowali się w zakazanym miejscu, TEREN PRYWATNY GRO-

ZI NIEBEZPIECZEŃSTWEM WSTĘP WZBRONIONY, wspiąwszy się na wysokie na dziesięć stóp ogrodzenie z siatki, i Jack bardzo się bał. I rozumiał, że nie ma odwrotu.

To tutaj nie ma nic wspólnego z tym, co jest tam. Gdy wejdiesz na ogrodzenie i zeskoczysz po drugiej stronie, nie będzie miało znaczenia, skąd przychodzisz.

Gwizd lokomotywy był wysokim, przeraźliwym piskiem. Hanne, oszalały jak zając, za którym gonia psy myśliwskie, biegł po śniegu, ślizgając się, co groziło tym, że wpadnie pod koła pociągu, ale gdy Jack wyciągnął ręce, żeby go złapać, starsi bracia odciągnęli go siłą.

– John Michael! Musisz wybrać.

– Wybrać co? – zapytał Jack. – Wybrać kogo?

Znajdowali się na terenie należącym do Erie Central Railroad, ale równocześnie na boisku Szkoły Podstawowej imienia Benjamina Franklina, w rogu w kształcie litery L. Gwizd pociągu był też świstem wiatru, który unosząc liście i piasek, wiał Jackowi w oczy. Jack zauważył błąd Hannego, ale nie mógł go ostrzec, *Za zakrętem jest ściana! Pułapka!*, gdyż Damm i Vann mocno trzymali go za ramiona, gdy Hanne, uciekając w panice przed wrogami, znalazł się w rogu i został otoczony. Jego wrogowie, którzy też byli rozmiaru zajęcy, tyle że dużych, złych, sprawnie powalili go na ziemię, rozpięli mu rozporek sztruksowych spodni, ściągnęli majtki i ziemią z suchymi liśćmi nacierali jego delikatnego penisa, który skurczył się do wewnątrz, jak mały żółw chowający głowę. *Dlaczego oni mnie nienawidzą*, płakał Hanne, ale odpowiedź brzmiała: *Nie, to tylko zabawa, tak się po prostu złożyło, że to ty tutaj trafiłeś.* Damm i Vann jednak nie dali się nabrać. Śmiali się gniewnie, wstydząc się za młodszego brata, który nie potrafi się obronić. Jack chciał powiedzieć, że kiedy to przydarzyło się jemu, nauczył się zostawać w szkole na przerwach i na dużej przerwie, razem z innymi spokojnymi dziećmi; odrabiał lekcje w stołówce i gromadził „dodatkowe punkty”, tak że w czerwcu w Dniu Rodzica na tablicy ogłoszeń przy nazwisku John Michael Wells znajdował się rząd błyszczących gwiazdek ***** o wiele dłuższy niż ucznia, który zajął kolejne miejsce.

Jack chciał wyjaśnić płaczącemu Hännemu: *Nie będziesz pamiętał, skąd wzięły się te gwiazdki, przyrzekam.*

Damm potrząsał Jacka za ramię, zdeglustowany.

– John Michael! Musisz wybrać.

Vann potrząsał go za ramię jeszcze mocniej, jakby miał nadzieję wybić mu bark.

– John Michael! Zdecyduj się.

Straszna lokomotywa była tuż za nimi. Jack rozumiał, że musi poświęcić jednego z braci, pchnąć go pod koła, ale nie mógł tego zrobić.

– Nie, proszę, nie – błagał. – Nie każcie mi, proszę...

Był sparaliżowany i słowa też więzły mu w gardle, jak wielkie kule flegmy. Damm i Vann dyszeli mu w twarz, wydychając parę z ust.

– Tchórze! *Wybieraj*.

– Tchórze! *Wybieraj*.

Jack skomlał, czuł, że pęcherz zaraz mu nie wytrzyma, a starsi bracia, jak to nastoletni chłopcy, gdy odpychają kogoś od siebie z fizyczną odrazą, pchnęli go tak mocno, że obudził się nie przy pianinie (gdzie, jak była przekonana część jego majaczącego śniącego umysłu, miał siedzieć), ale leżąc jak kłoda na łóżku. Był całkowicie ubrany, miał nawet buty na nogach. Oczy płonęły mu w oczodołach, jakby przez długi czas patrzył w ostre światło, choć w sypialni było ciemno i zupełnie cicho. Głosy *Wybieraj! Wybieraj!* zniknęły, *Tchórze, wybieraj!*, głosy braci już mieszały się z odgłosem wiatru uderzającego o szyby czy z gwizdem lokomotywy wiele mil dalej, po drugiej stronie rzeki, czy z nocnym płaczem dziecka w mieszkaniu piętro wyżej i mimo że Jack szybko usiadł na łóżku, w pełni rozbudzony, ze zmysłami w stanie najwyższej czujności, jakby ledwo uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, nie słyszał nic ani nikogo.

Jak błyskawicznie, jak nieuchronnie zniknęły te głosy. I świetliste ludzkie postaci. I imiona tych postaci. Zmniejszyły się do wielkości iskry, do ostrza szpilki. Do nieskończoności. *Tego, czego nie powinieneś pamiętać, nie zapamiętasz*. Bracia zniknęli i mieli już nie powrócić, ale co to będzie dla niego znaczyło, jak będzie wyglądało od teraz jego życie, Jack nie miał pojęcia. To już się wydarzyło, ale nie mógł sobie przypomnieć.

Zaginione dziecko

Dzieciństwo, czas, gdy nasze życie jest pełne tajemnic.

Tajemnic, których nigdy nie zdradzi się dorosłym. Nawet po tak długim czasie, że samemu weszło się w dorosłość.

– Znalazłam coś! – krzyknęło któreś z nas i podniosło to coś z ziemi.

Pod butwiejącym mołem, przy samym końcu mierzei zwanej Fox Point, w brudnym piasku i śmieciach zostawionych przez plażowiczów, leżało częściowo zakopane naddarte polaroidowe zdjęcie.

Znalazła je dwunastoletnia Jean, najstarsza spośród nas, i trzymając je w rękę, wybiegła spod mola, żeby lepiej widzieć. Dzień był bezsłoneczny, niebo przesłaniały jasne, perłowe chmury. Grzywiaste fale na jeziorze Ontario burzyły się dziko, gniewnie, a w powietrzu unosił się zapach, który przynosił wiatr z północy – ostry i morski, jak zapach mokrego piasku i psujących się ryb.

– Co to? Pokaż!

Widząc wyraz twarzy Jean, stłoczyliśmy się wokół niej, ale ona odeszła na bok, wpatrując się w to, co trzymała w rękę.

– Co to jest? No *co*?

Jean była wysoka i masywna, jej rodzice niedawno się rozwiedli, matka pracowała w fabryce plastiku; łatwo się rumieniła, zawsze było po niej widać emocje. Cokolwiek było na tym zdjęciu, zdumiało ją i zaintrygowało; w jej oczach odbiło się niedowierzanie, niepokój i ogromne zażenowanie.

– Coś obrzydliwego – mruknęła Jean, chowając zdjęcie za siebie. – Nieważne.

Policzki tak jej się zaczerwieniły, jakby ktoś ją uderzył. Zmrużyła zażawione oczy. Był to znak, że trzeba uważać. Była silną, dużą dziewczyną i łatwo wpadała w gniew; jedną z tych, które potrafią pięścią czy łokciem przyłożyć temu, kto zbliży się w niewłaściwym momencie.

Inna dziewczynka, Bobbie, upierała się, że musi zobaczyć, i Jean niechętnie jej na to pozwoliła.

– Jezuuu... – prychnęła z niedowierzaniem Bobbie i zamarła. – Co oni robią? Wiesz, kto to *jest*?

Bobbie i Jean wybuchnęły dzikim chichotem. Nie był to chichot radosny, brzmiała w nim ostra, bolesna nuta, jakby ktoś rzucał z dołu kamyczkami w deski zaniedbanego mola.

My, troje czy czworo pozostałych dzieci, w tym dziewięcioletni brat Jean,

Mickey, wołaliśmy, że też chcemy popatrzeć, ale Bobbie i Jean nam nie pozwoliły, same jednak podawały sobie polaroid, zanosząc się teraz skrzekliwym śmiechem, nie chcąc trzymać zdjęcia, ale też nie chcąc go nam oddać, i trwało to dłuższą chwilę, wiatr się wzmógł i powietrze pachniało deszczem, był koniec sierpnia, tuż przed Świętem Pracy, i ogarnęła nas atmosfera pośpiechu, tak jakbyśmy wiedzieli, choć niby skąd mieliśmy wiedzieć, że będzie to ostatnie lato, kiedy wszyscy będziemy dziećmi w takim sensie jak teraz. Tam, gdzie plaża graniczyła z alejką, spacerowały młode matki z dziećmi w wózkach, bawiły się starsze dzieci, znajome twarze, istniało ryzyko – ale, rzecz jasna, ryzyko stało się teraz częścią gry – że ktoś zwróci na nas uwagę, bo Jean i Bobbie robiły taki raban, i podejdzie, i każe sobie pokazać zdjęcie.

Wreszcie Jean i Bobbie pozwoliły popatrzeć Brendzie, jako najlepszej przyjaciółce Jean – rudej, piegowatej dziewczynce, z niezawodną zdolnością dziwienia się. Brenda też wpatrzyła się w zdjęcie jak zahipnotyzowana.

– Kto to? O Boże!

Kiedy zniecierpliwiona przysunęłam się do nich, chcąc im wyrwać zdjęcie, Brenda krzyknęła, nie ze złośliwości, ale ostrzegawczo, nagle zaniepokojona:

– Nie pokazujcie Junie!

Znów więc zostałam odepchnięta; napłynęły mi do oczu łzy żalu i urazy.

Zrozumiałam, że one we trzy zawsze będą miały wspólny sekret, a ja – tak jak dziewięcioletni Mickey, jak Sharon Scott, która była trochę opóźniona – będę skazana na to, by *nie wiedzieć*. Wgnana z kręgu wtajemniczonych.

Przez mój mózg przemknął płomień, straszny gorączkowy głód. Ale nie mogłam prosić: „No proszę cię, nie bądź taka... no nie bądź taka, Jean”, jak często prosiłam dawniej, odkąd tylko pamiętam. Czułam, że ten zakaz jest inny, że w jakimś sensie ma mnie chronić, tak jak chroni się Mickeya, tak jak chroni się Sharon Scott, która jest trochę opóźniona, ale skora do płaczu; i to zaskakujące zobaczenie siebie samej, jak w niespodziewanym lustrze mijanej szyby wystawowej, też mnie wzburzyło, bo czy nie było prawdą, że Junie to najbystrzejsza, najzdolniejsza koleżanka Jean? Czy nie zbiera najlepszych stopni w szkole, jakby bez wysiłku?

Jakby tam, na plaży, tego wietrznego dnia pod koniec lata, kiedy chowano przede mną polaroidowe zdjęcie, szkoła w ogóle się liczyła.

Czasami na alejce starsi chłopcy pokazywali nam słowa i rysunki nabazgrane na ścianach, za ponurymi tynkowanymi przebieralniami damskimi i męskimi, kazali nam patrzeć, jak przez noc zmieniły się plakaty, jak na przykład roześmianej dziewczynie w kowbojskim kapeluszu wyrosły wielkie,

ciężkie piersi, a wychodząca z jej ust smużka dymu przekształcała się w coś grubego i podłużnego, komicznego i przerażającego zarazem, i, dla mnie, tajemniczego, choć zawsze – jak określiła to Jean – *obrzydliwego*.

W obecności starszych chłopców nie chciałam wiedzieć. Kiedy chłopcy śmiali się w taki sposób, podekscytowany, szyderczy, nie chciałam wiedzieć dlaczego.

Coś obrzydliwego.

Tak właśnie chłopcy utrzymywali nad nami władzę – groźbą zawstydzenia, zażenowania.

Z koleżankami – Jean, Bobbie, Brendą – było inaczej. Moja potrzeba dowiedzenia się nie była czystą ciekawością, lecz czymś silniejszym, czego nie umiałam nazwać. *Nienawidzę was i nie mogę znieść tego, że nie jestem jedną z was.* Rzuciłam się w stronę Jean, która znów trzymała polaroid, wyrwałam jej go z ręki i pobiegłam brzegiem jeziora, słysząc, jak za mną wołają, a kiedy zobaczyłam, że nikt mnie nie goni, stanęłam, żeby obejrzeć zdjęcie. Patrzyłam na nie jak na rysunki w czasopiśmie dla dzieci „Jack i Jill”, na których, przemyślnie ukryte wśród splątanych linii rysunków drzew, krzewów i chmur, widniały twarze, postacie ludzi, a nawet zwierzęta. *Co to jest!*

Zdjęcie było naddarte, złożone na pół, zawilgocone, a potem wysuszone i przyblakłe na słońcu. Ostre polaroidowe kolory spelzły, a obraz był niewyraźny jak we śnie. Ale przedstawiał coś dziwnego, coś, co wprawiło mnie w osłupienie: wystraszoną dziewczynkę, może czteroletnią, w silnym uścisku mężczyzny, nagiego mężczyzny, przyciśniętą do jego brzucha i lędźwi, ale co ona musi robić, usta ma szeroko otwarte, policzki mokre od łez, widziałam, ale nie rozumiałam, wpatrywałam się w zdjęcie tak długo, aż i moje oczy napęłniły się łzami, byłam zszokowana, ale zdezorientowana, początkowo bardziej zdezorientowana niż zszokowana, bo nie mogłam uwierzyć w to, co mam przed oczami.

– *Co to jest?* – zawołałam głośno, żeby koleżanki usłyszały.

Zdjęcie pokazywało tylko nagi tors, brzuch i lędźwie mężczyzny, i ręce; głowa była oddarta, więc mógł to być każdy, to było w tym najstraszniejsze, mógł to być każdy, każdy mężczyzna z Fox Point, mężczyzna z tłustym, obwisłym brzuchem pokrytym ciemnymi włoskami przypominającymi sierść, z umięśnionymi rękami, jak nasz tata, też pokrytymi gęstymi ciemnymi włosami. Dziewczynka, której nie znałam, była ubrana w ciasną, porwaną koszulkę i nie miała majtek; z jej skóry, nieowłosionej, błysk flesza doszczętnie wypłukał kolor. Jej twarz częściowo zakrywały ręce i brzuch mężczyzny –

ręce o grubych paluchach, z sygnetem – jedna trzymała dziewczynkę pod brodę, druga za tył głowy. Jej jasne włosy były matowe, rozczochrane, a oczy zmrużone w takim wyrazie bólu i przerażenia, że zmięłam zdjęcie i mrugając szybko, zwróciłam niewidzący wzrok w stronę jeziora. Drobne białogrzywe fale, nad nimi kołują mewy. *Co to jest?!*

Serce biło mi dziwnie. W całym ciele czułam taki wstrząs, jakbym skoczyła z niebezpiecznej wysokości, zawsze jako dziecko skakałam, żeby zaimponować innym dzieciom, które się przyglądały, ale nie miały odwagi mnie naśladować, skakałam z wału przeciwpowodziowego na plażę, skakałam z dachu naszego garażu, lądowałam twardo na piętach, przez całe ciało przechodził mi falami wstrząs i robiło mi się lekko niedobrze.

Podbiegła Jean, zaczerwieniona, wystraszona i zła.

– Junie, do cholery, przecież ci *mówiłam!*

Wyrwała mi zdjęcie, podarła na małe kawałeczki i pozwoliła, by zabrał je wiatr, a ja odwróciłam się i pobiegłam przed siebie, biegłam i biegłam jak szalona, aż plaża została daleko za mną, chcąc jak najprędzej znaleźć się w domu, w bungalowie wynajętym przez rodziców na cały sierpień przy piaszczystej drodze zabudowanej identycznymi bungalowami, które trudno byłoby rozróżnić, gdyby nie suszące się na balustradach ręczniki i stroje kąpielowe czy zaparkowane samochody. Nie wiedziałam, co Jean chciała powiedzieć przez „przecież ci *mówiłam!*”, ale żałowałam, że zobaczyłam to, co zobaczyłam.

Coś obrzydliwego.

Unikałam koleżanek i kolegów przez długi czas, jak mi się zdawało, ale prawdopodobnie nie więcej niż dzień, który wydawał się nie mieć końca i dłużył się, jak często dzieciom takie letnie dni. Siedząc na plaży z mamą i młodszym bratem, nie odzywałam się, kiedy mama zapytała, czy coś się stało, odpowiedziałam, że nie, ale nie dotykaj mnie: skóra mnie bolała jak po oparzeniu słońcem czy w gorączce. Nie chciałam patrzeć na otaczających mnie ludzi, na mężczyzn w kąpielówkach, do oczu napływały mi łzy: nie, nie patrz: przecież ci *mówiłam!* Potem nogi zaniósły mnie w stronę mola, nie weszłam na górę (gdzie nie wolno było wchodzić, stała tam barierka z napisem „UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO MOLO NIE PODLEGA KONSERWACJI Z RAMIENIA HRABSTWA”), tylko pod nie, gdzie fale wsiąkały w wilgotny piasek i wałało się pełno śmieci, puszek po piwie, butelek, pozostałości po ogniskach (choć na odcinku kilku mil wzdłuż jeziora stały tablice „ROZPALANIE OGNISK NA PLAŻY WZBRONIONE NAKAZEM SZERYFA HRABSTWA”). Grze-

bałam w śmieciach patykiem, wykopując kapsle od butelek, połamane grzebienie, mieniające się perłowo muszle i coś, co przypominało zwęglone resztki zdjęć, chyba.

Ale niczego nie znalazłam. Mogłam więc zacząć zapominać.

Następnego dnia wróciłam do Jean, Bobbie, Brendy i Sharon, jakby nic się nie stało. Nie wróciłyśmy w rozmowie do tamtego polaroidu. Nikomu o nim nie powiedziałyśmy. Wielu sekretów nie zdradzałyśmy rodzicom ani innym dorosłym, ani nawet starszej siostrze; niektóre dzieliłyśmy tylko z jedną z koleżanek, ale nie z pozostałymi, bo tak się robiło, takie sekrety były szczęściem naszego życia, a zdjęcie, które Jean podarła na kawałki i rzuciła na wiatr, było tylko jednym z takich sekretów, nawet bardziej ulotnym od innych, bo to było coś obrzydliwego, o czym nie umiałyśmy rozmawiać nawet w swoim gronie; a coś, czego się nie nazwie, szybko przepada, ulega zapomnieniu.

Ale ja pamiętam: kiedy w te ostatnie dni lata patrzyłam na mężczyzn na plaży, na ich ciała, prawie całkiem nagie, z wyjątkiem kąpielówek, czasami tak ciasnych, że było widać, że kryją coś dużego i kulistego, można było sobie wyobrazić, jakie to coś, co też było sekretem, jest ciężkie; grube, umięśnione ramiona, torsy, twarde mięśnie młodych mężczyzn, bardziej sflaczałe ciała starszych, jedne mocno opalone, drugie blade jak zsiadłe mleko, ramiona niektórych jak poskręcane liny, nogi innych zdumiewająco chude, niektóre prawie bez włosów, ale większość gęsto owłosiona, o skręconych włoskach, delikatnych, jedwabistych lub szorstkich; zdarzały się pokaźne brzuchy ściśnięte elastyczną gumką od kąpielówek aż do bólu, klatki piersiowe o mięśniach twardych jak pancerz lub jasne i miękkie jak tłuszcz kurczaka. Kiedy w piątek późnym popołudniem dołączył do nas mój tata i od razu przebrał się w kąpielówki, z ulgą zobaczyłam, że okazał się jednym z młodszych mężczyzn. Nie był bardzo szczupły, ale brzuch miał płaski; jego tors, brzuch i nogi pokrywały gęsto skręcone rudawe włoski, a ręce miał twarde i muskularne, tak, i zauważyłam, że na żadnym palcu nie nosi sygnetu, to zauważyłam od razu.

Noc Bożego Narodzenia 1962 roku

No wstawaj, powiedział. Ja cię zawiozę, do diabła.

Mama była w sypialni na tyłach domu, płakała. Noc Bożego Narodzenia, aż nie do wiary, że to był wciąż ten sam dzień. Płakała, widząc, jak szmaciana lalka przelatuje przez całą szerokość pokoju. Też piła, tyle że jej, inaczej niż mężczyznom, bardziej uwidoczniały się wtedy piegi na twarzy, a skóra robiła się biała jak chude mleko. Dziwnie chodziła, jakby podłoga była nachylona, i śmiała się, kiedy nikt nie mówił nic śmiesznego, i pocierała pięściami oczy, jakby próbowała się obudzić, ale nic jej z tego nie wychodziło. Miała rude kręcone włosy, jak ja, tyle że sztywniejsze, moje były tak delikatne, że wiałam się i piszczalam, kiedy rozczesywała je szczotką, a potem stalowym grzebieniem. Wściekała się, bo chciała rozczesać wszystkie kołtuny, mówiła: cicho siedź, do cholery! nie bądź dzieckiem.

Zaczęło się, kiedy wróciliśmy do domu od Dziadków. On siedział na kanapie i oglądał w telewizji ten sam mecz, który oglądali też w tamtym domu, potem powiedział coś, co ją rozśmieszyło, ona zaśmiała się tym ostrym śmiechem jak zgrzyt paznokcia po tablicy i to był błąd. Zawsze był jakiś błąd, od którego wszystko się zaczynało. Najpierw uderzył ją otwartą dłonią, a ona krzyknęła i wywróciła stół, na którym jeszcze leżały od rana niektóre prezenty i stało jego piwo, i jakoś tak się stało, że szmaciana lalka, którą dostałam od Babci, przeleciała przez cały pokój i uderzyła głową we framugę drzwi z głośnym *trzask!*

Próbowała go powstrzymać, ale trafiła na jego pięść – więcej niż tylko pięść. Kiedy już to się dzieje, dzieje się szybko. Jak w pojedynku bokserskim, na który zabrał nas kiedyś do Port Oriskany, mężczyźni na ringu, oświetleni silnym światłem, podchodzili do siebie powoli i ostrożnie, tak że wydawało się, że nic się nie stanie i można sobie zamknąć oczy i oglądać obrazy, które pojawią się pod powiekami, aż nagle ludzie zaczynają krzyczeć i wszystko dzieje się szybciej, niż oczy nadążają patrzeć, więc trzeba zmyślać, co się stało, żeby wytłumaczyć sobie, jak jeden z bokserów znalazł się na deskach i z ust cieknie mu strużka krwi. Tak samo się to rozegrało, tak szybko, w salonie, gdzie grał głośno telewizor i w rogu stała choinka, która przewróciła się teraz na bok i zbiły się bombki.

Płakałam: to nie moja wina. Wiedziałam, że wina spadnie na mnie.

Bombki w kształcie gruszek w czerwone spiralne paski, które dostaliśmy od Babci, takie śliczne. I białe, matowe, z brokatem. Kiedy byłam sama w domu,

wyciągałam z szafy karton z ozdobami na choinkę, żeby sobie na nie popatrzeć, dotknąć ich. Srebrne łańcuchy do rozwieszania na gałęziach, kolorowe światełka w kształcie świeczek, anioł na czubek choinki z ładną malowaną twarzą i złotą aureolą, jak figura Najświętszej Pani w kościele. Drzewko prawie upadło i anioł zwisał z czubka do góry nogami, jak na śmiesznym rysunku.

No, wstawaj, Skarbie, powiedział, ocierając usta i kucając obok połamanej szmacianej lalki na podłodze. Wiesz, że nic ci się nie stało.

Tylko przestań ryczeć, do jasnej cholery. Twarz mu zbieła, jakby uciekła z niej cała krew.

Mama wybiegła z sypialni z ręcznikami i kocem i krzyknęła, żeby się odsunął, że zabierze mnie do Yewville do szpitala, na co on ją odepchnął, mówiąc, że jest za bardzo pijana, żeby prowadzić, a ona krzyknęła, że to *on* jest pijany, to *on* jest niepoczytalny i jeśli wyjdzie teraz ze mną z domu, to ona wezwie policję. On powiedział, jak wezwiesz policję, to cię rozszarpie, podejdź tylko do telefonu, a pożałujesz, że się urodziłaś, i ona tak samo. Starła się owinąć mi głowę ręcznikiem, tam, gdzie krwawiłam; każde szarpało mnie w swoją stronę, on powtarzał, że *on* mnie zawiezie, podejrzewał, że mogłam złamać nogę, a mama pobiegła z powrotem do sypialni i wróciła z pistoletem, którym w niego celowała, trzymała go oburącz i machała w jego kierunku, i krzyczała, myślisz, że się nie odważę? Ty sukinsynu, myślisz, że się nie odważę?

To on przyniósł ten pistolet, latem, wygrał go w pokera. Mama bała się trzymać go w domu, ale później on uczył się w lesie strzelać do celu i ćwiczył na butelkach, i namówił mamę, i też spróbowała, rozchichotana i zdenerwowana, a ja kucałam za nimi, przyciskając ręce do uszu, kiedy on obejmował ją prawym ramieniem, żeby usztywnić jej rękę, pomagał wycelować, nacisnąć spust, zamortyzować odrzut. A ona potem wtulała twarz w jego szyję, nie mogąc złapać tchu z przejęcia tym, co zrobiła.

Teraz moja mama w welurowej bluzce koloru rozgniecionych truskawek, rozdartej na ramieniu od jego szarpnięcia, i w czarnych spodniach błyszczących od krwi trzymała ten pistolet w drżących rękach. Krzyczała i wymachiwała nim, a patrzyła tak dziko, że on wycofał się, nie wstając z kucków. Spokojnie, Anna, tylko nie pociągaj za spust, jesteś w takim stanie, że mogłabyś to zrobić, a ona na to: Żebyś wiedział, że bym mogła! Chcesz się przekonać? Zobaczysz, że mogę!

Podniosła mnie i owinęła kocem, celując w niego, żeby nie podszedł. Krew wsiąkała w szarą wełnę i koc przemókł. Cały czas płakałam, nie mogłam prze-

stać, jak wtedy, kiedy ma się czkawkę i nie można przestać. Ona też płakała i mówiła, nie wyrywaj się, Skarbie, wszystko będzie dobrze, ale kiedy mnie podnosiła, tak zabolało, że musiałam krzyknąć.

Bożonarodzeniowa noc. Zacinało śniegiem ostrym jak piasek. Musiała mnie nieść, nie dałam rady stawać na tej nodze, w której pękła kość. W lewej nodze, poniżej kolana, tam, gdzie uderzyłam o framugę. Z czoła leciała mi krew i miałam już guza wielkości jajka. A usta, coś było z nimi nie tak, Mama przyciskała do nich ręcznik, jak biegła do samochodu, ślizgając się i potykając, dysząc, nasze oddechy parowały, złapała w biegu płaszcz, ale nie miała czasu włożyć kozaków. Skarbie, nie płacz, powtarzała, Mamusia już się tobą zaopiekuje, dobrze?, i chciała usadowić mnie na przednim siedzeniu, ale tak bolało, że krzyknęłam, musiała więc położyć mnie z tyłu, owiniętą w koc. Krzyczałam i trzymałam się jej mocno, nie chciałam puścić.

Noc Bożego Narodzenia, ranek tak dawno temu. Zaspy po okna, przy garażu większe od człowieka, z okapu zwisają ogromne sople lśniące jak noże, zamrożone na kość w dziesięciostopniowym mrozie. Rano oślepiął wpadający przez okna odbity od śniegu blask, a teraz było ciemno, płatki śniegu wirowały w światłach reflektorów i można było w nie patrzeć i patrzeć, i się zatracić, zapomnieć, kim się jest.

Nie mogę tego opowiedzieć. Nie mam słów. Pamiętam wszystko, ale nie mam słów. Nawet kiedy je wypowiadam, nie są to właściwe słowa.

Ta szmaciana lalka, którą uszyła mi Babcia, była tak duża, że mogłam ją trzymać tylko obiema rękami. Miała chybottliwą głowę, błyszczące czarne oczy z guzików, nos z guzika, uśmiech i pomarańczowe warkocze z włóczki. Od pasa w górę uszyta była z bawełny w kwiatki, spódnicę miała bawełnianą w jasnożółtą kratę, a nogi, które nie miały kości, były zrobione z białych wełnianych rajstop. Wypchana była czymś miękkim jak wata. Co roku, odkąd pamiętam, Babcia szyła mi na święta lalkę i ubrania.

Bardzo kochałam Babcię. Była jego matką, więc musiała stawać po jego stronie. Drugiej babci nigdy nie było, a kiedy spytałam, gdzie jest, powiedzieli, że u Boga w Niebie. Ale wiedziałam, gdzie była tak naprawdę – na cmentarzu, który jest po prostu polem za kościołem.

Rano mama ubrała mnie w świąteczne ubranie, zanim ubrała siebie. Chodzimy do kościoła tylko parę razy w roku, w tym też w Boże Narodzenie, ale *on* z nami nie poszedł. Mama wyszczotkowała mi włosy, zwilżyła i ułożyła w loki, skręcając je na palcach, a potem dmuchnęła mi w ucho i powiedziała, moja ślicznotka! Moja mała ślicznotka! Mamusia strasznie cię kocha. Włożyła mi przez głowę nową bluzę, którą Babcia dała mi na święta, z tego samego

miękkiego weluru, z którego uszyła mamie bluzkę, z dużą kieszenią na środku, zieloną jak liść truskawki. Białe wełniane skarpetki, czarne skórzane buciki, ale na wierzch stare, zniszczone kozaki.

Jeszcze welurowa kokarda tego samego koloru co bluza. Cały rząderek wsuwki i spinek. Loki aż do ramion, więc kiedy ruszałam głową, czułam, jak się ruszają i mnie łaskoczą. Zanim wyszliśmy z Mamą do kościoła, on przykucnął przede mną i na mnie patrzył. Wziął moją twarz w dłonie i długo mi się przypatrywał, oczy miał jak szklane kulki, w których kolory się rozszepiają. Dlatego wiedziałam, że mnie nie widzi, choć powiedział: Wesołych Świąt, kochanie! Wreszcie się doczekałaś tego wielkiego dnia, co?

Mama powiedziała ostrożnym tonem: Nie strasz jej. Boi się, kiedy tak na nią patrzysz.

Jak? – zapytał. Wyprostował się, wziął mamę pod brodę i trzymał tak, że musiała patrzeć mu w oczy. Tak?

Kiedyś mówiłam do niego Tato, ale powiedział, że mam go już tak nie nazywać, tyle że czasem o tym zapominam. Po tej nocy Bożego Narodzenia już będę pamiętać.

Zaczęli pić u Dziadków. W dużym starym farmerskim domu przy długim stole nakrytym do świątecznego obiadu. Tyle jedzenia o drugiej po południu, żołądek nie jest na nie gotowy. Mężczyźni grali w pokera, rozmawiali i się śmiali, a mój ojciec zachowywał się głośno, kiedy wygrywał, ale jeszcze głośniej, kiedy przegrywał, czerwony na twarzy, mrużył oczy i śmiał się, jakby z kawału, który tylko on rozumiał. Wujek Dwight, mąż Cioci Helen, Wujek Marcus, mąż Cioci Irene, Wujek Bud, który miał kiedyś żonę, ale teraz nie ma i nie wolno pytać dlaczego, dorosłych nigdy nie wolno pytać *dlaczego*. Dziadek i Wujek Dwight pracowali w fabryce gipsu przy Jamestown Road, tam gdzie mój tata, ale dostali wymówienia, zapłatę do końca stycznia. Co dalej, nie wiadomo. Fabryka była nieczynna i brama zamknięta na łańcuchy, zanim spadł pierwszy śnieg.

Komu tu można wierzyć, mówili. To, co nam się wciska albo o czym czytamy w gazetach, jeśli to facet w garniturze i pod krawatem, to na pewno kłamie, bo zbija na nas kasę. A jeśli polityk, to musiał swoje nakłamać, żeby zająć tak wysoko. Więc pieprzyć to wszystko.

Raz, jak byłam bardzo mała, wypowiedziałam to słowo. Kuzyni powiedzieli mi je na ucho, a kiedy je powtórzyłam, wszyscy się zaśmiali, oprócz Babci i Mamy. Mama powiedziała, że to nieładne słowo, że małe dziewczynki tak nie mówią. A właśnie, że mówią! Właśnie, że mówią! – śmiałam się i powiedziałam je jeszcze raz, chowając się za stół, gdzie nie mogła mnie dosięgnąć.

Ale tym razem spojrzała na mnie tak, że zrobiło mi się przykro i nigdy więcej nie powtórzyłam tego słowa, tak żeby Mama słyszała.

Prowadziła naszego starego chevroleta z '57 roku po Canal Road, usiłując trzymać się kolein zostawionych w śniegu przez inne samochody. Rano ulica została odśnieżona, ale śnieg padał przez cały dzień, więc teraz, w nocy, wąska droga była prawie zasypana. Mama modliła się: Święta Mario, Matko Boża! Święta Mario, Matko Boża! – a na tylnym siedzeniu bezwładnie leżała popłakująca cicho szmaciana lalka. Złamanie nogi poniżej kolana, krwawiące opuchnięte rozcięcie nad okiem. I wymioty, smród wymiotów, na szarym kocu. Na drodze nie było innych samochodów. Przednie światła podskakiwały w górę i rozbłyskiwały silniej, płatki śniegu rozbijały się o szybę, każdy podskok i poślizg, hamowanie i szarpnięcie samochodu było ukłuciem bólu, aa! aa! aa! Przy stromym podejździe do mostu na Yewville zasy są tak wysokie, że przednie koła się w nie zapadają. Cofnąć, gazu, cofnąć, gazu, rozkołysać samochód tak, aż siłą rozpędu wjedzie na most.

Jak się czujesz, Skarbie? – Skarbie? – mamusia się tobą zaopiekuje. Nie płacz! Nie płacz!

Później, wystraszona i zła, kiedy samochód jedzie wolno, tak strasznie wolno, niecałe pięć mil na godzinę przez rozkołysany wiatrem, rozdygotany most z desek: Święta Mario, Matko Boża, zmiłuj się nad nami!

Wieża ciśnień przy Church Street. Stromy zjazd w Memorial Avenue, gładki oblodzony chodnik, samochód zaczyna się ślizgać. Przednia opona uderza w krawężnik, aa! aa! Seneca Street, Ontario Street, Locust Street. Ceglany Kościół Episkopalny z wysoką wieżą i dużym witrażem. Siedziba Bell Telephone Co., gdzie mama pracowała jako operatorka, zanim się zakochała i wyszła za mąż za człowieka, który został później moim ojcem; zanim zamieszkała na wsi, dziewięć mil na północ od Yewville, gdzie się urodziłam, gdzie została matką i jej życie się zmieniło, i już nie mogło być takie jak przedtem. A teraz na Locust Street, koło skrzyżowania z Main, pojawiły się samochody jadące nieznośnie wolno w zamieci i mama nie ma wyjścia, musi jechać za nimi, i powtarza, zanosząc się od płaczu: Święta Mario, pomóż nam! Pomóż nam! Pomóż nam, Boże! – jakby to było zaklęcie.

W Szpitalu imienia Opatrzności Bożej na rogu Locust i Van Buren Street przy wejściu stoi choinka migająca czerwonymi światełkami. Parking jest w dwóch trzecich pusty i zasypany śniegiem. Mama parkuje i niesie mnie przez śnieg, kłujący w twarz jak piasek, do jasno oświetlonej recepcji, gdzie za kontuarem siedzi tylko jedna pielęgniarka i zwraca na nas wzrok pełen

zdziwienia i potępienia. Mama zaczyna mówić, a pielęgniarka przerywa jej, oznajmiając, że u nich nie przyjmuje się nagłych wypadków, trzeba jechać do szpitala ogólnego w Yewville, czy nie wie pani, że trafiła pani do niewłaściwego szpitala, a moja mama mówi, moja córeczka potrzebuje pomocy, upadła i zrobiła sobie krzywdę, ma chyba złamaną nogę i chyba poważnie skaleczyła się w głowę, czy może ją zobaczyć lekarz? Bardzo proszę. Zapłacę. Zjawia się druga pielęgniarka i mówi głośno, jakby moja mama niedosłyszała: Proszę pani! Czy mamy powiadomić szpital ogólny? Mamy wezwać karetkę, żeby tam panią zawiozła? Pielęgniarki patrzyły na nas, trzymając się na dystans. Moja młoda matka z rozwianymi rudymi włosami, białą skórą pokrytą piegami jak plamkami rdzy, z fioletowym siniakiem i opuchlizną na prawym policzku. Roztrzęsiona, uginająca się pod ciężarem trzymanego w ramionach dziecka, około czteroletniej dziewczynki owiniętej w koc zaplamiony krwią i wymiocinami. Mama jeszcze raz prosi o lekarza, podniesionym głosem, a pielęgniarki, także podnosząc głos, mówią, musi pani jechać do szpitala ogólnego, u nas nie ma dziś lekarza na dyżurze i nie przyjmujemy nagłych wypadków, a moja mama pyta, błaga, to może panie ją obejrzą? Proszę nam pomóc, bardzo proszę, i podchodzi do nich, na co pielęgniarki mówią ostrzejszym tonem: Przykro nam, proszę pani, musi się pani udać do szpitala ogólnego, w naszym szpitalu nie przyjmuje się nagłych wypadków, a moja mama zaczyna krzyczeć: Co z was za pielęgniarki? Od czego jesteście pielęgniarkami! Moja córka krwawi, boli ją, do cholery! – starsza z pielęgniarek mówi wtedy, rozgniewana: Musimy panią prosić o opuszczenie terenu szpitala, podnosi słuchawkę i grozi, że wezwie policję. Mama daje za wygraną, płacząc i klnąc, wynosi mnie z powrotem do samochodu, który została na światłach i nie zamknęła tylnych drzwi, tak że na tylne siedzenie zdążyło już napadać trochę śniegu.

Skreśliła w Van Buren Street, przejechała przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, a potem utknęła za piaskarką, jadącą pięć mil na godzinę, aż do East Avenue, gdzie mieści się szpital ogólny w Yewville, Ciocia Irene miała tam operację i kiedyś w niedzielę byłam u niej z wizytą. Ale nie podjeżdżamy do głównego wejścia, mama zajeżdża od tyłu, gdzie parking jest zasypany śniegiem i też prawie pusty, zatrzymuje się przy krawężniku i niesie mnie, o mało się nie przewracając, do kolejnej rześiście oświetlonej recepcji, większej niż poprzednia, w poczekalni nikogo nie ma, a przy biurku siedzi kobieta i pyta: Słucham? O co chodzi? Jak mogę pani pomóc? – a mama mówi, szybko i z przestraczem, jakby wiedziała, że zostanie odesłana z kwitkiem: Moja córka krwawi, muszę się widzieć z lekarzem! – i mija biurko re-

cepcjonistki, podchodzi do wahadłowych drzwi z napisem „WSTĘP WZBRO-
NIONY NAGŁE WYPADKI”, ale kobieta woła za nią: Tam nie wolno, proszę
pani! Młody mężczyzna w białym fartuchu zagradza jej drogę, a mama mówi:
Potrzebujemy lekarza, proszę nam pomóc, moja córka ma poważne rany,
głowa! Noga! Chyba ma złamaną nogę, proszę nam pomóc! Głos miała piskli-
wy, a oczy dzikie, jakby była pijana. Jakaś pielęgniarka mówi: Najpierw musi
się pani zarejestrować w recepcji. Słyszysz pani? Najpierw musi się pani zareje-
strować w recepcji. Mama błaga młodego mężczyznę: Panie Doktorze! Proszę
nam pomóc, proszę zbadać moją córkę! Uderzyła się w główkę, jak biegła,
upadła i chyba złamała nogę, proszę, panie doktorze! Podniosła głos, jakby
chciała zapobiec temu, by jej przerwał i powiedział, że nie jest lekarzem, że
nie może pomóc.

Mama jest chuda, nikt by nie powiedział, że będzie miała dość siły, żeby
mnie nosić, żeby przez tyle czasu trzymać mnie na rękach. W ramionach
naprężają jej się twarde mięśnie, jakby oddzielały się od kości.

Wszyscy w tym jasno oświetlonym miejscu patrzą na bezwładną szmacianą
lalkę, która krwawi z rany nad lewym okiem. Zawiniętą w brudny koc. Rude
loki rozczochrane jak szczurze gniazdo.

Silny zapach gryzie mnie w nos jak u dentysty. Mama tuli mnie i szepcze,
Skarbie, już wszystko dobrze, już jesteś bezpieczna, Skarbie, ale jakiś kobiecy
głos powtarza wciąż, że w szpitalu ogólnym w Yewville nie przyjmuje się pa-
cjentów, którzy nie wypełnili uprzednio w recepcji odpowiednich formularzy,
poza tym potrzebny jest numer polisy ubezpieczeniowej, tak głosi regulamin
szpitala, takie obowiązują przepisy w stanie Nowy Jork. Na stole stoi metro-
wa sztuczna choinka ze srebrnym łańcuchem, błyszczący śnieg osypał się na
zielony obrus. Pod choinką leżą zapakowane w kolorowy papier prezenty,
które, gdyby je podnieść, okazałyby się tak naprawdę pustymi pudełkami.
Z radia na biurku w recepcji słychać dźwięki *Rudolfa, czerwono-nosego Renife-
ra*. Mama mówi proszącym tonem: Nie znam numeru naszej polisy, nie wiem,
jak się nazywa nasza polisa, wyszłam z domu bez portfela i dokumentów,
mówi szybko, żeby nie mogli wejść jej w słowo, a potem wpada w złość
i krzyczy: Przyjmiecie to dziecko! Jest chore, jest ranne, do jasnej cholery!
Pielęgniarka, starsza kobieta o włosach koloru brzoskwini z krótką grzywką,
odpowiada ze stalowym spokojem: To jest szpital prywatny, proszę pani, nie
mamy obowiązku przyjmować pacjentów, którym ubezpieczalnia nie pokry-
wa kosztów leczenia, więc proszę dostosować się do naszych... a mama krzy-
czy: Przecież już mówiłam! Nie mam przy sobie portfela! Zresztą szkoda cza-
su! To nagły wypadek! Ramiona jej słabną i o mało nie upuszcza mnie na

podłogę, niosąc mnie na sofę w poczekalni. Teraz głosy stają się donośniejsze, bardziej nieprzychylnie i jest ich więcej, a mama mówi, wściekła: Myślicie, że jesteśmy hołotą, prawda, białą hołotą! Jesteśmy biedni, mieszkamy na wsi, więc się nie liczymy, jesteśmy gównem na waszych butach, tak?! Nowa osoba, starszy mężczyzna w białym fartuchu, tym razem lekarz, pyta, co się dzieje, i pielęgniarka mu wyjaśnia, ale moja mama przerywa: Nie pozwolicie mojej córce umrzeć, przekłete sukinsyny, nie pozwolicie mojej córce umrzeć, i wyciąga z kieszeni płaszcz pistolet, i wymachuje im przed oczyma, ręce jej drżą, oczy płoną dzikością i strachem, a wszyscy wydają z siebie ciche okrzyki och! och! i cofają się zdumieni, z przerażeniem w oczach, jak zwierzęta oświetlone reflektorami pędzącego samochodu, ale mama upuszcza pistolet i szlocha: Niech was diabli, niech was wszyscy diabli, pozwala, by pistolet upadł z brzdękiem na podłogę i przez chwilę nie słychać nic prócz końcówki wesołej melodii *Rudolf, czerwono nosy Renifer* w radiu.

Wreszcie starszy pan, lekarz, schyla się po pistolet. Podaje go młodemu i każe wezwać policję.

A mama stoi przed nimi i dyszy, jakby długo biegła, kręci głową, jakby usiłowała się otrząsnąć, obudzić. Lekarz mówi: Dobrze, obejrzę pani córkę, ale pani zostanie tutaj do przyjazdu policji. Rozumie pani? Zostanie pani tutaj. A mama mówi, ruszając wolno wargami: Tak, panie doktorze.

Do sofy, na której leżę, podchodzą sanitariusze z noszami, kładą mnie na nich, mama chce pomóc, ale nie pozwalają jej podejść. Patrzy na mnie i widzi brzydkie, siniejące rozcięcie na czole, półotwarte zaślinione usta, zakrwawiony korzeń wybitego przedniego zęba, koc rozchyła się, ukazując niespodziankę – truskawkowoczerwoną bluzę, uszytą przez Babcię, która mnie kocha. Białe wełniane skarpetki i błyszczące skórzane buciki, i chuda noga wisząca bezwładnie, opuchnięta pod kolanem, jak po użądleniu olbrzymiej pszczoły.

W radiu szczęśliwy kobiecy głos śpiewa *Walking in the Winter Wonder-Land*.

Kobieta, która jest moją matką, przygląda się, jak znikam za drzwiami izby przyjęć nagłych wypadków szpitala ogólnego w Yewville w stanie Nowy Jork, o godzinie dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć w Boże Narodzenie 1962 roku. Zaciska dłonie w pięści, głowę ma lekko spuszczoną, jakby ukrywała własne obrażenia, porusza wargami i wybucha płaczem, zanoszą się wściekłym, bezradnym szlochem, tak jakby teraz, gdy dopięła swego, gdy zobaczyła, jak obcy ludzie zabierają jej dziecko, gdy owi obcy ludzie ulegli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jej zdesperowanej woli, wnosząc mnie za drzwi opatrzone napisem „WSTĘP WZBRONIONY NAGLE WYPADKI”,

zrzekała się mnie na zawsze. To koniec.

Pasja Rydcie Mather

Rydcie Mather, lat pięćdziesiąt jeden, robi ostatni kurs. Od piętnastu lat za kierownicą jaskrawożółtego szkolnego autobusu z czarnymi napisami na bokach „GIMNAZJUM W HARTSHILL” zawozi dzieci do szkoły i po lekcjach rozwozi do domów. Pojazd cały się trzęsie, rzęzi. Hamulce skrzeczą jak gęś, której ukręca się szyję. Przez cały dzień padało, ale teraz, po południu, niebo jest oślepiająco białe, jak metalizowana powierzchnia, tylko miejscami przedzewiała.

Rydcie zatrzymuje się na Shepherd Road. Wsiadają tu Bobby Stitt, siostry Harkness i Dewey Laird. Później ostry skręt w Trumper Street i wysiada Joan Caen. Przy Ferry Street, gdzie odbudowano stary arsenał z widokiem na rzekę Yewville, wysiadają dzieci, które mieszkają w szeregowych domkach wybudowanych niegdyś przez młynarzy, między innymi Byron i Marinda Cassowie, jedyne czarne dzieci, jakie jeżdżą w tym roku szkolnym autobusem. Gdy Rydcie zatrzymuje się i włącza światła awaryjne, żadnemu kierowcy nie wolno jej wyprzedzać – tak głosi prawo stanowe, a Rydcie pilnuje, by nikt go nie naruszył ani na jotę. Nie ma oporów przed używaniem klaksonu, naciska go długo, z całej siły. Nawet dziś, w dniu, który ma być ostatnim, jest skupiona, uważna. Może tylko nieco mocniej niż zwykle zaciska ręce na kierownicy.

Gdy Rydcie zapala silnik, wrzuca pierwszy bieg i wciska pedał gazu, autobus wzdryga się i z trudem rusza z miejsca; opony cieszą ucho cichym piśkiem. Co więksi chuligani – Bobo Lundt, Pete Erlicht – naśladują odgłos silnika albo ściszywszy głos, wołają: „Gazu, Mather!”. Rydcie nigdy nie dała po sobie poznać, że słyszy te okrzyki; tego popołudnia też niczego po niej znać. Prowadzi z dumnie uniesioną głową, wyprostowana, ze wzrokiem skierowanym przed siebie. Jest wysoka i szeroka w ramionach, cerę ma ciemną i ziarnistą, jak bejcowane drewno, jej twarz nosi groźny wyraz, niczym maska wyrzeźbiona na totemowym palu. Przez ostatni rok w ciemnych, matowych włosach Rydcie pojawiły się białe pasma, jak u skunksa, co nadało jej wygląd zawadiaki. Dzieci, które wozi autobusem, nigdy na nią nie patrzą, więc z upływem lat sama dla siebie też stała się niewidzialna. Ma to swoje plusy.

Skrecając w Post Road, Rydcie wdaje się w rozmowę z Graeme'em Stearnsem z ósmej klasy, który mieszka przy Shanker Road, przecznicy Post, trzy przystanki za mostem. Graeme to pucołowaty trzynastolatek w okularach w rogowych oprawkach, które nadają jego twarzy skupiony, uprzejmy wyraz prezentera telewizyjnych wiadomości; siedzi z przodu, jak kilkoro innych

dzieci, by uniknąć wyzwisk i co rusz wybuchających z tyłu bójek na pięści, których Rydcie przez ostatnich kilka tygodni nie kontrolowała tak ostro jak dotąd. Bobo, Pete, Budd Schier – ich głupiutkie koleżanki, Betsey Ann Waller, Irene McGhee – ich niby dowcipne zaczepki, kwiczący śmiech i szaleńczy rytm wzbronionego w autobusie radia tranzystorowego, grającego cicho, niemniej wyraźnie słyszalnego: grzeczne, spokojne, potulne dzieci takie jak Graeme trzymają się od tego wszystkiego z dala, siadają bliżej kierowcy i ufają, że to je uchroni od wszelkiego zła. Bliskość kierowcy oznacza bezpieczeństwo.

Ileż to razy Graeme Stearns opowie potem, co zapamiętał z tej bodaj ostatniej rozmowy z Rydcie Mather przed wypadkiem! – będzie ją relacjonował, z coraz to innymi ozdobnikami, przez całe życie.

Prowadząc autobus ledwo zauważalnie szybciej niż zwykle i dość mocno szarpiąc, Rydcie zdejmując jedną rękę z kierownicy, wskazuje przez przednią szybę na niezabudowaną, częściowo zalesioną połąć ziemi i mówi do Graeme'a, bez żadnego wstępu, zupełnie niespodziewanie:

– Kiedyś, kilka milionów lat temu, wszędzie tu był lodowiec. Potem się roztopił i wszystko zalała woda, wielkie *morze*. To wieczny ruch, odwieczna zmiana, która nie ma końca. Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Schrypty głos Rydcie, ostry jak kuchenny drapak, brzmi tak, jakby od dłuższego czasu nie był używany. Graeme najpierw jest zaskoczony i nie wie, czy Rydcie na pewno zwraca się do niego – przez blisko dwa lata, podczas których dojeżdżał do szkoły autobusem, nigdy wcześniej się do niego nie odezwała, zresztą do nikogo specjalnie się nie odzywała, chyba że musiała udzielić nagany. Ale Rydcie patrzy na niego spod zmrużonych powiek, więc Graeme już nie wątpi, że właśnie do niego kieruje słowa:

– To się nazywa bezustanny ruch.

Chłopcu, który zawsze zbierał najlepsze oceny, odruchowo wyrwało się:

– Nie da się zbudować takiej maszyny, którą można by wprawić w bezustanny ruch.

Rydcie jeszcze bardziej mruży oczy.

– Tak? Niby dlaczego? – pyta ostrym tonem.

Graeme zastanawia się chwilę.

– Tak nam powiedziała pani od fizyki. Po prostu się nie da, i już.

Rydcie pogardliwie prychnął, lecz nie odzywa się już ani słowem.

Na Shanker Road hamuje i autobus staje. Wsiada tu Graeme i jeszcze dwoje dzieci. Jest godzina piętnasta trzydzieści pięć w czwartek, 18 kwietnia. Deszcz pomału ustaje, ale Yewville, płynąca ćwierć mili dalej pod wzgórzem

Post Road, jest wezbrana i wartka po kilkudniowych opadach.

Ponieważ Rydcie budziła w ludziach obawę, zwracali się do niej często nie po imieniu, lecz bardziej formalnie, „Pani Mather”. Dopiero po jej śmierci znający ją od dawna mieszkańcy Hartshill dowiedzieli się z gazety, że miała na imię Eurydice.

Niektórzy przypomnieli sobie wówczas, że miała młodszą siostrę, po której w okolicy dawno słuch zaginął. Siostra też nazywała się dość dziwacznie – Gonne. Zdrobniła forma Antigone.

Imiona zapewne wybrał dla córek świętej pamięci Orren Mather. Był cenionym w okolicy prawnikiem, który niefortunnie zainwestował majątek i zmarł wskutek wypadku, spadłszy po pijanemu z konia. Mather był świetnym kompanem do wypitki, miał tylko jedną nieznośną wadę, nawyk przytaczania mądrze brzmiących cytatów z – co to właściwie było, greka? łacina? – a może Biblia? (Jeśli jednak Orren Mather cytował Biblię, to z pewnością żaden ze znanych wersetów).

Po skandalicznej śmierci ojca, piastując jeszcze szacowną posadę bibliotekarki w bibliotece publicznej w Hartshill (w starym budynku z piaskowca na tyłach sądu, nie w tym nowym, z elewacją ze szkła, przy Trumper Road), biedna Rydcie próbowała opublikować jego rękopis – tysiąc stron przekładów jakichś greckich tragedii, nad którymi, jak niosła wieść, Mather pracował przez ćwierć wieku. Nie miała jednak szczęścia i odrzucony przez wydawców rękopis odkrył później wykonawca jej testamentu w rodzinnym sejfie Matherów w banku oszczędnościowo-kredytowym First Chautauqua.

Dalsze losy rękopisu nie są znane.

Z wyjątkiem trzech i pół roku studiów bibliotekoznawczych na uniwersytecie stanowym Rydcie przez całe życie mieszkała z rodzicami – po śmierci ojca już tylko z matką – przy Church Street, w domku w stylu kolonialnym koloru otoczków. Była wysoka i chuda, miała grube ciemne brwi, charakterystycznie wytrzeszczone oczy, jak wszyscy cierpiący na nadczynność tarczycy, i rozszczepiony podbródek jak świętej pamięci Orren Mather; sprawiała wrażenie wiecznie najeżonej, zniecierpliwionej. Już w szkole średniej Rydcie określiła się jako „niepraktykująca niechrześcijanka”, „czysta racjonalistka”. Niemniej jednak co niedziela o godzinie jedenastej, jeśli tylko pani Mather czuła się na siłach, Rydcie przyprowadzała ją na nabożeństwo do kościoła luterańskiego.

Pani Mather chodziła do tego kościoła przez całe życie. Przeżyła kilku pastorów i wszystkich ich ciepło wspominała, tak jakby – podobnie jak jej mąż

– odpadli gdzieś na trasie maratonu, nie wiedząc nawet, gdzie jest meta, ona zaś, Violet Mather, mimo swoich licznych dolegliwości parła naprzód – „Co dzień, co godzina dziękuję Bogu najwyższemu za wszystkie dary, które mi zesłał!”.

Jeśli Rydcie słyszała te słowa, wzdychała, przewracała oczami i burczała: „Mamo, a ty znowu swoje!”.

Matka i córka, siedzące w ławce naprzeciwko ambony, stanowiły stałe elementy niedzielnego nabożeństwa. Pani Mather była pogodna i zawsze życzliwie uśmiechnięta, o obfitych kształtach; potrójny podbródek, pulchne ramiona i obrzmiałe nogi sprawiały, że wyglądała, jakby niczym w wodzie unosiła się w fałdach spowijających ją tkanin – spódnic i halek, i solidnej bielizny koloru cielistego. Rydcie była groźna, wyprostowana, nieprzystępna. Gdy wielebny Cogdon głosił kazanie, mniej więcej do połowy pani Mather słuchała go uważnie, później zaś na jej bladej, upudrowanej twarzy pojawiał się wyraz coraz większej senności i zapadała w drzemkę. Siedząca obok niej Rydcie nieprzerwanie słuchała i patrzyła na pastora – po prostu patrzyła, jakby pobożne formułki zgrabnie ujęte w słowa i inwokacje do Jezusa Chrystusa nie zasługiwały nawet na pogardę. Pod jej kamiennym spojrzeniem wielebny Cogdon, który miał koło trzydziestu lat, lecz sprawiał wrażenie starszego, pocił się i zacinał. Musiał przyznać, choć była to dla niego prawda bolesna, że Rydcie, jedyna w całym kościele osoba niewierząca, jako jedyna też uważnie wysłuchiwała jego słów.

Pani Mather, wzorowa chrześcijanka, była zadowolona z życia, nawet wtedy, gdy miała trudności z oddychaniem czy gdy jej małe, kształtne dłonie puchły od reumatyzmu. Mawiała: „Popatrz tylko na tych nieszczęśników, którym żyje się o tyle gorzej od nas! Są wszędzie, gdzie się obejrzeć”. Dużo czasu spędzała przed telewizorem i rzadko kiedy nie trafiała na relację o ludziach, którym wiodło się gorzej niż jej.

Rydcie, która kochała matkę, myślała czasami o tym, że jej życie to prawie wyłącznie rutyna. Niosąca pociechę. Zapewniająca nieskomplikowane szczęście. Nawet luteranizm pani Mather był w istocie pewnego rodzaju rutyną – podobnie jak tęsknie wyczekiwane posiłki i pogryzane między posiłkami łakocie, długie popołudniowe drzemki, wizyty u znajomych, których krąg coraz bardziej się zawężał, programy telewizyjne i towarzystwo kanarka Zasu. Co wieczór, kładąc się z pomocą Rydcie do łóżka, pocieszana słodyczami (najbardziej lubiła marmurkowe lody malinowe i ciasto czekoladowe), pani Mather wzdychała: „Pan ma mnie w opiece, nie lękam się niczego!” i drżąc z niecierpliwości, cieszyła się na sen, który kochała nade wszystko.

ko, nawet bardziej niż jedzenie. Rydcie chrząkała, pomagając matce ułożyć na łóżku nogi i oprzeć się wygodnie o poduszki wypchane gęsim pierzem; czasem krzywiła się lub wzdychała: „Oj, mamó, mamó”. Nigdy jednak nie padło z jej ust żadne ostre słowo.

Nigdy też nie powiedziała na głos, w zasięgu słuchu matki: „No dobrze, mamó – a co ze mną?”.

Rydcie była jedną z dwóch bibliotekarek w bibliotece publicznej w Hartshill i wyraźnie była oddana swojej pracy. Ale po wypadku, który zwrócił na nią uwagę mieszkańców miasteczka i zjednał spory podziw, nagle bez słowa wyjaśnienia złożyła wypowiedzenie.

A oto co się wydarzyło: pewnej czerwcowej niedzieli po południu Rydcie wybrała się do War Memorial Park, gdzie często samotnie spacerowała w weekendy; kiedy wynurzyła się z zagajnika i szła brzegiem jeziora, nagle wywrócił się kajak, w którym siedziała para młodych ludzi (pewnie popychali się dla zabawy). Oboje wpadli do wody, krzyczeli i wymachiwali rękami. Nie wahając się ani chwili, Rydcie zrzuciła buty i weszła do wody, wołając: „Spokojnie! Już płynę!”. W ubraniu rzuciła się na głębiny i popłynęła w stronę kajaka, którego kurczowo trzymał się młodzieniec, kwicząc jak zarzynane prosię, kawałek dalej zaś dziewczyna zachłystywała się, krztusiła i bezradnie biła rękami o wodę. „Już płynę! Jestem przy tobie!” – zawołała Rydcie.

Jakby ani przez chwilę nie brała pod uwagę tego, że w tak trudnej sytuacji jej samej także może grozić niebezpieczeństwo – tam, gdzie wywrócił się kajak, jezioro było głębokie, a Rydcie nie była dobrą pływaczką.

Jakby w ogóle nie brała pod uwagę innego biegu wydarzeń. Zrobiła to, co miała zrobić – uratowała tonącą dziewczynę.

Podpłynęła do Amandy Curle, schwyciła ją mocno za długie blond włosy, otoczyła ramieniem, po krótkiej szarpaninie obezwładniła i zaholowała do brzegu.

Zanim wyciągnęła Amandę na brzeg, dziewczyna straciła przytomność. Rydcie przykucnęła nad nią i podjęła reanimację usta-usta, rytmicznie odliczając po cichu *dwanaście razy na minutę! dwanaście razy na minutę!*, aż dziewczyna znów zaczęła oddychać, pojękując, kasłając i wymiotując wodą z jeziora. Tymczasem zbiegła się grupka ludzi gotowych do pomocy. Chłopak wciąż trzymał się kajaka i wołał o pomoc: Rydcie całkowicie go zignorowała.

Rydcie podniosła się, zachwiawszy się na nogach. Czy знаła dwudziestodwuletnią Amandę Curle, która leżała na trawiastym brzegu wśród kaczych i gęsim odchodów, której włosy nabrały odcienia mokrego piasku, a skóra

chorobliwej bladości i ciastowatości, której kwiciasta sukienka na ramiączkach przylegała ściśle do młodego ciała? Mogła ją przecież widywać w bibliotece, kilka lat wcześniej, gdy dziewczyna przychodziła korzystać z książek potrzebnych do odrabiania zadań domowych; prawdopodobnie nie raz zwracała uwagę Amandzie i jej koleżankom, zirytowana ich szeptami, chichotami, przekazywaniem sobie liścików i zakłócaniem obowiązującego w bibliotece nastroju skupienia, którego Rydcie Mather zamierzała zdecydowanie bronić. Nie pamiętała jednak Amandy Curle, nie miała powodu, by ją pamiętać.

Teraz, kiedy zebrało się wokół nich tylu ludzi, Rydcie chciała tylko niepostrzeżenie odejść.

Wzięła buty do ręki i ruszyła w swoją stronę. Próbowano ją zatrzymać, ale szła dalej. Była do głębi zażenowana tym, że zwróciła na siebie uwagę; pokonując szybkim krokiem dwie mile dzielące ją od domu, od Church Street, zauważyła, że ludzie dziwnie na nią patrzą i uśmiechają się na jej widok pod nosem. Aż się dławiała z irytacji i złości. Jakże musiała stanowić widowisko, doszczętnie przemoczona, i ubranie, i włosy! Cóż za gratka dla prześmiewców i gapiów!

Dopiero po kilku godzinach dotarło do niej – uderzyło ją jak fizyczny cios – że ocalała ludzkie życie.

Ocalała ludzkie życie, nie wiedząc, co robi, nie wskutek świadomej decyzji.

Była jeszcze kwestia oddychania usta-usta.

Świadkowie zaklinali się, że Rydcie Mather najwyraźniej wiedziała, co robi, lecz w rzeczywistości Rydcie przeszła szkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy szesnaście lat przedtem, na studiach, i odtąd nie wracała do tego myślą. Była pewna, że nie wracała do tego myślą.

A jednak pamiętała. Wszystko na to wskazywało.

Podobnie z pływaniem. Uratowała tonącą, szarpiącą się dziewczynę. W dzieciństwie Rydcie uwielbiała pływać, ale stroniła od wody przez ostatnie – ile to lat? Dziesięć?

Nie dlatego, że bała się wody. Lubiła pływać, ale na myśl o tym, że miałyby pokazywać ciało w mokrym, ciasno przylegającym kostiumie kąpielowym, odczuwała wstręt.

Odsłaniać się przed obcymi ludźmi. Wystawiać się na ich grubiańskie uwagi, ich porozumiewawcze uśmieszki.

Na wspomnienie trupio zimnych, miękkich ust Amandy Curle Rydcie przeżywał dreszcz. Gwałtowny paroksyzm, od którego robiło jej się słabo, nie

mogła złapać tchu. Wargi odsłaniające zęby, język o smaku wody bagiennej. Oddech, który dopiero Rydcie Mather musiała siłą z niej wydobyć.

Nocą, we śnie, Rydcie czuła smak warg Amandy Curle. Oczy uciekały jej wtedy w głąb czaszki, jakby to ona tonęła.

Oczywiście w takim miasteczku jak Hartshill, gdzie nic się nigdy nie dzieje, Rydcie nie mogła uniknąć rozgłosu towarzyszącego jej „odważnemu”, „bohaterskiemu” czynowi.

Czyż nie była uosobieniem „dobrego Samarytanina”, kiedy siedziała tak, z kamienną twarzą, kryjąc zażenowanie, w ławce naprzeciwko ambony, z której ożywiony i zarumieniony wielebny Cogdon wygłaszał najbardziej płomienne kazanie od miesięcy?

Do pewnego stopnia musiała dostosować się do stawianych jej wymagań. Wprawdzie niechętnie i z grobową miną, ale pozowała do zdjęcia do miejscowej „Gazette”; gdyby odmówiła, jej matka, która z macierzyńskiej dumy odchodziła od zmysłów, ani chybi by zemdląła. Rydcie musiała też przyjąć wylewne, łzawe podziękowania od Amandy Curle i jej rodziny, a była to liczna rodzina, w jej skład wchodził nawet dziewięćdziesięciosześcioletni przodek płci nieokreślonej na wózku inwalidzkim. (Jakże inaczej Amanda wyglądała wyprostowana, z olśniewającymi lokami suchych włosów, z rumieńcem na policzkach i błyskiem wdzięczności w szeroko rozstawionych oczach, błękitnych jak u niemowlęcia. Była piękną dziewczyną, którą Rydcie jednak pamiętała z biblioteki, z uczuciem przykrości).

Nawet w bibliotece, gdzie Rydcie zwykle rządziła i bez trudu przywoływała do porządku zakłócających ciszę czytelników groźnymi spojrzeniami pełnymi nieskrywanej dezaprobaty, nagle stała się osobą, do której każdy ma dostęp – ludzie śmiało podchodzili, żeby uścisnąć jej rękę i wyrazić podziw dla jej „bohaterstwa”, jej „odwagi”. Kiedy czerwona jak burak Rydcie mamrotała: „Boże drogi, przecież nie zrobiłam niczego, czego nie zrobiłby na moim miejscu każdy inny człowiek”, odpowiadały jej entuzjastyczne sprostowania, tak jakby wszyscy znali ją lepiej niż ona siebie: „O, nieprawda, Rydcie Mather! Zachowałaś się wyjątkowo!”.

Długo to trwało. Tygodniami, miesiącami. Całe Hartshill przyglądało jej się, mimo iż nie wyraziła na to zgody. Uśmiechało się. Szeptano. Wytykało ją sobie palcami. *Tak, to ona. Ta Mather, wiecie która. Ta, co uratowała tonącą dziewczynę.*

Rydcie była chora z furii. Jak bowiem miała znosić ten cyrk, skoro wiedziała, że zdjęła buty i ślepo rzuciła się do wody na ratunek Amandzie Curle

tylko dlatego, że pchnęła ją do tego jakaś siła – nie była to świadoma myśl, nie była to *jej decyzja*. Jakby nieopatrznie dotknęła drutu pod napięciem i przepłynął przez nią prąd, i połączył z tonącą dziewczyną, by zamknął się obwód.

Któregoś wieczoru, gdy pani Mather podziwiała tanią odznakę z brązu, dar miasta Hartshill dla *Eurydice Mather* wręczony z okazji święta 4 Lipca, Rydcie powiedziała z pogardą w głosie:

– Mamo, zrozum wreszcie: tę dziewczynę ocaliła jakaś siła, która kazała mi działać. Ja byłam tylko *narzędziem*.

Pani Mather uśmiechnęła się w odpowiedzi i z irytującym spokojem odparła:

– To właśnie, córeczko, ludzie rozumieją pod pojęciem Boga. *Bóg zadziałał przez ciebie*.

Przez chwilę Rydcie była tak zszokowana, że nie mogła zaprotestować. Wreszcie odparła, bez większego przekonania:

– Ale... ja nie wierzę w Boga. Jestem ponad to.

Pani Mather nadal najspokojniej w świecie się uśmiechała.

– Nieprawda, „Eurydice Mather”. Nieprawda.

Wkrótce potem, ku zdumieniu Hartshill i niezadowoleniu biednej Violet Mather, Rydcie zrezygnowała z posady w bibliotece, gdzie przepracowała z niekwestionowanym oddaniem jedenaście lat.

Następnie podjęła starania o licencję kierowcy autobusu szkolnego w stanie Nowy Jork. Przeszła wymagane szkolenie i zarówno egzamin z teorii, jak i jazdę po mieście zdała ze świetnym wynikiem. Miała trzydzieści sześć lat.

W ten sposób, z mściwym zapałem, Rydcie Mather rozpoczęła nowe życie. W roku szkolnym prowadziła autobus, latem pracowała dorywczo w ogrodnictwie, w Cale's Country Produce. Nie tłumaczyła swojego zachowania, a mało kto ważył się prosić ją o wyjaśnienie.

Pani Mather wzdychała w rozmowie z przyjaciółkami: „Niezbadane są czasem ścieżki Pana!”. Przezornie nie narzekała jednak przy córce. Wiedziała, jaki Rydcie ma temperament, mimo iż światu pokazywała niewzruszoną, pokerową twarz.

Widziano Rydcie, jak z wyrazem mściwej satysfakcji postawiła na ladzie sklepu Second-Time-Around karton ze swoimi starymi żakietami, sukienkami, bluzkami, spódnicami i „porządnyymi” butami i zażądała za całość niebagatelnej sumy. Następnie na polecenie w K Mart obkupiła się w męskie rzeczy –

ubrania z wełny, džinsu, gabardyny, zwykłe koszule flanelowe, rękawice. I buty z cholewami! Ze skaju. Buty do kolan z plastikowym połyskiem. Miasto wymagało, by stróże porządku, jak się ich zwało, nosili identyfikatory z nazwiskiem i zdjęciem; Rydcie nosiła identyfikator przypięty niedbale na piersi. W zimne dni ubierała się w obszerny kozuch; przez resztę roku w kurtki przypominające krojem mundur.

Widać było, że Rydcie lubi kierować autobusem, który przypisało jej miasteczko Hartshill. Manewrowanie niezgrabną masą żelastwa na ostrych zakrętach, wymuszanie pierwszeństwa na skrzyżowaniach, trąbienie, wciskanie hamulców i włączanie świateł awaryjnych, by zatrzymać ruch w obie strony – to była siła, to była władza i Rydcie się nią delectowała. Z jej opuszczonych kącików ust i wytrzeszczonych oczu biła niezłomna ironia.

Jej zadanie polegało na dowożeniu i odwożeniu dzieci z gimnazjum Hartshill, a trasa przejazdu przez blisko piętnaście lat pozostała ta sama. Podczas roku szkolnego codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel, od godziny siódmej czterdzieści pięć do ósmej dwadzieścia pięć, potem od piętnastej dwadzieścia do szesnastej. Kierowane przez nią autobusy pochodziły z fabryki International Harvester. Osiemnaście rzędów po dwa siedzenia, razem trzydzieści sześć miejsc dla pasażerów.

Dzieci, które jeździły autobusem Rydcie, miały przeważnie od dwunastu do czternastu lat. Rydcie rzadko zadawała sobie trud nauczenia się ich nazwisk czy choćby twarzy, trochę dlatego, że w jej oczach były efemeryczne, bo nigdy nie jeździły autobusem dłużej niż trzy lata, trochę też dlatego, że nie lubiła dzieci. Wyjątek stanowiły sytuacje, gdy któryś pasażer z niewyjaśnionego powodu się do niej odezwał czy też, co zdarzało się częściej, zwrócił na siebie jej uwagę jako „chuligan”. W świadomości Rydcie dzieci po prostu *były*. Rodzicami niektórych byli jej sąsiedzi lub dawni szkolni znajomi, mimo to jednak nie rozróżniała znajomych i obcych, dzieci po prostu *były*: taki sam ładunek do przewozu jak każdy inny.

Początkowo matka często pytała Rydcie, jak jej się udał dzień, a ona odpowiadała wtedy ze śmiechem: „Mamo, daj spokój! Dzień taki sam jak zwykle, trasa zawsze ta sama, więc po co pytać?”. Pani Mather nigdy nie wiedziała, czy jej dziwna córka w ten sposób ją strofuje, czy też dzieli się melancholijno-ironicznym spostrzeżeniem.

W końcu przestała pytać.

Z biegiem czasu zdechł kanarek Zasu i na jego miejsce nastał Tootsie; gdy zdechł Tootsie, nastał Pippa. Wszystkie były żółtymi samczykami i natchnio-

nymi, radosnymi śpiewakami, poza okresem pierzenia, kiedy ich miniaturowe piórka zaścielały dno klatki i zaśmiecały kuchenną podłogę.

Co wieczór o zmroku Rydcie nakrywała klatkę grubą ciemną tkaniną, ponieważ jej matka wierzyła, że kanarek inaczej by nie usnął. Często jednak ptak już o tej porze spał, stojąc na jednej nodze na najwyższym drążku, z główką schowaną pod skrzydłem.

„Cholerne kanarki – utyskiwała pod nosem Rydcie. – Zawracanie głowy z wami”.

Gdy pani Mather kończyła oglądać telewizję, Rydcie ją z kolei kładła spać. Ceremonia ta stawała się z biegiem lat coraz bardziej skomplikowana i uciążliwa, zarówno dla matki, jak i dla córki. Pani Mather cierpiała na zmiany reumatyczne w dłoniach, kostkach i krzyżu, więc sen nie przychodził tak łatwo jak wcześniej. W gorsze noce musiała spać, czy raczej drzemać, prawie na siedząco, oparta o stertę grubych poduszek. Mimo to rzadko się skarżyła. Była chrześcijanką. Czasami, ku obrzydzeniu Rydcie, drżała w oczekiwaniu na sen, z niemal zmysłowym zapamiętaniem; oczy zachodziły jej mgłą, a usta, zapadłe po wyjęciu sztucznej szczęki, rozciągały się w słabym uśmiechu. Chwytała dłoń córki i szeptała:

– Och, Rydcie, tak ci dziękuję! I Jemu niech będą dzięki!

Rydcie odpowiadała ponurym skrzywieniem. „Tak, mamó” – mówiły jej wargi.

Nocami przewracanie się w wilgotnej pościeli. Szalony księżyc zagląda przez okno. Te zimne, podatne usta na jej ustach – ssące, ciągnące ją w dół. Zgodnie z wolą boską.

Bóg: w Którego Rydcie nie wierzyła, o Którym jednak nie mogła myśleć bez przyływu gniewu.

„Ale, ale – czy to nie Rydcie Mather?”.

Rydcie, w sztruksowych spodniach, wełnianej koszuli z kieszeniami na piersiach i zniszczonych butach ze skaju, spieszyła się do samochodu zaparkowanego na tyłach supermarketu A&P w Hartshill; kiedy usłyszała zdumiony, radosny głos, zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć, i ujrzała – nie śliczną, młodą Amandę Curle, lecz piersiastą kobietę o spalonych trwałą włosach i brzydkiej cerze, którą stała się Amanda Curle. Rydcie patrzyła na nią neruchomo. Przez całe lata udawało jej się unikać spotkania z Amandą Curle – schodziła z drogi wszystkim Curle’om, jeśli tylko w porę ich dostrzegała –

i całkowicie wyrzuciła ją ze swoich myśli. (Chociaż może nie? Nie wiedząc skąd, Rydcie знаła fakty z życia dziewczyny, której uratowała życie. Amanda była na tyle rozsądna, że nie wyszła za tego wieprzowatego tchórza, który uchwycił się kajaka, a jej pozwalał tonąć, wyszła za męża za innego miejscowego i zaczęła rodzić dzieci, jak większość młodych kobiet z jej pokolenia w Hartshill). A oto, ni stąd, ni zowąd, cięższa o piętnaście kilo, kordialnie uśmiechnięta Amanda podchodzi do Rydcie, jakby były przyjaciółkami od piaskownicy. Wyglądała tak pospolicie jak typowa mężatka! Miała ze sobą nawet żółtowłosą dziewczynkę, która ciągnęła ją za rękę i gapiała się na Rydcie, jakby nigdy nie widziała nikogo tak dziwnego.

Rydcie nie pamiętała potem, jak zniosła bezmyślny szczebiot Amandy: „Rydcie, całe wieki cię nie widziałam! Gdzie się ukrywasz? Powiedz, jak się masz? A twoja mama? Myślałam niedawno o tobie, o tym...”. Musiała znieść też żenującą chwilę, gdy Amanda przedstawiała ją swojej córce, noszącej imię Betsey Ann: „To ta miła pani, która uratowała mamusi życie, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie!”. Trzyletnia Betsey Ann, niewzruszona, patrzyła na Rydcie oczami płaskimi jak pięciocentówki.

Rydcie krew uderzyła do głowy. Proszę, stała się widowiskiem, dziwadłem do pokazywania dzieciom.

Rzuciła jakieś mętne przeprosiny, tłumacząc, że jest już spóźniona na spotkanie, i poszła, zostawiając zdumioną matkę z córką.

Miała czterdzieści dwa lata.

A Ty, do cholery, zostaw Ty mnie wreszcie w spokoju!

Nawet na tchnącym autorytetem miejscu za kierownicą autobusu opisanego na bokach czarnymi literami „GIMNAZJUM W HARTSHILL” Rydcie Mather opadało czasami zwątpienie, załamanie. Na przykład olbrzymie, błyszczące sople lodu zwieszające się z mostu Post Road, długie nieraz na sześć stóp, a średnicą dorównujące obwodowi klatki piersiowej dorosłego człowieka: sprawiają wrażenie wiecznych jak mały co – ale gdzie są w kwietniu?

Ten dzień jak grzmot błyskawicy, dziewięć lat po spotkaniu Amandy Curle i jej córki na parking, należał do dni, których Rydcie nie umiała nazwać. Ale budząc się rano, wiedziała, że czeka ją tego dnia jakieś poniżenie, że wystawi się na pośmiewisko; jeśli nie w oczach innych, to we własnych – jeszcze bardziej bezlitośnie.

Właśnie tego październikowego dnia, po południu, Rydcie Mather dowiedziała się, że w gromadzie dzieci, które wozi do szkoły, znajduje się córka Amandy Curle, Betsey Ann – jeździła autobusem już trzy tygodnie, a Rydcie

nie miała o tym pojęcia. (Choć może miała, bo czasami widziała, nie patrząc, i wiedziała, o nic nie pytając. Takie okresy ślepoty zdarzały jej się coraz częściej).

Rydcie z przerażeniem zerknęła w lusterko na tylne siedzenia autobusu: na miejsce, gdzie siedzi ta rozchichotana, wiercąca się, wyszczekana żółtowłosa dziewczyna z opuchniętą twarzą i ustami posmarowanymi fluorescencyjną bordową szminką i przerzuca się z kolegami złośliwościami i sprośnymi żartami. *Jak Rydcie mogła nie zauważyć, że to Betsey Ann.*

„Betsey Ann Waller” – tak brzmiało nazwisko na liście pasażerów na ten semestr. Amanda Curle poślubiła mężczyznę nazwiskiem Waller.

To nazwisko widniało również na skrzynce pocztowej domu numer dwanaście przy Seneca Lane, w dzielnicy zwanej Pheasant Hollow, po drugiej stronie rzeki. Gdy tego październikowego dnia Rydcie zatrzymała autobus, by wysiadła Betsey Ann i kilkoro innych dzieci, zmrużonymi oczami wpatrywała się w nią, jak się obraca – wiadomo po co: żeby pokazać krągły tyłeczek w obcisłych dżinsach – macha ręką i śmieje się do siedzących w autobusie przyjaciół, rudej dziewczyny, której ulubionym okrzykiem jest „o kurde”, i łobuzów z dziewiątej klasy, o imionach, których Rydcie na razie nie zna – Bobo, Pete, Sam, Tyke. Rydcie spojrzała na dom Wallerów, na ten jego skraj, który było widać u końca pretensjonalnego krętego podjazdu. Był to jeden z typowych podmiejskich domków piętrowych cieszących się popularnością wśród co młodszych i zamożniejszych rodzin Hartshill, które gardziły miasteczkiem i tym, że muszą w nim mieszkać.

Rydcie oderwała wzrok od domu Wallerów. Serce waliło jej tak, że prawie nie mogła złapać tchu. Wyłączyła światła awaryjne, wcisnęła do deski pedał gazu, wprowadziła autobus w ruch z takim impetem, że wzdrygnął się i otrząsnął jak dziki zwierzę budzący się ze snu, i ruszył naprzód z piskiem opon. Łobuzy z ostatnich rzędów jęczały: „Gazu, Mather!”.

Od tamtego dnia, tamtej godziny, tej chwili olśnienia, aż do kwietnia następnego roku, do dnia wypadku, jak się go będzie określało, Rydcie Mather albo myślała o Betsey Ann Waller, albo usilnie o niej nie myślała.

Podobnie jak, musiała przyznać sama przed sobą, albo myśli się o Bogu, albo się o Nim nie myśli.

Niezależnie od tego, czy się wierzy, czy nie.

Rydcie rozumiała, że to nie przypadek, że córka Amandy Curle, obecnie dwunastoletnia, siódmoklasistka o ładnych, choć rozmytych rysach twarzy matki, trafiła na listę pasażerów akurat jej autobusu. Na najbliższe trzy lata.

W każdy dzień nauki w roku szkolnym, dwa razy dziennie, przez najbliższe trzy lata.

Ale nie nagniesz mnie więcej do Swojej woli, nawet jeśli postawisz mi stopę na karku i wdepczesz w ziemię.

Obserwując Betsey Ann i jej towarzystwo, Rydcie doszła do wniosku, że Bóg wyświadczył jej przynajmniej tę przysługę: nie kazał jej mieć dzieci. Jako matka byłaby bowiem ślepa na ich prawdziwą naturę, która w autobusie wychodziła na jaw w całej okazałości.

Przez te kilkanaście lat, kiedy Rydcie pracowała jako kierowca, a teraz wydawało jej się, że nic innego nie robiła przez całe życie, dzieci w wieku gimnazjalnym się zmieniły. Nie byli to już „chłopcy” i „dziewczynki”, lecz prymitywne, chytre, przeklinające na każdym kroku, bezczelne karłowate istoty, ni to ludzie, ni zwierzęta. Zmianę tę zauważyli wszyscy kierowcy autobusów w Hartshill. Przekleństwa na porządku dziennym, poczucie zagrożenia, gdy próbowało się im zwrócić uwagę. Odnoszenie się chłopców do dziewcząt; odnoszenie się dziewcząt do chłopców. A w tle wieczny hałas, krzyki, śmiech, przepychanki, bójki. Spokojniejsze, mniejsze dzieci były zastraszone, więc wydawały się „dobre” – ale czy to znaczy, że *naprawdę* były dobre? W obliczu tak jaskrawego dowodu upadku ludzkiej natury Rydcie nabrała protestanckich wątpliwości co do wrodzonej dobroci człowieka.

W gimnazjum od dawna problem stanowiło palenie papierosów, ostatnio dołączyło do tego picie piwa – oczywiście i jedno, i drugie było zakazane. Rydcie była zszokowana, widząc, jak dwunastoletnia Betsey Ann popała lub dzieli się papierosem z którymś z kolegów; jeszcze bardziej szokował ją i martwił widok, kiedy była podpita. U niej w autobusie nie wolno było pić ani palić, a Rydcie cieszyła się takim autorytetem, że nawet najbardziej bezczelni chłopcy z dziewiątej klasy nie ośmielili się dotąd złamać zakazu.

Gdy wytrącona z właściwego sobie stoickiego spokoju Rydcie zatrzymywała autobus, odwracała się i wołała: „Albo będzie spokój, albo wysadzę na środku drogi. Zrozumiano?”, wszyscy się uspokajali, i to migiem. Tylko raz czy dwa Rydcie musiała przejść między rzędami, ale miała wtedy tak groźny wyraz twarzy i taka od niej biła ledwo hamowana pasja, że bachory zaczęły być posłuszne ze strachu, nie musiała tknąć nikogo nawet palcem.

Rydcie nie interesowało, jakie złośliwe miny dzieci robią za jej plecami, jak ją szeptem przedrzeźniają i wyzywają. Wystarczało jej, że w takich przypadkach triumfowała – kawałek słońca pędzący jaskrawożółtym rydwanem na asfaltowej drodze w Hartshill, w stanie Nowy Jork.

Ta miła pani, która uratowała mamusi życie. Kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie.

Rano, gdy Rydcie stawała przed domem Wallerów, Betsey Ann zawsze się spóźniała i trzeba było na nią czekać, ale szła do autobusu irytująco i bezczelnie powoli; naburmuszona, z twarzą obrzmiałą od snu, rozdartą ziewaniem; nie rzucała nawet przelotnego spojrzenia na kobietę siedzącą za kierownicą, tak jakby ona, mimo milczącej furii przyprawiającej o rumieniec, w ogóle nie istniała. (Czy Betsey Ann wiedziała, kim jest Rydcie? Zapewne nie). Po południu Betsey Ann tryskała energią – głośno krzyczała, flirtowała jak wszystkie zepsute dziewczuchy. Od patrzenia na to, jak się wygłupia i spoufala z chłopcami, Rydcie przewracał się żołądek. Taka smarkula, dwanaście lat!

Któregoś zimowego popołudnia, kiedy autobus już był spóźniony, a Betsey Ann nie spieszyło się, żeby wejść, Rydcie warknęła: „Pośpiesz się, bo odjadę bez ciebie!”. Idąc na miejsce, Betsey Ann burczała: „Akurat! Nie ośmielisz się, *musisz* czekać, od tego jesteś pieprzonym kierowcą!”. Jej słowa częściowo utonęły we wrzawie młodych głosów i śmiechu, dlatego Rydcie nie musiała ich słyszeć.

Rydcie szeptała błagalnie: „Mamo, boję się, że coś się stanie. Pomóż mi, proszę. Mamo?”.

Jak pusto i cicho było w domu przy Church Street, kiedy zabrakło pani Mather! Nawet Pippa śpiewał jakby z łaski. Nie podobało mu się, że Rydcie z nadzieją gwizdze i zachęca go w ten sposób do śpiewania; mimo że był środek zimy, dawno po sezonie pierzenia, nadal tracił pióra. Małeńkie żółte piórka unosiły się w powietrzu jak kurz. Gdy Rydcie czesała grzebieniem swoje splątane, czasem skołtunione włosy, często wyczesywała z nich pióra.

„Mamo, do diabła!”.

Violet Mather zmarła we śnie poprzedniej wiosny, na kilka dni przed swoimi osiemdziesiątymi drugimi urodzinami. Gdy Rydcie znalazła ją rano, zdarzyło się coś zdumiewającego – zanosła się ochrypłym, gwałtownym szlochem i padła na martwe ciało matki. Wiedziała, że matka niedomaga, i była pewna, że jest przygotowana na jej utratę, mimo to jak rozpaczała i płakała tego ranka, jak szalała!

Później miało się okazać, że śmierć matki ułatwiła córce zadanie. Ale w ten majowy poranek Rydcie jeszcze o tym nie wiedziała.

Wybrała się do wielbego Cogdona, by porozmawiać o ciężarce, który leżał jej na sercu. Pilnowała się jednak, by nie wspomnieć o Betsey Ann Waller.

Nawet w sytuacji, kiedy musiała uciekać się do błagania o pomoc, duma nie pozwalała jej na wymienianie zwykłych lokalnych nazwisk.

Jakie zdumienie malowało się na twarzy wielebnego Cogdona, gdy Rydcie Mather, osoba prawie mu obca, wyznawała schrypniętym głosem, połykając słowa, że obawia się nienawiści, która opanowała jej serce, odrazy, jaką budzą w niej uczniowie gimnazjum dojeżdżający do szkoły jej autobusem.

– Są tacy... zbrukani – mówiła Rydcie powoli. – To znaczy ich dusze. Są... – marszcząc czoło, szukała właściwego słowa – niegodni.

Przygłuchy wielebny Cogdon nachylił ku Rydcie prawe ucho, na które lepiej słyszał, i przybrał wyraz twarzy odpowiedni do wysłuchiwanie spowiedzi. W młodości sprawiał wrażenie człowieka w średnim wieku, teraz zaś, w średnim wieku, wyglądał młodzieńczo, wręcz chłopięco: siwiejące włosy zaczesywał na czoło, kołnierzyk koszuli miał zawsze rozpięty, a rękawy podwiniete. Trenował chrześcijańską młodzieżową drużynę softbolową w Hartshill i był powszechnie lubianym Bożym pomazańcem.

– Niegodni? – powtórzył jak echo.

– By żyć.

Siedząc w zakrystii wielebnego Cogdona, Rydcie nagle otworzyła przed nim serce. Słowa toczyły jej się z ust lawiną, jakby składowała je tam przez dziesiątki lat. Mówiła, że „wszystko się zaczęło” piętnaście lat wcześniej, gdy uratowała tonącą Amandę Curle – Bóg ją zmusił, by uratowała tonącą Amandę Curle, nie miała ani chwili na zastanowienie. Ich żalosne miasteczko narobiło wokół tego takiego szumu, że musiała zrezygnować z pracy w bibliotece, gdzie była osobą publiczną – wystawioną na ludzkie spojrzenia. Została kierowcą autobusu i spisywała się w pracy na medal, dobrze o tym wiedziała i ona, i jej pracodawcy, ale ostatnio – ten okropny wstręt i przyprawiająca niemal o mdłości nienawiść – czy znaczą, że On każe jej zrezygnować i z tej pracy? Co powinna zrobić, żeby się obronić?

– Jak uwolnić się od Boga, wielebny ojczy? – zapytała Rydcie. – Wy, duchowni, musicie wiedzieć z doświadczenia, jak On działa! Jeśli zrobię jedno, to okaże się, że Bóg mną kierował; zrobię co innego, to też się okaże, że Bóg mną kierował. Nawet jeśli człowiek trzeźwo, racjonalnie myśli – tu Rydcie wprawiła pastora w zakłopotanie, mrugając do niego i uśmiechając się szelmowsko – a ja nigdy ani przez chwilę nie wierzyłam w te bzdury, to jak może przestać ciągle widzieć Go kątem oka? Tego chciałabym się dowiedzieć!

Wielebny Cogdon, łagodny, dobrotliwy człowiek, który nie tylko akceptował swoje ograniczenia, ale jeszcze czerpał z nich radość, traktując je jako antidotum na grzech pychy, był oszołomiony tym potokiem słów. Całymi latami

Rydcie Mather nim pogardzała. Prawdę mówiąc, od śmierci matki, blisko rok temu, nie chodziła nawet do kościoła.

Gdy potok ucichł, wielebny Cogdon rzekł żwawo:

– Pani Mather, ja wierzę w pragmatyzm. – Jak to miał w zwyczaju, wygłaszając swoje zdanie, bębnił palcami w blat biurka. – Ustalmy fakty: mówi pani, że budzą pani dezaprobatę dzieci, które wozi pani autobusem. Ale chyba nie *wszystkie*, pani Mather? Może tylko *kilkoro*?

Rydcie skrzywiła się.

– Problem polega na tym, że On znów chce przeze mnie zadziałać. A ja postanowiłam, że wszystko, tylko nie to. Wolę już iść do piekła.

– Nie przesadza pani trochę? – parsknął wielebny Cogdon, mrugając ze zdziwienia. – Może tęskni pani za matką. Za pani drogą, wspaniałą matką. Mnie jej brakuje, naprawdę!

Rydcie odrzekła chłodno:

– Mama nie ma z tym nic wspólnego. Nie miała pojęcia o tym, jaki On jest przebiegły.

– Czy to trochę nie za mocno powiedziane? „Ścieżki Pana nie są ścieżkami ludzi”, ale...

– Moja siostra, młodsza ode mnie o sześć lat, prosto po szkole poszła do kobiecej armii i odtąd jej nie widzieliśmy – powiedziała Rydcie. – Miała na imię Antigone. Wszyscy mówili na nią „Gonne”. Ona uciekła, ja nie mogę. – Rydcie przerwała i otarła usta. – Mówię o niej w czasie przeszłym, ale niewykluczone, że jeszcze żyje.

– No myślę! – wykrzyknął entuzjastycznie wielebny Cogdon.

– Ojczy, ja nie wierzę w żadne zabobony, czy to pod nazwą „religii”, czy „wiary”. Nigdy nie wierzyłam i nigdy nie uwierzę. Ale nie mam zamiaru zniżać się do uczucia nienawiści do innych ludzi. Może to próżność – tu Rydcie uśmiechnęła się do pastora i puściła do niego oko – ale jestem święcie przekonana, że jestem za dobra na to, żeby odczuwać nienawiść. Nie powinnam nienawidzić nawet tych małych kreatur rzucających bluzgami.

Wielebny Cogdon uśmiechnął się i nachylił w stronę Rydcie; w oczach błysnęła mu przebiegłość, jak zwykle, gdy miał powiedzieć coś nieoczekiwanego.

– Czy jest pani absolutnie pewna, że uczuciem, które panią przepęlnia, jest nienawiść? Może jest to – przeciwnie – miłość? – Zrobił pauzę, by jego słowa mogły zapaść głęboko w serce słuchaczki. – A co, jeśli w ten sposób Bóg nawołuje panią do *miłości*?

Rydcie patrzyłaby na wielebnego Cogdona z takim samym zdumieniem

i niedowierzaniem, gdyby zaczął do niej mówić po chińsku.

– Do miłości?

Roześmiała się w głos. Wprawiając pastora w osłupienie, wstała, machnęła ręką i wyszła. Tak po prostu! Cóż za nieuprzejmość! Wielebny Cogdon został sam i patrzył za odchodzącą, a światło w jego oczach powoli gasło.

Obrażliwy śmiech Rydcie Mather dochodził go jeszcze z parkingu, póki nie odjechała z piskiem opon.

W marcu rozpoczął się długo odkładany remont mostu Post Road, przez co Rydcie musiała jeździć okrężną drogą (trzy mile River Road w kierunku wschodnim, na drogę numer 8, przez most, a następnie na Yewville Pike na zachód, w kierunku Hartshill, do dzielnicy, gdzie mieszkała mniej więcej jedna trzecia pasażerów), tracąc dwadzieścia minut. Przez te dodatkowe dwadzieścia minut jeszcze trudniej niż zwykle było okiełznać chłopców i dziewczęta jadących na drugą stronę rzeki.

Istny koszmar – pewnego popołudnia, wśród małych skrzeków, śmiechów i szyderstw, po autobusie zaczęły fruwać napełnione wodą prezerwatywy. Jedna z nich pękła i oblała szybę przed Rydcie, i upokarzająco upadła jej na kolana.

Innym razem łobuzy (w tym także dziewczęta) tak bezlitośnie wyśmiewali się z pulpetowatej Rhondy Piper i jej metalowego aparatu na zęby, że Rydcie musiała zatrzymać autobus, zagrozić, że ich wyrzuci, a roztrzęsione dziecko posadzić bliżej siebie.

Na początku kwietnia ostateczna obraza: Betsey Ann Waller wsiadała po szkole do autobusu, rozchichotana i śmierzdząca piwem, podtrzymywana od tyłu przez potężnego wyrostka imieniem Bobo, który chwycił ją pod pachy i wbił palce w piersi. Rydcie rzuciła się interweniować, a Betsey Ann Waller, zamiast być wdzięczna, wydarła się: „Łapy przy sobie! Wiecznie się na mnie gapisz! Popatrz lepiej w lustro! Wredne stare babsko z końską gębą!”. Betsey Ann uciekła na tył autobusu, a Rydcie odsunęła się, jakby przyłożyła dłonie do strzelistego słupa ognia.

Od tej chwili czas mijał szybko. Dni i noce zmieniały się w biegu.

Pokonam Cię mimo wszystko. Czy to za cenę piekła, czy nicości.

Rydcie Mather przygotowała się na to, co musiało nadejść. Przygotowała się bardzo sprytnie – tak by potem nie można było znaleźć jakiegokolwiek śladu przygotowań.

Bo do wypadku człowiek się nie przygotowuje – nie zostawia nawet kanar-

kowi zapasu wody i karmy.

Wyznaczony dzień, 18 kwietnia, wstał wietrzny i dżdżysty. Yewville, głęboka i wartka, wylała z brzegów, pełna błota, szlamu i gałęzi.

Pomysł przyszedł Rydcie do głowy całkowicie ukształtowany, jakby w marzeniach był już faktem dokonanym: jaskrawożółty autobus z impetem rozjeżdża znaki „UWAGA – MOST NIEPRZEJEZDNY – OBJAZD” na stromym wzgórzu, na dolnym odcinku Post Road, zahacza o resztki mostu i wpada do wody. niesprawne hamulce. Śliska, dziurawa nawierzchnia. Wypadek. Rydcie, której serce bije niespokojnie, usiłuje wyobrazić sobie przyszłość tuż po wypadku. Zastanawia się, czy ciężki pojazd szybko zatonie, czy też, dzięki zamkniętemu w środku powietrzu, rzeka poniesie go w dół i jak daleko. Zbiornik na paliwo znajduje się z tyłu; jeśli autobus uderzy w wodę przodem i złoży się w harmonijkę, czy nastąpi eksplozja? Wybuchnie pożar? Rzeka szybko ugasi płomienie.

Czy będą krzyki? Czy Rydcie Mather będzie krzyczeć?

Czy z dwunastu osób – jednaściorga dzieci i kierowcy – ktoś przeżyje?

Osiemnasty kwietnia. Pobudka przy akompaniamencie deszczu bijącego w okna. Serce przepełnia ogromna radość. *Zobaczmy, czy mnie powstrzymasz!*

Jeśli Betsey Ann Waller nie będzie dziś w szkole, oczywiście Rydcie będzie musiała przełożyć wypadek. Ale Betsey Ann jest obecna.

Przygryza dolną wargę, odwraca wzrok, zadziera nosek. Przepychając się z przyjaciółmi i chichocząc, przechodzi koło Rydcie, rzucając ukradkowe spojrzenia na siedzącą za kierownicą brzydką babę z końską głową, która przygląda się całej grupce zmrużonymi oczami o dziwnym, rozmarzonym wyrazie.

Jest ubrana w męską granatową marynarkę z identyfikatorem skrupulatnie przypiętym na piersi, na rękach ma skórzane rękawiczki bez palców. Mocno ściska kierownicę, jakby gotowała się do walki.

Ale poranna runda przebiega bez zakłóceń; popołudniowa od początku ma szybsze tempo.

Gdy o godzinie piętnastej dwadzieścia trzy autobus rusza sprzed szkoły, w środku siedzi trzydziestu dwóch pasażerów. Początkowo Rydcie sprawia wrażenie ostrożnej, ma włączone przednie i tylne światła. Jedzie Seventh Street, dalej Shepherd, Trumper, Ferry Street, do domów po wschodniej stronie miasta, wjeżdża na początek długiej Post Road, doskonale znaną sobie trasą, tą samą od piętnastu lat, zatrzymuje się i rusza, hamulce wydają znajome jęki, rozklekotane nadwozie, obmyte deszczem, ma jaskrawy żółtopoma-

rańczowy kolor.

W lusterku wstecznym odbijają się nieświadome niczego dzieci. Śmieją się i przekrzykują jak zwykle. Jeden z chłopców wbrew przepisom włączył radio tranzystorowe. Gra cicho, ale jednak. Jest i ona, Betsey Ann Waller: rysy twarzy ma zniekształcone od radosnego śmiechu. Dzieci nie widzą drzew i pól migających szybko za oknami. Nie widzą też rzeki, tylko siebie nawzajem. Ale Rydcie patrzy i wie. Yewville wylała z brzegów. Rwąca woda wydaje głodny, chciwy odgłos.

Tożsamość ofiar: dzieci, które mieszkały po drugiej stronie rzeki i znajdowały się w autobusie, gdy zaczął zjeżdżać ze wzgórza Post Hill. *Jimmy Buford. Terri Donovan. Pete Erlicht. Brian Kincaid. Robert Lundt. Shannon Myers. Rhonda Piper. Wayne Schwab, Billy Schwab. Betsey Ann Waller. Holy Zinn.* Nikt nie przeżył.

Nie będzie naocznych świadków wypadku, który wydarzy się około godziny piętnastej czterdzieści. Kierowcy jadący w przeciwnym kierunku zgłoszą później, że widzieli szkolny autobus zjeżdżający z dużą prędkością ze wzgórza, lecz nie przyszło im do głowy, że prowadzący pojazd nie ma nad nim kontroli; nie przyszło im do głowy, że hamulce były niesprawne.

Siedząca za kierownicą Rydcie Mather nie rejestruje, czy ktoś ją widzi, czy nie. Już jej to nie obchodzi.

Ogarnia ją uniesienie: *Zobaczymy, czy mnie powstrzymasz.*

Rydcie wdaje się w pogawędkę z małym Stearnsem, politowania godnym grubasem w okularach. Gdy widzi już kres wyznaczonego jej czasu i ten czas tak szybko się kurczy, nagle czuje się hojna, jakby z kieszeni wylewały jej się strumienie złotych monet!

(Przez kilka ostatnich tygodni podczas długich bezsennych nocy przeczytała kilka książek z biblioteki ojca. Naukowych, z historii naturalnej. Orren Mather zgromadził setki książek i jako dziecko Eurydice przysięgała, że je wszystkie przeczyta. Oczywiście wszystkich nie udało jej się przeczytać. Dlatego ten bezcelowy wysiłek pod koniec życia wydał jej się tym cenniejszy. Ze zdumieniem czytała o epoce lodowcowej, o lodowcach, które pokrywały Amerykę przed milionami lat, zanim Bóg się wtrącił. Wielkie pola lodu, stopniowe topnienie. Śródlądowe morza. Bóg nie miał z tym nic wspólnego, życiem rządziło prawo bezustannego, odwiecznego ruchu – Rydcie była tego pewna).

Na ostatnim przystanku na Post Road wysiadł ostatni pasażer.

Zapalenie silnika, naciśnięcie pedału gazu, zjazd ze stromego wzgórza po drodze wijącej się w rzadkim szpalerze drzew. Gdy autobus nabiera

prędkości, Rydnie czuje dreszcz przeszywający ją do głębi. Deszcz niemal ustał i niebo jest oślepiąco białe, jak powierzchnia, którą odpowiednia siła i zamach mogą rozbić w drobny mak.

Hałas silnika. Szum opon na mokrej jezdni. Wycieraczki szurają w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, w rytm skocznej muzyki płynącej z tranzystora. W autobusie panuje atmosfera draki; tablice „UWAGA – MOST NIEPRZEJEZDNY – OBJAZD” zbliżają się coraz szybciej, ale jeszcze są w bezpiecznej odległości. Za plecami Rydnie odzywa się zniżony, prześmiewczy głos: „Gazu, Mather!”.

Widzenie

1

Teraz nie było najmniejszej wątpliwości. Migotliwa plama światła, która początkowo zdawała się skutkiem drgania powietrza czy podrażnienia oczu Floyda Prentissa Jamesa, nagle nabrała idealnej ostrości. Nie sposób było wątpić, że to *Ona*.

Floyd nigdy wcześniej nie doznał Jej żywej obecności, nigdy też nie ukażała mu się we śnie, przez całe sześćdziesiąt osiem lat jego życia. A teraz stoi przy końcu patio, między przenośnym grillem zakupionym w sieci Sears a odbarwionym od deszczu i słońca ogrodzeniem z imitacji sekwoi, dzielącym posesję Jamesów od sąsiadów, Houstonów; nie miał najmniejszej wątpliwości, kim jest Pani w błękitnej szacie, opadającej we wdzięcznych fałdach do nagich stóp, unosząca do góry głowę okrytą welonem jak głowa zakonnicy kwefem. W padającym na Nią jasnym, wilgotnym świetle stała bez ruchu, oddalona od niego o niecałe dwadzieścia stóp, z rękoma złożonymi przy piersi w geście modlitwy.

Tak właśnie było. Owszem, niemożliwe, że tak było, ale tak *było*.

„Matko Boska!” – wymknęło się Floydowi, bardziej w charakterze mimowolnego wykrzyknienia niż modlitwy. Zastygł w miejscu, a z ryczącej, wierzgającej kosiarki firmy Toro pryskały ścinki wilgotnej trawy i kawałki ziemi; pracował mniej więcej od godziny, najpierw skosił trawnik od frontu, co zajęło mu około dwudziestu minut, teraz kosił ten na tyłach domu, większy, który w wyobraźni podzielił sobie na prostokąty i kolejno się nimi zajmował, czerpiąc z tego pierwszego pokosu w sezonie sporą przyjemność, pozwoliwszy myślom rozproszyć się i unosić swobodnie niczym nasiona dmuchawca. Chwilę wcześniej zakręcił, stękając z wysiłku manewrowania ciężką kosiarką, zadowolony, że od ruchu zaczyna się lekko pocić. Nagle dostrzegł coś kątem oka, zmrużył powieki, by widzieć wyraźniej – drżąca plama błękitu? Zarys ludzkiej sylwetki na drugim końcu patio? – nie potrafił rozstrzygnąć, choć wyteżał wzrok z całych sił. (Potrzebował okularów dwuogniskowych do czytania, ale wciąż mógł polegać na swoich oczach w widzeniu dali). Co to było? Co to mogło być? Nie strzęp mgły – ponieważ świeciło słońce. Nie Alyce, która była w domu, a nawet gdyby wyszła do ogrodu, nie stałaby w takim miejscu ani w takiej pozie. Nie był to też żaden z sąsiadów. W takim razie – *kto?*

Floyd stał w bezruchu i nie odrywał od tej postaci wzroku. Stała się teraz

wyraźniejsza i chyba przyzywała go do siebie. *Najświętsza Maria Panna. Na jego własnym patio. Nie ma najmniejszej wątpliwości!* Zawsze w pewnym momencie to, że coś się *widzi*, nieodwracalnie przeradza się w to, że się *wie*, i Floyd Prentiss James odczuł ten moment jak kopniak w klatkę piersiową. Jego serce wykazało gotowość do walenia jak młotem pomimo wszczepionego rozrusznika, który miał temu zapobiegać: pacjent James został zaprogramowany tak, by rytm jego serca do końca życia był regularny jak tykanie budzika, nigdy szybszy. „Święta Mario, Matko Boża, zmiłuj się!” – powtarzał jedynie.

Maryja najwyraźniej go usłyszała mimo ogłuszającego ryku kosiarki. Rozpostarła i uniosła blade dłonie w uspokajającym geście; Floyd wprawdzie nie widział bardzo wyraźnie jej twarzy, ale jakby wyczuwał jej wyraz – wyraz bezkresnego spokoju, miłości i czułości. *Tak, Floydzie, to ja, ale nie lękaj się: jestem przy tobie od zawsze.*

Uspokoił się zatem, mimo iż zdjęty zdumieniem, nadal stał jak wryty, jak ten mężczyzna w Biblii – czy może kobieta – który zmienił się w słup soli, ponieważ nie usłuchał Boga. Rzuciłby się na kolana i ukrył twarz w dłoniach, tyle że był w takim stanie, że nawet mu to nie przyszło do głowy!

Ten dzień, 16 maja 1993 roku, dzień, w którym Najświętsza Maria Panna ukazała się na ceglanym patio na tyłach parterowego rancza pod numerem 188 przy Myrtle Drive w miejscowości Manville w stanie New Jersey najpierw właścicielowi domu, Floydowi Prentissowi Jamesowi, to była dziwna, osłepiająco jasna, wietrzna niedziela dokładnie cztery tygodnie po Niedzieli Wielkanocnej – co później miało zostać odnotowane jako fakt nie bez znaczenia.

Floyd Prentiss James, emerytowany brygadzysta w warsztacie mechanicznym, i jego żona Alyce, mieszkający tylko we dwoje, odkąd ich dzieci dorosły i wyprowadziły się z domu, uczestniczyli tego dnia w mszy o godzinie dziewiątej w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej w Manville, który był ich kościołem parafialnym od 1957 roku; w ostatnich latach, od przejścia Floyda na emeryturę, a może wcześniej, od śmierci jego brata Franklina, małżonkowie chodzili do kościoła przykładnie: rzadko zdarzało im się opuścić niedzielną mszę. Alyce poza tym obchodziła liturgię Wielkiego Tygodnia, prawie nigdy nie zdarzało jej się też nie przyjąć komunii. Wierzyła, że jest to prawdziwy sakrament – ciało i krew Chrystusa – naprawdę! – tak jak Floyd chciałby wierzyć, ale nie całkiem mu się udawało, jeśli zbyt długo to roztrząsał. Nie żeby sam nigdy nie przystępował do komunii – przystępował

oczywiście. W Boże Narodzenie i, zgodnie z przykazaniem, w Wielkanoc, poza tym jeszcze kilka razy w roku, w zależności od nastroju. Nowa formuła spowiedzi wprawiała go w skrepowanie, nie podobała mu się – było w niej za mało skrytości, co w pewnym sensie znaczyło, że nie jest poważna. Każda zmiana w Kościele rzymskokatolickim prowokowała do refleksji nad logiką nieaktualnej już zasady, której naruszenie byłoby wcześniej grzechem śmiertelnym, ale również nad nową zasadą. Ale lepiej było nie roztrząsać tego za bardzo. To zadanie księży.

Rankiem 16 maja Alyce przyjęła komunię, a Floyd został w ławce, wbijając wzrok w podłogę, zawstydzony, z nadzieją, że ksiądz O'Callaghan nie zwróci na niego specjalnej uwagi. Gdy wierni podzielili się na dwie grupy, część podchodziła do stopni ołtarza, a inni nie, wyraźnie było widać, że większość tych, którzy nie przystępowali do komunii, stanowili mężczyźni; większość przystępujących stanowiły kobiety i młodzież. W ciasnej przestrzeni, takiej jak kościelna ławka, Floyd miał skłonność do pocenia się. Ubrany w sportową kurtkę, białą koszulę z krawatem, porządne spodnie i buty, czuł się jak indyk obwiązany przed pieczeniem. Był krępy mężczyzną o rzednących siwych włosach i różowej skórze głowy; jego twarz, też zaróżowiona, wyglądała jak obdarta ze skóry. Najpotężniejszy był w torsie i na górze brzucha, nogi i pośladki miał szczupłe; ramiona, wciąż dość umięśnione, rozpychały materiał beżowej kurtki z poliestru. Jego córki twierdziły, że jest przystojny, i podobało mu się, że tak mówią, choć wiedział, że to nieprawda, tylko taki ich sposób, by powiedzieć: kochamy cię, tato, nie poddawaj się. Po śmierci swojego brata Franklina – byli bliźniakami, choć niepodobnymi jak dwie krople wody – na pewien czas poddał się przygnębieniu, ale to było dawno, już prawie sześć lat temu, a teraz, jak uważał, odzyskał dawny optymizm i poczucie humoru. Miał się dobrze. Był w dobrej formie. Sprawa, którą za namową pewnych osób wdowa po Franklinie wniosła do sądu przeciwko firmie Johns-Manville Asbestos, w której Franklin przepracował trzydzieści lat, zakończyła się ugodą, nie na sumę dziesięciu milionów dolarów, postulowaną w rozszczeniu, lecz na kwotę, której wysokości nie poznali nawet Floyd i Alyce. Ale to nic. Dzięki temu Floyd mógł przestać o tym myśleć. I nie myślał o tym, czasem nawet po kilka dni z rzędu. (Tyle że Franklin mu się śnił, bo co człowiek może poradzić na swoje sny, skoro nie wie nawet, czym one tak naprawdę są?). Jako sześćdziesięcioośmiolatek Floyd miał trochę problemów ze zdrowiem – niezbyt poważnych, dzięki Bogu: musiał uważać na serce, nie udawało mu się zbić za wysokiego ciśnienia, odzywała się też dawna kontuzja prawego kolana, które roztrzaskał przy rozładunku samochodu transpor-

towego marynarki wojennej, w 1944 roku – bolało go przy chłodniejszej pogodzie – ale w porównaniu z Franklinem nie miał na co narzekać. Każdy bliźniak porównuje się ze swoim bliźniakiem, dlatego gdy w ostatnich latach ktoś pytał go, jak się ma, Floyd kręcił głową ze zdumieniem i błyskał szybkim uśmiechem, jak młody chłopak: „*Ja nie mam na co narzekać*”. Tak to było.

Właściwie ostatnio bardziej martwił się o Alyce – o jej „nerwy”. Jej „nerwy”, niczym trzeci mieszkaniec ich domu, nieprzewidywalny i złośliwy. Głupi lekarz przepisał jej jakiś środek uspokajający, który nazywał się Xerox czy jakoś podobnie, a Floyd nie aprobował tych „leków na poprawę nastroju”, o których się słyszy tu i tam, okropne skutki uboczne, choćby zawroty głowy, anemia czy paranoja, o czym cholerni lekarze niewiele wiedzą, jak się wyda je, lub gdy pacjentem jest starszy człowiek, ewidentnie ich to nie obchodzi. Jednak Alyce, choć w domu bywała nerwowa i pobudliwa, światu ukazywała się jako kobieta szczęśliwa, o „osobowości” cheerleaderki – zawsze uśmiechnięta, zawsze też świetnie ubrana; robiła trwałą na włosach farbowanych na identyczny odcień karmelowej rudoci, jaki miała jako dwudziestolatka, najładniejsza dziewczyna, jaką Floyd James odważył się zaprosić na randkę, i najśodsza, najmiłsza z charakteru. W każdym razie tak Floyd to pamiętał. Tak o tym opowiadał. A w towarzystwie Alyce tak samo mówiła o nim – najprzystojniejszy mężczyzna, z jakim się umówiła, w tym mundurze marynarskim wyglądał jak Jimmy Stewart. I taki grzeczny! Taki miły! Recytując to, jak słowa piosenki, Alyce uśmiechała się do Floyda, który się śmiał i puszczał oko, przeczesywał palcami włosy albo klepał się po brzuchu i rzucał jakiś dobroduszny żart o tym, że z formą to już nie tak dobrze jak kiedyś, i u niego, i u Jimmy’ego Stewarta.

Tego ranka Alyce przystąpiła do komunii. A Floyd nie. Był to jeden z tych razów, gdy w Alyce nagle zbudziło się wzburzenie, skarciła Floyda, szepcząc mu do ucha, aż burknął: „Słuchaj, Alyce, ty idź, a *mną* się nie zajmuj”, zawstydzony, że a nuż ktoś usłyszy. Alyce obrzuciła go urażonym, gniewnym wzrokiem, spojrzeniem oczu, które w przypudrowanej skórze w kącikach miały coraz głębsze kurze łapki, i szepnęła: „Jak ci nie wstyd, Floydzie James! Żeby być takim leniem”. Ale Floyd nie zamierzał dać się zastraszyć, psiakrew. Skrzyżował ręce na piersiach i został w ławce, Alyce zaś skierowała się do ołtarza, idąc sztywno, trzymając wysoko głowę, ani razu nie oglądając się za siebie. W niedziele zawsze ubierała się odświętnie. Intensywnie żółta garsonka z żakietem z poduchami, tuszującym pulchność jej ramion, a na karmeloworudych lokach lakierowany słomkowy kapelusz. I nieskazitelnie białe rękawiczki. *Kim jest ta stara torba? Po kiego diabła z nią jestem?*

Tak, a poza tym Alyce mocno go obraziła przekonaniem, że on nie ma grzechów śmiertelnych, ze względu na które nie może przystąpić do komunii świętej, nie idąc wcześniej do spowiedzi – wyobrażała sobie, że jedynym powodem jest *lenistwo*. Cholera jasna, psiakrew!

Widać, jak dobrze kobiety znają mężczyzn. Jak dobrze Alyce zna *jego*, po czterdziestu czterech latach małżeństwa.

W odległości niecałych dwudziestu stóp od niego Najświętsza Maria Panna stała bez ruchu. Tylko fałdy jej długiej, jedwabistej szaty poruszały się na wietrze – *dowód na to, że Ona jest prawdziwa, że mi się nie śni*.

Alyce siedziała w domu i nie miała pojęcia o tym, Kto do nich zawitał. Jak zwykle ogląda powtórkę któregoś z odcinków *Kocham Lucy* czy, co jeszcze gorsze, papla z którąś przyjaciółką przez telefon.

Najświętsza Maria Panna patrzyła na Floyda spojrzeniem pełnym nieskończonej słodyczy i zrozumienia. *Nie lękaj się, Floydzie: jestem przy tobie od zawsze*. W tej sekundzie poczuł, że rzeczywiście tak jest. Oczywiście, że tak jest, zawsze tak było. Przez półtora roku, gdy walczył na wojnie, inni mężczyźni wokół niego umierali, a *on* nie. Potarł oczy, w obawie, że zaraz się rozbeczy jak małe dziecko. Cieszył się, że ogród tak ładnie wygląda, prawie w sam raz jak kapliczka maryjna, kwitły pąsowe azalie Alyce, a krzewy róż uginały się od pąków. W trawie stały, jakby przyniosły je tam własne nogi, ozdoby, które Floyd samodzielnie powycinał laubzegą i pomalował, na wzór takich, które spodobały mu się w centrum ogrodniczym K Mart – flaminga w ognistych kolorach, jelenia, rozmiaru golden retrievera, z porożem, śmiesznego krasnala o mocno skręconych murzyńskich włosach i grubych wargach, ale o jasnej skórze człowieka rasy białej. A trawa była bujna i soczysta, choć nie do końca skoszona.

Floyd wpijał się wzrokiem w Najświętszą Panią, a ona w milczeniu patrzyła na niego. Czas jakby się rozciągał, niczym tykanie zegara czy rytm bicia jego serca, coraz wolniejszy, wolniejszy i wolniejszy. *Przynoszę ci miłość, zawsze jestem przy tobie, nigdy we Mnie nie wątp*. I Floyd wiedział, że właśnie tak jest. Maryja wyglądała identycznie jak malowana statua w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej, którą widywał od lat, i utrzymana w żywych kolorach ilustracja w jego pierwszym modlitewniku. Przypominała też Najświętszą Marię Pannę z kościoła pod wezwaniem Świętego Antoniego w pobliżu szpitala ogólnego w Manville, do którego potajemnie chodził modlić się za Franklina, zrozpaczony, pełen złości i trochę pijany, trzęsącymi się rękami zapalał świeczkę wotywną, klękał, ukrywał twarz w dłoniach i na

poły płacząc, szeptał: *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą*, po czym jak najszybciej przechodził do *Święta Mario, spraw, proszę, żeby mój brat wyzdrowiał! Poza tobą nie mam do kogo się zwrócić*, ale dlaczego tak mówił, skoro przecież był i Jezus Chrystus, i Bóg Ojciec. Dlaczego *o nich* zapomniał?

Najświętsza Paniienka wiedziała oczywiście, że Franklin, brat Floyda, umarł. Wszystko to należało do przeszłości. Nie miało nic wspólnego z tym, co *teraz*.

Dopiero wtedy zorientował się, że nie wyłączył kosiarki! Przez cały ten czas wytwarzała dławiący smród spalin. Szybko, trzęsącymi się rękoma, pstryknął wyłącznik.

Alyce twierdziła później, że *wiedziała*. Gdy tylko zobaczyła wyraz twarzy Floyda i szklisty blask w jego oczach – *wiedziała*.

(Ale: w rozmowie z Judy, starszą córką, wyznała, że jej pierwszą paniczną myślą było: *Tato znów miał zawał albo udar. Ten błędny wzrok, jak u tonącego!*).

Ale tak, owszem, *wiedziała*. Była pobożna, nigdy nie opuszczała komunii i codziennie, przez całe swoje życie, modliła się do Matki Boskiej; *wiedziała*, że przez całe życie nie zdarzyło się im, Floydowi i Alyce, nic podobnego. Gdy Floyd wpadł do sypialni bez tchu, pełen desperacji, „Alyce! Alyce!”, złapał ją za obie ręce, czego nie robił od czterdziestu lat, „Alyce, chodź ze mną!”, a ona omal nie zemdląca, „Dla-dlaczego? Co się stało?”, a Floyd ciągnął ją na korytarz, do kuchni, ku drzwiom garażu, uśmiechał się, by dodać jej otuchy, ale na jego wargach błyszczała ślina, „Jest tu ktoś, kogo znasz, Alyce – przyszła po nas”, a ona szepnęła: „Ale kto taki? Kto? Floydzie, nie strasz mnie, przestań...”, wiedząc, że ta osoba nie jest nikim zwyczajnym, a nawet jakimś przybyłym zniecka krewnym, o którym dawno słuch zaginął. Tak, *wiedziała*.

A potem to: gdy była jeszcze cała w strachu, znaleźli się w ogrodzie, w uszach pulsowało jej coś jak czysty, bezsłowny dźwięk, a Floyd kazał jej patrzeć – gdzie? – gdzieś na patio, na trawę. *Tak, widziałam, zobaczyłam Maryję od razu i od razu Ją poznałam*, Alyce mrugała szybko, oszołomiona i oślepiąca słońcem, serce waliło jej jak młotem, gdy wpatrywała się – w co? – co takiego miała widzieć, według niego? – Floyd ścisnął jej rękę tak mocno, że o mało nie padła na kolana z zaskoczenia i bólu, wiedząc, że jej mąż oszalał, że w końcu to się zdarzyło i nic tego faktu nie odwróci: pękła mu tętnica w sercu czy w mózgu; ale w naciskaniu na to, że powinna coś widzieć, czy też kogoś, była niesłychana celowość, wskazywał to coś lub kogoś podbródkiem,

żeby nie pokazywać palcem, ponieważ to byłoby niekulturalne, lecz Alyce wciąż niczego nie dostrzegą tam, gdzie, jak powtarzał z uporem jej mąż: „Patrz! *Tam stoi...*”, a ona widziała kępkę dmuchawców w trawie, blade, lekkie nasionka unosiły się na wietrze jak zaskoczone myśli, a poza tym, kawałek dalej – ale to nie mogło być to, prawda? – nieforemnego krasnala ze sklejki, który łypał na nią lubieżnie – to nie mogło być to, prawda? – dla czego mąż ją tu przywłókł?

Tak, zobaczyłam Maryję od razu. Wiedziałam, kim Ona jest. Ten wyraz twarzy! – tak wielka miłość do nas i wybaczenie! Wiedziałam.

Jej głos, słaby z przerażenia: „Co takiego? Co to ma być? Puść mnie...”. To konwulsyjne drzenie w środku, atak nerwów, mimo iż w południe zażyła jak zwykle drugą tabletkę Xanaxu; błędnym wzrokiem wodziła od nieskoszonego jeszcze kawałka trawnika za patio do napiętej twarzy Floyda, widząc jego skórę, zaczerwienioną, a miejscami ziemistą, popękane naczynka na policzkach i na nosie i patrzące nieruchomo oczy, pełne zachwytu i absolutnej pewności – ten triumfujący mężczyzna to chyba nie jej mąż Floyd? *Ten* mężczyzna miałby być jej mężem? Chcąc nie chcąc, zobaczyła go tak, jak mógłby go widzieć zdjęty podziwem nieznamy: siwowłosy mężczyzna o potężnym torsie, z widocznymi oznakami tycia, lecz wciąż muskularny w barkach i ramionach, tkanina koszuli napinała mu się na klatce piersiowej, pociemniała od potu, na skroni pulsowała żyła, ręce miał pokryte kępkami włosów sztywnych jak kuchenny druciak, coś błyszczało mu w kącie ust, gdy szorstko, władczo pociągnął Alyce, by uklękła na trawie, sam ukląkł obok i zaczął głośno się modlić „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą! Błogostawionaś...”, nadal ściskając ją mocno za rękę, jak wtedy, gdy razem wchodzili w słodki, metaliczny, upiorny chłód oddziału intensywnej opieki po operacji brata Floyda – a później w kostnicy i w domu pogrzebowym – a Alyce, wyteżając wzrok i często mrugając, patrzyła na pusty kawałek trawnika, na który patrzył Floyd, i nagle zaczęła *widzieć*, początkowo niepewna co, sylwetkę, drżący kształt niczym kropelki wody w blasku słońca, i dołączyła do męża w tej modlitwie, która napełniała ją uniesieniem i trwogą, ... *Błogostawionaś Ty między niewiastami i błogostawiony owoc żywota Twojego, Jezus!* I dalej, bez chwili przerwy na zaczerpnięcie oddechu, od początku, z większym zacięciem niż kiedykolwiek w życiu odmawiała jakąkolwiek modlitwę: *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą! Błogostawionaś Ty między niewiastami i błogostawiony owoc żywota Twojego, Jezus...* aż wreszcie, wycieńczona, prawie omdlewająca, z każdym nerwem napiętym tak, jakby zaraz miał pęknąć, nagle *zobaczyła*.

Tej pierwszej niedzieli Ona spędziła u nich około trzech godzin. Według możliwie najdokładniejszych obliczeń Floyda od piątej po południu do zmroku.

W miarę gęstnienia mroku, unoszącego się ze zroszonej trawy, której Floyd nie zdążył skosić, wydawało się, że Najświętsza Panienska stopniowo wtapia się w cienie, a Jej czciciele (do tego czasu zgromadziło się bowiem pięcioro) patrzyli na to bezradnie. Mieli jednak obietnicę: *Wróci w następną niedzielę o tej samej porze. Wraz ze Swoim przestaniem dla świata!*

O godzinie osiemnastej dwadzieścia zadzwonili do księdza Brendana O'Callaghana, proboszcza parafii Matki Boskiej Bolesnej od 1961 roku. Gdy Floyd podzielił się z nim nowiną, po drugiej stronie słuchawki nastąpiła długa, zszokowana cisza, *Wiedziałem, co ksiądz sobie myśli: Jezusmaria, Floydowi jak nic poprzestawiało się pod sufitem*, ale ksiądz powiedział, że przyjedzie oczywiście. Potem Alyce zapragnęła, i ubłagała Floyda, żeby jej pozwolił, zadzwonić do swojej najbliższej przyjaciółki w parafii, Betty Gleason, której mąż zaledwie kilka miesięcy wcześniej zmarł na skutek chłoniaka. *Wiedziałam, ile to będzie dla Betty znacząco! Nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy, gdybym nie podzieliła się Nią z Betty!* Przyjechała więc również Betty Gleason, przywożąc ze sobą córkę, czterdziestoletnią Karin, świeżo po rozwodzie i leczącą się na depresję kliniczną. Alyce, w stanie bliskim delirium, chciała zadzwonić również do dzieci, Floyd próbował ją uspokoić, aż wreszcie stwierdził, że sam zadzwoni do syna (bo Ernest mieszkał w Trenton, o godzinę drogi samochodem, a Judy w Fairfield w stanie Connecticut, Marla w Santa Cruz w Kalifornii), starał się, by jego głos brzmiał równo – „Jeśli dasz radę szybko przyjechać, Ernie, to mam dla was niespodziankę, dla ciebie i dla Kitzy” – ale ten cholerny głupek nie był w nastroju na tajemniczość, jak wkurzający mądrała sceptyk pytał, o co tyle krzyku, zresztą Kitzy zaprosiła znajomych na grilla – a Floyd, który wyęzając wzrok, wyglądał przez okno w kuchni, przez szybę, która zdecydowanie wymagała już mycia, omal nie stracił Jej z oczu, krzyknął: „Nie, to nie, gówniarzu! Nie przyjeżdżaj! *Nie przyjeżdżaj!*” i rzucił słuchawką.

Dygocząc, wrócił na patio i z ulgą zobaczył, że Najświętsza Panienska wciąż tam stoi, tak, dokładnie jak stała, z tym że teraz na twarzy maluje jej się wyraz nieskończonej litości i współczucia – gdyż wie oczywiście, że jedyny syn Floyda go zawiódł, przed chwilą tak samo jak zawsze. Pozostali – ksiądz O'Callaghan, Betty Gleason, jej córka i Alyce – klęczeli na patio na poduszkach z krzeseł ogrodowych, mniej więcej piętnaście stóp od Najświętszej Panienski; stary ksiądz, rżąc przy każdym wdechu jak bawół, prowadził modlitwę. (Brendan O'Callaghan jeszcze tak naprawdę nie *widział* Maryi, ale *czuł*

Jej obecność. Po policzkach Betty Gleason płynęły łzy radości, a jej córka Karin, o dziwnie obrzmiałej, jakby posiniaczonej twarzy, nie odrywała wzroku od tego miejsca za grillem, w które patrzyli pozostali. A Alyce – Alyce oczywiście *widziała*). Floyd padł na kolana i zakrył twarz. *Jej przesłanie brzmi: Bóg nas kocha. A świat zazna pokoju.*

Mimo ich modlitwy Najświętsza Maria Panna traciła blask wraz z gasnącym dniem. Rzedła, stopniowo wyparowywała. Floydowi przyszedł do głowy szalony pomysł, by zapalić światła na patio, ale kwadrans po ósmej, gdy wieczorne niebo stało się niejednorodną szorstką szarością w wąskie paski oranżu, jak poplamiony beton, już Jej nie było.

Ale: została obietnica, że wróci w to samo miejsce w następną niedzielę o tej samej porze. Floyd Prentiss James wyraźnie to usłyszał, później jego żona Alyce potwierdziła, że też słyszała, a jej przyjaciółka Betty Gleason: *Nie, nie słowami, jednak wiedzieliśmy. Wiemy. Nawet gdy Jej przy nas nie ma, to przy nas jest.*

2

Szkoda, że nie kazał im przysiąc, że nikomu nie powiedzą!

Nie: szkoda, że podzielił się nią z Alyce!

Tyle telefonów w kolejnych dniach, tylu niespodziewanych gości u drzwi, tylu gapiów w przejeżdżających powoli samochodach – Floyd i Alyce w życiu nie przeżyli czegoś podobnego. Pod wpływem wstrząsu, jakim był dar widzenia, codziennie rano uczestniczyli teraz we mszy o siódmej w kościele Matki Boskiej Bolesnej, a po mszy wiele osób starało się zamienić z nimi kilka słów, najwyraźniej z nadzieją otrzymania zaproszenia na najbliższą niedzielę. Alyce była pobudzona, gadatliwa i ekspansywna w swojej „osobowości”, niczym balon, do którego pompuje się powietrze; Floyd mówił z trudem, jąkał się i wyglądał – jak donieśli obserwatorzy – jakby „nie całkiem był sobą”. Kiedy nowina rozniosła się po Manville, również do księdza O’Callaghana przypuszczali szturm pobożni, zdesperowani i ciekawscy – choć stary ksiądz powtarzał wyraźnie, iż nie twierdzi, że *widział* Najświętszą Pannę, jedynie *czuł* jej obecność. Ale tak, czuł ją wyraźnie! – co do tego nie było wątpliwości.

Na początku tygodnia przyjechała dziennikarka z miejscowego „Kuriera”, autorka popularnej rubryki *U NAS I W OKOLICY*, i zażądała nie tylko wywiadu z Floydem Jamesem i jego małżonką, lecz również zaproszenia na Myrtle Drive numer 188 na nadchodzącą niedzielę – i zgody na wejście z fotografem! Alyce uznała, że jest bardzo miła; bardzo empatyczna; godna zaufania; ani trochę szydercza czy choćby zdradzająca powątpiewanie. Długo prosiła

męża, żeby z nią porozmawiał, ale on odmówił: „Sama sobie z nią rozmawiaj, mnie do tego nie mieszaj”. Pociągając nosem, odparła: „Dobrze, porozmawiam, żebyś wiedział”. Oboje stanowczo odmówili zaś rozmowy z arogantycznym producentem lokalnego kanału telewizji kablowej, który zażyczył sobie „prawa wyłączności” do „widzenia Marii”, po czym zjawił się z umową w ręku!

Floyd źle się czuł z tym, że tajemnica się rozniosła, i martwił się, że Najświętsza Pani nie wróci, zdegradowana tym, co nawyprawiali, ale Alyce, która myślała jasno i była tak zdecydowana, jaką Floyd rzadko ją widywał przez czterdzieści cztery lata wspólnego życia, upierała się: „Maryja nie jest żadną tajemnicą, jest dla całego świata!”, dodawała też: „To cały ty, jak można być takim samolubem!”. Floyd zamyślił się nad tymi słowami, chcąc rozstrzygnąć, czy żona może mieć rację – czy faktycznie jest to z jego strony samolubstwo. Jak wiadomo, było przecież słynne widzenie w Lourdes, o którym słyszał każdy katolik, ale poza tym Najświętsza Pani ukazywała się we Włoszech, w Polsce, w Jugosławii, w Rumunii – w takim razie dlaczego by nie w północnej części stanu New Jersey? Taki cud oznaczał również, jeśli ktoś myślał podobnymi kategoriami, niemały triumf wiary rzymskokatolickiej.

Floyd miał wątpliwości. Ale zdecydowanie był dumny – dumny jak jasna cholera.

Jak powtarzał z podziwem jego syn Ernie, tym nosowym tonem, który można było interpretować jako szczery lub jako prześmiewczy: „Tacie w życiu nie przydarzyło się coś takiego jak *to!*”.

Floyd nie zdradził nikomu, jak teraz bombardowały go sny, niczym odłamki szkła, jakby za karę; coś podobnego działo się w jego wnętrznościach. Za dnia wciąż widział – *prawie* widział – Najświętszą Panią prawie wszędzie! – w tafli lustra, przechodząc koło otwartych drzwi, nawet na ulicach, gdy prowadził samochód. Tak jak wiele lat temu, po tym, jak zdechł ich wilczur Fritzie, całej rodzinie wydawało się, że co rusz widzi go w którymś miejscu w domu. Coś podobnego zdarzało się często po śmierci Franklina – Floyd patrzył w lustro w łazience i widział nie tego bliźniaka, którego się spodziewał.

Jakby oczy płały człowiekowi figle. Jakby były swego rodzaju wrogiem, który nie jest *tobą*.

Floydowi rozstroiło się też trawienie: taki natłok emocji. I pęcherz – musiał chodzić do toalety po kilkanaście razy dziennie. Trudno mu było usiedzieć spokojnie przez pięć minut, w kościele stale czuł się obserwowany i pocił się

pod ubraniem, a w nocy, ponieważ nie chciało mu się spać, snuł się po domu i po ogrodzie, klękał w pobliżu miejsca, w którym Ona mu się ukazała, i szeptał: *Dzięki Ci, Maryjo, dzięki Ci, Maryjo, dzięki Ci, Maryjo*. Płakał jak dziecko, krztusił się płaczem, dławił. Ponieważ prawda była taka, że Floyd Prentiss James nie zasłużył na ten dar. Nigdy nie był człowiekiem specjalnie religijnym, miewał w życiu okresy, w których był beznadziejnym katolikiem. A Ona mu wybaczyła i przyniosła w darze Siebie.

W dzień z kolei chodził po domu, brzęcząc kluczami i monetami, które trzymał w kieszeniach, zamykał się w łazience tylko po to, by przyglądać się w lustrze swojej twarzy – *To ty? To jesteś ty?* – rozgorączkowane spojrzenie, żółtawy odcień białek oczu; aż wybuchał śmiechem z dziwacznej radości, jakby z wygranej stu milionów w New Jersey Lottery – *Najświętsza Paniienka wybrała ciebie, Floydzie? Ciebie, spośród wszystkich ludzi na Ziemi?* Sam przyznawał, że to aż nie do wiary.

Byli również sceptycy, to jasne. Gdyby nie to, że właśnie jemu to się przydarzyło, Floyd by się do nich zaliczał. Matt Houston, ich sąsiad, rówieśnik Floyda i też emeryt, prawie roześmiał mu się w twarz, jakby Floyd usiłował wcisnąć mu sprytne oszustwo, które wcisnął innym. Pytany o religię, Matt odpowiadał zwykle „protestant bezwyznaniowy”, takim tonem, jakby był to powód do dumy. Floyd wzruszył ramionami, nie zamierzał wdawać się w spory, stwierdził, że każdy może przecież wierzyć, w co chce, on nikogo nie będzie zmuszał, by uwierzył w coś wbrew swojej woli, na co Matt Houston prychnął, no myślę, stary, Stany nasze Zjednoczone to wolny kraj, rzymskokatolicka inkwizycja tu nie występuje. Również inni znajomi, sąsiedzi, nawet osoby z rodziny jakby nie chciały wierzyć, że Najświętsza Paniienka ukazała się u Jamesów w zeszłą niedzielę i że prawdopodobnie w najbliższą niedzielę ukaże się znów. Najokrutniejsze z tego wszystkiego było to, że wśród wątpiących znalazły się także rodzone dzieci Jamesów, Judy, Marla i Ernie.

Nie że powiedziały dokładnie, co myślą. Nie że nazwały rodziciela kłamcą czy świrusem. Nie śmiały też insynuować niczego, co wyprowadziłoby z równowagi mamę, doskonale wiedząc o jej „nerwach”. Ale Judy zjawiała się nagle w środku tygodnia i zadawała mnóstwo troskliwych pytań, między innymi o zdrowie taty i o to, czy księdzu O’Callaghanowi też ukazało się to widzenie – ile dokładnie osób Ją widziało? – tak że Floyd uśmiechał się z determinacją, trzymając temperament na wodzy, choć miał ochotę zapytać, a co to za różnica, do diabła, czy widziała Ją jedna osoba, czy sto? A nawet tysiąc? *To nie telewizja w porze największej oglądalności, na Boga*. Ernie zaproponował

na poważnie, żeby rodzice zatrudnili prawnika, jego znajomego z Trenton – mogą pojawić się propozycje umów z telewizji i wydawnictw, a nawet pozwy do sądu, nigdy nic nie wiadomo. A Marla zraniła go tak, jakby ugodziła go nożem w brzuch, aluzjami ukrytymi w pytaniach: „Czy tata był ostatnio na badaniu u okulisty? Czy miał niedawno robione podstawowe badania? Jak tam jego serce i ciśnienie – w porządku?”.

Floyd, który podsłuchiwał tę rozmowę telefoniczną między córką w Santa Cruz a żoną w sypialni, wtrącił się, nim Alyce zdążyła odpowiedzieć: „Myślisz, że mam zwidy, co? Myślisz, że zwariowałem, co? Coś tak cudownego, prawdziwy, żywy cud – Najświętsza Maria Panna ukazuje się ludzkości – to tylko omam w głowie starego dziadka, co?”. Na linii zapadło świadczące o szoku milczenie, w trakcie którego Floyd z prawdziwą przyjemnością odłożył słuchawkę.

Ale obraza największa – i najbardziej niespodziewana – miała miejsce w piątek po porannej mszy, kiedy to na plebanii kościoła Matki Boskiej Bolesnej Floyd i Alyce spotkali się z młodym księdzem z kancelarii arcybiskupa. Proboszcz zapowiedział spotkanie jako „rozmowę przy śniadaniu”, lecz Floyd szybko się zorientował, że to raczej przesłuchanie. Ksiądz O’Callaghan się nie odzywał, udając zajętego przeżuwaniem; ksiądz O’Callaghan, który wyglądał na swoje lata, z wydatnym brzuchem, jak kobieta w ciąży, niepowstrzymanym drżeniem obu rąk, patrzącymi w bok oczami ciężko przykrymi powiekami; mówił tylko przyjezdny ksiądz, nie zwracając uwagi na starszego kolegę, jakby był on zakałą stanu kapłańskiego. Najbardziej szokujące okazało się to, że ksiądz Shute – młody facet, przed czterdziestką – nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym, by w najbliższą niedzielę dołączyć do Floyda, Alyce i zaproszonych gości, wybranych ze sporo większego grona chętnych. Przeciwnie, prawie się skrzywił, gdy Alyce powiedziała, że będzie u nich bardzo mile widziany, ksiądz arcybiskup także. Bardzo pani dziękuję, odparł z chłodnym uśmiechem, ale nie będę mógł przyjść. *Jakby to było poniżej jego godności, i arcybiskupa też, mieć cokolwiek do czynienia z katolikami w Manville w stanie New Jersey! Nawet kiedy miała przybyć sama Najświętsza Panienska!*

Przez dalszy ciąg śniadania Floyd przebrnął jak we mgle. Już na tym etapie tego długiego tygodnia odczuwał skutki niedostatku snu i właściwie ciągłej biegunki. Pozwolił, by Alyce odpowiadała na pytania księdza, sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył albo nie obeszło go to, że biedaczka straciła pogodną pewność siebie, wahała się i zacinała, szukając u niego poparcia dla swoich słów. Młody ksiądz, niczym człowiek goniący z packą za jedną konkretną muchą, powtarzał z naciskiem, że widzenie Najświętszej Marii Panny

z zeszłej niedzieli to na pewno nieporozumienie, jeśli nie coś gorszego. Wypytywał na przykład o sąsiadów Jamesów, czy jest może wśród nich ktoś taki, kto mógłby spłatać im psikusa? Dzieci, nastolatki? Nie? Po raz kolejny wracał do pytania, w jakiej odległości znajdowali się od Najświętszej Pani, dokładnie, w stopach; co im powiedziała, jak dokładnie brzmiały Jej słowa; prosił o możliwie szczegółowy opis jej wyglądu; zapytał o choroby w całym życiu Alyce i Floyda; czy któreś z nich leczyło się kiedyś psychiatrycznie, poddawało się psychoterapii? – tak że oczywiste było, co to przesłuchanie znaczy.

Alyce rzuciła później, mając oczy zaczerwienione tak, jakby tarła je drucikiem:

– Nie spodziewałeś się, Floydzie, że przynajmniej *on* będzie po naszej stronie?

– Nikt nie jest po naszej stronie – powiedział gorzko Floyd. – Z wyjątkiem Niej.

3

Niedziela 23 maja wstała szara i mżysta niczym dzień egzekucji, według Floyda, lecz Alyce powtarzała, że prognoza obiecywała słońce i faktycznie, wczesnym popołudniem nie było śladu po porannym pancerczu chmur, wysoko na niebie widać było puszyste wstążki białych obłoków, a przymglone białe słońce ogrzewało powietrze. Floyd przyznał niechętnie, że jednak będzie to piękny wiosenny dzień; azalie Alyce wciąż były obsypane kwieciem. Trawnik był skoszony do końca, a mleczce wykopane (własnoręcznie przez Floyda); na patio stała mała flota ładnych krzeseł ogrodowych, tych z wysokim oparciem, z K Mart. Od doznanego w piątek upokorzenia Floyd i Alyce nie otwierali drzwi nieznanym i nie odbierali telefonu, Alyce zredukowała też liczbę gości, którzy mieli dołączyć do nich na patio; wcześniej liczba ta była niepokojąco wysoka, teraz zmniejszyła się do dwudziestu trzech, uwzględniając Ernego z żoną oraz innych krewnych, wciąż trochę za dużo jak na tak niewielką przestrzeń, lecz Alyce wymyśliła, że niektórzy mogą przecież stać na trawniku, może w półkrygu, zachowując odpowiednią odległość od Najświętszej Pani.

– Zakładając, że wróci – powiedział Floyd sucho.

– Oczywiście, że wróci – ucięła Alyce. – Przecież *obiecła*.

Na pierwszej stronie środowego wydania „Kuriera” znalazł się artykuł zatytułowany *MAŁŻEŃSTWO Z MANVILLE I INNI ZGŁASZAJĄ „WIDZENIE”*, krótki, lecz napisany z szacunkiem; został przedrukowany w czwartek w wy-

chodzącym w Newark „Star-Ledger”, może poza tym też w innych gazetach, sądząc po tym, jak rozdzwonił się u nich telefon, z zaniepokojeniem przygotowali się więc na ewentualność pojawienia się niechcianych gości; niemniej jednak jak ludzie, którzy mieszkają na liniach uskoku tektonicznych czy na przewidywanej trasie tornada, po prostu o tym nie myśleli. Ernie uparł się, żeby zbudować prowizoryczną barykadę z pożyczonych od sąsiadów koźłów do piłowania drewna powiązanych drutem, by odgrodzić ogród na tyłach domu od podjazdu, a tym samym od ulicy; ale już o pomysł wynajęcia ochroniarza Floyd nie chciał nawet słyszeć. (Zresztą sam by musiał go opłacić, tak czy siak). Im bliżej było do niedzieli i napięcie w ich domu rosło, tym bardziej Floyd unikał żony, a Alyce bez przerwy wisiła na telefonie, rozmawiając Bóg wie z kim, z dalekimi krewnymi, których nie widziała i z którymi nie rozmawiała od trzydziestu lat, z dawnymi koleżankami z liceum, także oczywiście z Judy i z Marlą, które informowała o wszystkim na bieżąco, choć Floyd nie chciał rozmawiać z nimi ani w ogóle z nikim, także z księdzem O’Callaghanem, który jak uważał w głębi serca, ich zdradził. (Mimo to proboszcz miał się u nich zjawić w niedzielę. Floyd odczytywał to jako dobry znak: arcybiskup mu nie zabronił!). Czuł się tak, jakby wybierał się w samotną podróż, odłączał od marności tego świata.

Tyle że: przepelniał go lęk, nasilający się niemal do grozy. Myśl o tym, że Najświętsza Maria Panna przyjdzie do jego domu. Lub że Najświętsza Maria Panna *nie przyjdzie* do jego domu. Ta obsesja płonęła niczym trzecie oko na czole Floyda.

Wydawało mu się to niezmiernie dziwne, że gdy przysła pierwszy raz, za ledwie tydzień temu – jakby w innym życiu! – zupełnie nie miał pojęcia, że czeka go Jej wizyta. Po prostu, kosząc trawę, w pewnym momencie podniósł wzrok – i już, była. Tak samo jak człowiek w ogóle żyje przez całe życie – ślepo, w niewiedzy, ale też w niewinności. *Szkoda, że nie mogę z powrotem stać się tamtym człowiekiem. Ale jego już nie ma.*

Opowiadał Jej, że kiedy Franklin zachorował, odkrztuszał flegmę jak gorące miedziane monety, lekarz zdiagnozował *zapalenie oskrzeli*. Kilka miesięcy potem, gdy Franklin wciąż tracił na wadze, przez całe życie był potężniejszy niż Floyd, a schudł z dwustu dwudziestu do stu osiemdziesięciu funtów, rentgen wykazał skupisko guzków w delikatnym nabłonku wyściełającym płuca – *międzybłoniak opłucnej*. Tak się nazywa ta choroba. Ale szpital nadal nie używał w stosunku do stanu Franklina nazwy *pylica azbestowa*, dopiero później, gdy nagłośniono inne okoliczne przypadki i do sądu zaczęły wpływać

pozwy. Nazwa alternatywna brzmi „azbestoza”. Był to wyrok śmierci, o czym wszyscy wiedzieli, bo wtedy była to już wiedza powszechna, tyle publikacji w gazetach wymierzonych przeciwko Johns-Manville Asbestos, Inc., której zarzucano zagrożenie bezpieczeństwa i zdrowia robotników poprzez nieinformowanie ich o niebezpieczeństwie wiążącym się z azbestem i niezachowywanie odpowiednich środków ostrożności. Jak wstrząs elektryczny przez umysł Floyda przemknęła straszna myśl: *Dzięki Bogu, że nie dostałem tam pracy, dzięki Bogu, że to Franklin, a nie ja*. Franklin, jako kierownik personelu technicznego w dziale tekstylnym fabryki Johns-Manville, zawsze zarabiał więcej niż Floyd w Ingersoll Tools, Inc. – to zawsze uwierało w stosunkach między braćmi jak kamyk w bucie, dlatego właśnie *Dzięki Ci, Boże, Dzięki Ci, Maryjo*, tyle że ta myśl przyszła i znikła tak szybko, że dało się wierzyć, iż wcale jej nie było.

Franklin, biedaczysko, chłop potężny jak wół, ale jego ciało kurczyło się stopniowo i klatka piersiowa jakby się zapadała do środka, z wyjątkiem miejsc, gdzie wystawały guzki twarde jak kamienie, tak że można było dotknąć ich palcem; pod koniec ważył sto trzydzieści funtów, był podłączonym do respiratora rzeżącym szkieletem. Wtedy miał już raka mózgu. Nastąpiły „przerzuty” do mózgu. Lekarze mają na te wszystkie cholerstwa takie nazwy i tak gęsto nimi rzucają, że Floyd miał wrażenie, jakby ciągle wyjaśniali nazwy, a nie same choroby. Chyba że to wszystko to jedna i ta sama choroba, której na imię Śmierć. Floyd pił wtedy nie tylko piwo, ale też alkohol wysokoprocentowy, zdarzały mu się zaniki świadomości za kierownicą, we śnie serce wierzgało i biło nieregularnie, potem stanęło, ale znów zaczęło bić, aż poczuł, że *jest swoim skazanym na śmierć bratem i że nie ma dla niego ucieczki*. Późną wiosną, nocą po tym dniu, kiedy biedny Franklin został wypisany ze szpitala do domu i stracił orientację w rzeczywistości, wyczołgał się z domu, nie zwracając na siebie uwagi żony, i próbował zakopać się w ogrodzie na tyłach domu, gdzie ona go później znalazła, uwalanego ziemią, w stanie śpiączki, i wołała o pomoc, wołała wniebogłosy. A Floyd w swoim łóżku, oddalonym o dwie przecinek sześć mili, obudził się z uczuciem duszenia i paniki, przekonany, że znajduje się w ziemi, w błocie, próbując się zakopać, by ukryć się przed pełnymi litości i zgrozy spojrzeniami swoich bliskich. *Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej, Amen*.

Floyd przywołał te myśli, te stare wspomnienia, przycinając krzewy bzu, które już były przycięte, zbyt zdenerwowany, żeby usiąść w domu i zaczekać: za wszelką cenę chciał sobie znaleźć coś do roboty, żeby nie myśleć o tym,

która jest godzina. Zbliżała się piętnasta – Alyce poprosiła gości o przybycie najwcześniej o szesnastej trzydzieści – a czas płynął teraz wolniej niż kiedykolwiek wcześniej w jego życiu.

Takie masy obcych ludzi. Takie masy pielgrzymów. Zmierzających po południu 23 maja 1993 roku do miasteczka Manville w stanie New Jersey w nadziei na cud. Miejskowa policja z opóźnieniem odgrodziła kordonem okolice zwaną Pinewood Acres, gdyż najpierw policjanci błędzili po skracających łagodnie drogach, pakowali się w wysadzone drzewami ślepe uliczki sąsiedniej, bogatszej dzielnicy Oriole Hills, powodując korki, zamieszanie, „utrata orientacji”. Ile przyjechało osób, kilkaset? Tysiąc? Dwa tysiące? Władze Manville podadzą, że w momencie szczytowym zjawiska, około godziny dziewiętnastej, były to trzy tysiące. Zniszczenia mienia oszacowano na sumę od sześciu do ośmiu tysięcy dolarów.

Tego wszystkiego Floyd Prentiss James, na którego ranchu w dzielnicy Pinewood Acres miała po raz drugi ukazać się Najświętsza Maria Panna, miał dowiedzieć się dopiero jakiś czas potem.

Po godzinie szesnastej, gdy pod numerem 188 przy Myrtle Drive zjawił się ksiądz O’Callaghan i pozostali zaproszeni goście, przed domem Jamesów już zebrał się podekscytowany, pełen wyczekiwania tłum, który wylewał się na ulicę i trawniki sąsiednich domów! Ksiądz, starszy człowiek, w czarnej sutannie i sztywnej białej koloratce, która wyglądała, jakby go dławiła, rozglądał się z niedowierzaniem. Żywiołowa blondynka, z fryzury i makijażu przypominająca Hillary Clinton, podetknęła mu pod nos mikrofon i zadała pytanie, którego nie zrozumiał. Ktoś krzyknął: „Księżu, pobłogosław mi, grzesznemu! Zabierz mnie do Niej!”, a gdy odwrócił się w stronę głosu, odsłaniając zęby w spłoszonym uśmiechu, błysnęło kilka fleszy. Krzepka kobieta w średnim wieku, o siwych włosach splecionych w warkocze, z polaroidem w ręku, wołała: „Ja naprawdę jestem katoliczką, proszę księdza! Niepraktykującą, ale...”. Udało mu się wśliznąć przez drzwi wejściowe, gdy otworzyła mu wzburzona Alyce James. *Co to za tłumy, kim są ci ludzie?*

Większość pielgrzymów to były osoby w średnim wieku i starsze. Zdjęcia opublikowane w lokalnych gazetach miały udokumentować, że wielu przyniosło ze sobą składane krzesła i koce; niektórzy poruszali się z balkonikami, kilkoro na wózkach. Nie byli to ludzie agresywni, którzy potrafiliby rozpychać się łokciami – lęk i nadzieja były wyczuwalne, lecz przytłumione. Osiągnęli taki wiek, w którym cud mógł się okazać ich jedynym ratunkiem,

niemniej nie umieli wykrzesać z siebie dość pasji, by się tego cudu domagać. Przybyli również młodzi ludzie, których z kolei trudno było zaklasyfikować – niektórzy, z malującym się na twarzach uniesieniem, szczęściem, to również pielgrzymi; o obecności innych zdecydowanie przesądziła ciekawość. Wąska Myrtle Drive po obu stronach zastawiona była samochodami, półciężarówkami i motocyklami, a wciąż napływały kolejne pojazdy. Zaproszeni goście mieli kłopot z parkowaniem. „Proszę nas przepuścić! Proszę nas przepuścić, mamy zaproszenia!” – wołała piskliwie Betty Gleason, przepychając się wraz z córką ku domowi Jamesów. Blond reporterka z ekipą telewizyjną z kanału kablowego New Jersey 59 podetknęła Betty mikrofon z pytaniem: dlaczego tu dziś przyszła? Czy wierzy w cuda? Co spodziewa się przeżyć? Czy jest przyjaciółką rodziny Jamesów? Czy uczestniczyła w widzeniu w zeszłą niedzielę? Betty Gleason stała jak wmurowana, ale jej córka Karin, w lawendowym spodniem i białej koronkowej bluzce, chwyciła mikrofon i z oczami błyszczącymi przekonaniem powiedziała z ekscytacją: „Ja widziałam Maryję Pannę tydzień temu! Właśnie tu, kawałek dalej w tamtą stronę! Jestem przyjaciółką państwa Jamesów! Nawet jeśli człowiek Jej nie widzi, to czuje Jej obecność! Czuję ją teraz, w tej chwili! Już tu jest! Nawet nie trzeba *widzieć* Jej oczami! Teraz proszę nas przepuścić, idziemy z mamą *do środka*”.

* * *

Garstka wybrańców zgromadziła się na patio ze starannie, własnoręcznie ułożonych przez Floyda cegieł, wygłodniałe wlepiając wzrok w kawałek trawnika za przenośnym grillem, gdzie jak wiadomo, Najświętsza Maria Panna ukazała się tydzień wcześniej. Ksiądz O’Callaghan kierował odmawianiem powtarzanej wielokrotnie i żarliwie modlitwy *Zdrowaś Mario*, głosem przyspieszonym i lekko bełkotliwym, jakby sobie wypił przed przyjściem; miał to być ostatni rok jego pięćdziesięciopięcioletniej służby kapłańskiej i chyba wiedział, iż kolejnego nie doczeka. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą! Błogosławionaś Ty...”. Nie wychodziło im to całkiem równo. Kilka z zebranych kobiet wyglądało na silnie poruszone. Floyd, którego starcze kolana bolały od klęczenia na twardej cegle około dwunastu stóp od miejsca cudu, zawzięcie mamrotał słowa modlitwy, ale ich nie słyszał. Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie ścigał się z bratem bliźniakiem o to, który odmówi modlitwę szybciej i skończy pierwszy, nie pominąwszy ani słowa.

Wtem zrozumiał: *To był błąd.*

To był błąd ze strony Najświętszej Pani, że przyszła na Ziemię, w Ma-

nville w stanie New Jersey. Nie powinna teraz tu wracać.

Gdy inni modlili się o Jej przyście, Floyd Prentiss James, utkwivszy za-trwożony wzrok w niewidzialny kontur Jej sylwetki, szeptał: „Nie przychodź, Maryjo! Nie przychodź! Nie ukazuj się nam!”, a gdzieś w sąsiedztwie pies czekał obłąkańczo, jakby ktoś się nad nim znęcał. Zza pleców Floyda dochodził przenikliwy głos Alyce, teraz donośniejszy, rywalizujący z jego wypowiedzianymi szeptem prośbami. „Nie jesteśmy Ciebie godni, Maryjo! Nie ukazuj się nam!”.

Ale było za późno. Ku swojemu przerażeniu Floyd zobaczył drganie w powietrzu, jakby drobnych jak mgiełka kropelek wody, niebieski migotliwy zarys kobiecej sylwetki i uniesioną głowę w welonie. Ktoś za nim wykrzyknął „Och! Och!”, ktoś inny: „Och! Jest...!”, pozostali dołączyli, wydając odgłosy zdumienia, szelestliwe jak cykady, a Floyd, patrząc na Najświętszą Marię Panne, czuł, że wnika mu Ona do oczu niczym strumień płynnego ognia i wlewa się do gardła i płuc, dając mu siłę do kolejnych oddechów, choć straszliwe imadło mocno ścisnęło mu klatkę piersiową i dusiło, a on błagał: „Nie! Nie! Odejdź!”, widząc teraz, że głowa Najświętszej Marii Panny to trupa czaszka w ciasno przylegającym do skroni białym welonie, że jej oczodoły to dwa doskonale puste O, a bezwargie zęby szczerzą się w uśmiechu: *Nie lękaj się, Floydzie: jestem przy tobie od zawsze.*

Gdy padł na twarz na ceglana posadzkę, podniosły się krzyki, lecz on, kurcząc się błyskawicznie do punktu wielkości czubka szpilki, niczego nie słyszał.

4

Przełom lipca i sierpnia: w długiej spalonej trawie w ogródku przed domem pod numerem 188 przy Myrtle Drive jaskrawożółta tablica „*NIERUCHOMOŚCI ACE QUALITY* NA SPRZEDAŻ”. Wszystkie frontowe okna skromnego rancza należącego do Floyda Prentissa Jamesa i jego żony, Alyce James, starannie zasłonięte roletami. Krążyła plotka, że Jamesowie sprzedają dom i przenoszą się do miejscowości dla emerytów na wybrzeżu.

Krążyła też inna plotka, ta z kolei nieprawdziwa, że Floyd zmarł na zator tętnicy wieńcowej, gdy Najświętsza Maria Panna „ukazała się” u niego w ogrodzie; prawdą było jednak, że biedak nie wrócił w pełni do zdrowia po tamtej zapaści. Podobno serce przestało mu bić, zanim karetka dowiozła go na oddział ratunkowy szpitala ogólnego w Manville, ale tam w ciągu kilku sekund rozcięto mu klatkę piersiową i za pomocą masażu pobudzono serce do wznowienia pracy, został odratowany... „Powiedzmy – żartował Floyd

ochrypłym, pękniętym głosem, zerkając w górę – że *ja* nie mam co narzekać”.

Nie miał jeszcze sześćdziesięciu dziewięciu lat, ale stał się powolny i niepewny w mowie, jego twarz nabrała życzliwej obwisłej łagodności, oczy zapadły się w oczodoły głęboko jak mądrość. Łaska boska, mówiono, że tak mu się pogorszyła pamięć – przeważnie wydawało się, że zachował wyłącznie miłe wspomnienia. Z całą pewnością nic nie wskazywało na to, by pamiętał *o tym*.

A Alyce ani nikt inny z rodziny mu nie przypominali.

O tym, że gdy jego zapaść przerwała czuwanie w ogrodzie, a Alyce wraz z synem i synową pojechali do szpitala, do ogrodu i na patio wtargnął tłum nieznanomych, strumień ludzi, któremu nie było widać końca, przybyłych ze wszystkich krańców ziemi. Prawowici goście państwa Jamesów zostali rozgromieni, gdy pielgrzymi bezowocnie szukali Najświętszej Marii Panny, zdeptywali trawnik i rabaty kwiatowe i zabierali na pamiątkę, co się dało – krzesła ogrodowe, poduszki, gałązki azalii, a nawet cegły z patio, których, jak wierzono, dotykała stopami Najświętsza Pani. W tym zamieszaniu ktoś wyniósł też uśmiechniętego krasnala. Powyrywano kępy trawy wraz z ziemią. Ksiądz O’Callaghan usiłował powstrzymać łupiestwo, ale jak się okazało, nawet autorytet sutanny nie miał żadnej mocy. Betty Gleason wpadła w histerię, a jej córka Karin wdała się w bójkę z kobietą gotową wyrwać kępkę trawy – „Nie macie prawa! Nie dostaliście zaproszeń! Ona przyszła do nas! Wynoście się! Wynocha! Ona przyszła *do nas!*”.

Mniej więcej trzy kwadransy zajęło policji zrobienie porządku z drobnymi kradzieżami i wandalizmem, nie tylko na posesji państwa Jamesów, ale też na sąsiednich, oraz przekierowanie ruchu pojazdów tak, by rozładować powstałe korki. Kilka osób aresztowano. Pewien starszy mężczyzna, którego przywieźli do Manville młodszy krewni, zmarł przy Myrtle Drive na zawał serca.

Niektórzy sąsiedzi Jamesów, których trawniki zostały zdeptane i którzy ponieśli inne straty materialne, grozili, że wytoczą proces za zakłócenie porządku publicznego – ale groźby okazały się czcze, gdyż do końca lipca, gdy dom pod numerem 188 został wystawiony na sprzedaż, Jamesowie nie otrzymali żadnych wiadomości w tej sprawie.

Nie żeby Floyd się tym przejmował. Takie uczucia były dla niego kwestią przeszłości. Gdy odpoczywał na leżaku na patio, machał przyjaźnie i wołał „Dzień dobry!”, gdy widział państwa Houstonów czy sąsiadów z drugiej strony, Ridleyów, czy raczej wyobrażał sobie, że ich widzi – poruszające się niewyraźne kształty po drugiej stronie ogrodzenia. To jasne, że *on do nich* nie

żywił najmniejszej urazy.

Rozumiał, że przeszedł poważny zawał serca i że mało brakowało, a byłby umarł, ale *nie umarł* – co było tu jedynym istotnym faktem. Wyjaśniono mu również, że przeszedł załamanie nerwowe, co przyjął bez sprzeciwu, ponieważ wiele to tłumaczyło. Poza tym podobała mu się oszczędność tej diagnozy: jak promocja „dwa w cenie jednego”.

Pewnego sierpniowego popołudnia przebudził się gwałtownie z lekkiej drzemki, słysząc, że ktoś woła go po imieniu. Był to kobiecy głos, o pytającej intonacji. Leżał na leżaku, wygrzewając się na słońcu, które pozytywnie działało na jego stawy. Czuł się dobrze, był wypoczęty – sprawę sprzedaży domu i przeprowadzki do Ocean Park Village, i wszystko, co trzeba było załatwić poza tym, zostawił w rękach Alyce i Erniego. Jaki cudowny spokój, myślał. Zawsze był dostępny, tyle że on, Floyd, o tym nie wiedział.

Gdy się obudził i podniósł wzrok, ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma przy nim Alyce. Przecież słyszał swoje imię, prawda? Niezgrabnie obrócił się w leżaku, zmrużył oczy i zobaczył ją, ją, bo kogóż by innego, niewyraźną sylwetkę kobiety o rudawych włosach, która zmierza ku niemu od garażu.

Znak szatana

Nieznajoma przyszła zbawić jego duszę, a on nie był pewien, czy jest gotów.

Nie co dzień zdarza się, że w martwym upale letniego popołudnia, gdy cykady na drzewach skrzeczą jak opętane, a słońce to łagodna, powolna eksplozja na niebie, przychodzi dobrze zbudowana młoda kobieta i stuka nieśmiało we framugę przesłoniętych moskitierą drzwi domu, który nawet nie jest twój, w którym jesteś niemile widzianym gościem, by zbawić twoją duszę. Do tego przyprowadziła ze sobą dziecko śliczne jak anioł.

Thelma McCord, czy może McCrae. I jej córka Magdalena, chuchro może czteroletnie.

Reprezentowały Kościół Świadectwa Słowa Bożego z siedzibą w Scranton w stanie Pensylwania. Były dziećmi Bożymi i napawało je to dumą. Z ich identycznie wykrojonych oczu zbawione dusze świeciły jak neony.

Thelma była „wyświęconą misjonarką”, był to jej „pierwszy sezon posłannictwa” i przeprosiła, że niepokoi go w zaciszu domowym, ale czy poświęciłby, czy byłby łaskaw poświęcić zaledwie kilka minut swojego czasu naukom Świadka Słowa Bożego?

Był całkowicie zaskoczony. Męczył go nieprzyjemny, dusząco-wciągający w topiel sen, a nagle obudziło go, wezwało ciche, lecz wytrwałe pukanie do drzwi. Wciągnął na siebie pomięte szorty khaki i z gniewnym pośpiechem zapiał rozporek – koszulkę na sobie już miał, wystrzępioną, przyciasną w rękawach – i bosy poczłapał do wejścia, mrugając co chwila, tak jak mógłby mrugać mięczak, gdyby miał oczy. Zbudzenie się w domu, którego się nie zna, przypomina zbudzenie się w czyimś śnie. A na progu w to migotliwie upalne sierpniowe popołudnie, które zamierzał przespać, młoda misjonarka o dziewczęcym zapale. Jakiś boski posłaniec dostarczył mu wyjątkową przesyłkę.

Szybko, żeby nie zmienić zdania, zanim wtrąci się wewnętrzne *nie! nie*, zaprosił Thelmę i małą Magdalенę do środka. Niech schronią się przed piekielnym skwarem – szybko.

– Dziękuję – powiedziała młoda kobieta, uśmiechając się z zaskoczeniem i wdzięcznością. – Jaki ten pan jest miły i troskliwy, Magdaleno!

Matka i córka były otumanione upałem, wyraźnie spragnione odrobiny ochłody i zwykłej ludzkiej gościnności. Thelma dźwigała okazałą słomkową torebkę i torbę o czerwonym plastikowym połysku, wypchaną książkami i broszurami. Dziewczynka miała twarz zaróżowioną od słońca, a wzrok tak

nieprzytomny, że potknęła się w progu, na co matka psyknęła i mocniej chwyciła ją za rękę, jakby już, zanim jeszcze wizyta się zaczęła, Magdalena przyniosła im obu wstyd.

Przepuścił je i zamknął drzwi. Nie było przedpokoju, przez drzwi wejściowe wchodziło się bezpośrednio do salonu. Był to mały ranczerski dom pokryty sidingiem z imitacji sekwoi; podłoga w salonie była naga, umeblowanie oszczędne: beżowa plastikowa sofa, dwa identyczne fotele BKF na metalowym stelażu, o siedzisku i szerokim oparciu w kolorze jaskrawej zieleni, i stolik ława, za który służyła położona na pustakach płyta z granitu, najwyraźniej długotrwale wystawiona na działanie czynników atmosferycznych. (Była to płyta nagrobna, tak stara i wytarta, że nazwisko pochowanej pod nią zmarłej osoby oraz daty jej narodzin i śmierci były nieczytelne. Jego siostra Gracie, która wynajmowała ten dom, dostała granitowy stolik od jednego ze swoich byłych). W jednym rogu szpeciła sufit plama koloru herbaty w kształcie ośmiornicy, lecz misjonarki, które usadowiły się na sofie, bąkając podziękowania, miały jej nie zauważyć.

Musiał się jakoś przedstawić tej Thelmie McCord czy McCrae, która tak otwarcie podała mu swoje nazwisko.

– Nazywam się Flash – powiedział w przebłysku natchnienia. – Flashman.

Nie był już młody, ale daleko mu było do starości; a nawet, gdyby oceny dokonywał ktoś współczujący i wyrozumiały, do wieku średniego. Wygląd człowieka sponiewieranego i przekrwione oczy wyglądały na uleczalne. Był mężczyzną skłonny do ironii, bo choć we własnym wykonaniu budziła w nim niesmak, nie mógł się jej oprzeć. (Podobnie jak masturbacji, do której również miał skłonność, zresztą właśnie z ironii). Gdy się przedstawiał, usłyszał w swoim głosie drzenie, które zdradzało przyspieszony, nierówny puls, ktoś z zewnątrz mógł je jednak odebrać jako grzeczność.

Gestem zaproponował, by spoczęły na sofie, a sam na niepewnych nogach szczęśliwie dotarł do bliższego z dwóch foteli i usiadł. Kiedy to przekłete dziadostwo o mało nie przewróciło się pod jego ciężarem, anielska Magdalena, o puszystych blond włosach i delikatnych rysach twarzy, wetknęła sobie kciuk do buzi, żeby powstrzymać chichot. Ale oczy miała przymrużone, wystraszone.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Flashman – powiedziała Thelma niepewnie.

Uśmiechała się, lecz w oczach miała wahanie: może zastanawiała się, czy jest Żydem.

Zastanawiała się, jakie jest prawdopodobieństwo, że Żyd, potomek narodu

wybranego, mieszka na nieciekawym pogórzcu w południowo-zachodniej Pensylwanii, siedem mil od Waynesburga, w zapuszczonym domu, którego ogród od frontu wyglądał, jakby rozjeździły go motocykle. Czy Żyd nie goliłby się przez trzy dni, tak by skóra na dolnej części jego twarzy przypominała papier ścierny, czy pokazywałyby bosa kościste stopy i byłby owłosiony jak goryl? Czy Żyd tak chętnie zaprosiłby do domu głosicielkę Świadectwa Słowa Bożego?

Zaproponuj im coś do picia, lemoniadę, ale nie, myślał, nie.

Nie powinien tego zbezcześcić, tej szansy kontaktu z dobrocią, spojrzenia niewinności prosto w oczy.

Thelma obiecała, że jej wizyta zajmie najwyżej kilka minut czasu pana Flashmana. Gdyż czas, powiedziała, uśmiechając się z uniesieniem, to kwestia najwyższej...

– Między innymi dlatego dziś tu jestem.

Sięgnęła do torby, by wyjąć, jak zauważył z przygnębieniem, grubą Biblię w czarnej okładce, ze złoconymi stronami, i plik broszur wydrukowanych na papierze z odzysku – „Świadectwo”. Po czym jak żwawa mechaniczna lalka zaczęła recytować wyuczony tekst.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Flash, z całych sił starał się słuchać. Wiedział, że to, co się dzieje, jest ważne, przecież nie ma przypadków. Czyż nie obudził się w nocy z walącym sercem i posmakiem żółci w ustach, z przecuciem, że niedługo coś się stanie, jedna z *jego jazd*; czy z jego woli i wskutek planowania, czy pozornie przypadkiem (ale przecież nie ma przypadków), tego nie wiedział. Przyglądał się tej młodej kobiecie, pochylony do przodu, z łokciem opartym na nagim kolanie, w pozie *Myśliciela* Rodina, i starał się słuchać. Tyle że ona była oszałamiającym, pachnącym, zgrzanym kobiecym ciałem. Które z pasją opowiada o Bożej miłości, o męce Jezusa Chrystusa, o Księdze Objawienia świętego Jana i o Świadectwie. Żwawym ruchem otwiera trzymaną na kolanach Biblię i pochyla głowę, przy czym delikatne kręcone włosy w kolorze piasku spadają jej na twarz i za każdym razem musi je odgarniać – fascynowały go te kontrapunktowe gesty, autorytet Biblii, pokorne pochylanie głowy i to, jak z dziecięcą, nieświadomą konsekwencją odgarnia włosy z twarzy. Nieświadoma była również, że ma denerwujący głos z zaśpiewem, absurdalny głos, w którym nie mogłaby kryć się głęboka prawda; nieświadoma ciężkich młodych piersi napinających cienki materiał lawendowej sukienki ani grubych, muskularnych łydek, ani porządnych szerokich stóp obutych w coś, co wyglądało na baleriny z białej plecionki ze słomy.

Brudne rolety były zasunięte, by chronić pokój przed oślepiającym

słońcem. Na zewnątrz było sporo ponad trzydzieści stopni, od wielu tygodni nie spadł ożywczy deszcz i na każdym drzewie w zasięgu wzroku wisały upiorne worki koszuwek. W sypialni jego siostry pracował głośno klimatyzator; właśnie w tym pokoju wcześniej spał, na łóżku, nie w, gdy rozległo się pukanie do drzwi; w jego pokoju nie było klimatyzacji. W pośpiechu nie zamknął za sobą drzwi do sypialni siostry i teraz do salonu wpełzała smużka chłodno-metalicznego powietrza, w związku z czym pomyślał, że goście zwrócą uwagę na chłodniejszy powiew i zapytają, skąd dochodzi, a on odpowie wtedy, tak, jest w tym domu klimatyzator, w jednej z sypialni, może byśmy się tam przenieśli, będzie nam milej?

Thelma skończyła cytować Biblię. Jej delikatna jasna skóra zarumieniła się z ekscytacji. Jak młoda dziewczyna, która wyjawiała swój najbardziej intymny sekret i teraz oczekuje odwzajemnienia, spojrzała Flashowi w oczy i zapytała, niemal śmiało, czy zdaje sobie sprawę z tego, że Bóg go kocha? – a on wzdrygnął się na te słowa, najpierw nie mógł odpowiedzieć, roześmiał się z zażenowaniem, potrząsnął głową, potarł policzek jak papier ścierny i wyduślił, nie, niezbyt, chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, tak naprawdę.

Thelma odparła, że właśnie po to przyszła, by przynieść mu dobrą nowinę. Że Bóg go kocha, niezależnie od tego, czy on o Nim wie i Go wyznaje. A Świadek Słowa Bożego działa jako pośrednik między nimi.

Flashman burknął: tak? No proszę. Twarz pociemniała mu od autentycznego rumieńca.

Thelma potwierdziła, że właśnie tak. Łzy załśniły jej w oczach, osadzonych blisko siebie, najintensywniej niebieskich, jakie Flashman w życiu widział, nie licząc zdjęć modelek, gwiazd filmowych i pańienek na rozkładówkach. Przepraszającym tonem powiedział, że nie jest na sto procent pewien, jak ostatnio wyglądają jego notowania u Boga.

– Bóg i ja – powiedział z chłopcym, powściąganym uśmiechem – tak jakby straciliśmy kontakt.

Była to dokładnie taka odpowiedź, jakiej młodej misjonarce kazano się spodziewać. Zwróciła się do dziewczynki i szepnęła jej do ucha:

– Przekaż panu Flashmanowi dobrą, cudowną nowinę, Magdaleno!

I dziewczynka zaczęła recytować jak nakręcana lalka, przejętym ciekim głosem:

– My czasami odchodzimy od Boga, ale Bóg nigdy nie odchodzi od nas. My czasami przestajemy wierzyć w dobroć Boga, ale Bóg nigdy nie przestaje wierzyć w naszą dobroć. Jak mówi Świadek Słowa Bożego: „Zwycięzający na pewno nie dozna szkody od drugiej śmierci”¹. – Urwała równie gwałtownie,

jak zaczęła, nie domykając ust po słowie „śmierci”.

Był to imponujący występ. Ale było w nim coś, co wywoływało dreszcz. Flash, wciąż skrepowany, uśmiechnął się do dziecka i puścił oko.

– Nie dozna szkody od drugiej śmierci, mówisz? A od pierwszej?

Ale Magdalena tylko patrzyła na niego nieruchomo. Lewym okiem mniej intensywnie, jakby zrywało się z uwięzi.

Bardziej doświadczona Thelma szybko przejęła inicjatywę. Wzięła córkę za obie ręce i w żwawym rytmie zaczęła skandować:

– Jak mówi Świadek: „I otrze z ich oczu wszelką łzę, i śmierci już *nie będzie*”.

Może rzeczywiście? Tak po prostu? *Nie ma śmierci*.

Zamyślił się nad prostotą przeznaczenia. W tym domu, którego jeszcze tydzień temu nie znał, daleko od choćby najbardziej zapyziałego miasta, na tej ziemi niczyjej, gdzie jego starsza siostra Gracie wylądowała jako pracownica socjalna, harowała jak wół do późnych godzin po pięć dni w tygodniu i jeszcze musiała być wdzięczna za tę gównianą robotę, usłyszał pukanie, niczym zew do tajemnej krwi w jego ciele, na bosaka powlókł się do drzwi jak ze snu, rozmigotanych światłem, a tam *ona*.

– Thelmo, przepraszam, może napiłybyście się z Magdaleną lemoniady?

Ona natychmiast grzecznie odmówiła, zgodnie z zasadami wiejskiego dobrego wychowania, tak jak się spodziewał, zapytał więc Magdaleny, która sprawiała wrażenie usychającej z pragnienia, biedne, przymuszane do pracy dziecko, ale ku jego irytacji, dziewczynka nie miała śmiałości powiedzieć tak, ja poproszę, czy choćby skinąć głową. Flash, na którego opór zadziałał jak ostroga, przeprosił, że nie ma lemoniady ze świeżo wyciskanych cytryn, licząc na to, że teraz Thelma przyjmie propozycję poczęstunku, by udowodnić, że nie była dla niej obraźliwa; dodał, że sam ma ochotę na lemoniadę, lodowato zimną, i ucieszyłby się, gdyby zechciały do niego dołączyć, więc Thelma spuściła oczy i powiedziała tak. Jakby jej dotknął, a ona nie odważyła się odsunąć.

W kuchni, gdzie go nie widziały, poruszał się szybko – stąd ksywka Flash. Jak na człowieka, który nie mógł się skupić, któremu olbrzymi czarny orzeł wyszarpywał wątrobę, ruszał się zaskakująco energicznie. Ale taki był od zawsze.

Otworzył lodówkę, odruchowo zwięzając nozdrza w reakcji na nieświeży zapach, na to, jak przybita Gracie zajmuje się domem, co starał się ignorować, wyjął brudnawy dzbanek z lemoniadą Bird’s Eye – na szczęście trochę

zostało. Ostry chemiczny smak, który będzie musiał złagodzić, w swojej szklance, dolewając dzinu. Dla misjonarek z kolei – przeszedł na palcach do swojej sypialni, sięgnął do zapasów i wrócił do kuchni, szybko roztarł w dłoniach kilka kredowobiałych pigułek, po sześć miligramów barbituratu każda, dość, by powalić zdrowego konia, a proszek wsypał do zielonkawej lemoniady, którą nalał do dwóch szklanek: wyższej dla Thelmy, mniejszej dla Magdaleny. Zastanowił się przez chwilę, ile dziewczynka może ważyć – czterdzieści funtów? Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Nie miał pojęcia, dzieci były dla niego enigmą. Własne dzieciństwo było dla niego enigmą. Ale nie chciał, by Magdalenie przestało bić serce.

Widział kiedyś na własne oczy, jak dorosłemu mężczyźnie zaszklił się wzrok, po czym złapał się za okolice serca, przewrócił się i już nie żył, po przedawkowaniu... czego? Heroiny. Jak na śmierć, to nie była ona najgorsza, ale przyszła tak zupełnie zniecka, nie było czasu się przygotować.

Na laminowanej tacy postawił ostrożnie trzy szklanki lemoniady, dwie wysokie i smukłe dla dorosłych, a dla słodkiej małej Magdaleny niską i pękatą. Nucąc wesoło, wrócił do dusznego salonu, gdzie misjonarki siedziały elegancko wyprostowane na zdezelowanej sofie, jakby podczas jego nieobecności nie wykonały najmniejszego ruchu.

Nieśmiało, lecz drżącymi rękoma obie sięgnęły po szklanki.

– Powiedz „dziękuję panu” – szepnęła Thelma Magdalenie.

– Dziękuję panu – powtórzyła cicho Magdalena i uniosła szklankę do ust.

Thelma rozczarowała go tym, że upiła tylko łyček, jak dama, po czym osuszyła usta chusteczką.

– Wyśmienita – powiedziała. Ale odstawiła szklankę, tak jakby stanowiła pokusę.

Biedna Magdalena piła szybko, trzymając szklankę oburącz, ale rzucone przez matkę spojrzenie wystarczyło, by też odstawiła napój na tacę.

Flash odezwał się, jakby dotknięty:

– W kuchni jest cukier, jeśli jest za mało słodka.

Ale Thelma stwierdziła, że nie trzeba, jest bardzo dobra. Gestem kobiety, która wybiera spośród kilku rzadkich klejnotów, sięgnęła po jedną z broszur wydrukowanych na papierze z odzysku. Teraz, jak domyślał się Flash, przejdzie do konkretów. Zaproponuje mu wstąpienie do Kościoła Świętego Ambrożego czy jak on się tam nazywa – Świadka Słowa Bożego?

Wymieniała nazwiska i przytaczała daty, które przelatowały mu koło świadomości – z wyjątkiem Niedzieli Wielkanocnej 1899 roku, kiedy podobno na północ od Scranton miał miejsce „deszcz darów niebios” – i kiwał głową, by

się nie zniechęcała, choć daleko jej było do zniechęcenia; aby zachęcić ją swoim przykładem, popijał lemoniadę chciwymi haustami. Thelma z grzeczności podniosła szklankę do ust i upiła skromny łyżeczek, ale na tym koniec. Może ten kult zabrania przetworzonej żywności, chemicznych napojów? – tak jak scjentyści czy może Adwentyści Dnia Siódmego nie uznają przetaczania krwi, gdyż jest to „spożywanie krwi”, którego zakazuje Biblia.

Mijały kolejne minuty. Na rozpalonej twarzy czuł słabiutki strumień metaliczno-chłodnego powietrza. Starał się nie okazać Thelmie swojego zniecierpliwienia, koncentrował się więc na cudownym fakcie, jakim była: kobieta, której jeszcze godzinę temu nie znał, siedzi teraz naprzeciwko i mówi do niego tak, jakby *był ważny*. Zachwycił się tym, jak jej rozłożyste biodra umościły się na winylowych poduszkach, tak że siedziała jak kuropatwa w gnieździe. Kolana złączone, solidne stopy dziewczyny z farmy w płaskich butach ze słomianą plecionką z najtańszego sklepu; półksiężycy potu ciemniejące pod pachami sukienki w kwiaty. Była to sukienka jak do szkółki niedzielnej, z lawendowej wiskozy, z szerokim białym kołnierzem, niekorzystną rozkloszowaną spódnicą i obciążniętymi materiałem guzikami wielkości półdolarówek. Pod spodem miała pewnie halkę, taka kobieta jak ona nie włożyłaby półhalki. Wilgotne ciepło od jej pulsującego ciała. Biustonosz na pewno biały, miseczka D, i białe bawełniane majtki, po których zostają na ciele cienkie czerwone ślady. Bielizna też wilgotna. I majtki w kroku też. Możliwe, że poza tym z odrobiną śluzu. Miała gołe nogi, w ramach ustępstwa przed upałem nie włożyła rajstop: niczym niezakryte kobiece nogi, na łydkach przezroczyste rudawe włoski, ponieważ nie należała do kobiet, które usuwają owłosienie. Nie była też umalowana. Taka próżność to nie dla niej. Policzki miała zarumienione jak wymodelowane różem, a usta naturalnie wilgotne i różowe. Jej skóra jest pewnie gorąca w dotyku. Miała dwadzieścia osiem czy dziewięć lat i to dziecko prawdopodobnie nie było jej pierwszym, tylko najmłodszym. Była jedną z tych kobiet, których ciała są w pełni dojrzałe już w wieku dziewczęcym, a przed trzydziestym piątym rokiem tracą jędrność. Ta jasna, delikatna skóra źle znosi nadmiar uśmiechów i starania, by wszystkim się przypodobać. Zapowiedź podwójnego podbródka. Biodra pewnie pulchne i nierówne od cellulitu. Które można ugniatać jak miąższ białego chleba, ścisnąć palcami, uderzać, zostawiać sińce. Wilgotne ciepło od gąszczy włosów łonowych. W tajnych szczelinach perłowe krople, które on wylizuje językiem.

Inna kobieta byłaby świadoma tego, że kalkulujące oczy Flashmana wędrują po niej niczym mrówki po cukrze, ale nie ta przejęta misjonarka Kościoła Świadectwa Słowa Bożego. Gdyby pojawiła się przed nią żmija,

drżąc z pożądania, Thelma nie zwróciłaby na nią uwagi. Czytała fragment jednej z broszur „Świadectwa”, oczy jej błyszczały i skierowane były jakby do wewnątrz, gdy pełnym szacunku głosem małej dziewczynki snuła opowieści o brodatych prorokach popadających w obłęd na pustyniach Smyrny i przykładach zawartych przez Chrystusa z wieloma, wieloma pokoleniami grzeszników, aż po dziś dzień. Wynikało z tego, że najbardziej spektakularnym prorokiem był Jezus Chrystus, bo z jego ust wyszedł obosieczny miecz, budząc trwogę we wszystkich, którzy to widzieli. Ale miał dar poetycki, jego słowa bezsprzecznie miały moc, bo Flash aż się wzdrygnął, gdy Thelma czytała drżącym głosem:

– I tak rzekł Jezus: „Jam jest i żyjący i byłem martwy; lecz oto żyję na wieki wieków i mam klucze śmierci i Hadesu”.

Nastała chwila ciszy. Gdzieś niedaleko w sąsiedztwie pracowała piła łańcuchowa, samochody, ciężarówki, ryczące diesle przejeżdżały autostradą nieregularnym świszczącym strumieniem, a za ścianami domu ze wszystkich stron powietrze bzyczało, drżało, wibrowało, dzwoniło od owadów późnego lata, ale poza tym było spokojnie, było cicho. Jakby jakaś pustka czekała na to, by ją wypełnić.

Mała Magdalena dopiła lemoniadę do końca, czego matka nie zauważyła, oblizwała się szybko różowym językiem i zaczęła robić się senna. Była ubrana w różową sukienkę z wiskozy, przypominającą koszulę nocną, z kołnierzykiem z wycinanej maszynowo koronki, na miniaturowych stopach miała białe skarpetki i błyszczące białe plastikowe buty. Flash dostrzegł, że jej lewe oko rzeczywiście zezuje. Prawe patrzy idealnie prosto, a lewe ucieka na zewnątrz jak przebiegły kapryśny księżyc.

Drobny defekt w oku tak pięknego dziecka nie przytłumi jego żaru. Był tego pewien.

Dziesięć minut, piętnaście. Było jasne, że Thelma nie zamierza dopić lemoniady, choć Flash swoją szklankę opróżnił i zamasztył ruchem otarł usta. Czy coś podejrzewała? Wyczuwała, że coś jest nie tak? Ale nie zwróciła przecież uwagi na to, że Magdalena zapadła w drzemkę, anielska główka zwieszała się bezwładnie, a na policzku lśniła nitka śliny. Podejrzliwa wierząca matka chyba nie pozwoliłaby córce wypić doprawionej proszkiem lemoniady podanej przez bosego zboczeńca, może Żyda, o oczach jak wyrwane korzenie ostu – to napawało optymizmem.

– Thelmo, twoja lemoniada – powiedział Flash, marszcząc czoło jak zmartwiony gospodarz przyjęcia. – Będzie całkiem ciepła, jeśli jeszcze...

Thelma jakby nie słyszała. Uśmiechając się promiennie, zadała pytanie:

– Czy jest pan ochrzczony, panie Flashman?

Przez moment nie mógł się zorientować, do kogo zwraca się per panie Flashman. Krążący mu we krwi dżin, który normalnie działał jak zastrzyk energii, wynosił go w górę jak śmieci zebrane na ziemi na grzbiet fali powodziowej i przydawał myślom klarowności, wywołał przymulenie i ociężałość. Poczł strach, biorąc pod uwagę możliwość, że *jego jazda* wymknie się spod kontroli, ponieważ w przeszłości, kiedy tak się działo, zawsze bardzo źle to się kończyło. I dla niego, i dla pozostałych.

Twarz mu płonąła.

– Przykro mi, Thelmo, ale to moja prywatna sprawa. Nie obnażam serca przed pierwszą lepszą osobą, która stanie w progu.

Thelma szybko mrugała powiekami, zaskoczona. Ale natychmiast się pokajała.

– Och, rozumiem! Posunęłam się za daleko! Proszę mi wybaczyć!

Taki wybuch pasji naelektryzował atmosferę między nimi. Flash poczuł ukłucie podniecenia. Ale schylił głowę i też się pokajał, z chłopięcym wdziękiem:

– Nie, nic się nie stało, to chyba ze wstydu. *Nie wiem* tak naprawdę, czy zostałem ochrzczony. Matka porzuciła mnie zaraz po urodzeniu, wyniosła na śmietnik. Jest nas mnóstwo, takich ludzi jak ja, wzgardzonych przez ludzi i Boga. Nie pamiętam niczego z pierwszych dwunastu lat życia. Absolutna pustka.

Żałował, że nie zamknął drzwi do sypialni siostry. Byłoby chłodno. Jeśli będzie musiał tę kobietę nieść czy wlec, nawet kawałek – z dzieckiem raczej nie będzie problemu – to będzie w złym stanie, zanim dotrze tam, gdzie chce.

Thelma omal nie wybuchła współczuciem, nachyliła się ku niemu, jakby miała go przytulić do piersi.

– Nigdy nie słyszałam czegoś tak smutnego! Tak żałuję, że nie ma tu z nami kogoś z naszych starszych, żeby panu doradzić tak, jak ja nie umiem! „Wyniosła na śmietnik” – czy to możliwe? Czy kobieta, matka, może być tak okrutna?

– Jeśli matka była okrutna, czemu nie przeczę, to kierował nią okrutny Bóg – zgadza się czy nie, Thelmo?

Thelma zamruęła szybko. Nie był to argument zupełnie dla niej nowy, wywnioskował Flash, ale wymagał chwili uważnego i świadomego odwołania się do pamięci.

– Zło tego świata jest dziełem szatana – odparła, początkowo niepewnie,

ale nabierając animuszu – a człowiek nie może objąć umysłem ścieżek szatana, tak samo jak ścieżek Boga.

– A co ma do tego szatan? Wydawało mi się, że mówimy o postaciach pozytywnych.

– Nasz zbawiciel Jezus Chrystus...

– *Nasz zbawiciel? Kto powiedział, że nasz? Kiedy leżałem na śmietniku, spojrzałem w górę, a On spojrzał w dół i powiedział: „No, co zrobić, młody. Życie jest chujowo niesprawiedliwe”.*

Thelma miała na twarzy wyraz kompletnego osłupienia. Jak krowa, pomyślał Flash niedzientelmeńsko, w chwili, gdy ogłusza się ją młotem.

– Myślałem, że mówimy o *mnie*, Thelmo – dodał, by szybko się zrehabilitować. – O mojej duszy. Myślałem, że Świadek Słowa Bożego czy jak mu tam ma jakąś wiadomość specjalnie dla mnie.

Thelma siedziała sztywno, dłonie zacisnęła na kolanach. Jedna z broszur spadła na podłogę i opadła Biblia też by spadła, gdyby kobieta nie zdążyła jej złapać. Patrzyła teraz czujnie i nieufnie, wiedziała, że znajduje się w obecności wroga, nie wiedziała jednak, że stawką jest coś więcej niż teologia.

– Nie mylił się pan, Świadek Słowa Bożego ma wiadomość specjalnie dla pana, panie Flashman. Dlatego właśnie tu jestem. Nasz kraj ogarnia coraz większa zaraza, Środkowy Zachód zalewają wody zagniewanej Missisipi, w zeszłym roku została zrównana z ziemią Sodoma i Gomora na Florydzie, wszędzie susza, głód, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i epidemie – wszystko to są znaki, że zbliża się koniec starego świata. Jak ogłosił Świadek w Księdze Objawienia, która jest naszym pismem świętym, „I będzie nowe niebo i nowa ziemia, gdy poprzednie niebo i poprzednia ziemia przeminą. A Ojciec na Tronie mówi: «Wszystko uczynię nowe...»”.

– Ale w tym nie ma nic nowego! – przerwał Flash. – Te słowa istnieją od tysięcy lat, Thelmo, i czy komuś przyszło z nich coś dobrego?

– „«Jam jest Alfa i Omega, początek i koniec»” – ciągnęła Thelma, ignorując go, podnosząc się z sofy jak pulchny anioł gniewu, któremu lawendowa sukienka klei się do brzucha i do nóg, zbierając we wzburzeniu Biblię, broszury, senne dziecko. – „«Każdemu spragnionemu dam darmo ze źródła wody życia, ale co do tchórzów i tych bez wiary, i obrzydliwych w swej plugawości, i morderców, i wszystkich kłamców – ich dział będzie w jeziorze płonącym ogniem i siarką. To oznacza drugą śmierć»”.

– Jej głos wzniósł się radośnie na słowie „śmierć”.

Flash miał trudności z wyplątaniem się z fotela. Od dżinu stało mu się coś dziwnego z nogami – były bez czucia, jak z gumy. Upadł na podłogę, na

twardą jak kamień nagą podłogę, i kłął, Thelma tymczasem zbudziła Magdalene, postawiła ją na nogi i na poły zaciągnęła, na poły zaniósła do drzwi. Próbując się podnieść, Flash uchwycił się ciężkiego blatu z granitowego nagrobka, stół się zachwiał, pustaki się przewróciły i blat spadł z hukiem na podłogę, zahaczając o jego prawą dłoń. Miał złamane trzy palce, ale w podnieceniu jakby tego nie zauważył.

– Zaczekaj! Nie możesz mnie zostawić! Jesteś mi potrzebna!

Thelma odpowiedziała od drzwi, wzburzonym głosem:

– Potrzebna jest pomoc, to fakt. W tym domu jest szatan.

Flash w końcu podniósł się na nogi i poszedł za nią do wyjścia.

– Co to znaczy „w tym domu jest szatan”? – wołał. – Nie ma żadnego szatana, nie ma żadnego diabła, to wszystko istnieje tylko w głowach takich ludzi jak wy. Jesteście maniakami religijnymi! Szaleńcami! Zaczekaj...

Nie mógł uwierzyć, że ona tak łatwo mu się wymyka. Że *jego jazda*, jak się okazuje, zupełnie nie jest *jego*.

Niosąc torebkę i wypchaną torbę, i odurzoną snem córkę, którą posadziła sobie na biodrze, Thelma szła w tych płaskich balerinach z plecionki szybko, lecz bez pośpiechu, kierując się na żwirowany podjazd. Raz po raz rażone słońcem powietrze drgało przeraźliwie. Cykady robiły raban jak syreny strażackie. Flash próbował iść za nią, zmuszając do ruchu naprzód gumowe nogi, które były bardzo odległe od głowy, za małej w stosunku do ciała, na czubku kołyszącej się łodygi. Śmiał się i wołał:

– Jesteście żałośni! Tragiczne ofiary głupoty i zabobonu! Nie ma dla was miejsca w dwudziestym wieku, razem z resztą! Nieudacznicy! Nie radzicie sobie ze współczesnym światem! To *was* trzeba zbawić!

Patrzył ze zdumieniem za oddalającą się szybko kobietą – godność w jej ciele, w niesionej wysoko głowie, w samym kształcie pleców; wzburzenie, które nie jest strachem, wzburzenie może zbyt prymitywne, by ustąpić miejsca strachowi, nie przypominały niczego, co znał z doświadczenia, niczego podobnego nawet sobie nie wyobrażał. Gdyby to był film, myślał z paniką, misjonarka *wychodziłaby teraz z kadru*, a on by zostawał – sam.

– Pomocy! Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie samego!

Krzyczał z przerażenia. Zrozumiał, że jego życie ma wagę nie większą niż wrzask cykady. Gdy dotarł jakoś do podjazdu, potykając się co rusz o własne nogi, nagle oślepiające światło przeszło mu oczy i mózg niby miecz.

Upadł więc na kolana na podjeździe, na ostry żwir i odłamki szkła, i ryczał jak niemowlę, zapominając o dumie, zapominając o ludzkim wstydzie. Pochy-

lił głowę i słońce paliło jej czubek, który zaczynał łysieć. Przez jego oczy wypłakiwała się sama dusza, bo wiedział, że umrze i nic go przed tym nie ocali, nawet ironia, *Nie pochlebiaj sobie, że jesteś na tyle ważny, że ktoś po tobie zapłacze! Dupku!* – nie, nawet tkwiące w nim zło go nie ocali.

Widząc, że padł niczym rażony gromem, młoda chrześcijanka nie mogła odejść.

– Szatan tu jest, to prawda! – krzyknął. – We mnie! Mówi przeze mnie! To nie jestem ja! Pomóż mi, nie odchodź, nie pozwól mi umrzeć!

Jego kończynami wstrząsały drgawki, jak w chorobie; pomimo upału szcząkał zębami. Tam, gdzie stała młoda kobieta, niezdecydowana, co powinna zrobić, widniała zamazana migotliwa sylwetka ze światła i do niej kierował błaganie, rozdarł sobie klatkę piersiową i brzuch, by odsłonić gnijący tumor szatana, który dławił mu wnętrzności, błagał o łaskę, o pomoc, o miłość Chrystusa, aż wreszcie młoda kobieta ostrożnie podeszła, mniej więcej na odległość trzech stóp, i też uklękła, choć nie na żwirze podjazdu, tylko na trawie, i stopniowo pokonała nieufność, widząc chorobę w tym grzeszniku, który wył, błagając o zbawienie, pochyliła głowę, przycisnęła złożone ręce do piersi i zaczęła się modlić, głośno, triumfalnie:

– „Ojciec Niebieski, spraw, proszę, aby ten udręczony grzesznik żałował za grzechy, aby został zbawiony przez Syna Twego Jednorodzonego, aby mógł stanąć przy tronie Twojej łaski. Dopuść, by wszyscy grzesznicy zostali zbawieni za pośrednictwem Świadcstwa Świadka Słowa Bożego...”

Ile minut misjonarka modliła się nad mężczyzną, który dla kawału przedstawił się jako Flashman, człowiek błyskawica, potem nie wiedział. Jakby w czasie pojawiła się rozpadlina. W palącym słońcu oni dwoje byli złączeni w ekstazie niczym w najintymniejszym uścisku, a młoda kobieta, w odruchu szczodrego serca, wyciągnęła ręce, zamknęła jego dygoczące dłonie w swoich i mocno uścisnęła.

– Niech pan się modli! – radziła. – Niech pan się modli do Jezusa Chrystusa! W każdej godzinie każdego dnia niech pan się modli do Niego w swym sercu!

Sama też płakała, twarz miała zaczerwienioną, opuchniętą i lśniącą od łez. Błagał, żeby go nie zostawiała, bo wciąż czuł w sobie szatana, bał się jego władzy nad swoją duszą, ale na drugim krańcu podjazdu stanął samochód, ku któremu mała Magdalena szła chwiejnym krokiem, męski głos zawołał: „Thelma! Thelma!” i młoda kobieta natychmiast wstała z klęczek, odgarnęła z twarzy wilgotne włosy, po czym udzieliwszy mu na odchodnym ostatniej rady, by kochał Boga i Chrystusa i wyrzekł się szatana i każdej rzeczy, która

jego jest, zniknęła w świetle, z którego przybyła.

Gdy został sam, nadal klęczał, nie miał siły stać. Kołysał się w słońcu, w przód i w tył, i na boki. Spierzchnięte wargi poruszały się, wydając bełkot. W szale samoupodlenia wciskał nagie kolana w żwir i odłamki szkła, głęboko, coraz głębiej w ból, tak aby mocniej krwawić, aby wykrwawić z siebie cały brud, a przynajmniej tak okaleczyć ciało, by na jałowej przestrzeni lat, jaką będzie stanowić reszta jego życia, mieć żywą pamiątkę tej godziny, blizny, których będzie mógł dotykać i które będzie mógł odczytywać jak pismo Braille'a.

Gdy Gracie Shuttle wróciła do domu, wiele godzin później, zastała swojego brata Harveya w łazience, gdzie obmywał poranione kolana przesiąkniętym krwią ręcznikiem i pęsetą wydłubywał z ciała kawałki żwiru i szkła. A ręka – kilka palców prawej ręki miał spuchniętych jak parówki i groteskowo posiniaczonych. Gracie była wysoką, chudą, sardoniczną czterdziestojednolatką o głęboko osadzonych oczach, które rzadko okazywały zaskoczenie; jednak na widok Harveya w tej niezwyklej pozie, mocno pochylonego na sedesie, i zlewu pełnego wody zabarwionej krwią tuż obok gwizdnęła przeciągle.

– Co ci się stało, kurna? – zapytała.

Harvey podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Nie wyglądał na pijanego ani naćpanego; oczy miał mocno przekrwione, jak po jednym z tych swoich napadów płaczu, ale poruszał się irytująco spokojnie. Jego twarz wyglądała strasznie i w kilku miejscach była spalona słońcem, jakby przypieczona.

– Poszedłem na kolanach do Getsemani i z powrotem – odparł. – To coś tak osobistego, że nie da się o tym mówić.

Z dawnych czasów, kiedy ze względu na przypadek urodzenia mieszkali pod jednym dachem z dwojgiem nieszczęsnych dorosłych, którzy byli ich rodzicami, Gracie wiedziała, że jej młodszy brat w takim stanie prawdopodobnie mówi prawdę lub swoistą prawdę; wiedziała też, że nigdy jej nie wyjawia, nie podzieli się z nią. Pomachała mu przed oczami religijną broszurą, którą znalazła na podłodze w salonie, koło granitowego nagrobka.

– A to co, kurna?

A Harvey odpowiedział, znów z tym denerwującym spokojem:

– To moja sprawa, Gracie. Proszę, wyjdź i zamknij za sobą drzwi.

Gracie z całej siły trzasnęła drzwiami i sadząc wielkie kroki, wyszła przez tylne drzwi do ogrodu, doszczętnie zarośniętego dzikim bambusem. Przez trzy lata, odkąd się tu wprowadziła, ten cholerny bambus rozplenił się wszędzie, z bagnistej części działki, gdzie znajdowało się szambo, wkopane

zbyt blisko powierzchni ziemi. Takie już ma szczęście! I to ona, ze swoim dyplomem magistra pomocy społecznej z Uniwersytetu Stanu Pensylwania! Miała nadzieję na coś więcej – oczekiwała czegoś więcej zarówno od swojego wykształcenia, jak i od życia w ogóle. Zapaliła papierosa i paliła szybko, wydychając dym przez nos. „A, mam cię w dupie”, powiedziała i zaśmiała się. Często się śmiała, kiedy była zła, a ostatnio śmiała się całkiem sporo.

Zresztą to *było* śmieszne. Nie wiedziała wprawdzie, o co w tym chodziło, ale *było* to śmieszne – jej zwolniony warunkowo młodszy brat, kiedyś wybitny student, a teraz łysiejący pan w średnim wieku, dłubie sobie ostrożnie w kolanach, które wyglądały, jakby je ktoś pochłastał brzytwą. To trzeźwo-porażone spojrzenie, którego nie widziała u biedaka od dwunastu lat – odkąd jeden z jego kumpli ćpunów w Philly zaliczył zgon na miejscu przy wciąganiu heroiny.

Niektóre łodygi bambusa były brązowe i wyschnięte, ale większość tego cholerstwa wciąż się zieleniła i rosła zdrowo, wysoka na siedem stóp. Gracie rzuciła tam niedopałek. Czekwała znudzona, czy może zaproszy się ogień, czy tu, przy drodze numer 71, wyjątkowo zdarzy się coś choć trochę ekscytującego, czy strażacy z ochotniczej straży w Waynesburgu będą mieli okazję wypróbować swój błyszczący czerwony sprzęt w akcji, a wszystkie wsiowe ćwoki w promieniu kilku mil rzucają się biegiem do swoich półcieżarówek, żeby przyjechać się pogapić – ale nie, nie i nie.

¹ Ten i kolejne cytaty z Biblii podane są w tzw. przekładzie Nowego Świata, którym posługują się świadkowie Jehowy (przyp. tłum.).

Przekład: Agnieszka Pokojaska
Redakcja: Małgorzata Kluska
Korekta: Artur Kaniewski

Projekt okładki: Monika Klimowska
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Chaloner Woods/Getty Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1644-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Aleksandra Łapińska / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow